

„Ta książka to doskonała zabawa” – Meg Cabot, autorka Pamiętników księżniczki

52 POWODY

dla których
**nienawidzę
mojego
OJCA**

Jak odzyskać

**KASĘ I...
ZAUFANIE**

tatusia

**Jessica
Brody**

autorka z listy bestsellerów
New York Timesa

**WIELOŚĆ
SKANDALE
KŁOPOTY**



Jessica Brody

W ciągu czterech lat wydała pięć powieści, które zyskały niezwykłą popularność na całym świecie.

Jessica Brody już od najmłodszych lat wiedziała, że będzie pisarką. W wieku zaledwie dwóch lat nauczyła się czytać, a mając siedem lat, stworzyła już pierwszą własną „książkę”.

Od zawsze marzyła, aby być jedną ze Spice Girls. Szaleje za słodyczami pixy sticks, sushi, oraz bananami. Nie potrafi gwizdać i ma alergię na skanery cen w supermarketach.

Swój czas dzieli pomiędzy Los Angeles i Kolorado. Uwielbia mówić z brytyjskim akcentem.

Jessica Brody jest także scenarzystką, producentką i gadżeciarzem ponad wszystko.

Do tej pory książki Brody trafiły na rynki: Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Włoch, Czech, Rosji, Brazylii, Chin, Portugalii i Izraela.

Strona autorki:
www.jessicabrody.com

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Wypadek bez ofiar
Wszyscy jesteśmy rodziną
Przyszedł, poszedł
Kosztorys
Być jak Larrabee
Pani własnego losu
Bruce Wszechmogący
Ostatnia walka
Uziemiona
Osaczona
Bo od tego są przyjaciele
Opiekunka do dziecka poszukiwana
Z łącznikiem nie ma żartów
Sprzątanie dla bystrzaków
Kamuflaż idealny
Pora spać
Substancje pogarszające nastrój
Lexi Capone
Nigdy nie lekceważ rodziny Larrabee
Front arktyczny
Przedstawienie czas zacząć
Morze niespokojne
Pan Carver, w sali bilardowej, z kijem
Scena, w której znikam

Często mi to mówią
Obiekt kultu
Sztuka negocjacji
Ściąć go!
Igrzyska czas zacząć
Świat od drugiej strony
Nie ma jak w domu
W poszukiwaniu fenomenu
Pod tą powłoką
Zerwane połączenie
Ojciec – domator
Widzę zmarłych
Czuwanie
Niech stanie się ciemność
Konfesjonał dla zmotoryzowanych
Blaszany drwal
Ucieknijmy razem
Strategia odwrotu
Dokonując niemożliwego
Ta druga lista
Na dystans
Jaka matka, taka córka
Fałszywy przyjaciel
Panna szpieg
Szpiegostwo w pigułce
To, co niepisane
Bez pomysłu
Zwrot do nadawcy

Podziękowania

Karta redakcyjna

Okładka

Jessica Brody

52 POWODY

dla których

nienawidzę mojego OJCA

Tłumaczyła
Joanna Kamrowska

fabryka słów

Lublin 2013

*Dla Janine O'Malley
– za cierpliwość do wszystkiego*

*Ojcowie, bądźcie dobrzy dla swych córek,
A będę kochać tak jak wy.
John Mayer*

Wypadek bez ofiar

Ojciec mnie zabije.

Właściwie to chyba nie ma czasu, żeby mnie zabić. Ale na pewno wyśle kogoś, kto zrobi to za niego. W tym jest dobry. Wysyła ludzi. Robił to przy każdym ważniejszym wydarzeniu w moim życiu. Pierwszy dzień szkoły, pierwsza randka, przyjęcie z okazji szesnastych urodzin, wszystkie inne urodziny, recitale taneczne, nawet zakończenie liceum w zeszłym tygodniu. Podczas tych wszystkich momentów pojawiali się sługusi ojca i nagrywali mnie kamerą. Ma wielu pomocników. Tylu, że dawno straciłam rachubę, który jak się nazywa. Ale za każdym razem, ilekroć coś ważnego dzieje się wokół mnie, jeden z nich pojawia się w roli ojca, by spełnić rodzicielski obowiązek. Szczerze mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby tatuś w dniu mojego ślubu przysłał kogoś, kto poprowadzi mnie do ołtarza. Chociaż raczej jego specjaliści od PR nie pozwoliliby na przepuszczenie tak wspaniałej okazji do przekazania pozytywnej relacji mediom.

Z kolei *to* podchodziło pod tę *drugą* kategorię rozgłosu. Wrzawy, która sprawia, że mój ojciec, firma i wszyscy związani z naszą rodziną źle wyglądają. Szumu, który jest pospiesznie uciszany przez zręcznie podstawione kozły ofiarne i obietnice leczenia. Nie żebym rzeczywiście miała iść na odwyk. Nie żebym kiedykolwiek faktycznie na niego poszła. Sama wieść o takiej decyzji sprawia, że ludzie czują się lepiej, a tablety zabierają się do życia kogoś innego. Bo kiedy wyślą cię do kliniki, opowieść się kończy. Według mediów jesteś czysty jak niemowlak.

Do czasu aż znów coś spieprzysz.

Do czasu aż zrobisz coś takiego.

Jestem pewna, że ojciec ma szpiegów dookoła świata. Są w naszym rządzie i w rządach zagranicznych, wślizgnęli się w szeregi policji, mają sklepy na każdej ulicy. Są jak skrzaty. Pomocnicy Świętego Mikołaja. Magicznie przemykający

w nocy, wykonujący jego polecenia, chroniący dobre imię naszej firmy. Imię *rodziny*. Nie ma innego wyjaśnienia na to, jak szybko wszystko się dzieje. Jak błyskawicznie są w stanie dotrzeć na miejsce zamieszkania. Na przykład tak jak dziś. Ludzie ojca byli na miejscu jeszcze przed policją i strażą. Eleganccy, ubrani w czarne garnitury i markowe buty, choć była trzecia nad ranem. Jakby chodzili w takich strojach spać.

Magiczne skrzaty, serio.

Ale podążanie tym tropem oznaczałoby, że ojciec jest Świętym Mikołajem. Uwierz mi, choć jest nieuchwytny, niewidzialny i nigdy nie przebywa w naszym salonie dłużej niż dwie minuty, po czym rozplywa się w ciemności nocy, to nie ma w nim zupełnie *nic* ze Świętego Mikołaja.

Ludzie w garniturach za każdym razem, gdy przyjeżdżają, każą mi być cicho. Tak było i tym razem. Zabrali mnie ze świateł reflektorów, sprzed obiektywów i fleszów paparazzich, i pośpiesznie schowali w czarnej limuzynie z przyciemnianymi szybami, zza których ledwo co było widać. Naprzeciwko mnie siedziała kobieta. Mówiła z delikatną nutką francuskiego akcentu. Z dwiema komórkami niczym ekspert żonglowała potokiem telefonów i e-maili. Przerwała rozmowę i zapewniła, że już wszystkim się zajęli.

Przecież nie musiała mnie o tym informować. *Zawsze* się wszystkim zajmują. Gdy chodzi o dobre imię ojca, oskarżenia zostają tajemniczo wycofane, sprawy zasadnie umarzane, a wściekli biznesmeni, którzy wcześniej obiecywali zemstę, nagle zaczynają przysyłać kartki bożonarodzeniowe i pozdrowienia z dwutygodniowych wakacji na wyspach greckich, uzupełniane zdjęciami rodziny.

Nie wiem, *jak* to się robi, ale z pewnością chodzi o pieniądze. Duże, duże pieniądze. Występujące pewnie w formie długich, nieoznakowanych rachunków. W ich cieniu podpisuje się umowy, grozi i naciska na dochowanie tajemnicy.

To mafia bez klubów striptizerskich i tanich nowojorskich akcentów. Jej członkowie zamiast spluw i cementowych butów mają komórki BlackBerry i dyplomy Harvardu.

Nie dziwota, że dla ojca pracują całe biura prawne.

Przez przyciemnione szyby udało mi się dojrzeć podjeżdżające właśnie dwie kolejne furgonetki. Moja towarzyszka też je zauważyła, pośpiesznie nacisnęła jeden z klawiszy na telefonie, po czym przyłożyła aparat do ucha.

– Droga wolna? – Cisza wypełniła moment oczekiwania na odpowiedź. – Powiedz im, że nie będziemy tego komentować – powiedziała, po czym rzuciła do drugiego telefonu: – Dobrze, jedziemy.

Z chłodnym zdecydowaniem wyłączyła oba aparaty i zastukała knykciami w szybę za sobą. Sygnał został zrozumiany, samochód ruszył jak płynnie chodząca, dobrze naoliwiona maszyna, która wykonywała tę samą rutynową czynność przez setki lat.

Jeszcze zanim wyjechaliśmy z ulicy, kobieta prowadziła już kolejną rozmowę.

– Jak sytuacja w Gnieździe?

Zauważyłam grymas na jej gładkiej, spiętej twarzy. Bez słowa włączyła telewizor i przełączyła na CNN. Wciąż nie widziałam wszystkiego wyraźnie, a pamięć szwankowała mi po wypadku, ale rozpoznałam ulicę, na której stała dziennikarka. Było to miejsce, z którego dopiero co odjechaliśmy. A w tle, w samym środku sklepu spożywczego, można było zobaczyć mój samochód, zaraz obok półki z aspiryną.

Mogłam wziąć trochę, zanim mnie zgarnęli, pomyślałam. Jakby mi ktoś nawalał łeb młotem pneumatycznym.

Zapadłam się w siedzenie, ręką zasłaniając oczy.

– Zmiana planów – usłyszałam, jak kobieta z francuskim akcentem mówi do kierowcy przez opuszczoną szybę. – Jedziemy do Ładowiska.

Kierowca skinął głową. Samochód, zawracając, szarpnął, co nieomal spowodowało gwałtowny zwrot zawartości mojego żołądka. Nie żeby był pełny. Nie licząc wódki. Dużo, dużo wódki. I może parę kropli wody z kostek lodu.

– Nie – sprzeciwiłam się, próbując usiąść prosto. – Dlaczego tam jedziemy? Tam nie ma moich rzeczy. Chcę do domu!

Rzuciłam okiem na telewizor i nagle odpowiedź wydała mi się oczywista. Szokujące wiadomości z ostatniej chwili pokazywane były już z innego miejsca. Przed moim domem stał kolejny dziennikarz, a obok pismacy ze wszystkich innych serwisów informacyjnych na świecie.

Świetnie.

– Nie martw się – rzuciła, znów wystukując numer na telefonie. – Wysłaliśmy ludzi po twoje rzeczy.

– No dobra – poddałam się. Westchnęłam teatralnie, położyłam się na boku i zwinęłam w kulkę. – Ale upewnij się, że zabiorą Holly. Nie lubi spać sama.

Kobieta skinęła głową i przyłożyła do ucha drugi telefon.

– Weźcie psa.

Choć telewizor był ściszony, wciąż docierał do mnie pretensjonalny głos dziennikarki, opowiadającej dzieje mojego tragicznego życia, jakby recytowała wypracowanie z piątej klasy.

– Jeśli dopiero do nas dołączyliście, jesteście w Bel Air w Kalifornii, przed sławną posiadłością dyrektora generalnego Larrabee Media, Richarda Larrabee. Kilka minut temu jego siedemnastoletnia córka, Lexington, rozbiła się wartym ponad pięćset tysięcy dolarów kabrioletem marki Mercedes-Benz SLR McLaren. Nastolatka wjechała w sklep spożywczy przy ulicy Sunset Boulevard. Znana wszystkim celebrytka wracała właśnie z ekskluzywnego klubu nocnego w Hollywood, gdzie, jak twierdzą świadkowie, ostro imprezowała ze znajomymi. Choć rzecznicy rodziny Larrabee zaprzeczyli pogłoskom, jakoby sprawczyni wypadku była pod wpływem alkoholu, policja wciąż bada sprawę. Kilka dni temu zaczęły krążyć pogłoski, że

skomplikowany dwuletni związek Lexington i dziedzica europejskiej fortuny Mendiego Milosa ma się ku końcowi. Sławna para, która bez przerwy rozstaje się i schodzi, zerwała ze sobą pod koniec zeszłego roku. Larrabee trafiła wtedy do centrum zdrowia psychicznego w Palm Springs. Stwierdzono u niej „depresję i napady niepokoju”. Spędziła tam dwa tygodnie. Decyzję o umieszczeniu córki w placówce podjął sam Richard Larrabee, po tym jak dziewczyna została znaleziona nieprzytomna w toalecie na stacji benzynowej w Beverly Hills, a następnie przewieziona do prywatnej kliniki Cedars-Sinai, gdzie leczono ją z łagodnego zatrucia alkoholowego. Richard Larrabee oficjalnie przyznaje, że bardzo przejmuje się stanem córki...

– Chryste, wyłącz to! – warknęłam, zakrywając twarz włosami.

Zamknęłam oczy i po chwili cisza wypełniła limuzynę.

Pieprzony Mendi. To wszystko jego wina. Gdyby wrócił do Europy, jak obiecał, nic takiego by się nie wydarzyło. Trzymalibyśmy się planów. Krótka przerwa od siebie, ponowne spotkanie w Europie za kilka tygodni i wszystko byłoby dobrze. *Ale nieee*. Musiał pojawić się w klubie i na moich oczach tańczyć z jakimiś puszczałskimi lafiryndami. Teraz to *na pewno* koniec. Po tym, co sobie powiedzieliśmy, nie ma mowy, żebyśmy znowu byli razem.

Chryste, ale mnie boli głowa.

Przez przymrużone powieki docierały do mnie przebłyski światła. Ostatkiem sił otworzyłam oczy. Telewizor wciąż był włączony, miał jedynie wyciszony dźwięk. CNN przeniosła się z powrotem na miejsce wypadku. Holownik wyciągał mój samochód. Jaki złom. Cały przód zgnieciony, a tam, gdzie była przednia szyba, pozostało już tylko kilka odłamków szkła.

Cholera. Lubiałam go.

I dopiero co go dostałam. Robiony na zamówienie w fabryce w Niemczech. Teraz będę musiała poczekać, aż zrobią nowy. Kto wie ile czasu im to zajmie.

Gdy patrzyłam na ekran, robiło mi się przykro.

– Wyłącz to – powtórzyłam. – Nie muszę tego oglądać. Ja pierdzielę, przecież przeżyłam!

Kobieta znowu rozmawiała przez telefon. Tym razem po francusku.

– *Oui, oui, je comprends* – powiedziała i celując pilotem w telewizor, wyłączyła go. Przez sekundę zatrzymała wzrok na mnie i wymamrotała do komórki: – *Je te le dis, elle est un enfant gâtée*.

Czułam, jak z wściekłości zaczyna mi płonąć twarz. Naprawdę nazwała mnie rozwścieczonym bachorem?

– Przepraszam – powiedziałam stanowczym tonem.

– *Un moment* – rzuciła do słuchawki, wzięła głęboki oddech, odjęła telefon od ucha i posłała mi ekspresowy, sztuczny uśmiech.

– Tak?

– Co dokładnie robi pani dla mojego ojca?

Wyraźnie zirytowała się tym, że przerwałam jej rozmowę, ale próbowała to za wszelką cenę ukryć.

– Jestem jego nowym rzecznikiem prasowym.

– Cóż – zaczęłam, zanim przeszłam gładko w perfekcyjny francuski – może gdybyś wcześniej raczyła dowiedzieć się kilku rzeczy o mnie, wiedziałabyś, że ten „rozpuszczony bachor” spędził połowę dzieciństwa we Francji.

Zamknęłam oczy i zakryłam twarz włosami, aby nie widzieć jej zaskoczonej miny.

– Obudź mnie, gdy dojedziemy – wymamrotałam.

Wszyscy jesteśmy rodziną

Mój ojciec ma prywatny apartament w hotelu Beverly Wilshire. Podobno jest mu potrzebny po to, by wspólnicy mieli się gdzie zabawiać, gdy przyjeżdżają do LA. Gówno prawda. Ma apartament, bo nie chce nocować w domu. Wszyscy wiedzą, że spanie z kimś w jednym domu oznacza zagłębienie się w pewien stopień intymności. Nieważne, czy chodzi o twoją drugą połówkę, czy rodzinę, sen to rzecz intymna. Budzenie się rano to rzecz osobista. Wspólne śniadania to rzecz rodzinna. I niezależnie od tego, co mówią o nas gazety, Larrabee *nie są* rodziną.

Według mojego ojca zaliczanie krótkich, przelotnych wizyt w naszym właściwym domu w Bel Air wystarczy, aby mógł uznać się za domownika. Ale oczywiście te odwiedziny nigdy nie były na tyle długie, by mógł zaangażować się w moje życie. Jako mała dziewczynka byłam na tyle naiwna, że próbowałam jak najlepiej wykorzystać te rzadkie chwile obecności ojca. Pędziłam do drzwi na łeb na szyję. Z najświeższymi rysunkami w dłoni lub ubrana w najnowszy strój baletnicy, by pochwalić się krokiem tanecznym, którego się nauczyłam. Jak głupia zabiegałam o jego uznanie. Umierałam z tęsknoty, marząc o tych pustych, oszczędnych pochwałach. Byłam niczym wygłodniałe zwierzątko, które wpycha jedzenie do ust i przechowuje w napęczniałych policzkach. Jak wiewiórka, która nie jest pewna, kiedy ponownie przyjdzie jej coś zjeść.

Zmądrzałam. Nie marnowałam już czasu. A gdy ojciec miał zaplanowaną wizytę (tak, prawie zawsze były *zaplanowane*), zwiewałam z domu, używając wszelkich możliwych wymówek.

– Twój ojciec jedzie już z Nowego Jorku – poinformował mnie znajomy męski głos, gdy tylko weszłam do salonu i zapadłam się w objęcia obszytego jedwabiem szezlongu.

Jak już wspomniałam, *prawie* zawsze zaplanowane.

– Dzięki za ostrzeżenie – odpowiedziałam z drwiną.

– Nie mów do mnie takim tonem – warknął Bruce, idąc powoli w moją stronę. Spojrzał na mnie groźnie. – Tym razem naprawdę spieprzyłaś sprawę, Lexi. Przecież mogłaś kogoś *zabić*! Mogłaś zginąć!

Obróciłam się na bok, żeby na niego nie patrzeć.

– Och, przestań, *Bruce*. Przeszłam dziś piekło. Nie możesz odpuścić chociaż raz?

Bruce to osobisty prawnik ojca. Taka przeciwwaga dla tych wszystkich korporacyjnych debili. Zajmuje się nieruchomościami, dochodami, umowami, funduszami powierniczymi i, co najistotniejsze, rodzinnym interesem (w tej chwili to ja nim byłam). Gdy miałam pięć lat, zmarła moja matka. Szczerze mówiąc, od tej chwili więcej czasu spędzałam z Bruce'em niż z własnym ojcem. Na moje nieszczęście prawnik często próbował mnie traktować jak rodzoną córkę. Oznacza to tyle, że sprawiał wrażenie, jakby z ganienia mnie czerpał jakąś perwersyjną satysfakcję. I choć nie miał tego w umowie, z pewnością gratulował sobie wykonywania nadobowiązkowej roboty.

– Rozwaliłaś *samochód*! Lexi, wjechałaś w *sklep spożywczy*! – wrzasnął Bruce. – Mam ci przypomnieć, co to oznacza?

– Pytasz, czy trzeba mi przypominać, w jaki sposób zginęła moja matka? – spytałam z pogardą. – Nie, nie trzeba. Znam to na pamięć.

– Naraziłaś rodzinę na ogromne niebezpieczeństwo – zasyczał wściekle.

Jęknęłam i przewróciłam oczami.

– Mówisz to tak, jakbyś należał do tej rodziny.

– Należę! – rzucił oburzony. – Dbam o jej dobre imię. Bez przerwy. O twego ojca, o braci, o ciebie. Jestem *osobiście* odpowiedzialny za wasze zdrowie. Wydaje mi się, Lexington Larrabee, że o sobie nie możesz tego powiedzieć.

Obróciłam się tak szybko, że pokój długo nie chciał przestać wirować. Ale byłam zbyt zajęta krzykiem, aby to zauważyć.

– Nie masz pojęcia, co to znaczy być częścią tej rodziny! – Wrząca wściekłość podkreśliła ból głowy do niepokojącego poziomu, ale zupełnie się tym nie przejmowałam. Emocje wzięły górę. Zawsze gdy tak się działo, nie umiałam przestać.

– Nie masz pojęcia, co to znaczy być *co wieczór* tuloną i całowaną na dobranoc przez kogoś, komu za to *płatą*. Nie wyobrażasz sobie, jak to jest otrzymać świadectwo ukończenia szkoły średniej, spojrzeć w tłum i zobaczyć najnowszego pracownika Larrabee Media, siedzącego w pierwszym rzędzie, pospiesznie wyjmującego z pudełka najnowocześniejszą kamerę, aby nagrać film, którego twój ojciec i tak nie zobaczy. Nie chcę *nigdy* słyszeć, że uważasz się za część tej rodziny, do czasu gdy zemdlejesz w toalecie na stacji benzynowej, obudzisz się w szpitalu i obok ujrzysz nieznanego *zatrudnionego* po to, aby potrzywał cię za rękę i powiedział, że wszystko będzie w porządku.

W jego oczach widziałam przegraną. Albo zdecydował wywiesić białą flagę i odłożyć rozmowę na później. Obróciłam się na bok i przytuliłam twarz do szezlongu, odnajdując w jego zimnej satynowej powierzchni odrobinę pocieszenia.

Dzwonek do apartamentu dzwonił niemal przez cały czas. Panowało wielkie poruszenie, głównie związane z przygotowywaną przykrywką, która miała zatuszować ten nocny „incydent”. Tak właśnie nazywali to sługusi. Szczerze mówiąc, nie lubię hałasu i zgiełku, ale tym razem nie narzekałam. W tamtej chwili bałam się, że mogą się spakować i przenieść swoją bazę na dół, do sali konferencyjnej. A wtedy zostałabym zupełnie sama w tym gigantycznym apartamencie.

O wpół do czwartej znowu zadzwonił dzwonek. Do pokoju, pchając przed sobą wózek zawalony walizkami i pudełkami pełnymi moich rzeczy, wszedł boy hotelowy. Holly, moja brązowo-biała motylkowa suczka, siedziała zadowolona na szczycie kufierka Louis Vuitton, ciesząc się z przejażdżki po luksusowych, połączonych korytarzach. Gdy tylko mnie zauważyła, zaczęła merdać ogonkiem, szczerzyła wesoło i zeskoczyła prosto na moje kolana.

Przytulałam ją mocno, gaworzyłam w jej długie uszka, kształtem tak podobne do motyli skrzydeł, i pocierałam nosem miękką sierść na jej karku. Trzy lata temu uratowałam ją ze zrujnowanej nielegalnej hodowli. Psina była w tragicznym stanie, przez sześć miesięcy w ogóle nie chciała się do mnie zbliżyć. Ale teraz już jesteśmy nierozłączne. I wbrew temu, co można zobaczyć lub przeczytać w tabloidach, Holly nie jest moim dodatkiem modowym. Jest moim światem. Moim kołem ratunkowym.

Fakt, że się pojawiła, natychmiast poprawił mi nastrój. To niesamowite, jak bardzo Holly potrafi na mnie wpłynąć. Ludzie są czasem tacy irytujący. Z tymi swoimi debilnymi opiniami i skrywanymi motywacjami. Ale psy? Psy nie mają nic do ukrycia. Nie ma bardziej szczerych, otwartych i oddanych istot niż one. Dlatego zawsze są w stanie cię rozśmieszyć. Zawsze będą cię kochać. Nieważne, jak bardzo sieprzysz. Nieważne, gdzie rozbijesz swój kabriolet.

Na szczęście w moim kufierku znalazłam opakowanie ibuprofenu. Wysypałam tabletki na dłoń i połknęłam je, popijając włoską wodą mineralną, która stała na stoliku. Skrzywiłam się.

– Och, obrzydlistwo! – Zakrztusiłam się. – Nie wierzę, że ojciec pije to gówno. – Krzyknęłam do nikogo konkretnego: – Czy ktoś może przynieść mi butelkę vossa?

Woda pojawiła się w niecałą minutę, jakby w kabinie prysznicowej stał jakiś automat z vossem. Zapiłam poprzedni, nieprzyjemny smak, nalałam parę kropli do dużej okrągłej zakrętki i postawiłam ją przed Holly.

Bruce wyszedł z głównej sypialni, w której rozmawiał przez telefon, i poinformował wszystkich, że Kapitan wylądował i właśnie wsiada do helikoptera. Będzie na miejscu za dwadzieścia minut.

Jeśli jeszcze się nie zorientowałaś, Kapitan to mój ojciec. Nalega, aby wszyscy

używali tych durnych kryptonimów. Gniazdo to nasz dom, Lądowisko to ten apartament, Ogryzek to dom przy Park Avenue na Manhattanie, a Bruce, człowiek od wszystkiego, to Porucznik. Gdzieś jest cała lista tych kryptonimów. Aktualizują ją co miesiąc i wysyłają e-mailem. Lata już nie widziałam żadnej listy. Bo w którymś momencie odkryłam, jak używać filtrów antyspamowych.

Gdy ludzie zaczęli latać dookoła, szykując się na wielkie wejście Kapitana, postanowiłam też poczynić kilka przygotowań. Wypiłam resztkę wody, wysłałam SMS do Jii i T, moich najukochańszych przyjaciółek, błagając je, aby jak najszybciej się tu zjawily i podniosły mnie na duchu. Następnie poszłam do łazienki, żeby sprawdzić, jak wyglądam.

Odbicie w lustrze mnie przeraziło, mogłabym przysiąc, iż doświadczyłam zamiany ciał, jaką pokazują w filmach. Nie byłam do siebie ani trochę podobna. Tusz całkowicie rozmazany, włosy z jednej strony zupełnie spłaszczone, oczy w kolorze winogron *pinot noir*, a pod nimi wory większe niż te na śmieci.

Odkręciłam wodę, zamoczyłam rękę i ostrożnie przetałam palcem skórę od dolnych rzęs do policzków, jeszcze bardziej rozmazując tusz, co dało efekt zapłakanej twarzy.

Uśmiechnęłam się na widok mojego dzieła.

Idealnie.

Wyłączyłam światło, wróciłam do salonu i zatopiłam się w szezlongu, oczekując na przybycie ojca.

Przyszedł, poszedł

Pierwsze przyjechały Jia i T. Pewnie były w pobliżu, gdy otrzymały moją wiadomość. Bruce patrzył na nie z wyrzutem, gdy przeszły przez próg, kołysząc biodrami. Na mój opłakany widok dziewczyny wydały dramatyczne westchnienia i natychmiast znalazły się przy mnie, tryskając słowami współczucia, niczym dwie nadaktywne fontanny. Nasze oczy – moje i Bruce’a – spotkały się w przelocie. Prędko odwróciłam wzrok od tego pełnego pogardy spojrzenia i skupiłam się na mojej *prawdziwej* grupie wsparcia.

– O Boże, Lex! – zawołała Jia, kucając przy szezlongu. – Jak jechałyśmy do domu, to dowiedziałyśmy się wszystkiego z Twittera. Nie mogłyśmy w to uwierzyć!

– Natychmiast kazałyśmy Kleinowi zawrócić! – dodała swoim wyrafinowanym brytyjskim akcentem zasapana T.

– Myślałyśmy, że nie żyjesz! – Ciemnobrażowe oczy Jii zaszkliły się łzami, przyjaciółka wtuliła twarz w mój brzuch.

– Nic mi się nie stało, serio. Dzięki, że przyszłyście. – Zaśmiałam się i pogładziłam ślimaczy loczek jej krótkich karmelowych włosów.

Jia, T i ja przyjaźnimy się od pierwszej klasy gimnazjum. Nauczyciele zwykli nas nazywać „Psotnym trio”. Jia jest córką legendarnego gracza koszykówki, niegdyś zawodnika Los Angeles Lakers, obecnie właściciela chyba z setki salonów z luksusowymi samochodami, paru teatrów i sieci restauracji T.G.I. Friday. Nie żeby Jia tam jadała.

Z kolei matka T za młodu była członkinią naprawdę popularnego brytyjskiego zespołu, który we wczesnych latach dziewięćdziesiątych zdobył sporo platynowych płyt. Ówczesnie tata T był gitarzystą – koncertował wraz z kapelą jej matki – ale teraz moja przyjaciółka widywała ojca bardzo rzadko. Gdy grupa się rozpadła, matka T migiem przepuściła tantiemy, po czym przeniosła się z Londynu do Los Angeles, by

wyść za dyrektora jakiejś ogromnej korporacji produkującej oprogramowanie komputerowe. Oczywiście wzięła córkę ze sobą. Teraz T mieszka w Malibu w takim pojechanym, przyjaznym środowisku inteligentnym domu. Ma lodówkę, która werbalnie ostrzega, że kończy się mleko, i termostat, który automatycznie dopasowuje się do aktualnej temperatury ciała domownika.

– O Boże! – Jia westchnęła, ponownie unosząc głowę. Brązer na jej gładkiej skórze w kolorze mokki błyszczał delikatnie w halogenowym oświetleniu apartamentu. – W życiu nie zgadniesz, co Mendi zrobił, gdy wyszłaś.

– W życiu! – potwierdziła T, kręcąc głową.

– Czekaj – powiedziałam, przygryzając wargę. – Daj mi chociaż spróbować. Jakaś mała podpowiedź?

Lecz nim zdążyły cokolwiek powiedzieć, Bruce odchrząknął tak głośno i nieprzyjemnie, że można by pomyśleć, iż w gardle utknęło mu całe skrzydełko kurczaka. Dziewczyny natychmiast na niego spojrzały, lecz ja jedynie przewróciłam oczami.

– Co znowu? – jęknęłam.

Jego lewy policzek drżał. A to oznaczało, że przygryzał, żuł go od środka. Zawsze tak robi, gdy stara się nad czymś zapanować. Zgadywałam, że akurat chodziło o kolejny atak złości.

Wziął głęboki oddech.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za przybycie Jii i Tessy... – zaczął mówić opanowanym, acz spiętym głosem.

– T – natychmiast go poprawiła.

I znów pojawiło się drżenie policzka, lecz po chwili ustąpiło pod delikatnym uśmiechem.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za wsparcie Jii i T – powtórzył, uwzględniając poprawkę – ale biorąc pod uwagę, że lada moment ma się tu zjawić twój ojciec, radzę, żeby poczekały w holu na dole.

Dziewczyny już się podnosiły z klęczek. Prędko chwyciłam rękę Jii i ją przytrzymałam.

– Nie! – zawołałam, patrząc na Bruce'a spod zmrużonych powiek. – To moje przyjaciółki, moja *rodzina* – powiedziałam, świadoma, jak bardzo wkurzy go takie stwierdzenie. – Chcę, żeby zostały.

– Kochanie, nie ma problemu – powiedziała uspokajająco T, chwyciła moją dłoń i ścisnęła ją mocno. – Damy ci chwilę czasu z twoim tatą.

– Ha! – prychnęłam oburzona, wskazując pomieszczenie pełne ludzi. – Tiaaa. Ja, mój ojciec i wszyscy nasi najbliżsi przyjaciele. Jesteśmy jedną wielką rodziną.

Ale T odpowiedziała mi jedynie wątlym uśmiechem i puściwszy moją dłoń, pozwoliła jej upaść na jedwab z głuchym klapnięciem.

Bezradna patrzyłam, jak moje przyjaciółki – moje łodzie ratunkowe – odpływają za drzwi. Wtedy znów przeniosłam rozwścieczone spojrzenie na Bruce'a. Już miałam dać mu do zrozumienia, co naprawdę myślę o takim postępowaniu, ale, niestety, nie miałam nawet szansy zacząć. Życie w całym pomieszczeniu zamarło, zapanowała cisza, ponieważ drzwi ponownie się otwały.

Nie musiałam wstawać, by zobaczyć, kto przyszedł. Ojciec. Widziałam to na twarzach pracowników. Słyszałam w niemożliwym do podrobienia odgłosie jego zdecydowanych kroków. W zamkach, które chrzęsnęły posłusznie w zamykanych drzwiach. W pełnej szacunku ciszy, która zapadła. Po siedemnastu latach życia w roli córki Richarda Larrabee człowiek uczy się rozpoznawać muzykę jego przybycia. I odejścia.

Wszystko, całe życie, zamarło. Rozmowy telefoniczne przerwano. Długopisy przestały skrobać po kartkach. Zręczne palce zastygły nad klawiaturami. Każda para oczu była zwrócona ku twarzy mężczyzny, który właśnie wszedł do pomieszczenia. I który teraz górował złowieszczo nad moim szezlongiem. Słyszałam, jak oddycha, czułam jego cień na mojej twarzy. Wstrzymałam powietrze, czekając na rozwój wydarzeń.

– Stan sytuacji? – rzucił do Bruce'a. Minąwszy moje prowizoryczne łóżko, skierował się w stronę jadalni.

Prawnik ruszył za nim, lojalnie przemierzając dziesięć nędznych kroków do następnego pomieszczenia.

– Zajęliśmy się wszystkim – zapewnił. – Właściciel sklepu nie wniesie oskarżenia. Mam na linii sędziego, który obiecuje potraktować sprawę prowadzenia w stanie nietrzeźwym z najwyższą łagodnością. Żadnego aresztu, jedynie grzywna.

– Dobrze. Media?

– Tym zajmuje się Caroline. – Bruce skinął na Francuzkę, która przywiozła mnie tu limuzyną.

Kobieta posłusznie wstała od stołu, unosząc trzymane w dłoniach komórki, jakby na potwierdzenie tego, że sumiennie wykonywała swoją pracę.

– Przedstawiłam już nasze oficjalne stanowisko w tej sprawie, ale uważam, że konferencja prasowa z samego rana z udziałem pańskiej osoby to jak najbardziej słuszne posunięcie.

– Dobrze. – Ojciec delikatnie kiwnął dłonią, więc Caroline mogła uznać swój udział w tej rozmowie za skończony. Wróciła na miejsce.

Bruce ciągnął dalej, a ojciec słuchał, przechadzając się wzdłuż stołu w jadalni, z rzadka dorzucając do monologu swoje jedno- lub dwuwyrzowe trzy grosze. Wreszcie prawnik skończył i dalsza rozmowa wymagała instrukcji Kapitana.

Holly wcisnęła się między moje skulone ciało a oparcie szezlongu. Drżała przestraszona, położyła uszy po sobie. Choć jest ze mną już trzy lata, nigdy nie

zdołała polubić ojca i nie mogę powiedzieć, bym miała jej to za złe. Sunia nigdy się nie myli w ocenie charakteru człowieka.

Podrapałam ją po karczku i wyszeptałam kilka uspokajających słów.

– W sumie? – usłyszałam pytający głos ojca, gdy Bruce skończył wyliczać niekończącą się listę szkód.

Prawnik wyjął długopis z kieszeni marynarki, naskrobał coś w firmowym hotelowym notesie, wyrwał kartkę i podał ją swojemu pracodawcy.

Patrzyłam na twarz ojca, liczyłam na jakąś reakcję, ale, jak zwykle, żadnej się nie doczekałam. Co za głupota oczekiwać zmian. Sądzić, że w miejscu typowej, wieloletniej pustki cokolwiek magicznie się pojawi.

Przecież właśnie dlatego ojciec jest, kim jest. Dzięki niemu Larrabee Media to dziś jedna z najpotężniejszych korporacji medialnych na świecie. To dzięki jego zadziwiającej zdolności pozostawania całkowicie niewzruszonym i opanowanym. Całkowicie odcięty od jakichkolwiek emocji.

Nawet w katastrofalnych sytuacjach.

– Dobrze – powiedział, dorzucając nieznoszące sprzeciwu kiwnięcie głową. – Masz moją zgodę.

Odwrócił się do pozostałych, pełnych zapału twarzy, wiszących nad stołem niby żołnierze w strefie działań wojennych, czekający na kolejny rozkaz dowódcy.

– Dobra robota – Kapitan odezwał się pewnym, nieugiętym tonem. – Dziękuję za waszą pracowitość w tak... nieprzyjemnej chwili. Zapewniam, że wasze wysiłki zostaną dodatkowo nagrodzone.

I wtedy przeniósł wzrok na mnie, po raz pierwszy, od kiedy wszedł do apartamentu, dając mi do zrozumienia, że pamięta o moim istnieniu. Nie kwapiąc się, by podnieść się z szeszlangu, zrobiłam dokładnie to, co on – niedbale spojrzałam w jego stronę. Choć nasze oczy spotkały się na moment, nie doszło do żadnej wymiany, żadnego porozumienia. Nic sobie nie przekazaliśmy, nie przesłaliśmy żadnych informacji. Nie okazaliśmy emocji. Kiedy Bruce patrzy na mnie w ten sposób, przynajmniej wiem, co myśli. A oczy ojca są puste. Wyzute z wszelkich uczuć.

Obojętne.

Raz jeszcze nie byłam pewna, dlaczego spodziewałam się ujrzeć coś zgoła innego.

Jeden ruch i już odwrócił wzrok, zostawił mnie samą z mglistym wrażeniem spadania. Jakby stało się to, co nieuchronne – pękła żyłka od wędki utrzymującej mnie sześćdziesiąt metrów nad ziemią.

– Jeśli będziecie mnie potrzebować, jestem w Latarni – oznajmił, kierując się w stronę wyjścia. Lewitujący nade mną cień znikł i rozległ się tak dobrze znajomy odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Wnet zapanowało poruszenie, przerwa się skończyła, wszyscy wrócili do pracy.

Kosztorys

Nie napisałam do Jii i T, że droga wolna. Przecież za moment same ujrzą, jak ojciec wychodzi z hotelu, gdy będzie je mijał w holu. Zwlekłam się z szezlongu i powłócząc nogami, podeszłam do stołu w jadalni. Pośród zamieszania, dzwoniących telefonów, wysyłanych e-maili i prowadzonych w szaleńczym tempie rozmów zdołałam niezauważenie chwycić leżący na blacie niewielki hotelowy notes, przycisnąć go do uda i wnieść do sypialni.

– Idę spać – oznajmiłam tak cicho, że mało kto mnie usłyszał, po czym zamknęłam dwuskrzydłowe drzwi.

Gdy postawiłam Holly na puszystym białym królewskim łożu, natychmiast zaczęła wydeptywać sobie miejsce na kołdrze. Uznawszy, że będzie jej wygodnie, klapnęła na pościeli i skuliła się w idealny futrzany kłębek. Teraz gdy ojciec już wyszedł, zrelaksowała się i znów wróciła do swojej spokojnej natury.

Chciałabym umieć radzić sobie ze stresem tak jak ona.

Przysiadłam na brzegu łóżka i wyjęłam ołówek ze stojącej obok szafki. Delikatnie przyciskając grafit do papieru, zaczęłam rysować ciemne linie na pierwszej stronie podkradzonego notesu. Po chwili, jak za sprawą magicznej różdżki, pośród gęstwiny szarych kresek moim oczom ukazało się wgłębienie pozostałe po piśmie z wyrwanej kartki.

Zmrużyłam oczy i podstawiłam notes pod wątle światło na szafce nocnej. Przyglądałam się tak długo, aż bazgroły Bruce’a stały się dla mnie zrozumiałe.

Na kartce widniała tylko jedna rzecz – cyfry.

1,7.

Czyli koszt mojej najświeższej pomyłki. Finansowe brzemię, jakie będzie musiał ponieść ojciec, by wymazać mój błąd. By dobre imię rodziny nie zostało zszargane błotnistymi śladami moich stóp, które udaje mi się pozostawić, gdziekolwiek się

udam.

Nie miałam wątpliwości, że tu chodziło o miliony. W życiu mojego ojca, wykonującego taką, a nie inną pracę, skala narzuca się sama. Nie ma potrzeby wypisywania całej kwoty, bo i po co widzieć tyle niepotrzebnych zer? Ojciec nie zajmuje się setkami ani tysiącami – takie kwoty nie są warte jego czasu.

Rzuciłam notatnik na bok i oparłam się na poduszkach. Ta noc przerodziła się w apogeum koszmaru. Najpierw Mendi, potem wypadek, potem media, a teraz *to*.

Pozwoliłam sobie na łzy – trzydzieści sekund, nie więcej – po czym prędko zebrałam się w sobie, oczekując przybycia przyjaciółek. Na szczęście makijaż miałam rozmazany już wcześniej, więc gdy dziewczyny wróciły i opadły obok mnie na łóżku, nie zauważyły, że płakałam.

Słuchając, jak przechadzają się, dopytują jedna przez drugą, wyrażają współczucie, czułam, jak powieki robią mi się cięższe i cięższe. Adrenalina puściła, a wydarzenia tej nocy zaczynały dawać o sobie znać. Byłam w stanie skupić myśli tylko na marzeniu o śnie.

T musiała to zauważyć, ponieważ urwała w pół zdania.

– Och, Lex, ale z nas głuptasy. Pewnie padasz na twarz. Ale zostaniemy przy tobie, żeby nie było ci smutno i samotnie – powiedziała po chwili.

Uśmiechnęłam się przez mgłę drzemania.

– Przecież nie musicie – mamrotałam. – Nic mi nie jest. Jedźcie do domu... Zadzwoń, jak się obudzę.

– I wtedy pójdziemy sobie na zakupy – dodała Jia.

Skinęłam nieprzytomnie.

– Taaa... Zakupy równa się dobrze.

Jeszcze dotarł do mnie ich chichot. T pomogła mi wślizgnąć się pod kołdrę, po czym nakryła mnie aż pod brodę i na dobranoc pocałowała mnie delikatnie w czoło.

– Jeszcze cztery dni – powiedziała, gładząc mój policzek. – Jeszcze cztery dni i koniec, prawda?

– Prawda – odparłam chrapliwie.

Gdy drzwi zamknęły się za moimi przyjaciółkami, przewróciłam się na bok i przyciągnęłam do siebie Holly, moszcząc ją w zagięciu mojego łokcia. Zatopiłam twarz w jej jedwabistym futerku. Nie miała nic przeciwko.

Jeszcze przez moment docierały do mnie stłumione odgłosy pracy w drugim pomieszczeniu, lecz prędko ustąpiły pod naporem echa słów T.

„Jeszcze cztery dni”.

Za cztery dni wydostanę się z tego więzienia.

Z taką myślą w głowie i z uśmiechem na ustach zapadłam w głęboki sen.

Być jak Larrabee

Obudził mnie głos ojca. Z początku byłam zbyt oszołomiona, by w pełni zrozumieć sytuację, i naprawdę myślałam, że ojciec jest tuż obok. W sypialni apartamentu. Że mówi *do mnie*. Właśnie ta myśl wyciągnęła mnie gwałtownie ze snu. Usiadłam na łóżku, przy okazji niepokojąc Holly, która natychmiast wyskoczyła spod przykrycia, gdzie umościła się wygodnie w czasie minionej nocy.

Wtedy zobaczyłam ojca na ekranie telewizora, jak zwracał się do pomieszczenia wypełnionego kamerami i ciekawskimi dziennikarzami. Uspokojona opadłam z powrotem na poduszki.

Rzuciłam okiem na budzik na szafce nocnej. Była jedenasta rano. Rzeczywiście Caroline w mig zorganizowała konferencję prasową, o której dopiero co wspominała. Nie żeby mnie to dziwiło. W przypadku mojego ojca jedyne słuszne tempo rozwoju spraw brzmi: „teraz, natychmiast”.

Nie miałam pojęcia, kto włączył telewizor w sypialni, ale zaczęłam się rozglądać za pilotem. Ponieważ nie było go nigdzie w zasięgu ręki i wzroku, a nie chciało mi się zwlekać z łóżka, by nacisnąć przycisk na telewizorze, po prostu zamknęłam oczy, próbując zablokować dopływ dźwięków. Oczywiście było to bardzo trudne, ponieważ obecność ojca należy do gatunku tych niemożliwych do zignorowania.

– Jestem wielce zasmucony i zaniepokojony w związku z wczorajszym wypadkiem mojej ukochanej córki – mówił. – Dla mnie i całej rodziny Larrabee była to prawdziwie przerażająca chwila. Nie jesteśmy w stanie w pełni wyrazić naszej ogromnej radości, że Lexington udało się wyjść z tego wszystkiego cało i bez obrażeń. Zapewniam państwa, że córka ma się dobrze, jest jedynie wstrząśnięta zdarzeniem i nad wyraz skruszona pod brzemieniem swojego karygodnego postępowania. Wczoraj w nocy przyleciałem z Nowego Jorku, spędziłem z nią kilka godzin, pocieszałem ją i pomogłem przejść ten trudny czas. Lexington dochodzi do

siebie, właśnie dlatego nie mogła do mnie tu dziś dołączyć, lecz prosiła, bym przekazał najzaciejszym właścicielom zniszczonego sklepu jej najgłębsze, najszczerze przeprosiny. Jak państwo wiedzą, Lexington to moja jedyna córka. Jest dla mnie najważniejsza, kocham ją nad życie. Zapewniam, że jej dobro i zdrowie stanowią dla mnie priorytet, zatem biorę na siebie odpowiedzialność za jej dalszy rozwój. Osobiście dopilnuję, by otrzymała odpowiednią pomoc i opiekę, by w pełni doszła do siebie i wyrosła na tym doświadczeniu jako osoba zdrowsza i rozsądniejsza. Dziękuję.

Moja dłoń szperała, szukając czegoś – czegokolwiek! – na szafce nocnej. Zacisnęłam palce wokół pierwszej rzeczy, która się napatoczyła – akurat był to mój telefon komórkowy. Z całej siły cisnęłam nim w telewizor. Traf trafem, komórka uderzyła w przycisk wyciszenia dźwięku, po czym spadła na podłogę ze złowieszczym trzaskiem.

Cisza była piękna, lecz, niestety, krótkotrwała. Najpierw drzwi rozwarły się nieco, kilka sekund później ukazała się w nich nieznajoma twarz. Najwyraźniej nocna zmiana poszła do domu, a na jej miejsce wszedł świeży zastęp sługusów.

– Czy wszystko w porządku? – spytała kobieta, przenosząc niepewny wzrok ode mnie do strzaskanego telefonu.

– Nie! – warknęłam. – Mój telefon się zepsuł! Chcę nowy!

Jedno skinienie.

– Nie ma problemu. – Głowa zniknęła i rozległo się delikatne pstryknięcie zamykanych drzwi.

Na ekranie telewizora pojawiła się armia gorliwych dziennikarzy, skaczących góra – dół jak jakieś małpki, niemal rozpychających się łokciami, by nie przeoczyć okazji do zadania głupiego, bezsensownego pytania i otrzymania jeszcze głupszej, bardziej bezsensownej odpowiedzi. Nie musiałam słyszeć, co mówią, by wiedzieć, że każda odpowiedź ojca to nic innego jak gówno prawda, czyli to samo co we wcześniejszym przemówieniu.

„Dopilnujemy, by otrzymała odpowiednią pomoc...”

„Moja jedyna, najdroższa córka, którą tak bardzo kocham...”

Bła, bla, bla. Nagle zebrało mi się na mdłości. I to zdecydowanie *nie* z powodu kaca giganta, który cichaczem zaczął rozsadzać mi czaszkę od środka.

W całym moim siedemnastoletnim życiu ojciec cztery razy powiedział, że mnie kocha... I to za każdym razem na wizji.

Ale właśnie tak działa rodzina Larrabee. *Zawsze* tak działała. Odkąd pamiętam. Wszystko na pokaz. Dla uciechy gawiedzi. Dla satysfakcji mediów. Jesteśmy tak szczerzy i prawdziwi jak każde reality show.

I jak w każdym względnie dobrym reality show każdy ma swoją rolę do odegrania. Po pierwsze i najważniejsze: mój ojciec, Richard Larrabee, założyciel i dyrektor

generalny Larrabee Media. Świat go kocha, bo sam do wszystkiego doszedł. Zaczynał od niczego, a teraz ma wszystko. Klasyczna opowieść od zera do bohatera, rzeczywisty amerykański sen – nastolatek z najniższej klasy społecznej, poniżej marginesu ubóstwa, ucieka z domu, zaczyna i rozkręca interes, po czym staje się miliarderem – media łykają takie historie jak cukierki i proszą o więcej.

Matka zginęła w wypadku, gdy miałam pięć lat. Kierowca osiemnastokółowej ciężarówki stracił panowanie nad kierownicą i wjechał w maskę jej samochodu. Nie miała żadnych szans. Prawie w ogóle jej nie pamiętam – zostało mi kilka mglistych, ulotnych wspomnień. A ponieważ po jej pogrzebie z naszego domu zniknęły wszelkie przedstawiające ją fotografie, te ulotne wspomnienia to wszystko, co mi zostało. Lecz każdy, kto ją znał, mówi, że była cudowną kobietą. Kochającą, opiekuńczą, pełną ciepła. Była wszystkim, czym powinna być matka.

Od jej śmierci trwała niekończąca się rewia „pań Larrabee”, a każda kolejna była młodsza i bardziej nieznośna od poprzedniej. Wymagania dla kandydatek na stanowisko „pani Larrabee” były raczej proste i zrozumiałe: pojawiać się na imprezach dobroczynnych, przyjęciach gubernatora, co ważniejszych ślubach, otwarciach co szykowniejszych miejsc. Przyklejać się do ramienia pana Larrabee na całą noc, mając na sobie suknię na tyle odważną, by wzbudzać zainteresowanie, lecz nie wyzywającą, by nie doprowadzić do skandalu. Udawać zainteresowanie przedmiotem rozmowy i brać udział w towarzyskich pogaduszkach, nawet w wypadku, gdy nie rozumie się choćby jednego słowa z prowadzonej konwersacji. Takie są obowiązki, reszta czasu należy już do wolnej dyspozycji pracownicy – można obskoczyć kilka ośrodków spa w tygodniu lub wylegiwać się na prywatnej wyspie pana Larrabee na Karaibach.

Kobiety grające tę rolę już zwyczajowo zmieniają się jak rękawiczki. Ojcu średnio zajmuje dwa, trzy lata, by się każdą znudzić doszczętnie. Wtedy następuje faza szczodrej ugody rozwodowej, do której zawsze załączona jest willa w Europie. I przychodzi pora na kolejną panią.

Akurat w tym czasie nikt nie piastował pozycji macochy dzieci Larrabee. Lecz od kilku miesięcy ojciec zabiegał o względy nowej kandydatki. Według informacji umieszczonej na szóstej stronie „New York Post” miała na imię Rêve. Choć dałabym sobie rękę uciąć, że w akcie urodzin stało coś w stylu „Gertrude” albo „Ursula”. Jeszcze jej nie spotkałam, ale i tak byłam pewna, że jest tak samo potworna jak całe przeszłe zastępy jej poprzedniczek.

Mama, nim odeszła, urodziła piątkę dzieci. Słynne rodzeństwo Larrabee. Dzięki Bogu po moich narodzinach ojciec poddał się zabiegowi, który miał na celu „wylimitowanie możliwości dziecióróbstwa”. Inaczej kto wie ilu bękartów hasałoby wesoło po świecie, roszcząc sobie prawa do fortuny Larrabee. Cztery żony w ciągu dwunastu lat? Policz sobie.

Jestem najmłodszą z rodzeństwa, jedyną córką. Richard Junior (RJ) to wiceprzewodniczący działu rozwoju biznesu Larrabee Media, rzetelnie wypełniający obowiązki, noszący odznakę „pierwszego w kolejce do tronu”. Chyba jest w porządku, choć ciężko powiedzieć, bo prawie w ogóle go nie znam. Gdy miałam dziewięć lat, wyjechał na studia i od tamtej pory rzadko go widywałam. Po nim w kolejności starszeństwa są bliźniaki Hudson i Harrison, właśnie kończący studia prawnicze na Uniwersytecie Yale. Oczekuje się, że ukończą z wyróżnieniem – odpowiednio jeden będzie pierwszy, z najlepszym wynikiem na roku, a drugi uplasuje się zaraz za nim. Następny jest Cooper, cudowne dziecko, które ukończyło wyższe studia w wieku szesnastu lat, a w wieku trzech samodzielnie grało XV koncert fortepianowy Mozarta. Teraz grywa z zamkniętymi oczami, od końca – tak dla zabawy. Między mną a Cooperem są tylko dwa lata różnicy, więc wychowywaliśmy się razem, lecz odkąd brat postanowił dołączyć do Korpusu Pokoju i pomagać głodującym dookoła świata, już w ogóle się nie kontaktujemy. Szczególnie że większość miejsc, w które trafia, nie ma nawet wody bieżącej, a co dopiero zasięg telefonii komórkowej. Zazwyczaj nie wiem, gdzie się w danym momencie znajduje, dopóki nie przyśle mi pocztówki.

No i ja. Chyba wszyscy dobrze wiemy, jaka rola przypada mnie.

Jeśli nie wiesz, polecam kanał Channel 4 i konferencję prasową na mój temat.

Już miałam jej dosyć, nawet z wyciszonym dźwiękiem. Zasłoniłam twarz poduszką, ręce przyciskałam do okolic uszu, aż nie mogłam ani słyszeć, ani oddychać. Lecz to nie pomagało, nic a nic. Wciąż *czułam* jego twarz na ekranie telewizora. Jakby mnie obserwował. Gdy z opanowaniem odpowiadał na kolejne pytania dziennikarzy, jego szarobłękitne oczy zdawały się spoglądać w *głęb* kamer, przez ekran, prosto do mojej sypialni. Te słynne oczy. Sławne na cały świat. Pojawiały się na wszystkich możliwych okładkach czasopism, od „Time’a” przez „Fortune” po „GQ”. I choć media mówiły o jego spojrzeniu, używając określeń „czarujące”, „kuszące”, czy nawet „seksowne”, we mnie wywoływało ono zawsze tylko jedno: rozczarowanie.

Ale to już nie potrwa długo.

Za cztery dni miałam być wolna. Wolna od nich wszystkich, jego – w szczególności.

Ponieważ pomimo widocznych różnic jest jedna rzecz, która upodabnia do siebie dzieci rodziny Larrabee.

Fundusze powiernicze.

Każde z nas posiada jeden na swoje nazwisko, opiewający na kwotę dwudziestu pięciu milionów dolarów. Ale nie wolno nam go tknąć do dnia, aż ukończymy osiemnasty rok życia. W moim przypadku oznaczało to cztery dni do wolności.

Pamiętam, jak Cooper otrzymał swój dwa lata temu. Był całą sytuacją mocno

zniesmaczony, gadał coś o przekazaniu pieniędzy jakiejś organizacji charytatywnej czy innym idiotyzmie. Ja z kolei śniłam o tym dniu od niemal osiemnastu już lat.

Razem z Jią i T chciałyśmy latem tego roku wybrać się w rejs po Morzu Śródziemnym. Zaraz po zakończeniu szkoły razem z dziewiątką znajomych wynajęliśmy ogromny, dziewięćdziesięciometrowy jacht. Start planowaliśmy za dokładnie trzy tygodnie z samej Marsylii. Już tak bardzo, bardzo nie mogłam się go doczekać. Trzy miesiące nicnierobienia, wylegiwania się za dnia, imprezowania nocą i chodzenia po sklepach w każdym porcie. Raj w najczystszej postaci. Właśnie *tego* potrzebowałam, by się zrelaksować, by zmyć z siebie stres i pozbyć się ciśnienia codziennego życia. Z dala od Mendiego, ojca, wszystkich. A potem? Kto wie? Londyn, Rio, Paryż, Fidzi... niekończące się morze możliwości. Myśl, że lada dzień będę mogła ot tak wstać i iść, gdzie chcę, niemal unosiła mnie pod sufit. Będę mogła robić *wszystko*. Ani ojciec, ani jego imperium już nie będą mieli nade mną władzy. Moje życie wreszcie miało się stać naprawdę *moje*.

Właśnie to marzenie wygoniło mnie tego ranka z łóżka. Poszłam do łazienki, wzięłam długi, wyśmienicie gorący prysznic. Czułam się po nim jak nowo narodzona.

Gdy wróciłam do sypialni, na szafce nocnej leżał nowiutki telefon. Całą książkę adresową już przekopowano, ustawienia dostosowano do moich potrzeb. Natychmiast wzięłam komórkę do ręki i z zaciekawieniem sprawdziłam, czy ktoś nie dzwonił. Żywiłam niewypowiedzianą nadzieję, że Mendi, usłyszawszy o wypadku, pożalował tego, co poprzedniej nocy mówił w klubie, i zadzwonił, by przeprosić. Ale ekran milczał.

Czyli to już naprawdę koniec.

Rzuciłam okiem na telewizor. Konferencja pomału dobiegała końca. Ojciec pożegnał się z dziennikarzami, nie spuszczać wzroku z kamer. Caroline natychmiast sprowadziła go z prowizorycznej podwyższonej sceny. Jego sztuczny uśmiech znikł; teraz szeptał coś najwyraźniej nieprzyjemnego, ponieważ kąciki jego ust opadły w grymasie niezadowolenia. O kim mówił? Zgaduj, jedna szansa.

Znów chwyciłam telefon i wykręciłam numer Jii.

– Hej! – usłyszałam własny, nieco szorstki głos. – To jak z tymi zakupami? Masz ochotę? Bo wiesz, przydałby mi się nowy ciuch na urodziny.

Pani własnego losu

Dziennikarze koczujący przed moim domem dość szybko spakowali się i rozjechali, więc gdy nadszedł dzień moich osiemnastych urodzin, mogłam we własnym pokoju przygotowywać się do wyjścia. Cóż za ulga! Miałam sporo do zrobienia przed spotkaniem z Bruce'em, zaplanowanym na dziewiątą w jego biurze w Century City.

Zwlekłam się z łóżka o siódmej trzydzieści. Dla dziewczęcia, które zwykle podziwiać wschody słońca w drodze powrotnej z nocnych imprez, to naprawdę duży sukces.

Jia i T już wcześniej pomogły mi wybrać odpowiedni ubiór na tę okazję. Taki, który jasno mówi o mnie: bogata i niezależna. Włożyłam granatowe, dopasowane spodnie z wysokim stanem, jedwabny bezrękawnik wykończony plisowanym żabotem w pięknym kremowym kolorze, a na to narzuciłam króciutki żakiet Chanel. Na szyi zawiesiłam gustownie dobrany naszyjnik z pereł, odgarnęłam włosy z twarzy i udekorowałam je jedwabną opaską. Ostatni akcent stanowił stary męski zegarek, złoty rolex, którego znalazłam w pokoju ojca.

Pomyślałam, że skoro ma takich ze dwadzieścia, pewnie nawet nie zauważy, że jeden mu zniknął.

Jia i T z samego rana poleciały do Vegas, żeby dopilnować ostatnich przygotowań do imprezy urodzinowej, którą wyprawiwały mi wieczorem w kasynie Bellagio. Obiecałam, że gdy już się wyszykuję, prześlę im swoje zdjęcie, by mogły ocenić efekt. Dałam komórkę Argentyńczykowi Horatiowi, lokajowi w średnim wieku, który rozpoczął pracę u nas, jeszcze zanim przyszedł na świat, i kazałam mu zrobić z milion zdjęć.

– Co myślisz, Horatio? – spytałam, pozując na okazałych marmurowych schodach pyszniących się w holu. – Wyglądam jak milion dolarów?

– *Sí, señorita* – odparł szczerze swoim jedwabistym hiszpańskim i jednocześnie nieznacznie skinął głową, jak miał w zwyczaju przy udzielaniu odpowiedzi na pytania.

– A jak *dwadzieścia pięć* milionów dolarów?

Tym razem posłał mi jedynie wąły uśmiech. Pewnie, że tak.

Oddał mi telefon, po czym podszedł do stolika na drugim końcu holu.

– Czy będzie panience potrzebny samochód? – spytał, podnosząc słuchawkę telefonu stacjonarnego, gotowy wykręcić numer Kingstona, naszego szofera.

– Nie! – niemal krzyknęłam, rzuciwszy się jednocześnie do stołu. Położyłam dłoń na jego palcach i docisnęłam, aż słuchawka znów znalazła się na właściwym miejscu.

– No co ty, Horatio! Od dziś jestem kobietą niezależną. Nie potrzebuję, żeby ludzie mojego ojca, ludzie, którym *placi*, wozili mnie po mieście. – Spojrzałam w wiszące na ścianie, zamknięte w zabytkowej, złoczonej ramie lustro i uśmiechnęłam się do samej siebie z satysfakcją. – Sama pojedę.

Argentyńczyk zawahał się na moment.

– Panno Larrabee, pragnę przypomnieć, że pani samochód znajduje się w tej chwili na parkingu policyjnym w Torrance – powiedział.

Nie spuszczać wzroku z lustra, patrzyłam, jak na mojej twarzy pojawia się grymas niezadowolenia.

Ale sekundę później już było w porządku: znów się ożywiłam, a usta same wygięły się w uśmiechu.

– Nie szkodzi – powiedziałam. – Wezmę bentleya.

– Bentleya panny ojca? – spytał, unosząc zdziwione brwi.

Posłałam mu zirytowane spojrzenie.

– No co?! Przecież on i tak nigdy nim nie jeździ!



Trzydzieści minut później zajechałam na podziemny parking budynku, w którym mieściło się biuro Bruce'a. Wsadziłam Holly do mojej przepastnej torby model Birkin, rzuciłam klucze do czekającego parkingowego i niemal w podskokach wparowałam do windy.

Ludzie mi się przyglądali, nawet dosyć dziwnie, choć nie peszyło mnie to nic a nic. Rola córki Richarda Larrabee wymaga prędkiego przyzwyczajania się do spojrzeń. Niegdyś rozpoznawali mnie jedynie starsi, głównie biznesmeni. Wiesz, tacy, którzy tydzień w tydzień czytają *poważne* czasopisma, z okładkami zawsze straszącymi przygnębiającymi opowieściami o wyciekach ropy naftowej czy rozkładzie służby zdrowia. Lecz odkąd trafiłam do bardziej poczytnych czasopism, jak na przykład „Us

Weekly” (pierwsza w rodzinie!), rozpoznają mnie wszyscy i wszędzie.

– Lexi! – Bruce przywitał mnie wesoło, gdy tylko przekroczyłam próg jego biura.
– Wszystkiego najlepszego, szkrabie!

Po chwili głębszego zastanowienia stwierdziłam, że był zbyt wesoły. To zupełnie nie pasowało do zwyczajowej roli Gbura Bruce’a. Czym się tak cieszył? Że w końcu się mnie pozbędzie? Że gdy dzień moich osiemnastych urodzin dobiegnie końca, oficjalnie stanę się dorosła i już nie będzie musiał dźwigać brzemienia odpowiedzialności za nieletnią?

Prawdę mówiąc, mnie też było wesoło, więc postanowiłam nie psuć jego humoru i odwdziżyć się dokładnie tym samym.

– Czeeeeść, Bruce! – zapiszczałam.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i wyciągnął dłoń w moją stronę, by podrapać Holly po główce.

– I witamy małą panią – powiedział cienkim, niby dziecięcym głosem, po czym zwrócił oczy na mnie. – Świetnie wyglądasz, Lex. Nowe ciuchy?

Dobra, to już było *naprawdę* podejrzanę. Rozumiem, że facet cieszył się, że będzie mógł mnie wykreślić z listy swoich obowiązków, ale to już nieco za wiele. Szczrzył się dosłownie od ucha do ucha. Nie byłam pewna, czy to nie przypadkiem pierwszy raz widziałam go tak szczęśliwego. Tak naprawdę ostatnio na jego twarzy gościł głównie grymas niezadowolenia, więc chyba zapomniałam, że Bruce w ogóle potrafi się uśmiechać. Ale od kiedy to Bruce zaczął zauważać moje ciuchy? I jeszcze prawić komplementy?

Ostrożnie spuściłam wzrok i wygładziłam krawędź bluzki.

– Tak – odparłam krótko i zwięźle.

– Wyglądasz przeuroczo!

Przeuroczo?

– Dzięki – wymamrotałam, kładąc torbę z Holly na podłodze. Usiadłam na fotelu naprzeciwko biurka, przez cały czas nie spuszczając oczu z prawnika. Kto wie, a nuż lada chwila wyskoczy z jego ciała jakiś obcy i rzuci się na mnie? – Chyba ktoś ma dziś dobry humor – bąknęłam.

Na moich oczach jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy (jak to w ogóle możliwe?). Bruce opadł na fotel i splótł dłonie, opierając je o uda.

– Bo dziś mamy dobry dzień – odparł z nutką zadowolenia w głosie.

Skinęłam głową, czując, jak ekscytacja wzbiera gdzieś w środku mnie.

– Owszem.

Przez chwilę nie mówił nic. Po prostu siedział i patrzył na mnie z debilnym uśmiechem na twarzy, delikatnie obracając obrotowe siedzisko to w prawo, to w lewo.

– Więc – zaczęłam, chcąc przyspieszyć formalności. Przedemną jeszcze

pakowanie na wyjazd do Vegas. Już niemal *czułam* wypisany czek w mojej dłoni. Już niemal widziałam te wszystkie piękne, wyzwalające mnie zera, ustawione w potulnym rządku.

– Więc – powtórzył za mną, tak lekko i niewinnie, jakby nie wiedział, po co przyszłam. Jakby nie wiedział, że to najważniejszy dzień mojego życia.

Stłumiłam jęk.

– Więc co muszę zrobić? Podpisać jakiś świstek oznajmiający, że otrzymałam, co mi się należy, czy jak?

Jego brwi uniosły się, zdziwione i dociekliwe.

– Chodzi o czek – wyjaśniłam, czując wzbierającą niecierpliwość.

– Ach, jasne – odparł, wciąż nie zmieniając zadowolonego wyrazu twarzy. – Chodzi o czek.

Musiałam wykorzystać siłę woli każdej maleńkiej komórki mojego ciała, by nie przewrócić oczami i nie westchnąć: „Boszzzz!”. Zamiast tego posłałam mu pełen napięcia uśmiech.

– Widzisz, sprawa jest trochę bardziej skomplikowana.

– Okej – powiedziałam powoli. Nie przypominałam sobie, by Cooper kiedykolwiek wspominał, żeby procedura otrzymania należnej kasy była czymś skomplikowanym. Ale z drugiej strony Cooper potraktował ten moment dość lekceważąco. Czym oczywiście zirytował mnie do granic. Pamiętam, jak przez godziny, odkąd wrócił do domu, wierciłam mu dziurę w brzuchu, by pokazał mi czek. Jak nalegałam, by opowiedział ze szczegółami przebieg spotkania. Otrzymałam od niego jedynie wiele wzruszeń ramion i zapewnień, że to przecież nic wielkiego. Dlatego założyłam, że procedura przebiegnie następująco: usiądę w fotelu, podpiszę kilka dokumentów, koniec. Ale z kolei muszę pamiętać, że Cooper zawsze wszystko bagatelizował. Zresztą z czekami opiekującymi na taką sumę na bank wiążą się pewnie trochę dłuższe formalności.

Rzuciłam okiem na zegarek.

– I co, wiesz, ile to zajmie? Wieczorem mam samolot do Vegas. Jia i T wyprawiają mi imprezę urodzinową.

Bruce posłał mi kolejny uśmiech, zgoła inny. Niemal protekcyjny. Jakby wiedział coś, o czym ja nie miałam zielonego pojęcia, i oświecenie mnie najwyraźniej miało sprawić mu całkiem dużą przyjemność.

– Może to trochę zająć – powiedział na odczepnego.

Nie wiem dlaczego, ale coś w jego głosie sprawiło, że nieprzyjemny dreszcz przebiegł mi po plecach. Gdy znów spojrzałam mu w oczy, niespodziewanie w moim żołądku napęczniał nieproszony strach.

Coś było nie tak. Coś zaraz miało pójść niezgodnie z planem. Nie byłam w stanie odgadnąć, co dokładnie, ale *czułam*, że ta rozmowa zmierza w złym kierunku.

– Bruce – syknęłam – co tu się dzieje?

Oparł się wygodnie na fotelu, jakby przygotowywał się do oglądania długiego filmu czy snucia opowieści.

– Cóż – zaczął tonem lekkim i przyjaznym – twój ojciec wprowadził pewne poprawki do umowy.

– Poprawki – powtórzyłam odruchowo, choć czułam, jak moje usta zaczynały gwałtownie drętwieć. Ledwie byłam w stanie ułożyć je tak, by wydobyć zrozumiałe słowa. – Jakiego rodzaju poprawki?

Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę i moje serce rzuciło się do sprintu, tłukąc się w piersi, a strach ścisnął mój żołądek na kamień.

– Ale dostanę dziś czek? – nalegałam. – Prawda?

Jego usta wykręciły się w krzywym, niemal sadystycznym uśmiechu.

– Tak naprawdę – zaczął powoli i spokojnie, nie spuszczać ze mnie wzroku – zmiana planów.

*B*ruce Wszchemogący

Czułam, jak moje ciało niezależnie ode mnie unosi się z fotela. I już stałam na nogach. Coś piekło mnie pod powiekami, wbiłam wzrok w Bruce'a. Choć przewiercałam go swoim jadowitym spojrzeniem na wylot, on zdawał się zupełnie nieporuszony. Wręcz przeciwnie, wzbijał się na wyżyny samozadowolenia, kręcąc się w obrotowym fotelu, z dłońmi splecionymi wygodnie na udach. Jego zachowanie sprawiło, że ogień w mojej piersi zapłonął jeszcze bardziej śmiertcionośnym żarem.

– Co to ma znaczyć „zmiana planów”?! – Sama zdziwiłam się brzmieniem własnego głosu. Coś jakby niskie, gardłowe warczenie. Podobne do odgłosów, jakie wydaje młody wilkołak, nim rzuci się na ofiarę.

Holly pewnie też się zdziwiła, ponieważ jej główka natychmiast wyskoczyła z torby. Psinka, niepewna, co się dzieje, rozejrzała się dookoła i postawiła uszy wysoko.

– Siadaj, Lexington – rozkazał Bruce tonem nieznoszącym sprzeciwu, bez zająknięcia przechodząc w ojcowską rolę, którą tak bardzo uwielbiał odgrywać.

Buntowniczo skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Nie – warknęłam bez cienia wahania. – Nie usiądę, dopóki mi nie powiesz, co tu się, do cholery, dzieje!

Bruce nigdy bezmyślnie nie pcha się w kłótnie, tak też było i w tym przypadku.

– Dobrze – dał za wygraną, wzruszając ramionami. – Twój ojciec ma pewne... – urwał, zataczając dłonią kółka w powietrzu, jakby próbował naprowadzić mózg na właściwe słowo – zastrzeżenia względem twoich ostatnich poczynań.

Wszystko we mnie wrzało, ale stałam cicha i na pozór opanowana.

– Biorąc pod uwagę niedawne wydarzenia, uważa, że najlepiej będzie dla ciebie, jak i całej rodziny, jeśli odbiór funduszu powierniczego zostanie odłożony w czasie.

– Nie. – Pewnie pokręciłam głową, nie wierząc w to, co słyszę. Nie chciałam

przyjąć do wiadomości, że coś takiego działo się właśnie mnie, i to w takim dniu. – Nie wolno mu tak robić.

– Obawiam się, że wolno.

– Odłożony na jak długo? – zapytałam przez zaciśnięte zęby.

– Rok.

– Rok?! – krzyknęłam. – Nie zmusisz mnie, żebym czekała *rok*! Czekałam na ten dzień już *osiemnaście lat*! I co ja mam niby robić przez jeszcze jeden rok?

– Tak się składa – zaczął powoli, otwierając aktówkę, która cały czas leżała zamknięta na biurku, i wkładając na nos prostokątne okulary – że twój ojciec ma już pewne plany co do tego, jak masz spędzić nadchodzący rok.

Prychnęłam dość głośno.

– Mam nadzieję, że uwzględnił jacht na Morzu Śródziemnym.

– Nie, nie uwzględnił – odparł ze śmiertelnie poważną twarzą, patrząc na mnie znad szkieł. – Ojciec uważa, że przez cały ten rok powinnaś pracować.

– *Pracować?* – powtórzyłam z niedowierzaniem, tak jakby to słowo było mi zupełnie obce; jakby pochodziło z jakiegoś odległego państewka na południowym Pacyfiku, prędzej zapisane językiem obrazkowym niż normalnym alfabetem.

– Tak – stwierdził rzeczowym tonem Bruce.

– Jeśli ojcu wydaje się, że przez okrągły rok będę latać za nim po firmie jak jakiś piesek kanapowy, udając, że jakieś debilne arkusze kalkulacyjne, rachunki zysków i strat czy inne sraty-taty mają dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, to się *grubo* myli! Nie jestem jak RJ!

– Nie – odparł Bruce, ściągając okulary i kładąc je na otwartej aktówce. – Twój ojciec wcale nie chce, żebyś pracowała dla Larrabee Media.

Ulżyło mi, choć tylko na chwilę.

– Więc gdzie zatem mam według niego pracować?

– Twój ojciec uważa, że najlepiej będzie, jeśli przez rok zajmiesz się wykonywaniem kilku *różnych* zawodów. Można to nazwać swoistym przekrojem prac. Według niego właśnie takie postępowanie otworzy ci oczy na codzienne problemy, z jakimi zмага się większość ludzi tego świata, chcąc zarobić ułamek tego, co tobie tak łaskawie przypadło z urodzenia.

Przewróciłam oczami.

– Taaa... Matka Teresa i te sprawy. Do rzeczy, Bruce.

Posłał mi pobłażliwy uśmiech.

– Twój ojciec wybrał dokładnie pięćdziesiąt dwa typy zajęć, jakie będziesz musiała wykonać przez ten rok.

– *Pięćdziesiąt dwa* – powtórzyłam zszokowana. – Mam wykonywać pięćdziesiąt dwa zawody?!

– Tak. Każdy przez tydzień.

– Ale to przecież podchodzi pod... wykorzystywanie albo coś! To przecież nie może być legalne!

– Zapewniam cię, to w zupełności zgodne z prawem – oznajmił tonem napuszonego prawnika sądowego, którego używał, ilekroć ktokolwiek wspominał o temacie legalności i przestrzegania litery prawa.

– O jakich *typach* zawodów mówimy? Aktorstwo? Modeling?

Wyglądał, jakby usilnie starał się stłumić chichot, co wkurwiło mnie jeszcze bardziej.

– Nie – odparł, pewnie kręcąc głową. – Twoje zajęcia będą... jak by to ująć, trochę mniej wytworne. Wszystkie z kategorii minimalnej stawki wynagrodzenia. Wykonując je, masz się nauczyć czegoś o życiu. Masz zrozumieć, jak żyje druga połowa.

– Jaka druga połowa? – warknęłam.

– Ta połowa świata, która nie otrzymuje od taty kabrioletu wartego pięćset tysięcy dolarów tylko po to, by następnego dnia wjechać nim w sklep spożywczy.

Przygryzłam język. Tak mocno, że niemal poczułam w buzi nieprzyjemny, metaliczny posmak.

Bruce podał mi kartkę papieru.

– Masz. To pełna lista prac, jakimi będziesz się zajmować przez najbliższy rok. Zaczynasz od jutra.

Obcesowo wyrwałam mu z ręki papier i spojrzałam na listę. Zdawała się ciągnąć bez końca. Moje oczy zatrzymywały się na takich słowach, jak: dozorczyńni, kelnerka, pomywaczka, pracownica baru szybkiej obsługi oraz pracownica stacji benzynowej. Nie byłam w stanie przeczytać całej. Pchnęłam kartkę z powrotem w jego stronę.

– Ni cholery! Nie będę się tym zajmować!

– Lex, obawiam się, że będziesz musiała – odparł, podnosząc papier z podłogi i kładąc go z powrotem w aktówce. – Chyba że oczywiście wolisz zrzec się funduszu.

Zaczęłam przemierzać biuro w tę i w tę, mrużąc pod nosem.

– To jakaś farsa! Nie może mnie do tego zmusić! – Zatrzymałam się i odwróciwszy się twarzą do prawnika mojego ojca, wyrzuciłam ramiona w górę. – Czy on *oszalał*?!

– Prawdę mówiąc – zaczął Bruce, choć przecież moje pytanie było z gruntu retoryczne – uważam, że to pierwsza od dawna naprawdę sensowna i mądra decyzja, jaką podjął.

– Na Boga, ja mam na nazwisko Larrabee! – krzyknęłam. – Przecież to coś *znaczy*! Widziałeś kiedyś, żeby jakiś Larrabee pracował na stacji benzynowej?!

– Czy naprawdę nie pamiętasz, gdzie wychował się twój ojciec? – powiedział spokojnym tonem. – Mam ci przypomnieć o jego ubogim pochodzeniu? O jego korzeniach?

Nie, nie chciałam, żeby mi przypominał, bo i nie było takiej potrzeby. Przecież każdego dnia powtarza to cały świat. Każdy artykuł w gazecie na nasz temat. O tym, jak ojciec zaczynał od zera, od obsługi kserokopiarki w nędznej gazecie jakiejś zapadłej miejsciny. O tym, że teraz ma wszystko. Jakim cudem nie wpoił więc zasad pracowitości tej swojej rozwydrzonej córki?

Ale nie powiedziałam tego Bruce'owi. Nie chciałam dobrowolnie wkładać mu w ręce *żadnej* broni. Więc po prostu zignorowałam pytanie.

– Ten fundusz należy do mnie! Jest podpisany *moim* imieniem. Był mi *obiecany!* Tak jak pozostałym! RJ-owi, Harrisonowi, Hudsonowi i Cooperowi. Oni otrzymali, co im się należało. Żaden z nich nie musiał przechodzić przez takie szaleństwo. Żaden z nich nie musiał obsługiwać stolików w barze ani myć naczyń, ani robić czegokolwiek, co jest na tej durnej liście. Wszyscy dostali swoje dwadzieścia pięć milionów bez żadnych problemów i warunków. Nie wolno ojcu cofać obietnic. Nie wolno mu ot tak zmieniać zdania. Ja *zasłużyłam* na te pieniądze.

Najwyraźniej Bruce nie był w stanie już dłużej kryć rozbawienia, ponieważ nagle wybuchnął rechoczącym śmiechem.

– Zasłużyłaś? W jaki sposób, jeśli można wiedzieć?

Byłam tak wściekła, że skrzydełka nosa drżały mi jak oszalałe, a oddech stał się szybki, chrapliwy i świszczący jednocześnie. Zaczęłam szybkim krokiem przechadzać się po pomieszczeniu, jakby żywiąc nadzieję, że uspokoi to moje zszargane nerwy. Chciałam się czymś zająć, by nie rzucić się na Bruce'a, marzyłam, by jednym ciosem karate rozpołować jego mahoniowe biurko.

– To nie w porządku – syknęłam.

– Cóż – zaczął, wyjmując chusteczkę z pudełka obok monitora i przykładając ją do szkielec okularów – „w porządku” to bardzo względne określenie, nieprawdaż?

Zatrzymałam się. Moje stopy wrosły w ziemię, gdyż nagle zdałam sobie z czegoś sprawę. Poczułam się tak, jakbym właśnie dostała w łeb cegłą. Mrużąc oczy, spojrzałam na Bruce'a.

– To był *twój* pomysł, prawda? – Postąpiłam jeden złowieszczy krok w jego stronę.

– Od dnia moich narodzin poprzysiągłeś mi zemstę, co nie? To wszystko *twoja* sprawka, prawda, *Bruce*? – wysyczałam, udając, że spluwam, wymawiając jego imię.

Uniósł ręce w poddańczym geście.

– Przysięgam, nie miałem w tym żadnego udziału.

– No weź przestań. Ta sprawa śmierdzi tobą na kilometr.

Ale Bruce najzwyczajniej w świecie pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie biorę za to żadnej odpowiedzialności. Ta propozycja należy w pełni do twojego ojca. Poprosił jedynie, żebym pomógł mu w przygotowaniu szczegółów. Choć muszę przyznać, że pomysł jest bliski geniuszu.

Czułam, jak moje dłonie mimowolnie zacisnęły się w pięści. Myśl, że mój ojciec

i Bruce spiskowali przeciwko mnie, rozpałała we mnie wrzący kocioł wściekłości. Płomienie smagały ściany mojej piersi, trawiły serce i płuca, a dym gryzł w gardło. Rozejrzałam się wokół siebie, chciałam coś uderzyć, rzucić czymś, pokazać światu, do jakiej furii jestem zdolna. Mój wzrok spoczął na dwunastu połączonych tabliczkach pamiątkowych, upiększających jedną ze ścian. Zapewne jakieś durne nagrody dla najlepszego prawnika roku. Zrobiłam jeden pewny krok w ich stronę, lecz Bruce, odgadnąwszy moje zamiary w zwykły dla siebie magiczny sposób, w mig wyskoczył zza biurka i stanął mi na drodze.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu – zagroził.

Próbowałam go wyminąć, ale chwycił mnie w pasie i nie chciał puścić. Zaczęłam się rzucać, wić, kopać. Holly wyskoczyła z torby i jęła okręzać nas biegiem, wrzaskliwie poszczekując.

– Puszczaj! – krzyczałam.

– Nie, dopóki się nie uspokoisz!

Gdzie tam. Szamotałam się dalej, jak zwierzę schwyte w sidła myśliwego. Z tym że to wcale nie pomagało. Bruce był silniejszy, niż mogłoby się zdawać.

– Nie możesz mi mówić, co mam robić! – ryknęłam mu prosto do ucha.

Wzdrygnął się, ale nie poluzował uścisku. Po chwili przemówił tonem tak spokojnym, że rozwścieczyło mnie to jeszcze bardziej.

– Twoje zachowanie godne dwulatka może działa na Horatia lub Kingstona czy kogokolwiek innego, kogo udało ci się zwabić w swoje sidła. Ale nie licz na to, że ja na nie zareaguję, Lexington.

Przestałam się rzucać, opuściłam ręce. Mimo to nadal trzymał mnie w uścisku, jakby nie wierzył w to, że potrafię dać za wygraną.

– Nie masz wyboru – usłyszałam jego poważny szept. – Lex, czy chociaż raz w życiu nie mogłabyś pozwolić komuś innemu pomóc ci wybrać to, co jest dla ciebie dobre? Czy nie możesz chociaż raz uwierzyć, że twój ojciec ma na uwadze tylko i wyłącznie twoje dobro?

Jednym sprawnym ruchem uniosłam ręce i ze wszystkich sił uderzyłam w oplatające mnie ramiona Bruce'a. Tego się nie spodziewał. Puścił mnie natychmiast. Lecz nie rzuciłam się do pamiątkowych tabliczek na ścianie. Już miałam dosyć głupiotkiej, wścieklej żądzy zemsty. Obralam zupełnie nowy kierunek. Chwyciłam Holly i torbę, ruszyłam prosto do drzwi, chcąc wyjść stamtąd jak najszybciej.

Tym razem Bruce mnie nie zatrzymywał. Przysiadł na brzegu biurka, jakby w trakcie siłowania się ze mną uszła z niego cała para.

– Lex – wymamrotał bezsilnie – twój ojciec już podjął decyzję. Nie próbuj z tym walczyć.

– Och, serio? – rzuciłam, unosząc brwi. – Jeszcze zobaczysz!

Ostatnia walka

Wystarczył jeden szybki telefon do Kingstona, naszego szofera, i już wiedziałam, że ojciec wciąż przebywał w Los Angeles, w biurze w centrum miasta. Z miejsca tam pojechałam. Z Holly pod pachą wparowałam do głównego holu, jakby biuro należało do mnie. Cóż, teoretycznie należało. Albo kiedyś właściwie będzie, gdy ojciec umrze, a mnie w spadku przypadnie jedna piąta jego imperium.

Nikt nie próbował mnie zatrzymać. Ani ochroniarze, ani recepcjoniści, ani nawet parkingowi, chroniący miejsca ojca z godnością templariuszy broniących Świętego Graala. Coś mi się zdaje, że wszystkich po prostu zaskoczył mój widok. Trzeba przyznać, że raczej nie bywam częstym gościem siedziby imperium. Skoro nie byli nawet w stanie zdobyć się na: „Dzień dobry, panno Larrabee”, to czemu mieliby pytać o powód tak niespodziewanej wizyty.

Gdy już dotarłam na pięćdziesiąte szóste piętro, wszystko we mnie wrzało. Czułam się jak żołnierz gotowy walczyć w słusznej, osobistej sprawie. Krew gotowała mi się w żyłach, moje odsłonięte zęby, czy raczej licówki, groźnie błyskały. Byłam gotowa do walki.

Z nikim się nie witałam. Nie zatrzymywałam się, by tracić czas na puste wymiany zdań z asystentami, pracownikami działu pocztowego czy kimkolwiek innym. Szłam w pełni skupiona na celu – zamkniętych drzwiach do biura ojca – i nic, absolutnie nic nie miało mi przeszkodzić.

Poza jednym.

Poza... *nim*.

Nagle, trzy kroki przed drzwiami, wyrosła przede mną jakaś postać odziana w szary garnitur i uniemożliwiła dalszą drogę. Spojrzałam w górę i widząc nieznaną twarz, westchnęłam.

– Przepraszam bardzo – rzuciłam, nie dbając o wyraźną irytację w głosie. – Stoi mi

pan w przejściu.

– Obawiam się, że nie mogę pani przepuścić – powiedział zupełnie obojętnym tonem, a w jego spojrzeniu na próżno było szukać choćby chwili wahania. – Pan Larrabee jest w trakcie ważnej rozmowy telefonicznej.

Brwi wygięły mi się w surowy łuk. Dość tego.

– Czy pan nie wie, kim *ja* jestem?

– Ależ *bardzo dobrze* wiem, kim pani jest. Mimo to nie wolno mi pani wpuścić do środka – odparł, nie zmieniając obojętnej miny.

Zaśmiałam się na dźwięk tych słów.

– Oj, chyba jest pan tu nowy.

– W rzeczy samej – powiedział z nutą dumy w głosie. – Jestem na stażu. Zaczęłam w zeszłym tygodniu.

– Słuchaj no, panie Nowy – syknęłam drwiąco. – Pozwól, że cię zapoznam z pewnymi zasadami. Nazywam się Lexington Larrabee i najwyraźniej nikt ci jeszcze nie powiedział, że mnie *musisz* wpuścić do tego biura. Ten cały budynek należy do mojego ojca.

– Pani ojciec – zaczął z nutą złośliwości – jest prezesem zarządu. Tak się składa, że Larrabee Media to spółka publiczna, więc należy do udziałowców.

Nie mogłam w to uwierzyć. Moje oczy musiały zrobić się wielkie jak denka od szklanek, ale w porę się opamiętałam i omiotłam faceta stojącego przede mną jednym pełnym nienawiści spojrzeniem. Był wysoki i wysportowany. Jego brązowe włosy o odcieniu dojrzałego miodu były przystrzyżone i ujarzmione za pomocą żelu na typową firmową modłę korporacyjnych robotów. Gdybyśmy się spotkali w jakichkolwiek innych okolicznościach, na przykład na imprezce, pewnie uznałabym go za przystojnego, może odrobinę zbyt nudnego, jak na moje długoterminowe standardy, lecz na tyle słodkiego, by bez oporów i bezwstydnie z nim poflirtować. Lecz w tej chwili, w *takich* okolicznościach, natychmiast trafił pod kategorię najbardziej wstrętnych osób, jakie w życiu spotkałam.

Zresztą, sądząc po wyglądzie, był zdecydowanie zbyt młody, by kimkolwiek dyrygować. Pal licha ten jego dumny korporacyjny garniturek.

– Ile ty, człowieku, masz lat?! Siedemnaście?

– Nie wydaje mi się, żeby to było istotne – odparł. – Dwadzieścia – dodał prędko.

– Słuchaj więc – zaczęłam, okraszając głos sztuczną dobrocią. – Jesteś tu nowy. Jestem pewna, że jeszcze nikt cię... nie przeszkolił odpowiednio albo coś, ale jeśli mnie w tej chwili nie przepuścisz, pożegnasz się z robotą.

Nie ruszył się. Nawet nie zamrugał. Stał dalej, tak po prostu, blokując mi drogę do drzwi biura ojca, niczym potężny marmurowy posąg.

– Powtarzam – powiedział pewnie. – Pani ojciec właśnie prowadzi ważną rozmowę i proszę, żeby *nikogo* nie wpuszczać.

Jezusie no! Co się z tymi ludźmi dzisiaj dzieje?! – pomyślałam. Czy wszyscy nagle zapomnieli, kim jestem? Kim jest mój ojciec? Jaką mam władzę? Miałam wrażenie, jakby cały świat nabawił się chwilowej amnezji, przez co ja stałam się tym nikim i można mnie dowolnie deptać.

– Jeśli mnie natychmiast nie przepuścisz – warknęłam przez zaciśnięte zęby – obiecuję, obalę cię tu i teraz.

– Jeśli pani nie odwróci się i nie poczeka w holu jak pozostali interesanci, będę zmuszony wezwać ochronę.

Już nie mogłam. Poziom absurdu sięgnął szczytu szczytów. Zaśmiałam się.

– Boże, jaki ty jesteś tępy! – Postawiłam Holly na podłodze i oparłam dłonie na biodrach. – Ochrona nie może mi nic zrobić. Ja jestem Lexington Larrabee! – ostatnie słowa krzyknęłam tak głośno, że spokojnie można mnie było usłyszeć w promieniu trzech kilometrów. Miałam nadzieję, że ktoś, *ktokolwiek*, przyjdzie mi z pomocą. Że jakaś recepcjonistka, księgowy albo kto tam jeszcze wyskoczy ze swojego biura i przemówi temu debilowi do rozumu, wyjaśni mu, że postępując w ten sposób, stąpa po kruchym lodzie. Ale jedynymi drzwiami, jakie się otworzyły, były te znajdujące się za jego plecami. I nagle pan stażysta znalazł się między mną a zdziwioną twarzą swojego szefa.

– Co tu się dzieje?! – warknął ojciec.

– Tatusiu! – krzyknęłam, odsuwając na bok irytującego strażnika drzwi. Natychmiast przeszłam na łagodny, melodyjny ton. – Dzięki Bogu wyszedłeś! Muszę z tobą porozmawiać, a ten idiota nie chciał mnie wpuścić!

Ciało ojca napięło się, gdy zamknęłam go w uścisku, lecz prędko odsunął mnie od siebie.

– Luke to mój nowy stażysta. Powiedziałem mu, że nie chcę, żeby mi przeszkadzano. – Skinął na stojącego za mną chłopaka z wdzięcznością, po czym z powrotem zwrócił puste spojrzenie na mnie. – Przynajmniej jedna osoba potrafi wykonywać proste polecenia.

Obejrzałam się przez ramię i moim oczom ukazał się iście mdlący widok – zadowolonej z siebie miny Luke’a.

Zabiję cię, przyrzekam.

Ale dopiero gdy skończę z ojcem.

– Czego chcesz? – spytał dosadnie.

Wzięłam głęboki oddech.

– *Naprawdę* muszę z tobą porozmawiać. Czy możemy wejść do biura? – powiedziałam cicho.

Pokręcił głową.

– Jestem spóźniony na spotkanie.

– Ale...

– Lexington, nie zmienię decyzji – odparł, odgadując cel mojej niezapowiedzianej wizyty. – Albo wykonasz pięćdziesiąt dwie prace, jakie wybrałem, i ukończysz je w stopniu, który mnie usatysfakcjonuje, albo możesz się pożegnać z funduszem powierniczym.

I ruszył przed siebie. Natychmiast do niego podbiegłam, z Holly pędzącą u mych stóp.

– Ale tatusiu – nalegałam.

– Przykro mi, Lexington. Tak właśnie będzie. Zdania nie zmienię.

– Ale to niesprawiedliwe! – krzyknęłam, mając gdzieś fakt, że w międzyczasie dobre kilkanaście głów pojawiło się w drzwiach biur. – Cooper nigdy nie musiał niczego udowadniać! Ani RJ! Ani Hudson, ani Harrison! To podpada pod seksizm!

Ojciec stanął jak wryty i odwrócił się do mnie, ukazując najbardziej odrażającą minę świata.

No dobra, z tą uwagą o seksizmie to trochę przesadziłam.

– Ty myślisz, że tu chodzi o *pleć*?! – warknął tym niskim, złośliwym tonem, przez który wielokrotnie miałam koszmary w dzieciństwie. – Myślisz, że podjąłem taką decyzję tylko dlatego, że jesteś *dziewczyną*?! Zwróć uwagę, że to tobie najbardziej popuszcząłem smycz, to ty miałaś najwięcej przywilejów, to dla ciebie miałem więcej wyrozumiałości niż dla któregokolwiek z twoich braci! Teraz dopiero widzę, jak wielki błąd popełniłem. Bo przez te wszystkie lata pobłażania ty nie zrobiłaś nic, jedynie wiodłaś życie oparte na pazerności i niewdzięczności. Jeszcze przed kilkoma dniami nie miałem pojęcia, w jaki sposób mógłbym wpłynąć na poprawę twojej postawy. Lexington, ta decyzja to moja ostatnia nadzieja. To moja ostatnia próba przywołania cię do rozsądku. Zaszczepienia jakichś wartości. *Człowieczeństwa!*

Czułam już wzbierające, gryzące łzy, ale stłumiłam je szybkimi mrugnięciami. Tak jak zawsze. Po raz ostatni pozwoliłam ojcu widzieć mój płacz dziesięć lat temu, gdy jako ośmioletnie dziecko usłyszałam, że nie będzie spędzał świąt Bożego Narodzenia z nami, bo będzie w Hongkongu i nie, nie może zabrać mnie ze sobą. Nie pozwolę sobie na kolejne łzy.

– Nie zrobię tego – stwierdziłam, słysząc, że głos już mi się łamie.

– Lexington, ja nie daję ci żadnego wyboru.

– Nie zmusisz mnie! – krzyknęłam, czując się pewniej. – Odejdę. Ucieknę. Ja i moi przyjaciele mamy pewne plany, wiesz? Chcemy zwiedzić wiele miejsc. Nie muszę tu siedzieć i bawić się w biedę z bandą niewykształconych wyrzutków z marginesu!

Choć na jego twarzy wciąż nie malowały się żadne emocje, nachylił się do mnie, tak blisko, że aż poczułam jego oddech na moim czole. Nagła bliskość sprawiła, że żołądek niemal podskoczył mi do gardła, moje ciało wykonało odruchowo jeden krok w tył.

– Zrobisz to – usłyszałam jego złowrogi szept. – Albo stracisz wszystko.

Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się i podjął przerwany wcześniej marsz korytarzem. Następnie wszedł do sali konferencyjnej na dalekim końcu i zamknął za sobą drzwi.

Uziemiona

Muszę się stąd wydostać. Muszę uciekać. Teraz! Już! – właśnie takie myśli przelatywały mi przez głowę z prędkością błyskawicy. Nie byłam w stanie poradzić sobie z tak stresującą sytuacją. Miałam zaplanowany lot do Vegas dopiero o szóstej wieczorem, ale za nic w świecie nie chciałam czekać całego dnia. Chciałam wylecieć od razu. Potrzebowałam jakiejś rozrywki, czegoś, co odciągnie mój umysł od tego absurdu. Potrzebowałam przyjaciół, hałasu, pozytywnego zamieszania. Las Vegas było antidotum na wszystkie moje koszmary.

Poza tym byłam pewna, że gdy minie trochę czasu, ojciec przemyśli i przetrawi swoje postanowienie. Zmieni zdanie raz jeszcze, tym razem ukrócając moje męki. Zdawało mi się oczywiste, że on po prostu zadziałał nazbyt pochopnie. Ot, była to reakcja spowodowana wydarzeniami minionego weekendu, i to niewspółmierna do tego, co naprawdę zaszło. Potrzeba mu było jedynie trochę więcej czasu i przestrzeni, aby w pełni zrozumiał negatywne skutki swojej decyzji, aby zdał sobie sprawę ze swojego niedorzecznego i nierozsądnego zachowania. Przecież znam własnego ojca jak nikt inny. Nikt nie jest w stanie odwieść go od decyzji poza nim samym. Więc wzięwszy to pod uwagę, uznałam, że muszę dać mu szansę, by sam się zreflektował. Powinno mu to zająć kilka godzin, może jeden dzień, ale dojrzy podstawowe błędy swojego postępowania. A wtedy zadzwoni do mnie Bruce, nurzając się w gorzkiej czarze porażki, i mrukliwie, z obowiązkową nutą narzekania oznajmi, iż wszystko minęło, wszystko zostało odwołane. I tak bardzo mu przykro, że wcześniej zachował się wobec mnie tak nieelegancko, że użył *przemocy* (swoją drogą, z tym akurat *totalnie* przegiął), więc może „w ramach błagalnej prośby o przebaczenie byłabym tak łaskawa zaakceptować dar w postaci fantastycznego przyjęcia pożegnalnego, który byłby wyrazem jego najgłębszej skruchy”? Oczywiście, że przyjąłabym z miejsca. Bo moje miłosierdzie nie zna granic.

Biorąc głęboki wdech, wjechałam ojcowskim bentleyem na autostradę numer 10. I nawet już było mi lepiej. W sumie głupio z mojej strony, że uniosłam się aż tak bardzo. Przecież wszystko będzie dobrze, pomyślałam. Mówiłam sobie, że wszystko wróci do właściwego porządku. Nie ma potrzeby uciekać się do drastycznych działań... takich jak na przykład wjechać autem ojca w ścianę murowanego budynku.

Pojechałam prosto na lotnisko Santa Monica, na którym znajduje się hangar z prywatnymi odrzutowcami rodziny Larrabee. Nie chciałam wracać do domu, nie w takiej chwili. Nie chciałam oglądać Horatia ani nikogo innego z domowników. Stwierdziłam, że najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej polecę do Vegas, na miejscu kupię nowe ciuchy i dopóki ten absurd nie minie, po prostu się odprężę.

Obróciłam się do Holly, która z siedzenia pasażera spoglądała na mnie z niepokojem w oczach, i podrapałam ją uspokajająco po główce.

– Nie martw się, kochanie moje – powiedziałam łagodnym, kojącym tonem, zarezerwowanym tylko dla niej. – Nic mi nie jest. Ale dziękuję ci, maleństwo, za troskę. Chociaż *ktos jeden* przejmuję się moim losem.

Zapewnienie chyba poskutkowało, ponieważ niemal natychmiast się rozluźniła, umościła wygodniej, zwijając w kłębek, i zamknęła oczka.

Dwadzieścia minut później zajechałam pod hangar rodziny Larrabee, chwyciłam Holly z fotela i narzuciłam torbę na ramię. Z hangaru już wybiegł mężczyzna w niebieskim uniformie i pędził w moją stronę. Najwyraźniej bardzo się czymś denerwował, ponieważ jego wzrok latał po asfalcie w tę i z powrotem.

– Panno Larrabee – powiedział lękliwie, jakby nie miał pojęcia, skąd się tu nagle znalazłam.

Cudownie! Kolejny irytujący żółtodziób, którego będę musiała poinstruować co do panujących zwyczajów.

– Dzień dobry – zaczęłam, starając się brzmieć pogodnie i przyjaźnie. Przykleiłam na twarz szeroki uśmiech. – Mam dziś lecieć do Vegas.

Splótł i zacisnął dłonie, spojrzał nad moim ramieniem na bentleya, zostawionego z silnikiem na chodzie.

– Kluczyki w stacyjce – oznajmiłam oschle. – Do mojego powrotu proszę zatankować.

– Ale... – urwał z ustami wykrzywionymi w trudnym do określenia, bolesnym grymasie.

– Tak, zdaję sobie sprawę, że lot był planowany dopiero na szóstą, ale zaszła nagła zmiana planów i muszę wyruszyć wcześniej.

Prędko pokręcił głową. Prawdę mówiąc, bardziej przypominało to tik nerwowy niż gest zaprzeczenia.

– A-a-a-ale... panna nie może – bąknął. – Ja... To znaczy...

Przewróciłam oczami i dając upust niecierpliwości, zabębniłam palcami po pasku od mojej torebki. O co chodzi temu koleśowi? Skąd to podenerwowanie? Przecież chciałam jedynie zmienić godzinę wylotu, nic wielkiego. To się często, właściwie bez przerwy, zdarza. Przecież nie kazałam mu odwoływać wojny czy coś w tym guście.

Wciąż mrucał coś pod nosem jak skończony debil, więc uznałam, że lepiej będzie przejąć kontrolę nad sytuacją.

– Słuchaj – powiedziałam. – Czy samolot jest na miejscu?

Pospieszne skinięcie.

– Dobrze. Czy ma paliwo w silniku?

– Ta-ta-tak.

– Czy pilot jest na miejscu?

– Tak, ale...

Posłałam mu zupełnie nieszczerzy uśmiech i łamiąc wszelkie zasady taktu, poklepałam po ramieniu.

– Więc widzi pan. Problem z głowy.

Minąwszy go, ruszyłam dumnym krokiem w stronę hangaru. Parę sekund później usłyszałam za sobą odgłos pospiesznego truchtu i nagle mężczyzna znów znalazł się przy mnie.

– Chryste! Co znowu?!

– Chodzi o to, że... – znów nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów i naprawdę musiałam się uciekać do najgłębszych pokładów silnej woli, by nie klepnąć go w tył łba. Być może za pomocą takiego magicznego sposobu zaczęłyby się płynnie wysławiać. – Pa-pa-panny ojciec – wydukał.

Czułam, jak serce zaczynało mi przyspieszać. Mrużąc oczy, całą uwagę skupiłam na płochliwym jak zając mężczyźnie.

– Co „mój ojciec”? – syknęłam.

Głośno przełknął ślinę. Właściwie byłam w stanie dojrzeć gulę przerażenia próbującą precyzyjnie się przez jego gardło.

– Poinformował nas, że nie jest pani upoważniona do latania samolotami rodziny Larrabee.

O *saczona*

Bylaam tak wsciekla, ze chcialo mi sie krzycec. I w istocie krzyczalam. Przez okragle trzy godziny. Najpierw na bezmozgiego pracownika naszego hangaru, poniewaz nie chcial mnie wpuścić do samolotu. Mial czelność powstrzymać mnie sila, gdy próbowalam pobiec do odrzutowca. Później darlam sie na pracownice linii American Airlines na lotnisku LAX, poniewaz nie chciala sprzedac mi biletu na najblizszy lot do Vegas, twierdzac, jakoby terminal rzekomo odrzucal wszystkie moje karty kredytowe. I to po tym, jak schowalam dumę do kieszeni, podejmujac decyzje, ze, niech juz bedzie, zniżę sie do poziomu zwyklych lotów komercyjnych, czego nie robilam od... właściwie *nigdy*! Następnie rycalam na bankomat, gdy raczył wypłuc mi swistek z wyjaśnieniem, jakoby wszystkie moje konta zostaly zamrozone. Nawrzeszczalam nawet na jakiegoś prawnika, którego zobaczyłam uwiecznionego na tyle autobusu zatrzymujacego sie przede mną na czerwonym swietle. Reklama głosila, ze właśnie ten czlowiek *na sto procent* będzie w stanie pomóc mi we wszelkich problemach prawnych. Gdy jednak wykręcilam numer i przedstawilam mu sprawe, rozlaczyl sie po kilku minutach, stwierdziwszy, ze za nic w swiecie nie wystapi przeciwko Richardowi Larrabee. Szczególnie w sprawie, w której nie ma szans na wygrana. Zapytal tez, jakim cudem w ogóle chcialabym zaplacić mu za uslugę, skoro cały mój majatek pochodzi z imperium ojca. Czy może jednak mialam nadzieje, ze ojciec sam da mi kasę na wniesienie przeciw niemu pozwu?

Roześmial sie, a ja dalej krzyczalam.

Z piskiem opon wjechalam na teren posesji, zaparkowalam w polowie na chodniku, w polowie na trawniku i wsciekla wpadlam do domu. W holu niedbale rzucilam klucze na stol. Rozlegl sie nieprzyjemny brzek, gdy metal spotkal sie z gladkim kamiennym blatem. Dobrze. Im wiecej halasu, tym lepiej.

– Kingston! – ryknelam ile sil w plucach. Echo mojego głosu odbilo sie od

marmurowych podłóg i poszybowało w górę, wzdłuż spiralnych schodów.

Wołany zjawił się w mig.

– Tak, panno Larrabee – powiedział uniesienie.

– O, jesteś – powiedziałam niemal bez tchu, wbiegając po schodach. Holly dreptała tuż za mną. Musiała ostro pracować małym ciałkiem, brać odpowiedni rozmach, by wdrapać się na każdy stopień. Po pięciu takich skokach schyliłam się po psinę i wsadziłam ją sobie pod pachę. – Spakuję torbę – mówiłam do Kingstona – i zaraz zawieziesz mnie do Vegas.

Lecz z dołu schodów odpowiedziała mi jedynie cisza i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że typowa dla Kingstona prędką odpowiedź w stylu: „Tak, panno Larrabee. Będę czekał przed domem” w ogóle się nie pojawiła.

Zwolniłam i zatrzymałam się, ale pozostałam plecami do szofera.

– Kingston, czyżbyś nie usłyszał polecenia? – spytałam opanowanym tonem, patrząc prosto przed siebie.

– Usłyszałem, panno Larrabee – odparł prędko, lecz po tym krótkim zapewnieniu znów zapanowała mdląca cisza.

– Więc czemu tak stoisz? – spytałam. Nie miałam odwagi odwrócić się do niego twarzą, ponieważ instynktownie wyczuwałam, że on nie poruszył się choćby o milimetr. Zresztą słyszałam jego oddech.

– Cóż... – zaczął, lecz urwał. – Sprawa jest taka, że panny ojciec... poinformował mnie, że nie wolno mi panny nigdzie zawozić.

I to już był dobry powód, by się odwrócić. Sama czułam chłód mego spojrzenia, przesywającego szofera na wylot.

– *Co takiego?!* – warknęłam.

Jego twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie. Natychmiast opuścił głowę, za wszelką cenę starając się unikać mego wzroku.

– Posłuchaj no – podjęłam, świadoma, że i tak nie odpowie mi na zadane pytanie. – *Nie obchodzi* mnie, co ci powiedział mój ojciec, słyszysz, Kingston? Nie pracujesz wyłącznie dla niego! Tak się składa, że dla mnie też. Więc teraz *ja* mówię ci, że masz mnie zawieźć do Vegas.

– Przykro mi, panno Larrabee – bąknął zażenowany. – Ale panny ojciec zagroził, że jeśli nie usłucham polecenia, wyrzuci mnie z pracy.

Nie mogłam oddychać. Miałam wrażenie, jakby ktoś zamknął moje płuca w szczelnym pudełku. A potem ogromnymi ze zdziwienia oczami patrzyłam, jak Kingston powoli podchodzi do stołu, zabiera klucze do bentleya i chowa je w kieszeni spodni.

– Co ty robisz? – spytałam zaniepokojona.

Wciąż nie był w stanie spojrzeć mi w oczy.

– Panny ojciec polecił, żebym pozbiierał i schował klucze do wszystkich aut

należących do rodziny Larrabee – mówił głosem podbitym boleścią, co ewidentnie wskazywało, że przekazywanie mi tej wiadomości zupełnie mu nie leży. Ale akurat w tym momencie miałam gdzieś *jego* męża. *Moje*, nawet w najmniejszym ułamku, były nieporównywalnie większe.

– Horatio! – zawołałam. Choć do ataku furii jeszcze było mi daleko, czułam, jak moje ciało drży mimowolnie. Jakby wstrząsały nim torsje. Choć bardzo tego nie chciałam, z obawy, by nie upuścić psiny, byłam zmuszona odstawić Holly na podłogę.

Wreszcie z kuchni wyszedł Horatio. Smętnym krokiem doczłapał do schodów, a moja niecierpliwość nijak nie wpływała na tempo jego złowróżbnego przemarszu. On w przeciwieństwie do Kingstona nie miał najmniejszego problemu, by patrzeć mi prosto w oczy. Zatrzymał się przy balustradzie i lekko unosząc głowę, spojrział mi w twarz.

– Czy mógłbyś mi wyjaśnić, co tu się dzieje? Proszę?

Żadnych emocji. Ani uśmiechu, ani gniewu.

– Dzwonił panny ojciec – zaczął powoli tym swoim jedwabistym argentyńskim akcentem. – Z przykrością polecił pannę poinformować, że wszystkie karty kredytowe, jakie panna posiada, zostały zablokowane, panny konto bankowe zamrożone, a kieszonkowe wstrzymane – oznajmił, po czym dodał z nieznacznym skinieniem. – Do odwołania.

– Do odwołania? – ryknęłam. – Co to ma znaczyć?!

W głowie mi się nie mieściło, jak też Horatio był w stanie zachować *taki* spokój w obliczu *takiej* katastrofy. Cholera jasna!

– Oznacza to – zaczął bez zająknięcia, jakby niewzruszony moim wybuchem wściekłości – że pan Larrabee odcina panią od świata do czasu, aż przystanie pani na jego warunki.

Już chciałam dzwonić do mojego terapeuty i zasugerować, żeby zamknął ojca w psychiatryku, bo *ewidentnie* oszalał. Może to z powodu wieku? Jeszcze kilka lat i stuknie mu pięćdziesiątka, więc najwyraźniej starcze zniedołężnienie już zaczynało przejmować nad nim kontrolę. Ale dlaczego? Och! Dlaczego to właśnie *na mnie* musiał odbijać się ten obłąd? To dlatego, że jestem najmłodsza? RJ, Harrison i Hudson nigdy nie musieli przechodzić przez takie piekło. Nawet Cooper nie musiał! Świat jest taki bezlitosny!

Słońce już zaczynało zniżać się do horyzontu, a moje ciało i umysł zdradzały oznaki silnego wyczerpania. Głos zachrypnął mi od krzyku, stopy bolały mnie od całodziennego bieganiny po Los Angeles, byłam załamana i zrozpaczona. Przechadzałam się samotnie w półmroku ogrodów za domem. To ponad czterysta pięćdziesiąt metrów kwadratowych zapierającego dech labiryntu nieskazitelnych żywopłotów i kwiatnych pól. O kolorach tak żywych jak z reklamy Kodaka. Mama

tak zaprojektowała to miejsce, by stanowiło miniaturową replikę ogrodów przy Zamku w Villandry we Francji. Zanim zmarła, rzecz jasna. Wielokrotnie nasze tereny pojawiały się w przeróżnych czasopismach z gatunku „dom i ogród”. Na zdjęciach zawsze znajdował się mój ojciec, stojący gdzieś pośród okazałej zieleni. Zupełnie jakby to on był osobiście odpowiedzialny za utrzymanie tego wytwornego, skomplikowanego krajobrazu, choć w rzeczywistości bywał tu na tyle rzadko, że w ogóle nie miał kiedy podziwiać piękna okolic domu, a co dopiero przycinać żywopłoty. Dwa razy w tygodniu na miejscu zjawiała się grupa dziesięciu ogrodników, a ojciec zbierał pochwały za ich robotę. Ale to chyba żadna nowość.

Uwielbiałam się tu bawić jako dziecko. Zmuszałam Horatia, by kilkanaście razy z rzędu bawił się ze mną w chowanego, berka i wszelkie inne gry, jakie byłam w stanie wymyślić. To było jeszcze wtedy, gdy wzrostem nie przewyższałam żywopłotów, a Horatio, by się schować, musiał kucać i chodzić na czworakach. Zazwyczaj po pięciu minutach szalonej gonitwy jego głowa ukazywała się nagle nad zielenią, bym mogła z niebiańskim chichotem podbiec i go schwytać. Przekonywał mnie, że dlatego jest łatwą ofiarą, gdyż jest za wysoki, by się tak bawić; że ewidentnie mój niski wzrost daje mi przewagę. Pamiętam, że słysząc to, czułam się osobką bardzo wyjątkową. Będąc małą, miałam siebie za wielką szczęściarę.

Dopiero po latach zdałam sobie sprawę, że Argentyńczyk celowo wystawiał głowę nad żywopłot. Gdy już nadchodził ten moment, że gra zaczynała go męczyć lub okazywało się, że ma coś do zrobienia w domu, wstawał, poddawał się i tak kończyła się zabawa. Od tamtej chwili często się zastanawiałam, czy prawdziwy rodzic, a nie opłacany zastępca, też poddawałby się tak łatwo.

Zielone ściany ogrodu, sięgające mi do biodra, przestały więc stanowić dobrą kryjówkę. Przestały również nieść jakiegokolwiek uspokojenie. Od godziny przemierzałam labirynt, lecz mdłości żołądka nie chciały odpuścić. Holly poddała się pół godziny temu i przestała za mną dreptać. Zwinęła się w kłębek na leżaku nad basenem, czekając, aż skończę robić, cokolwiek robiłam, i razem wrócimy do domu.

Spacerując wijącymi się w nieskończoność korytarzykami, usianymi rzeźbami z krzewów, bulgoczącymi fontannami i kwietnikami w kształcie serca, ciężko myślałam nad znalezieniem rozwiązania dla mojej sytuacji. Takiego, które nie kończyłoby się ślepym zaułkiem.

I choć przemierzałam ten ogród od niemal piętnastu lat, choć znałam ten zielony labirynt jak własną kieszeń, wciąż, przy każdym zakręcie, czułam się, jakbym wpadła w pułapkę. Nie miałam dokąd uciec. Nie miałam gdzie się schować. Niezależnie od kierunku, jaki obiorę, ojciec zawsze wygra, zawsze będzie miał przewagę.

Nie byłam pewna, skąd wziął się pomysł, że jestem w stanie sprzeciwić się Richardowi Larrabee i odnieść zwycięstwo. Przecież to się jeszcze nikomu nie udało. Więc dlaczego w moim przypadku miałoby być inaczej? W tej grze to ojciec ma

przewagę, ma wszystkie asy w rękawie. Nie w tej, w *każdej*. Tak już jest, tak było zawsze. Dopiero teraz, mając portfel pełen zablokowanych kart kredytowych i konto zamrożone bardziej niż lodowce na kole podbiegunowym, zdałam sobie sprawę, że ojciec nie zmieni zdania. Nawet nie rozważy zmiany swojej decyzji.

Tym razem to ja byłam stroną, która musi wywiesić białą flagę.

Z pustką w piersi i posmakiem goryczy w ustach wyjęłam z kieszeni telefon i wybrałam numer Bruce'a.

***B**o od tego są przyjaciele*

Leżałam na łóżku, gapiąc się na niewielką szczelinę łamiącą spokój zasłon baldachimu, które zasunęłam, tworząc wokół siebie kokon bezpieczeństwa. Chciałabym móc zostać tu na zawsze. Skryć się przed tym okrutnym światem, w jakim przyszło mi żyć. Ale teraz moje życie zamieniło się w tykającą bombę, która może lada chwila eksplodować. Bo w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin miało się zmienić wszystko. Nic już nie miało być takie jak dawniej.

Bruce powiedział mi przez telefon, że jest ze mnie dumny, że ostatecznie zdecydowałam się przystać na pomysł ojca. W odpowiedzi jedynie prychnęłam groźnie. Po pierwsze zirytował mnie dobór słów. Był ze mnie *dumny*? Chryste! Ile razy trzeba mu przypominać, że on *nie jest* moim ojcem?! Po drugie czy w ogóle miałam możliwość podejmowania decyzji?! W którym momencie dano mi jakikolwiek wybór?! Odpowiedź brzmi... w żadnym!

Mój ojciec nigdy nie daje ludziom wyboru. Nie oferuje kilku opcji.

Bruce powiedział, że z rana mam stawić się w jego biurze. Bąknęłam coś, że dobrze, że przyjdę, i się rozłączyłam, chcąc jak najszybciej zakończyć tę nieprzyjemną rozmowę.

A teraz zostało mi już tylko czekanie. Mój umysł skupił się wyłącznie na wizji tego, jak potworne będzie moje życie przez... przez... okrągły rok. To z pewnością najgorsze urodziny w historii.

Kolejny telefon – ten, którego bardzo się obawiałam, zadzwonił o dwudziestej, godzinę po tym, jak miałam się zjawić w hotelu Bellagio w Las Vegas. Nie miałam ochoty go odbierać. Nie chciałam opowiadać przyjaciółkom o tym, co mi się przytrafiło. To zbyt upokarzające. Zbyt załamujące. Zbyt tragiczne. Ale przecież musiałam to zrobić. Nie mogłam tak po prostu nie pojawić się na własnej imprezie urodzinowej bez choćby słowa wyjaśnienia.

– Hej, Ji – powiedziałam do słuchawki. Mój głos, zabarwiony uczuciem porażki, brzmiał, jakbym mówiła z bardzo daleka.

– Cześć, cukierczku – pisnęła przeciągle Jia. – Co tak długo? Utknęłaś w korku? Zejdiesz na zawał, jak zobaczysz, co dla ciebie przygotowaliśmy. Kompletnie odmieniliśmy klub! Nie poznasz go, mówię ci! T wpadła na zajebiaszczy pomysł...

– Jio – przerwałam jej, nim miała szansę opowiedzieć mi o wszystkich odjazdowych rzeczach, których nie będzie mi dane ujrzeć przez mojego debilnego ojca, który zaplanował najazd gwałtownego tornada akurat na dzień moich osiemnastych urodzin. – Nie przyjadę.

Najpierw odpowiedziała mi zdumiona cisza. Chwilę później Jia.

– Co ty mówisz? Przecież miałaś wylecieć o szóstej.

– Mój lot został odwołany.

Roześmiała się.

– No chyba zgłupiałaś. Nie odwołuje się prywatnych lotów, chyba że pogoda nie sprzyja. A dziś niebo mamy bezchmurne.

– Może w Las Vegas, ale tutaj zebrało się sporo chmur. Takich ciemnych, prawie czarnych.

Znów cisza.

– Lex, co ty pierdolisz? Masz zamiar lada moment wyskoczyć z jakiejś szafy i mnie przestraszyć, tak? – Słyszałam w tle jakieś szuranie. Pewnie Jia rozglądała się po pokoju, odsuwała zasłony i otwierała drzwi szaf, szukając dowodów na moje wyśmienite poczucie humoru.

Westchnęłam z powagą.

– Jio, uwierz, chciałabym, żeby to był żart. Serio. Przez cały dzień marzyłam, żeby się okazało, że to wszystko jest naprawdę jednym głupim, zupełnie niezabawnym żartem.

Dotarło do niej, że mówię poważnie.

– Dobra, opowiadaj. Co się stało? – odezwała się łagodniejszym głosem.

Więc opowiedziałam jej wszystko. Mówiłam tak długo, aż rozbolało mnie gardło, a łzy zaczęły spływać strumieniami po policzkach. Słuchała w ciszy, nic nie komentowała. Wzdychała jedynie i wstrzymywała na sekundę powietrze, gdy akurat zbliżałam się do wyjątkowo przerażającego fragmentu. Gdy skończyłam, spodziewałam się, że zaraz zacznie się nade mną użalać, perorować, że nie uchodzi, by spotkała mnie taka niesprawiedliwość, że mój ojciec powinien odpowiedzieć za tak niegodny czyn. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Zachowując się, jak na bliską przyjaciółkę przystało, pominęła zbędną paplaninę, która i tak pewnie znów by mnie nakręciła, i przeszła prosto do sedna.

– Zostań, gdzie jesteś – powiedziała. – Zaraz kogoś po ciebie wyślę.

Przyznaję, nieco mnie ta odpowiedź zdziwiła.

– Coooo? Ji, o czym ty mówisz? – bąknęłam po dłuższej chwili.

Najpierw usłyszałam krótkie „pfff”.

– A jak myślisz, Lex? Jeśli kiedykolwiek masz imprezować, to właśnie dziś. Zanim wyjdiesz na spotkanie jutra pod znakiem Bóg–wie–czego. Ta noc stanowi twoją ostatnią szansę na dobrą zabawę. Gównu mnie obchodzi, co uważa twój debilny ojciec. Może i opróżnił twoje konto, zablokował karty, ale mnie tego nie zrobił. Masz osiemnaste urodziny i Bóg mi świadkiem, zamierzam ściągnąć cię do Vegas.

Rozłączywszy się, zaczęłam biegać po pokoju i wrzucać do torby co popadnie. Jia powiedziała, żebym się nie martwiła o ciuchy, że razem z T wszystkim się zajmą, ale na wszelki wypadek postanowiłam prędko spakować kilka najpotrzebniejszych rzeczy.

Boże, jak ja kocham moje przyjaciółki, myślałam. Kocham je bardziej niż wszystkich. Są takie niesamowite! Och!

Holly patrzyła na mnie dziwnie, gdy przygotowywałam się do wyjścia.

Podbiegłam do niej, chwyciłam ją i wsadziłam pod pachę.

– Nie bój się, małeńka. Zostaniesz z Horatiem. On się tobą zaopiekuje.

Z Holly pod pachą i pospiesznie spakowaną torbą w dłoni wypadłam z pokoju.

Starałam się nie martwić tym, gdzie miałam się stawić o dziewiątej rano następnego dnia, ani tym, co przyjdzie mi przeżywać przez najbliższe pięćdziesiąt dwa tygodnie mojego życia. Gdy wynajęta limuzyna zajechała pod dom, myślałam jedynie, że Jia ma rację. Jeśli miałam się zabawić, to właśnie dziś. Ta noc będzie *wielka. Najwspanialsza*. Sprawię, że taka będzie. Każda inna, przeszła czy przyszła, zblednie w porównaniu z dzisiejszą. Nie będę spać. Nie będę się oszczędzać. Przetanączę *całą* noc.

Bo równie dobrze mogły to być moje ostatnie chwile zabawy na długi, długi czas. Ostatni moment wolności, zanim zamknie się za mną żelazna brama „Obozu karnego dla niewdzięcznych, rozpuszczonych córek” pod przewodnictwem Richarda Larrabee.

Ta noc to moja własna Ostatnia Wieczerza.

Po starcie samolotu patrzyłam, jak ziemia oddala się coraz bardziej i bardziej. Nie mogłam podarować sobie uśmiechu. Wyobraziłam sobie minę Bruce’a, gdy zobaczy mnie wchodzącą do jego biura z samego rana, po całej nocy zabawy. Potem moje myśli pobiegły do telefonu, jaki z pewnością wykona do ojca, informując go o mojej niezdolności do pracy. Przy okazji dorzuci coś o zupełnym braku poszanowania dla dobrego imienia rodziny i wszystkiego, co ona reprezentuje.

Pojawiła się stewardessa, żwawa blondynka, oferując lampkę szampana na srebrnej tacy. Odmówiłam kieliszka, sięgnęłam prosto po butelkę i wytrąbiłam ją w mig, niczym biegacz napój izotoniczny w reklamie Gatorade.

Może i ojciec był w stanie zmusić mnie do wykonywania pracy fizycznej. Ale nie mógł przekonać mnie do zmiany nastawienia.

*O*piekunka do dziecka poszukiwana

Zabiję słońce. Jak Boga kocham, zabiję, jeśli nie przestanie świecić. Wynajmę płatnego mordercę i każę kropnąć je tu i teraz, myślałam. Kto robił te okulary? Tom Ford? Cóż, były do dupy. Powinny być z tysiąc razy ciemniejsze. Wierzyć mi się nie chciało, że ktoś w ogóle miał czelność nazwać te szkła przeciwsłonecznymi, skoro w *ogóle* nie blokują promieni słonecznych!

Głowa bolała mnie tak, jakby zdzieliła ją asteroida mknąca w kierunku Ziemi z szybkością pierdyliarda kilometrów na godzinę. Chyba nigdy wcześniej nie miałam takiego kaca. Prawdę mówiąc, chyba nikt nigdy w całej historii świata nie miał takiego kaca jak ja teraz.

Z chęcią opowiedziałabym o imprezie, ale tak szczerze, mało co z niej pamiętam. Wiem, że dojechałam do apartamentu w hotelu. W trakcie ubierania były biforkowe koktajle. A potem zeszłam do klubu i szczęka zjechała mi do samej podłogi: moi znajomi wystroili wszystko w stylu hollywoodzkich lat dwudziestych. W samym centrum parkietu stał autentyczny samochód z 1925 roku. Pamiętam jeszcze kilka kolejek szotów i mój odjazdowy taniec na masce tego samochodu. Reszta stanowiła już wielką czarną dziurę.

Poszło zgodnie z planem: nie zmrużyłam oka ani na minutę. No chyba że liczyć trzydzieści minut drzemki w czasie lotu z Vegas do Los Angeles. Aby zdążyć na spotkanie z Bruce'em, musiałam wylecieć o siódmej trzydzieści. Ale to się nie liczy. Zresztą gdyby się chwilę zastanowić, chyba wciąż byłam trochę pijana.

Kingston odebrał mnie z lotniska i zawiózł prosto do Century City. Przytuliłam policzek do gładkiego, chłodnego skórzanego obicia tylnej kanapy, próbując za wszelką cenę powstrzymać zwrot zawartości żołądka. Chciałam ją zachować dla roślinki w doniczce zaraz przy biurku Bruce'a.

Wciąż miałam na sobie sukienkę inspirowaną modą lat dwudziestych,

z przedłużonym stanem i frędzlami (którą specjalnie na tę okazję zaprojektował sam Karl Lagerfeld) oraz różowe boa – obie rzeczy otrzymałam w nocy jako prezent urodzinowy od Jii i T. Moje kabaretki miały z dobre piętnaście dziur, czarna peruka z pierzastą opaską i włosami sięgającymi brody była zupełnie przekrzywiona, lecz byłam zbyt wycieńczona, by w ogóle się tym przejmować. No i nie miałam najmniejszej ochoty w ogóle zastanawiać się nad stanem mojego makijażu. Od kiedy wczoraj o dwudziestej drugiej opuściłyśmy apartament, ani razu nie spojrzałam w lustro i miałam zamiar kontynuować tę tradycję. Pojechałam na lotnisko prosto z parkietu, serio. Pamiętam, jak przed wyjściem na imprezę Jia szpachlowała mi twarz. Nakładała mi, jedną za drugą, kilka warstw czarnego cienia, eye-linera czarnego jak smoła i krwistoczerwonej szminki. Więc po całej nocy zapewne wyglądałam jak zderzenie czołowe pani śmierci z klaunem.

Potykając się, przestąpiłam próg biura spółki partnerskiej Spiegelmann, Klein i Lipstein, zupełnie zignorowałam recepcjonistkę i zygzakiem dotarłam do drzwi gabinetu Bruce'a. Opadłam na jego kanapę i zwinęłam się w kłębek.

– Jezu Chryste – wychrypiał.

– Gotowa do pracy, szefie – wybełkotałam, opuszczając powieki, starając się odgrodzić od ostrego światła w jego biurze. – Dawaj!

– Cuchniesz alkoholem.

Przytuliłam się do dekoracyjnej poduszki.

– Och, okej. A myślałam, że to od ciebie tak wali.

Choć miałam zamknięte oczy, gdyż wciąż nie zdjęłam okularów, obawiając się permanentnego uszkodzenia siatkówki, czułam, że Bruce'owi wcale nie było do śmiechu. Słyszałam to w jego oddechu, ciężkim, napiętym. Sapiącym. Jakby chciał się pozbyć czegoś, co mu utknęło w nosie.

Wysilałam się, by stłumić uśmieszek, jaki cisnął mi się na usta. Nie roześmiałam się głównie dlatego, że bardzo mnie bolało, gdy napinałam mięśnie twarzy.

Słyszałam, jak zaczął kroczyć po pokoju. Mamrotał coś niezrozumiałego i nawet nie zależało mi, by to dosłyszeć. Musiałabym skorzystać w tym celu z pokładów energii, której i tak nie miałam.

– Wiesz co – po kilku sekundach dalszego przebąkiwania (choć tak naprawdę mogło to trwać dłużej – możliwe, że przysnęłam na minutkę lub dwie) doszedł mnie jego podniesiony głos. – Nie obchodzi mnie, w jakim jesteś stanie. – Nagle zaczął mówić zdecydowanym, nadętym tonem, jakby przed chwilą stoczył w myślach jakąś ożywioną debatę i teraz cieszył się, że wygrał. – Człowiek lepiej uczy się na konsekwencjach własnych zachowań niż abstrakcyjnych przykładach, więc czas, żebyś ostro wzięła się za naukę.

– Tak, Brucey! To mi się podoba! – wymamrotałam nieco oszołomiona, ale dumna z faktu, że udało mi się unieść zaciśniętą pięść w kpiącym gościu zwycięstwa.

Zignorował moją drwinę i natychmiast podjął swoje perory.

– Dziś zaczynasz pierwszą pracę. I nie myśl, że się z niej wywiniesz tylko dlatego, że jesteś rozpuszczonym, leniwym bachorem, który gdzieś ma dorosłą odpowiedzialność za własne czyny. Już nigdy więcej się z niczego nie wywiniesz. Lexington, te dni już się dla ciebie skończyły. Pójdiesz dziś do pracy. Będziesz tam chodzić przez cały tydzień. Nie będziemy niczego przekładać.

Zdmuchnęłam piórko z opaski, które opadło mi na czoło.

– W porzo!

Słyszałam, jak nerwowe kroki Bruce’a nagle ustały. Rozwarłam jedną powiekę, by sprawdzić, co się stało. Usiadł za biurkiem i wcisnął przycisk na telefonie.

– Tak, panie Spiegelmann? – z głośnika popłynął głos jego asystentki.

– Czy już przyjechał? – spytał prawnik.

– Tak, jest na miejscu.

– Dobrze, proszę go do mnie przysłać.

Usiadłam na kanapie, starając się powstrzymać bulgoczącą żółć, która podchodziła mi niebezpiecznie blisko gardła, i podejrzliwie patrzyłam to na Bruce’a, to na aparat.

– Kogo? – spytałam, modląc się, by nie chodziło o ojca. Ani mi się śniło rozmawiać z nim w tym stanie. – Kogo ma przysłać?

Odpowiedź pojawiła się pół sekundy później. Otworzyły się drzwi i do pokoju dostojnym krokiem wmaszerował młody mężczyzna w poważnym, ciemnoszarym garniturze, ze skórzanym neseserem w dłoni. Choć głowę miałam lekką, a przed oczami mgłę, natychmiast poznałam tę śliczniutką chłopięcą twarz i ulizaną męską fryzurę rodem z magazynu mody.

– Lexington, poznaj Luke’a Carvera. Jest stażystą w Larrabee Media.

– Boże drogi! – jęknęłam, opadając na bok. – Znowu ty!

To był ten irytujący, arogancki palant, którego miałam nieprzyjemność poznać dzień wcześniej w biurze ojca. Ten sam, który miał *czelność* zabronić mi widzieć się z ojcem.

Zmierzył mnie wzrokiem z dezaprobatą.

– Miło mi cię znów widzieć, Lexington.

– Och, świetnie – powiedział z zadowoleniem Bruce. – Więc już się znacie.

– Niestety – bąknęłam, przenosząc moje wściekłe spojrzenie na Bruce’a. – Co on tu robi?

Prawnik wstał od biurka i poklepał Luke’a po ramieniu.

– Teraz to twój problem – powiedział tonem podszytym współczuciem, po czym ruszył w kierunku drzwi.

Natychmiast się poderwałam i usiadłam wyprostowana, nie dowierzając, że facet ot tak, po prostu znika za drzwiami bez słów pożegnania.

– Bruce! – ryknęłam wściekła. – O czym ty mówisz? Gdzie idziesz?!

Lecz on nie wrócił. I tak oto zostawiono mnie w wielkim biurze sam na sam z tym półgłówkiem. Zwróciłam moje rozwścieczone spojrzenie na ulizanego stażystę, bo co innego mi pozostało.

– Czy mogę prosić o wyjaśnienia, co tu się dzieje?!

Luke wyglądał jak posąg. Stał z rękami przed sobą, dłońmi ciasno zaciśniętymi na uchwycie neseseru.

– Twój ojciec – zaczął nieco napiętym tonem – uczynił mnie odpowiedzialnym za ten... – brakowało mu właściwego słowa – program.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że mam zdawać raporty z twoich postępów w trakcie wykonywania wszystkich prac.

Odsunęłam okulary na przekrzywioną perukę, mrużąc oczy potraktowane zbyt dużą dawką światła.

– Przepraszam bardzo, że co?! Czy dobrze zrozumiałam, że masz być moją opiekunką?! Jak do *dzieciaka*?!

Chyba nie do końca spodobał mu się dobór słów, ale ukrył niezadowolenie pod maską napiętego uśmiechu.

– Wolę o sobie myśleć jako o kimś w stylu *łącznika*. Między tobą a twoim ojcem. Mam czuwać nad tym, żebyś ukończyła wszystkie pięćdziesiąt dwie prace ku satysfakcji pana Larrabee.

– No chyba sobie jaja robisz! – ryknęłam zdjęta trwogą.

Ale Luke nic na to nie powiedział. Dalej stał jak wcześniej, blisko drzwi, gotowy w każdej chwili działać. Skoczyłam na nogi, za nic mając grzmot bólu, jaki rozsadził mi czaszkę od środka. Minęłam palanta i wypadłam na korytarz.

– Bruce! – wrzeszczałam ile sił w płucach.

Stał przy biurku recepcjonistki, jak gdyby nigdy nic popijając świeżo zaparzoną kawę i przeglądając akta jakiejś sprawy. Jakby to był po prostu kolejny słoneczny dzień w pracy.

– Chyba sobie ze mnie żartujesz!

– Przykro mi, Lexington – powiedział bezradnie. – Jak poprzednio, to nie był pomysł mój, tylko twojego ojca. Nie miałem z tym nic do czynienia.

– Chcesz mi powiedzieć, że ten facet będzie się za mną włóczył przez cały rok?!

Wzruszył ramionami, jakby naprawdę nie rozumiał, skąd ta wściekłość.

– No... taaaak.

Spojrzałam z powrotem w kierunku, z którego przyszłam. Carver natychmiast znalazł się przy mnie. Z tą swoją mocną szczęką i ulizaną fryzurką wyglądał jak wzorcowa wersja korporacyjnego robota.

Już nie dałam rady. Nie mogłam dusić tego w sobie. Czułam, jak mdlące wstrząsy gwałtownie zabrały się do drogi powrotnej, piekąc mnie w gardło. Więc z miną

nieporadnej owieczki odwróciłam się do Bruce'a i wymiotowałam na garnitur Armaniego.

Z łącznikiem nie ma żartów

Opadłam na fotel w samochodzie i Luke natychmiast wepchnął mi na kolana metalowy kosz na śmieci, podkradziony z biura Bruce'a. Gdy trzasnął drzwiami, mimowolnie skuliłam się w sobie.

Wsiadł za kierownicę, zapiął pas, po czym przez następne pięć minut sprawdzał i ustawiał lusterka, stacje radiowe, głośność, wycieraczki, światła awaryjne, układ nagrzewania i klimatyzacji, jakby przygotowywał się do lotu przez Atlantyk, a nie głupiej przejażdżki przez miasto.

Przyglądałam mu się przez dłuższą chwilę, lecz ostatecznie musiałam zamknąć oczy, bo nie były w stanie znieść wszechobecnej jasności, jęknęłam boleśnie.

– *Bardzo cię proszę*, nie wymiotuj w moim samochodzie – powiedział, nie siląc się choćby na cień współczucia. Wrzucił bieg i ruszył. – Dopiero co kupiony.

Rozwarłam powieki i rozejrzałam się po nudnym, szarym wnętrzu, ze szmacianymi fotelami, tanimi plastikowymi obiciami, ręcznymi szybami i zamkami w drzwiach.

– Och, przepraszam – powiedziałam drwiąco. – Nie chciałabym zniszczyć twojej nowiutkiej *kii*.

Tak mocno zaciskał dłonie na kierownicy, że aż mu knykcie zbieleły. Powoli prowadził auto po długim, spiralnym zjeździe w kierunku wyjazdu.

– To honda civic – wycedził, zaciskając zęby. – *Hybrydowa*. – Jakby to miało zrobić na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

Przewróciłam oczami.

– Cóż, kolor do kitu. Niedobrze mi się od niego robi.

– Nie wszyscy urodzili się takimi szczęściarzami, że na szesnaste urodziny dostają lexusy.

Posłałam mu pełne odrazy spojrzenie.

– Fuuu. Prędzej umrę, niż wsiądę do lexusa.

Wziął długi, głęboki oddech. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał zamknąć oczy i zacząć mrużyć pod nosem „Om” albo inną mantrę. Następnie, ni z tego, ni z owego, wrócił do poważnego, biznesowego tonu.

– Teraz posłuchaj uważnie. Załatwimy to tak – zaczął, jakby zwracał się nie do mnie, tylko do sali pełnej korporacyjnych robotów.

Już rozumiem, dlaczego ojciec z miejsca go polubił. Bo Carver był niczym innym jak miniaturową repliką Richarda Larrabee.

– Twój ojciec wybrał pięćdziesiąt dwie prace, jakie powinnaś wykonać w ciągu jednego roku. Nie otrzymasz dostępu do funduszu powierniczego, dopóki nie ukończysz ich wszystkich. Zostanie ci przydzielona stała wypłata, o ile nie zaniedbasz swoich codziennych obowiązków. Jeśli w którymkolwiek momencie stwierdzisz, że nie chcesz dalej pracować, bądź twój ojciec uzna, że nie traktujesz pracy poważnie, wszelka pomoc finansowa zostanie natychmiast ucięta. Rozumiemy się?

Prawie w ogóle go nie słuchałam. Znów zaczęłam odpływać. Głowa mi opadała na piersi. Szarpnęło mną gwałtownie, gdy samochód z piskiem zatrzymał się na czerwonym świetle. Natychmiast się obudziłam.

– Co? Co?

– Mówiłem – powiedział zirytowany. – Czy się rozumiemy?

– Taaa, jasne – wymamrotałam, po czym obróciłam się na bok, podkuliłam kolana i podłożyłam dłonie pod głowę, czekając, aż poniesie mnie kolejna senna fala. Kilka minut drzemki, nic więcej nie chciałam.

Lecz wkrótce okazało się, że nie miałam co liczyć nawet na to, ponieważ bez żadnej przyczyny Luke zaczął ciskać po hamulcach jak po pedale perkusji jakiegoś rockowego zespołu. Za każdym razem, gdy już zaczynałam odpływać, samochód szarpał, wyrывая mnie z objęć snu. Czułam się jak manekin podczas testów zderzeniowych. Wreszcie spojrzałam na niego z najczystsą formą wściekłości w oczach, a on jedynie uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Wybacz – palnął. I to jeszcze takim wysokim, cieniutkim, śpiewnym głosikiem. Mogłam przysiąc, że w duchu śmiał się i bawił setnie.

Znów włączył mu się trajkot.

– Oczekuję od ciebie regularnych sprawozdań. To w końcu praca i tak też masz to doświadczenie traktować.

– Regularnego czego? – spytałam, dociskając palce do skroni.

– Sprawozdań z postępów. Po każdym ukończonym zajęciu będziesz pisać, co zrobiłaś, czego się nauczyłaś i jakie wyciągnęłaś wnioski.

– I co mam z tym robić? – prychnęłam z sarkazmem. – Wysłać ci to faksem?

– Nie ma znaczenia, w jaki sposób będziesz mi je przekazywać. Najważniejsze, żeby były.

Westchnęłam i z powrotem oparłam głowę o zagłówek.

– Nie przypominam sobie, żeby umowa o tym wspominała.

– Cóż – odparł chłodnym tonem – to teraz ja ci o tym wspominał. Jeśli się nie zastosujesz do wymagań, poinformuję twojego ojca, że nie chcesz współpracować.

Jęknęłam. Mój cudowny ojciec. No przecież *musiał* zatrudnić kogoś, żeby porozumiewał się ze mną w jego imieniu. Bo, Boże uchovej, w innym wypadku musiałby robić to osobiście. Zdecydowanie łatwiej było opłacić „łącznika”. Pieprzonego *łącznika*! Jasne, może i to nie była żadna nowość, przecież robił tak przez te wszystkie lata. Komunikował się ze mną przez setki różnych osób – Horatia, Bruce’a, Kingstona, wszystkich rzeczników prasowych, słanych po to, by posprzątać mój najnowszy bałagan. Jeszcze nigdy jednak, aż do moich osiemnastych urodzin, nie nadał im oficjalnego statusu. Nigdy wcześniej tak naprawdę nie nazwał rzeczy po imieniu.

Z tym Carverem to już w ogóle było przegięcie. Był jak nieznośny robal. Karaluch. Gdyby moja przyszłość finansowa nie leżała w jego małych, paskudnych rączkach, już dawno zgmiotłabym go obcasem moich loubutinów.

– Dokąd jedziemy? – spytałam, spoglądając na znajomy krajobraz za oknem. Do tej pory w ogóle nie wpadłam na to, by się zastanowić, dokąd mnie zabiera. Wyglądało na to, że właśnie wjechaliśmy do dzielnicy Brentwood.

– Do twojego pierwszego miejsca pracy – odparł surowym tonem. – Codziennie rano będę cię zawoził i po południu odbierał.

– Dzięki, nie trzeba, mam samochód.

– Hmm... – Udał zastanowienie. – CNN twierdzi inaczej.

– Mam *szofera* – zreflektowałam się.

– Więc wygląda na to, że przez najbliższy rok nie będzie ci potrzebny. Moim zadaniem jest upewnić się, że codziennie rano stawisz się do pracy na czas.

O Boże. Gorzej już chyba być nie może.

I wtedy, jakby świat chciał udzielić odpowiedzi na moje niewypowiedziane pytanie, Luke, chichocząc z zadowoleniem, zajechał na plac przed ogromną rezydencją w stylu Tudorów i zgasił silnik. Przed wejściem stała niska blondynka, odziana w błękitny uniform w białe paski, wykończony krótkimi rękawkami i ze śnieżnobiałym kołnierzem. W jednej dłoni trzymała czerwone wiadro z przegródkami, pełne przeróżnych butli z bliżej nieokreślonymi płynami; w drugiej – uniform, taki sam jak jej własny.

Luke obszedł samochód, otworzył drzwi z mojej strony i kazał mi wysiadać. Ani mi było! Chwycałam krawędź fotela tak mocno, że zdawało mi się, że paznokciami przebiłam obrzydliwe szare obicie.

Nieprzyjemne babsko z ciasno upiętym blond kokiem i sinymi, smutnymi workami pod oczami najpierw ciekawsko spojrzało w naszą stronę, po czym żwawo ruszyło do

auta. Wiadro zostało popchnięte w moim kierunku. Blondyna zachowywała się jak przywódca jakiegoś tubylczego plemienia czyniący nowo przybyłemu ofiarowanie darów. Jakbym miała je zaraz chwycić i zacząć skakać z radości, zarzucać jej ręce na szyję i dziękować za tak cudowny gest.

Rozpoznałam sprzęt. Bo u nas w domu było niemal identyczne. Ale ja nigdy go nie dotykałam. Nigdy *nie śmiałabym* go dotknąć. Bo ono należało do Carmen.

Naszej *sprzątaczki*.

– Masz – powiedziała z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem. Zbyt twardo i szorstko, jakby chciała z zimną krwią zamordować dźwięki języka, zamiast używać ich na potrzeby komunikacji. – Bierz.

– Nie! – wyrwało mi się samoistnie, nawet w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Sięgnęłam po uchwyt od drzwi i pospiesznie je zamknęłam, dodatkowo dociskając ręczny zamek.

– Lexi – powiedział Luke, pukając w szybę – no dalej, otwórz.

Skrzyżowałam ramiona na piersi i oparłam się wygodnie. Nie miałam zamiaru ani ochoty wysiadać. Jeśli będę musiała, zostanę w samochodzie przez cały dzień. Mam to w nosie. Siedzenie i tak było lepsze niż to, czego ode mnie chcieli na zewnątrz.

Miałam sprzątać domy? Po moim trupie!

Luke znów zapukał w szybę.

– Lexi – nalegał – zachowujesz się jak dziecko.

– Nieprawda! – krzyknęłam.

Przewrócił oczami i wyjął z kieszeni klucze do samochodu. Otworzył zamek, a następnie drzwi i westchnął zniecierpliwiony.

Cholera. Tego się nie spodziewałam. Myślałam, że zostawił klucze w stacyjce.

– Lexi – zwrócił się do mnie szorstko – to jest Katia. Pracuje dla firmy Królewska Służba i w tym tygodniu nauczy cię sprzątać domy. Zna założenia naszego projektu i zgodziła się wziąć w nim udział. Będzie mnie o wszystkim informować.

– Nie – powtórzyłam. – To jakieś szaleństwo. Nie mam zamiaru tego robić.

– Jeśli nie wysiądziesz, zadzwonię do twojego ojca – zagroził.

– Dobra – odrzekłam uparcie. – Dzwon. Mam to gdzieś.

– Dobra – powtórzył spokojnie za mną.

Patrzyłam, jak wyciąga telefon i wybiera numer. Przyparł mnie do muru, skubany.

– Nie! – krzyknęłam, wyskakując z samochodu. Chciałam wyrwać mu telefon. – Nie dzwoń! Pójdę! Niech będzie. – Z całej siły trzasnęłam drzwiami.

Uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony ze swojego małego zwycięstwa, i otworzył bagażnik. Nachylił się, szperając w neseserze, aż wreszcie wyjął białą aktówkę. Przekrzywiłam głowę, starając się dostrzec, jaki napis widnieje na okładce. Wyraźne czarne litery układały się w tytuł: „Praca nr 1”.

– Będziesz pracować osiem godzin dziennie przez pięć dni – oznajmił oficjalnym,

informacyjnym tonem, spoglądając na kartkę wyjętą z teczki.

– *Osiem godzin?! – zapiszczałam. – To nieludzkie!*

Blondyna chrząknęła, więc popatrzyłam na nią niechętnie.

– Tak, Katio? – zwrócił się do niej Luke.

– Zeszły tydzień ja pracować rano i wieczorem dzień w dzień! – warknęła łamaną angielszczyzną, jakby odbierała tę całą sytuację bardzo osobiście. – Siedem dni po szesnaście godzin każdy dzień!

Cudownie, pomyślałam. Moim szefem będzie osobista sprzątaczką Hitlera.

– To chyba rozwiewa nam wątpliwość co do nieludzkiej ilości godzin – stwierdził Luke. Ton jego głosu wskazywał, że coś chyba było mu zbyt wesoło.

– To się nie liczy – nie chciałam dać za wygraną. – Ona robi to zawodowo.

– Ty też będziesz. – Wyszczrzył zęby.

Katia ponownie pchnęła czerwone wiadro w moją stronę. Nie miałam innego wyboru, jak je przyjąć. Tym razem niemal wepchnęła mi kubek w ramiona, jednocześnie puszczając uchwyt, i musiałam go złapać, nim upadłby na ziemię.

– Dzięki – wymamrotałam.

Wtedy zarzuciła mi uniform na ramię i skinęła z napięciem.

– Dobra. Idziemy!

– Powodzenia! – krzyknął za mną Carver, gdy z ociąganiem wlokłam się do wejścia. Zanim drzwi rezydencji zamknęły się za mną, obróciłam się i po raz ostatni tęsknie spojrzałam na wolność świata zewnętrznego. Na niewielkiego srebrnego sedana cofającego z placu. Na białą minifurgonetkę z logo Królewskiej Służby na boku. Wijące się różowe litery splatały się i kręciły, tworząc dekoracyjne kręgi i wstążki. Jakby fikuśne logo miało jakimś magicznym sposobem przeobrazić zawód sprzątaczką w wesołą, rozrywkową pracę, godną księżniczki.

Skoro w rzeczywistości jest zupełnie inaczej.

Moja opowieść to historia Kopciuszka opowiedziana od tyłu.

A baśń już oficjalnie przerodziła się w horror. „I żyła długo i szczęśliwie” na jachcie na Morzu Śródziemnym przeistoczyło się w: „I żyła długo i nieszczęśliwie” w mrokach podziemi Brentwood. A księżniczka, niegdyś piękna, pierwsza kobieta glamour, której nazwisko widniało na liście VIP-ów każdego balu w mieście, otrzymała wiadro pełne środków do czyszczenia i za dotknięciem magicznej różdżki została przemieniona w sprzątaczkę.

Sprzątanie dla bystrzaków

Ludzie są odrażający. Co za chlew. Z każdego przedmiotu i mebla choć odrobinę podobnego do wieszaka zwisały brudne ubrania. Cały hol przed wejściem był upstrzony błotnistymi odciskami łap jakiegoś bliżej niezidentyfikowanego zwierzęcia, które musiało się niezłe bawić, biegając w kółko. Na schodach piętrzyły się stosy brudnych naczyń. Na *schodach*. Dlaczego ktoś miałby kłaść naczynia w takim miejscu? Kto w ogóle tak robi?!

Zahaczyłam o coś obcasem. Oby to nie była guma.

Boże, jeszcze gorzej. To bielizna.

Spadam stąd.

Odwróciłam się i ruszyłam do drzwi. Ale Katia okazała się zadziwiająco silna i... szybka. W mgnieniu oka jej kościste palce zamknęły się na moim ramieniu.

– Nie, nie – powiedziała, kręcąc głową i na dokładkę traktując moje uszy gardłowym „a-a”. – Zostaje. Sprzątać! – Zerwała uniform z mojego barku, wepchnęła mi go w ręce i wskazała boczne drzwi. – Tam łazienka – wyjaśniła zirytowanym tonem. – Przebierz. Potem sprzątaj tam!

No po prostu nie chciało mi się wierzyć. Czy to babsko wciąż nie dostrzegało, w jakim stanie się znajduję? Że mam kaca? Że moja skóra jest blada i niemal *zielona*? Przecież wystarczy krok i mdleję!

– Przepraszam – bąknęłam otumaniona. Na chwiejnych nogach podeszłam do schodów i klapnęłam na najniższym stopniu. – Ale muszę chwilę odpocząć. Źle się czuję.

Lecz w chwili, gdy mój tyłek spotykał się ze schodkiem, zostałam mocno poderwana do góry. Palce koszarnej blondyny znów zacisnęły się na mojej ręce, lecz tym razem, na dokładkę, zaczęła dosłownie *wlec mnie* w kierunku łazienki.

– Aua! – jęknęłam, gdy mnie puściła. Masowałam sobie obolały biceps. – Będzie

ślad!

Ze szczerym, gorzkim grymasem niezadowolenia na twarzy stanęłam w wejściu do łazienki, czekając na przeprosiny. Nie pojawiły się. Zamiast tego drzwi zatrzasnęły się z hukiem, mijając o centymetr koniuszek mojego nosa. Bogu dzięki, że w liceum przeszłam operację skrócenia kinola! W innym wypadku właśnie pocałowałabym się z litym drewnem.

Naburmuszona siedziałam w środku z nadąsaną miną przez dobre pięć minut, gdy nagle rozległo się głośnie walenie.

– Koniec siedzenia! Przebrać się! Sprzątać! Bo zadzwonię do Luke! – powiedział sekundę później gburowaty głos.

Westchnąwszy, niechętnie zrzuciłam z siebie moją stylizowaną na lata dwudzieste sukienkę, wepchnęłam ją do torebki i narzuciłam przez głowę błękitny uniform w białe paski.

Odwróciłam się do lustra, by zobaczyć, jak wyglądam. Pożałowałam natychmiast.

Było gorzej, niż myślałam.

Co za potworny fason. Materiał sztywny i niewygodny, jakby został zrobiony z papieru ekologicznego albo czegoś w tym stylu.

Jedynym wybawieniem była dla mnie czarna peruka z włosami do brody. Zdecydowałam, że w niej zostanę. Była przekrzywiona, więc poprawiłam ją nieco, by mogła udawać moje prawdziwe włosy. Skoro każą mi nosić ten ohydny kombinezon, mogę chociaż spróbować ukryć swoją tożsamość. Teraz, patrząc w lustro, niemal uwierzyłam, że stoi przede mną ktoś zupełnie inny.

Choć to niewielka nagroda pocieszenia, przyjęłam ją z ulgą.

Znów rozległo się łomotanie do drzwi.

– Sprząta, tak?!

– Tak! – warknęłam zirytowana.

Jeszcze przez chwilę przypatrywałam się swojemu odbiciu. Na mojej twarzy malowała się smutna mieszanka przerażenia i rozpacz. Opłakiwałam swoje przeszłe życie. Jeszcze przed dwunastoma godzinami tańczyłam w najgorętszym klubie w Vegas, obsługiwana przez słodziutkich, półnagich kelnerów. Strumieniami lał się szampan, za którego butelkę płaci się więcej niż za czynsz w większości domów i mieszkań. Otaczali mnie najpiękniejsi i najważniejsi ludzie świata, a ja miałam na sobie strój zaprojektowany specjalnie dla mnie przez jednego z najbardziej pożądaných projektantów przemysłu mody.

A teraz miałam czyścić czyjś kibel.

Zaje-kuźwa-biście.

Odwróciłam się niechętnie i stanęłam twarzą w twarz z porcelanową bestią. Uniosłam nogę i czubkiem buta podniosłam klapę. Starając się zachować rozsądną odległość, nachyliłam się ostrożnie i zajrzałam do środka. Wewnątrz pływał

obrzydliwy szarobrazowy placek nawet–nie–chcę–wiedzieć–czego.

Przy okazji moje ciało udowodniło, że odruch wymiotny funkcjonuje u niego na najlepszym poziomie.

Szperałam w wiadrze, aż znalazłam butelkę z nalepką „Czyści wszystko”. Chyba wystarczająco wszechstronny środek. Zakrywając nos i usta jedną ręką, drugą rozpyliłam płyn w całej łazience: potraktowałam nim kibel, zlew, ściany, lustro i podłogę. Spuściłam wodę w toalecie, naciskając spłuczkę butem, i czym prędzej wycofałam się z pomieszczenia.

– Zrobione! – zawołałam, wchodząc do holu i pospiesznie zamykając za sobą drzwi. – Łazienka czysta!

Upiorna blondyna wyszła zza rogu z mopem w dłoni. Skinęła na leżący na środku holu czerwony elektroluks.

– Dobrze. Teraz odkurzyć. U góry.

Jęknęłam i ruszyłam po schodach, ciągnąc za sobą odkurzacz. Był strasznie ciężki i obijał się głośno o drewniane stopnie.

– Nie! – ryknęła Katia. – Podnieść! Podnieść!

Przewróciłam oczami, chwyciłam tę wielgachną maszynę, unosząc ją kilka centymetrów nad podłogę, i zabrałam się do dalszej wspinaczki.

Pierwszy pokój wyglądał na sypialnię jakiejś trzynastolatki. *Bałaganiary*. Popatrzyłam wkoło. Na ścianach wisiały plakaty przedstawiające stado nastoletnich idoli. Każdy z nagim torsem i seksownym, nieobecny spojrzeniem. Śmiać mi się chciało, bo co najmniej połowa z nich jeszcze paręnaście godzin wcześniej świetnie się bawiła na mojej imprezie w Vegas.

Westchnąwszy, rozejrzałam się za wolnym gniazdkiem i podłączyłam odkurzacz. Dobra, to jak to włączyć? Uznałam, że gdzieś musi być jakiś włącznik.

Włącznik, włącznik, włącznik.

W takim razie może przycisk?

Przycisk, przycisk, przycisk.

I jak ja to miałam, do licha, uruchomić?

Po cichu wyszłam na korytarz i zerknęłam na dół przez barierkę. Ujrzałam Katię na czworakach, z wiadrem mydlanej wody, zmywającą błotniste ślady zwierzęcych łap.

Wróciłam do pokoju. Nie chciałam prosić mojej prześladowczyni o pomoc – jeszcze sama wzięłaby się do odkurzania, oddając mi wiadro. Prawdę mówiąc, już bardziej widziało mi się sprzątanie sypialni – znów obiegłam wzrokiem plakaty – w towarzystwie przyjaciół niż zmywanie tam, na dole, podłogi na klęczkach.

Wyjęłam telefon, otworzyłam przeglądarkę i wpisałam w Google: „Jak włączyć odkurzacz”. Parę minut później wreszcie znalazłam instruktażowy rysunek urządzenia podobnego do tego, które uparcie milczało obok mnie. Po lewej znajdował się

niewielki przycisk oznaczony literami „On”.

Marszcząc podejrzliwie brwi, spojrzałam na potwora z rzeczywistego wymiaru, odnalazłam właściwe miejsce i nacisnęłam je butem. Elektroluks obudził się do życia, rycząc przeciągle, i niemal natychmiast skoczył do przodu, uciekając mi spod nóg. Schyliłam się i w porę go schwyciłam.

Dobra. Jedno z głowy. Tylko co się z tym urządzeniem robi?

Kilka kolejnych kliknięć w Google naprowadziło mnie na filmik na YouTube, w którym kobieta w szpilkach i rozszerzanej sukience w stylu lat pięćdziesiątych zasuwa ze staromodnym odkurzaczem, uśmiechając się przy tym pełnią swojej wytapetowanej twarzy.

Nie wydaje się takie trudne, pomyślałam. Do przodu, do tyłu, powtórzyć kilka razy i robota skończona.

Spojrzałam na dół i zmarszczyłam brwi. Dywan ledwo co było widać. Wszędzie walały się jakieś graty. Ubrania, bibeloty, papiery i akcesoria do włosów.

Uznałam, że to przecież nie mój problem. Skoro ta głupia dziewczyna nie ma ochoty podnosić rzeczy z podłogi, jej sprawa.

Stęknęłam i ociężale zabrałam się do pracy, ciągnąc za sobą wielką, ryczącą maszynę. Nie szło mi tak łatwo i przyjemnie jak tej uśmiechniętej pańci na filmiku, ale z drugiej strony ona miała do odkurzenia jedynie czysty dywan. Mój był niemal całkowicie pokryty jakimiś gównami. Czułam się, jakby ktoś wsadził mnie za kierownicę porsche i kazał jechać wyboistą górską ścieżką, zazwyczaj zarezerwowaną dla SUV-ów i pojazdów terenowych. Ale, muszę przyznać, odkurzacze świetnie sobie radził z zasysaniem wszystkiego co popadło. Mniejsze przedmioty, jak skarpetki, bielizna, spinki do włosów i kawałki kartek, poddawały się bez walki. Z większymi – stanikami, spódniczkami, płytami DVD czy szczotkami do włosów – trzeba było się trochę napracować.

Przystanąłam na moment, by popodziwiać moje dzieło.

Ach... Od razu lepiej.

Już było widać dywan. Miał śliczny blad różowy kolor. I kilka trudnych do zidentyfikowania plam.

Lecz i tak obecny widok stanowił ogromną poprawę...

Chrrrrrrrup!

Co to było? Najpierw zgrzytnięcie, a później obrzydliwy odgłos, jakby komuś zbierało się na wymioty. Przypominało to dźwięki, jakie pewnego razu wydawała z siebie Holly, gdy połknęła zbyt dużego robala i próbowała go zwrócić.

Odwróciłam się i wtedy dotarło do mnie, że te brzmienia wydawał z siebie odkurzacze. Właściwie już zaczął się skręcać w konwulsjach, puszczając z brzucha dym. Dobra, chyba tak to nie powinno być.

Wyjęłam telefon i ponownie odtworzyłam filmik na YouTube.

Nie, nie zdawało mi się – w filmiku nie pojawił się żaden dziwny obłoczek. Nie było żadnych odgłosów zwracania, a odkurzająca pani zdawała się bawić w najlepsze. Jakby na świecie nie było żadnej lepszej rozrywki niż przesuwanie rury odkurzacza do przodu i do tyłu przez cały dzień.

Chyba była pijana.

O cholerka, ale ten dym śmierdzi. Trochę jak odór spalonej gumy zmieszany ze spoconym ciałem. Pomyślałam, że lepiej jakoś to naprawić, bo pewnie lada moment smród doleci do Katii i kobieta przybiegnie, by znów na mnie nakrzyczeć. Rozejrzałam się po pokoju i mój wzrok padł na stojącą na szafce nocnej, zaraz przy różowym łóżku księżniczki, szklankę z wodą.

Schwyciłam ją czym prędzej i chlusnęłam zawartością w odkurzacz. Dym zniknął niemal natychmiast, więc odetchnęłam z ulgą.

Ale moje ukojenie nie trwało długo. Po chwili z maszyny poleciały iskry. A gniazdko na ścianie zaczęło wydawać dziwaczne odgłosy, jakby pstrykać. I wtedy w całym domu zgasło światło.

*K*amuflaż idealny

Więc odkurzacz się usmażył. Katia była wściekła. Przez co najmniej piętnaście minut przeklinała mnie w swoim języku. A przynajmniej założyłam, że ten potok niezrozumiałych wyrazów to przekleństwa. Jedyne, co udało mi się zrozumieć z dorzucanych co rusz angielskich słów, to że *nie wolno zasysać przedmiotów*. Najpierw się je zbiera z podłogi.

Ale skąd ja to, na litość boską, miałam wiedzieć?! Kazała odkurzać, więc to robiłam. Czy ona spodziewała się, że przyszedłam na świat z wrodzoną wiedzą na temat sprzątanania? Mogła chociaż udzielić mi kilku wskazówek, nim dała mnie wilkom na pożarcie.

Musiała dojść do tego samego wniosku, ponieważ gdy udało jej się znaleźć skrzynkę z bezpiecznikami, przywrócić prąd w domu i wydostać z odkurzacza zassane przedmioty, przez resztę dnia już nie odstępowała mnie na krok. Stała nade mną, wyszczekując rozkazy jak jakiś sierżant podczas musztry. Kazała szorować podłogi, zlewy, toalety i szklane stoliczki tak długo, aż na żadnej powierzchni w domu nie ostał się choćby jeden mikroorganizm.

Zbliżała się czternasta, a my zbliżyliśmy się do końca. Katia obserwowała, jak ścierałam kurze w salonie, gdy nagle drzwi domu trzasnęły i w holu rozległ się pospieszny tupot.

Zwróciłam swoje wielkie, zdziwione oczy na Katię, ale jej twarz wyraźnie powiedziała: „Sprzątać, nie przestawać!”.

W odległej kuchni ktoś otworzył, potem zamknął drzwi lodówki. Po chwili do salonu wbiegła drobna dziewczynka o grubych, falujących włosach, z aparatem ortodontycznym na zębach i wskoczyła na kanapę. Stopy w brudnych tenisówkach złożyła na stoliku, który czyściłam przez dobre pół godziny, i zaczęła siorbać swój napój.

Znów spojrzałam na Katię, tym razem z jawnym wyrazem furii, lecz mina mojej towarzyszki wyrażała tę samą sugestię co wcześniej.

Wtedy dziewczyna wyjęła kolorową gazetę, otworzyła ją i zaczęła czytać. Przez moment niemal zapomniałam o oddychaniu, ponieważ pannica trzymała w dłoniach najnowsze wydanie „Tattle”, jednego z najbardziej popularnych tabloidów w kraju. I kto znajdował się na okładce? Tak, dokładnie. Zrozpaczony Kopciuszek.

Zdjęcie przedstawiało mnie zaraz po tym, jak wygramoliłam się z rozwalonego mercedesa na ulicy Sunset. Wyglądałam jak trzy ćwierci, rzecz jasna.

Zamarłam, obserwując, jak niczego nieświadoma nastolatka siorbie napój i wygłodzonym wzrokiem pożera stronę po stronie.

I wtedy, po raz pierwszy, od kiedy wpadła do domu, uniosła głowę i spojrzała prosto na mnie. Nasze oczy spotkały się, spojrzenia zetknęły. Moim ciałem wstrząsnęło najbardziej odrażające, potworne przerażenie.

To koniec. Byłam pewna, że ten mały głupek zaraz wyjmie komórkę, zadzwoni do przyjaciółki i zacznie paplać: „Nie uwierzysz! Lexington Larrabee jest teraz w moim domu! I wiesz co? Sprząta! Nie... Tak! *Ta* Lexington Larrabee. No serio! Ma na sobie fartuch sprzątaczkii!”. Już wiedziałam, że nim zdążę się odwrócić, paparazzi oblegną dom niczym brygada SWAT podczas odbijania zakładników i wtedy *bam!* Zdjęcie przedstawiające mnie w tym godnym pożalowania uniformie znajdzie się na następnej okładce „Tattle”.

Ciekawe, czy udałoby mi się ich przekonać, że to wszystko tylko żart. Że chciałam, ot, kawał odwalić. Albo lepiej, przegrałam głupi zakład i teraz musiałam odrobić swoje. Na pewno znajdę jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

– Co? – rzuciła z szyderczym uśmieszkiem maślana, unosząc czubek nosa. A gdy przez dłuższą chwilę nie usłyszała żadnej odpowiedzi, gdyż ja nie odważyłam się nawet zamrużyć, zirytowała się jeszcze bardziej. – Na co się tak gapisz?!

– Eeee – wyrwało mi się, gdy powoli wychodziłam z myślowego transu. Prędko schyliłam głowę i z oddaniem zajęłam się czyszczeniem wazonu nieopodal. – Na nic.

Zdecydowałam się raz jeszcze spojrzeć w stronę dziewczyny, ale ta jedynie przewróciła oczami i wróciła do lektury. Wtedy właśnie doznałam zdumiewającego objawienia. Niemal zdzieliło mnie pięścią w brzuch.

Ona mnie nie poznaje.

Stałam kilka kroków przed nią, a ona w ogóle nie zorientowała się, kogo ma przed sobą.

Mój umysł w sekundę zwariował. Chwiał się na krawędzi, uwikłany w bolesną walkę między uczuciem ulgi a znieważeniem. Byłam rozpoznawana, zawsze, wszędzie, przez wszystkich. Nawet w sytuacjach, gdy wyjątkowo zależało mi na anonimowości, wtedy, gdy czyniłam starania, by nikt nie wiedział, że ja to ja, ostatecznie znajdował się ktoś, kto potrafił mnie przyuważyć i sfotografować.

Katia z zaciekawieniem spoglądała raz na mnie, raz na okładkę, biegnąc ścieżką prowadzącą do źródła mojej udręczonej miny.

I wtedy nachyliła się do mnie i tonem, który można by niemal uznać za współczujący, szepnęła proste, acz wiele mówiące wyjaśnienie, na które sama nie byłam w stanie wpaść:

– Nikt nie zwraca uwagi na służba.

Data: Sobota, 2 czerwca. 20.10

Do: Luke Carver

Od: Video-Blaze.com

Temat: Otrzymałeś wiadomość video od Lexington Larrabee

KLIKNIJ TUTAJ, BY OBEJRZEĆ WIADOMOŚĆ



Lub przeczytaj poniższą transkrypcję stworzoną dzięki naszej automatycznej funkcji zapisu tekstu mówionego.

[TRANSKRYPCJA]

Siemasz, Luke! Lucas. Lukinatorze. To ja. Lex. Powiedziałeś, że mogę przesłać ci sprawozdanie w dowolnej formie, więc pomyślałam, że nagram film. Postawiłam na ten format, bo wiesz, moje pokolenie komunikuje się właśnie w taki sposób. E-maile są *taaaaakie* niemodne. Poza tym ni cholery nie chce mi się pisać. A nawet jeśli by mi się chciało, to nie wiem, czy fizycznie byłabym w stanie.

Widzisz to? Widzisz te wszystkie plastry na moich palcach? To od żelazka. Tak. *Że-laz-ka*. Tego samego, którego używa się do prasowania ubrań. Ktokolwiek to wynalazł, na pewno był masochistą. Pytanie. Dlaczego nie robi się ubrań tak, żeby się po prostu nie gniotły? No serio, czy to takie trudne? Człowiek już dawno wylądował na Księżycu, a ludzkość nie jest w stanie wynaleźć głupiej bluzki, która by się nie gniotła? Coś nie halo.

Proszę. Oto moje wnioski z dzisiejszego dnia. Pasjonujące, nieprawdaz?

I co to ja jeszcze miałam zawrzeć w tych durnych sprawozdankach? Ach, tak. Moje głębookie życiowe doświadczenia. Okej, spoko. Chcesz wiedzieć, czego się w tym tygodniu nauczyłam, harując jak ten wół? Och, przepraszam, jak sprzątaczką.

Nauczyłam się czyścić lodówkę! HUUURRA!

I to dopiero przydatna umiejętność. Jeśli kiedykolwiek będę na imprezie i akurat zdarzy się wypadek z udziałem brudnej lodówki, a czyjeś życie będzie wisiało na włosku, będę w stanie zapanować nad sytuacją! Wszyscy inni będą w panice latać dookoła, a ja stanę i powiem: „Nie ma powodu do obaw! Zostałam odpowiednio przeszkolona!”.

[Dźwięk niemożliwy do zidentyfikowania]

Och. To moja komórka. I nie odbiorę. To pewnie moi przyjaciele dzwonią z pytaniem, czy miałabym ochotę gdzieś wyskoczyć. Ale czy mogę? Nie. Bo na całym ciele mam ohydne siniaki. Widzisz, o ten, na ramieniu? Tak mnie potraktował stolik do kawy. A to zadrapanie na twarzy? Zaraz pod brodą? To miłe spotkanie z bardzo wrogo nastawionymi poziomymi żaluzjami. Ach, jak mogłam zapomnieć o tych obtarciach na kolanach, powstałych od szorowania ponad trzystu

pięćdziesięciu metrów kwadratowych podłóg pokrytych ceramicznymi płytkami. Naprawdę myślisz, że pokażę się znajomym w takim stanie?!

A już nie wspomnę o tym, jak mnie wszystko boli po czterdziestu pieprzonych godzinach sprzątnięcia, szorowania, zmywania, zmiatania, ścierania kurzu, polerowania, odkurzania, prasowania i prania. Ledwo chodzę, więc co tu w ogóle mówić o odstawianiu się do klubu. Albo tańczeniu na stołach.

Więc zamiast się bawić, cały weekend spędzę w domu. Będę leżeć jak jakiś leser. Mam nadzieję, że dzięki temu i ty, i mój ojciec będziecie bardzo, bardzo szczęśliwi. Mam nadzieję, że będziecie z siebie bardzo, bardzo zadowoleni, bo wasza mała misja „Jak uczynić życie Lexi nieznośnym” odnosi *ogromny* sukces.

Tyle. Oto moje oficjalne sprawozdanie z pierwszego tygodnia pracy. Mam nadzieję, że przerośnie twoje najśmielsze oczekiwania. Idę spać. O dwudziestej. Jak jakaś dwulatka.

Czekaj. Właśnie mi się przypomniało. Wyciągnęłam jeszcze jeden ważny wniosek. Zdałam sobie z czegoś sprawę. Doświadczyłam *objawienia*. Gotowy na nowinę? Czy aby jesteś pewien, że chcesz to usłyszeć? Okej, a więc:

Okazało się, że nie mam jednego ani dwóch, lecz pięćdziesiąt dwa powody, by nienawidzić mojego ojca. Królewska Służba. Usługi sprzątające to pierwszy z nich.

[KONIEC TRANSKRYPCJI]

Pora spać

Wyłaczyłam laptop, zawlekłam moje zmęczone, posiniaczone, zszargane ciało do łóżka i opadłam na posłanie jak worek ziemniaków. Holly wdrapała się do mnie po swoich robionych na miarę, obitych czerwonym dywanikiem schodkach i skuliła się na kołdrze.

Czy ludzie naprawdę robią coś takiego tydzień w tydzień i tak przez całe życie?

Jakim cudem nie odpadają im ręce i nogi?

Telefon znów zadzwonił, a ja znów go zignorowałam. Myśl, że moi przyjaciele właśnie bawią się w najlepsze na mieście, sprawiała, że chciało mi się płakać. Nie byłam w stanie sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz (czy też pierwszy) nie miałam ochoty wychodzić z domu. Przecież jestem Lexington Larrabee. Wychodzenie i bywanie to moja działka. To właśnie ja.

Ale to należało do przeszłości.

Dobłą stroną tej całej sytuacji był fakt, że już nie musiałam się martwić możliwością przypadkowego natknięcia się gdzieś na Mendiego.

Komórka zadzwoniła po raz trzeci. Udało mi się odnaleźć ją pośród skotłowanej pościeli i wyłączyć dźwięk. Znów zwałam się na łóżko, jęcząc wniebogłosy.

Holly uniosła główkę i spojrzała na mnie zaciekawiona, stawiając spiczaste, motyle uszka.

– Wiem – westchnęłam, zwracając się do niej. – To takie żałosne.

Podniosła się, przydreptała bliżej mnie i złożyła pyszczek na moim brzuchu.

– Dzięki – powiedziałam, siląc się na wątły uśmiech. – Ty jedna mnie rozumiesz.

Dwadzieścia minut później, gdy powoli odpływałam w krainę upragnionego snu, rozległo się pukanie.

– Idź sobie! – krzyknęłam do nieproszonego gościa.

Ale drzwi otworzyły się mimo to i do środka wpadły Jia i T, odstawione na imprezę.

Dotarły do mnie w podskokach i klapnęły na łóżku, jedna po mojej prawej stronie, druga po lewej. Jęknęłam i zakryłam buzię poduszką.

– Kto was wpuścił?

– Señor Horatio – odparła wesoło T. – No już, podnoś tyłeczek i wskakuj w coś ślicznego. Idziemy do Mist.

– Nie – powiedziałam, nie zsuwając poduszki z twarzy. – Nigdzie nie idę.

– Lex, nie możesz przez całe życie chować się przed Mendim. Pamiętaj, że to *twoje* miasto. Musisz wyjść z domu i oznajmić to wszem wobec – powiedziała surowym tonem Jia.

– Tu nie chodzi o Mendiego. – Choć przykrycie tłumiło mój głos, miałam nadzieję, że odpowiedź wydała się moim przyjaciółkom tak samo zdecydowana jak mnie.

Jia wydała z siebie przesiąknięte irytacją westchnienie, po czym odsunęła poduszkę z mojej twarzy i kołdrę z ciała. Na widok posiniaczonej, sponiewieranej osóbki, która wyłoniła się spod pościeli, obie jak jeden mąż wydały okrzyk zdziwionego przerażenia.

– O cholera! – krzyknęła T. – Co ci się stało?

– Przez pięć dni z rzędu sprzątałam domy.

– To stąd ten smród – oznajmiła Jia. Skinęła głową z satysfakcją. Wyglądało na to, że od kiedy jej stopy przestąpiły próg pokoju, wciąż próbowała się domyślić źródła dziwnego zapachu.

– Sprzątałaś je czy stoczyłaś z nimi bitwę? – spytała T.

Zdobyłam się na słaby śmiech.

– Chyba i jedno, i drugie. – Z powrotem naciągnęłam na siebie kołdrę. – Więc, jak widzicie, znajduję się w stanie, który nie pozwala mi na wyjście z domu.

Spojrzały po sobie i pokiwały głowami, przyznając mi rację.

– Bawcie się dobrze – wymamrotałam.

Zapadła niezgrabna cisza. Wiedziałam, że jeszcze nie wyszły, ponieważ wciąż czułam ciężar ich smukłych ciał, posadzonych na obu brzegach łóżka. Lecz coś dziwnego w cyrkulacji powietrza i subtelnej zmianie w nacisku na materac powiedziało mi, że próbowały się porozumieć za pomocą gestów.

Zamrugałam, otworzyłam oczy i ujrzałam T kręcącą głową i krzyżującą dłonie, jakby na coś się nie zgadzała, a jej usta ułożyły się w bezgłośnie: „Nie teraz”.

Gdy zdała sobie sprawę, że na nią patrzę, jej ręce natychmiast opadły, a na twarz wskoczył sztuczny uśmiech.

– Co? – spytałam.

– Nic – rzuciła pośpiesznie. Sięgnęła dłonią do moich włosów i zaczęła je gładzić, ale prędko się odsunęłam.

– Ma prawo wiedzieć – powiedziała Jia swoim słynnym grobowym tonem pod tytułem „Załatwimy to tu i teraz”.

– Tak, ale może to usłyszeć jutro. Gdy już wypocznie. Przecież widać, że opada z sił...

– Tak, dowie się, ale od kogoś innego! – wcięła się Jia. – A gdy to się stanie, może nas przecież wtedy przy niej nie być. Kto ją pocieszy?

– Zamknijcie się i powiedzcie wreszcie, o co chodzi – rozkazałam.

T wypuściła powietrze z płuc i zwróciła swoje oczy na mnie.

– Chodzi o twojego ojca, kochanie.

– Co z nim? – spytałam, podejrzliwie przenosząc wzrok od jednej do drugiej.

– On... – zaczęła T. – Cóż, chodzi o to...

Jia przerwała jej, wzdychając niecierpliwie, chwyciła z szafki pilota i włączyła telewizor.

W pokoju rozbrzmiały znajome dźwięki Access Hollywood. Na ekranie pojawiło się nagranie video przedstawiające mojego ojca na czerwonym dywanie z jego najświeższą zdobyczą, Rêve. Akurat brali udział w jakimś wystawnym przyjęciu. On uśmiechał się do dziennikarzy swoim zwyczajowym, powściągliwym, acz wyrażającym szacunek uśmiechem, podczas gdy jego partnerka, odziana w powłóczystą czerwoną suknię Valentino, szczyrzyła się pełnią zębów i machała do aparatów i kamer, jakby stanowiła główną atrakcję jakiejś parady.

Nagle scenę przerwał łagodny głos gospodarza Access Hollywood.

– Po powrocie pary z romantycznego dwudniowego pobytu w Paryżu rzecznicy rodziny Larrabee wydali oficjalne oświadczenie. Nie ustalono jeszcze dokładnej daty, lecz ceremonii należy spodziewać się jeszcze przed końcem roku.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

Jia wyciszyła dźwięk w telewizorze i odrzuciła pilota z powrotem na szafkę.

– Zaręczyli się.

Substancje pogarszające nastrój

Gdy w poniedziałkowy rano wkładałam drugi but (na ten dzień wybrałam espadryle Emilio Pucci), rozległ się zniecierpliwiony klakson. Nuciłam wesoło pod nosem, nie przerywając porannego rytuału: starannego wykończenia makijażu, dobrania odpowiedniej biżuterii. W skrzyneczce ze skarbami wyszperałam jeden długi kolczyk w kształcie łyżki i natychmiast przyłożyłam go do ucha, by sprawdzić, czy pasuje do nowej peruki.

Po tym jak w zeszłym tygodniu stanęłam twarzą w twarz z nastolatką czytającą gazetę z moją fotką na okładce, postanowiłam, że do każdej pracy będę zmieniać wygląd. Ot, co tydzień będę pojawiać się w odświeżonym przebraniu. Potraktowałam to nie tylko jako konieczność, ale też umilacz dla samej siebie. Skoro miałam przetrwać te roczne tortury, to równie dobrze mogłam się tym choć trochę bawić. Zresztą stwierdziłam, że to świetny sposób, bym nabrała do tych katuszy dystansu. Na przykład dziś nie byłam Lexington Larrabee, zmuszaną do pracy Bóg wie jakiej i Bóg wie gdzie, lecz Cassandrą, ognistym rudzielcem o długich, bogatych puklach. Wyglądałam tak, jakbym lada moment miała pójść na casting na prezentera wiadomości.

Znalazłam w Internecie hurtownię oferującą peruki po niskich cenach i już zamówiłam pierwszą partię. Od teraz co tydzień będę mogła wcielić się w zupełnie nową osobę!

Znów doszło mnie trąbienie klaksonu.

Więc zaczęłam nucić jeszcze głośniej, by stłumić dochodzące z oddali odgłosy. Otworzyłam jedną z szuflad i wyjęłam z niej buteleczkę przezroczystego lakieru do paznokci. Powoli nałożyłam na mojego frencha dodatkową warstwę ochronną, podmuchałam paznokcie, by wyschły, po czym przyjrzałam im się z podziwem.

Maniurzystka spędziła ze mną okrągłe trzy godziny! Przez cały ten czas ratowała

opłakany stan moich dłoni – efekt pięciu dni pracy ze środkami do czyszczenia. Nie wspomnę już o masażystce, która musiała zająć się moimi spiętymi mięśniami. Podejrzewam, że dziś nie może kiwnąć palcem, biedaczka.

Ale dobra wiadomość jest taka, że czułam się świetnie. Odświeżona, nowo narodzona.

Ojciec mógł robić, co chciał. Żenić się z dwudziestodwuletnimi materialistkami, płacić wstrętnym łącznikom, by wozili mnie do pracy, ale nie mógł złamać mnie psychicznie. W weekend porozmawiałam sobie z moim terapeutą – uznałam, że okoliczności wymagają nagłego spotkania – i on właśnie grzecznie uzmysłowił mi, że przecież nikt nigdy nie będzie w stanie mieć władzy nad moimi emocjami. A ja nigdy nie będę mogła kontrolować słów i działań innych ludzi. Mogę jedynie pilnować własnych reakcji.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że od początku reagowałam w *zupełnie* niewłaściwy sposób.

Byłam tak bardzo zajęta narzekaniem na zło, które mnie w życiu spotkało, że nie poświęciłam nawet chwili, by się zastanowić, w jaki sposób mogę sama wpłynąć na polepszenie aktualnego stanu. Kiczowate uniformy i połamane paznokcie pochłonęły mnie tak bardzo, że na śmierć zapomniałam o *jedynej* praktycznej cesze, jaką udało mi się odziedziczyć po ojcu – sztuce rozwiązywania problemów. Umiejętności planowania strategii, ogromnej dozie wyobraźni.

Więc postanowiłam. Dziś miałam zamiar ruszyć do walki z zupełnie nowym planem ataku. Taktyką, która miała sprawić, że przetrwam jeszcze pięćdziesiąt jeden tygodni, że wyjdę z nich bez uszczerbku dla mojej godności, reputacji i... mojego manicure'u.

A skoro już tak myślę, to musi być fenomenalne. Było. I tak oczywiste, że cały czas zadawałam sobie pytanie, dlaczego nie wpadłam na to wcześniej. Cóż, pewnie dlatego, że ogrom toksycznych chemikaliów oślepił mnie i otumanił tak, że nawet myśleć nie potrafiłam.

Biiiiiiip!

Przez moment pomyślałam, że głowa jakiegoś martwego ciała opadła bezwładnie na kierownicę. Przewróciłam oczami – niektórzy to dopiero dramatyzują – i wrzuciłam do torby ciuchy na zmianę. W telewizji prezenter zachwycał się piękną prognozą pogody.

– Dzień wymarzony na plażę – piszczał. – Pamiętajcie o kremie z filtrem!

Rozległo się pukanie do drzwi. Wyłączyłam telewizor.

– Proszę! – zawołałam.

W wejściu stanął Horatio. Wyglądał na zaniepokojonego (choć niepokój malował się na jego twarzy tak subtelnie, że trzeba było żyć z nim tak długo jak ja, by to rozpoznać). Holly zaszczekała wesoło, podbiegła do Argentyńczyka i zaczęła

obskakiwać jego łydki. Podniósł ją i wcisnął sobie pod pachę.

– Tak, Horatio?

Jego usta ułożyły się w napięty uśmiech.

– Wygląda na to, że ktoś na panią czeka przed domem.

– Och, czyżby? – rzuciłam niewinnie, pochylając się przed lustrem toaletki, by palcami przeczesać nowe, rude loki. – Nie miałam pojęcia.

Patrzyłam na odbicie Horatia w lustrze i było jasne, że ani przez sekundę nie uwierzył w moje zapewnienia. Było mi naprawdę przykro, że akurat on padał ofiarą w tej trójstronnej wojnie między mną, Carverem i moim ojcem. Ale, hej, podobno w miłości i wojnie wszystko jest dozwolone.

Biiiiiiiiiiiiiiiiip!

Poczekaliśmy, aż ten potworny dźwięk, od którego aż chciałam się skulić w sobie, minie.

– Przekaż mu, że zaraz zejść – powiedziałam słodko.

Horatio odwrócił się i już miał odejść z Holly w ramionach.

– Czeka! – zawołałam. Podbiegłam do niego i nachyliłam się, by potarosić cudowny pyszczek psa. – Pa, pa, maleństwo – gruchałam. – Mamusia będzie za tobą tęsknić. Taaaak, będzie.

Horatio czekał cierpliwie, a ja tymczasem tarosiłam i tuliłam psinkę, aż wreszcie złożyłam na jej główce ostatni, długi pocałunek.

– Dzięki, że się nią zajmujesz. – Wyprostowałam się.

Skłonił się i odwrócił, a gdy już odchodził, słyszałam, jak mamrotał pod nosem: *Los perros no están en mi contrato.*

– Wiem, wiem, Horatio. Wiem, że psów w umowie nie ma – odparłam słodko. – Dlatego jestem ci *taaaaaaka* wdzięczna!

Nie zatrzymując się, pokręcił głową.

– I co? Nie cieszysz się, że gdy byłam dzieckiem, zmuszałeś mnie do oglądania tych wszystkich brazylijskich seriali? – zawołałam, ale nie odpowiedział.

Klakson znów zawył i wstrząsnął dzielnicą, więc westchnęłam, wzięłam torbę i ruszyłam do wyjścia.

– Dzień dobry, Luke – przywitałam się grzecznie, spacerkiem przemierzając odcinek od drzwi do samochodu. – Jak się dziś mamy?

– Dzięki, że wyszłaś tak szybko – bąknął.

Wsiadłam do auta z promiennym uśmiechem.

– Ależ nie ma sprawy!

Jego wzrok powędrował do mojego ubioru, zatrzymał się na moment na nowej peruce, po czym przeskoczył do stóp. Pokręcił głową.

– Dobrze by było, żebyś w tym tygodniu założyła jakieś wygodniejsze buty.

Spojrzałam na paznokcie u stóp i po prostu nie mogłam się nie uśmiechnąć na

widok ślicznych maleńkich stokrotek, jakie namalowała mi manikiurzystka.

– Co ty pleciesz? Przecież to espadryle od Pucciego!

Posłał mi puste spojrzenie.

– Espadryle znane są właśnie z wygody.

– Jak chcesz – wymamrotał. – To twoje stopy.

Zapięłam pas i zabrałam się do dalszego podziwiania mojego pedicure’u. Luke miał rację. To moje stopy. A dzięki mojej wyjątkowej strategii nie planowałam się dziś nimi zbytnio napracować.

Poczułam, że Carver wwierca się wzrokiem w bok mojej głowy. Zostawiłam paznokcie w spokoju, przeniosłam oczy na niego – gapił się na mnie podejrzliwie.

– No co?

Zmrużył powieki.

– Co z tobą dzisiaj?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Co z *tobą*?

– Wydajesz się... – szukał właściwego słowa. – Zadowolona.

Zachichotałam, patrząc na wyraz zdumienia na jego twarzy.

– Zawsze jestem zadowolona.

Było po nim widać, że toczy wewnętrzną walkę. Starał się stłumić chęć rzucenia jakiejś kąśliwej uwagi. Rozważał, czy wykorzystać tak rzadką chwilę i obrazić mnie, czy może lepiej trzymać język za zębami i podtrzymać mój niespodziewany dobry nastrój.

Szczerze, mało mnie to obchodziło. Jego zachowanie nie wpłynie na mój dobry humor. Nie dziś. Nic, co by zrobił czy powiedział, nie zepsułoby tak dobrego dnia, jaki się przede mną zapowiadał.

Nawet to, że po raz enty rozpoczął tak dla mnie bolesną, żmudną procedurę przygotowania auta do jazdy. Zazwyczaj doprowadza mnie to do szału. Fakt, że musi sprawdzić ustawienie każdego lusterka po trzykroć, pogrzebać przy ustawieniach klimatyzacji, aż odnajdzie te absolutnie idealne, i ocenić poprawność pracy wycieraczek – *dwa razy* – zanim w ogóle wrzuci bieg. Ale tego dnia trwałam cierpliwie, nucąc pod nosem.

Nawet nie musiałam wkładać wyjątkowej siły, by stłumić chęć oznajmienia mu, że szanse, aby w drodze między jego a moim domem wycieraczki przestały działać, a lusterka zostały magicznym sposobem przestawione, wynoszą jeden na pięć miliardów. Tak jak robiłam to każdego innego dnia.

Nie. Dziś *wszystko* było w porządku.

– Więc? Skąd ten dobry nastrój? – spytał, gdy jechaliśmy autostradą w kierunku doliny. – Czy Louis Vuitton wypuścił nową, obrzydliwie drogą, wyprodukowaną w chińskiej fabryce torbę?

Posłałam mu kpiący uśmieszek.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale jeśli wypuści, na pewno jedną dla ciebie wezmę.

– To jak? Otworzył się jakiś nowy klub? – zgadywał.

– Nie.

– Powiesz mi czy mam dalej zgadywać?

Obróciłam się do niego.

– A co? Nie mogę tak po prostu mieć dobrego humoru?

Spojrzał na mnie kątem oka.

– Nie. Ty nie. Każdy inny tak. Ty nie.

Skrzyżowałam ramiona na piersi, udając urażenie.

– A to czemu?

– Bo jesteś Lexington Larrabee. A Lexington Larrabee nie budzi się tak po prostu z uśmiechem na ustach. Musi mieć powód. Wpływ czynników zewnętrznych.

Moje udawane urażenie gładko przeszło w jak najbardziej rzeczywiste.

– Nieprawda!

– Oczywiście, że prawda – stwierdził tonem znawcy, jakby był profesorem na uniwersytecie, właśnie rozpoczynającym wykład przed salą pełną żądnych wiedzy studentów. – Przecież w twoim życiu chodzi wyłącznie o czynniki zewnętrzne. W świecie zewnętrznym musi zaistnieć coś, co sprawi, że poczujesz się dobrze w środku. To coś w stylu zmiennej zależności.

Zmarszczyłam nos.

– Och, dziękuję, profesorze Carver. Nie miałam pojęcia, że po godzinach jest pan terapeutą.

– Robię dwa dyplomy z psychologii – oznajmił. – Stwierdziłem, że będą się sensownie dopełniać z dyplomem z ekonomii. Jeśli chce się pewnego dnia zarządzać ogromnymi korporacjami, trzeba umieć przeświecić umysły pracowników.

Prychnęłam.

– I gdzie niby studiujesz? *Na Harvardzie?*

Jego mina w ułamku sekundy zmieniła się w smutną, przygnębioną, a wszelka arogancja w jego głosie, wcześniej tak wyraźna, uleciała.

– Nie. Harvard nie chciał przyznać mi stypendium. Z kolei USC zaoferował full serwis. Dodatkowo opcję rocznego stażu w firmie twojego ojca. Więc poszedłem tam. Choć w pierwszej kolejności chciałem do Harvardu.

– Oczywiście, że tak – bąknęłam. – Mniejsza o to, bo i tak grubo się mylisz. *Wcale* nie potrzebuję czynników zewnętrznych, żeby mieć dobry humor. Cały czas jest mi ze sobą dobrze.

Posłał mi powątpiewające spojrzenie.

– Taaa, jasne.

– Ale to prawda! – zapiszczałam. – Dlaczego miałyby być inaczej? Jestem

Lexington Larrabee! Może jeszcze o tym nie wiesz, ale jestem warta dwadzieścia pięć milionów!

– No nie, jeszcze nie jesteś – stwierdził, a na jego twarz znów wypełzło to irytujące zadowolenie, przemieszane z kpina.

– Dobra. Ale *będę*.

– A co, jeśli byś nie była? – spytał.

– Co, jeśli bym nie była czym?

– Co, jeśli byś nie była Lexington Larrabee? Co, jeśli byś nie była warta tych dwudziestu pięciu milionów dolarów? Wciąż czułabyś się ze sobą dobrze?

– Tak – odparłam pospiesznie, czując wzbierającą, palącą w piersi wściekłość. – To nie twój interes, co sprawia, że mam dobry nastrój.

W samochodzie zapadła niezręczna cisza, podczas gdy ja bezgłośnie kipiałam gniewem. Luke spojrzał na mnie po chwili i jego usta wygięły się w ukradkowym uśmiechu.

– Och.

– Co?! – warknęłam, rumieniąc się.

– Chyba zepsułem twój dobry nastrój.

*L*exi Capone

Luke Carver to diabeł wcielony. Nie. Zaraz. To *uczeń* diabła. A to o wiele, wiele gorzej. Ponieważ uczeń *wie*, jak zły jest mistrz – słyszał to i owo o jego niemoralności, bezduszości i okrucieństwie – a jednak, mimo to, chce dla niego pracować. Chce *być* jak on. Ubierać się jak on. Mówić jak on. Podążać jego bolesnymi ścieżkami. A to sprawia, że Luke Carver jest jeszcze bardziej szalony, bardziej odrażający niż sam diabeł.

Przez resztę drogi powtarzałam sobie w duchu, by brać jak najgłębsze oddechy. Przypominałam sobie, jak genialny plan opracowałam, wreszcie, powoli, moja wściekłość zaczęła odpuszczać. Myśl o tym, że uda mi się przechytryć Bruce’a, ojca i tego irytującego głupka, pana dwa-dyplomy-z-psychologii, sprawiła, że płonący w mojej piersi ogień przycichł, a na mojej twarzy znów zawitał beztroski uśmiech.

Dwadzieścia minut później przekroczyliśmy granicę Santa Clarita, położonego na obrzeżach hrabstwa.

– Dlaczego wyjechaliśmy tak daleko poza centrum? – spytałam z grymasem niezadowolenia na twarzy.

– Ojciec uznał, że lepiej będzie, jeśli niektóre prace będziesz wykonywać jak najdalej od miasta, aby ryzyko, że zostaniesz rozpoznana, było jak najmniejsze. Nie chce, żeby media zaczęły węszyć.

Moje palce instynktownie powędrowały do peruki.

– Wychodzi na to, że mamy jakąś wspólną cechę – prychnęłam.

– Badania dowodzą, że ludzie zazwyczaj nie rozpoznają rzeczy i zjawisk wyjętych z kontekstu – wyjaśnił, automatycznie wchodząc w tę irytującą profesorską rolę.

Natychmiast pomyślałam o tym rozpuszczonym bachorze sprzed tygodnia, nastolatce z brudnymi buciarami, czytającej „Tattle” z moją twarzą na okładce. Przecież stałam tuż przed jej nosem. Równie dobrze mogłam być niewidzialna.

– Zauważyłam – bąknęłam.

Carver prowadził samochód po szerokich, trzypasmowych jezdniach, aż wreszcie zajechał na ogromny parking przed pasażem, w którym znajdował się supermarket, oddział sieci włoskich restauracji typu „jesz, ile chcesz”, salon fryzjerski gotowy przyszyty fryzurę już od dwunastu dolarów i jeden z tych outletów z ciuchami, które mają czelność nazywać Liz Claiborne markowym projektantem.

– Więc – zaczęłam pewnym siebie tonem – w której z tych wyśmienitych instytucji przyjdzie mi spędzić nadchodzący tydzień?

Skinął na największy z budynków, w samym centrum pasażu, ogromny supermarket Albertsons.

– Niech zgadnę. Będę pakować ludziom zakupy?

Luke sięgnął na tylne siedzenie po neseser, wyjął z niego aktówkę z napisem „Praca nr 2”.

– Właściwie będziesz tu miała wszystkiego po trochu.

– Och, jak cudownie. – Uśmiechnęłam się radośnie.

– W tym tygodniu – podjął – masz pomyślnie ukończyć pracę w każdym dziale sklepu. To znaczy, że będziesz pracować w następujących sektorach: z pieczywem, cukierniczym, mięsnym, rybnym, warzywnym i z suchą żywnością.

– Brzmi w porządku – powiedziałam, kiwając głową. – Brzmi to jak bardzo sensowny plan. Dobra robota.

Luke posłał mi spojrzenie pod tytułem „przestać pierdolić”.

– Dobra. O co ci chodzi?

– Co masz na myśli? – Oczy zrobiły mi się wielkie ze zdziwienia.

– W zeszłym tygodniu każdego dnia jęczałaś i narzekałaś, a teraz nagle tryskasz radością?

– I co ja mam ci na to powiedzieć? – Wzruszyłam ramionami, uśmiechając się przymilnie. – Stwierdziłam, że lepiej będzie zmienić nastawienie do sprawy.

Jasne, że tego nie kupił. Ale miałam to gdzieś. Odpięłam pas, chwyciłam torbę i wysiadłam.

– O której po mnie przyjedziesz? – spytałam.

– O szóstej – odparł.

– Idealnie.

– Jak wejdiesz do środka, spytaj o Neila. W tym tygodniu będzie twoim przełożonym.

– Neil. Zrozumiałam. – Zasalutowałam, po czym zarzuciłam torbę na ramię.

Po raz ostatni posłał mi podejrzliwe spojrzenie, na które odpowiedziałam zupełnie słodkim uśmiechem. Odwróciłam się na palcach i spacerkiem powędrowałam do miejsca mojej nowej pracy.

Zazwyczaj gdy wchodzę do supermarketu lub jakiegokolwiek innego sklepu, świat

zatrzymuje się na chwilę. Ludzie przerywają wykonywane czynności, wózki są puszczane samopas, przez co po chwili wjeżdżają w olbrzymie piramidy puszkowanej żywności, a kasy przestają pikać. Wszystkie spojrzenia unoszą się i zbiegają w tym samym kierunku. Wtedy podnoszą się szepty, a chwilę później pospieszne pytania o autograf. Błyskają flesze aparatów w komórkach, palce szaleńczo wystukują SMS-y oraz tweety.

Ale dziś tak nie było. Dziś na własnej skórze przekonałam się, jak to jest, gdy do supermarketu wchodzi zwykła osoba. Szczerze mówiąc, nic ciekawego.

Ponieważ nic, zupełnie nic się nie wydarzyło. Świat dalej biegł własnym torem.

Stałam u wejścia przez kilka minut, przyzwyczajając się do nowej sytuacji. Nagle podszedł do mnie wysoki, kościsty czterdziestoparolatek, odziany w czarną kamizelkę.

– Ty pewnie jesteś Lexi – powiedział.

– Oj, nieee – odezwałam się, unosząc groźnie palec. – W tym tygodniu na imię mi Cassandra. – Posłałam mu ukradkowe oczko. – Pseudonimy chronią prawdziwą tożsamość.

Sprawił wrażenie nad wyraz niezainteresowanego tematem.

– Dobra. Jasne. Twoja sprawa.

– Neil? – zezując, odczytałam jego imię z identyfikatora.

– Witam w Albertsons. Chodź. Przygotujemy cię do roboty. – Skinął.

Wędrowałam za nim przez cały sklep, aż dotarliśmy do niewielkiego biura na tyłach budynku. Otworzył metalową szafę za biurkiem i zaczął przeszukiwać stos białych koszul i czarnych kamizelek, identycznych z tą, którą miał na sobie. Po chwili przerwał i spojrzał na mnie znad drzwiczek.

– Jaki nosisz rozmiar? S?

– Tak właściwie – zaczęłam, przejmując kontrolę nad sytuacją – nie będzie mi dziś potrzebny żaden uniform.

– Nie? – spytał zdziwiony.

– Nie. – Pokręciłam głową i sięgnęłam do torby, a następnie wyjęłam z niej ogromny plik banknotów studolarowych (hojna pożyczka od Jii) i położyłam go na biurku między nami.

Na widok pieniędzy chudzielec cofnął się minimalnie. Jakbym właśnie rzuciła mu pod nogi zdechłego szczura, a nie opasły plik dolarów.

– Co to jest? – spytał łamiącym się głosem.

– Dziesięć tysięcy dolarów – powiedziałam śmiertelnie poważnie.

Bardzo powoli odłożył czarną kamizelkę, którą wcześniej wyjął z szafy, po czym koniuszkiem palca wskazującego ostrożnie dźgnął ciasny plik. Jakby chciał się upewnić, czy jest prawdziwy.

– Po co to?

– Nie wiem. Nakarm dzieci. Kup żonie coś ładnego. Zrób z tym, co chcesz. –
Wzruszyłam ramionami.

Zaniepokojony spojrział na otwarte wejście za moimi plecami.

– Ale pan Carver już mi zapłacił.

Odwrociłam się i zamknęłam drzwi.

– To nie jest sprawa między tobą a Lukiem, tylko między tobą a *mną*. – Patrzyłam na niego pewnie, nie odwracając wzroku od jego oczu. – *Wyłącznie* między tobą a *mną*.

O cholera. Dobra jestem. Brzmiałam tak, jakbym właśnie grała w filmie o mafii. Wychodzi na to, że DNA Richarda Larrabee jednak się do czegoś przydaje.

Na twarzy Neila wciąż malował się jeden wielki pytajnik. Było mi go szkoda. Wydawał się zagubiony, zupełnie wytracony ze swojego naturalnego biegu.

– Widzisz, uważam, że ty i ja możemy sobie nawzajem pomóc – wyjaśniłam.

Skinął. Chyba pomału zaczął rozumieć.

– Pod koniec tygodnia będzie mi potrzebne sprawozdanie i poświadczenie, że ukończyłam pięć dni pracy w tym miejscu. A ty – rozejrzałam się po niewielkim, zagraconym biurze – pracujesz w supermarkecie, więc zgaduję, że pieniędzy nigdy u ciebie za wiele nie ma.

Poczekalam, aż zrozumienie ujawniło się w jego spojrzeniu. Ponieważ wciąż się wahał, naciskałam dalej.

– Masz dzieci? – spytałam.

– Czworo.

– Hmm... Pewnie jest ci ciężko. – Skinęłam, udając zamyślenie.

Zamrugął, ale nic nie powiedział.

– I masz dużo wydatków.

Znów cisza.

– To jak? Umowa stoi?

Czułam, że tryby jego umysłu pracują na pełnych obrotach, lecz mimo to nie odezwał się słowem. Nie szkodzi. Nie musiał nic mówić. Gdy tylko wziął plik z biurka i wsunął go do kieszeni spodni, wiedziałam, jak brzmi odpowiedź.

Przecież takiej oferty nie mógł nie przyjąć.

Zadowolona z siebie, wyszłam z biura, przeszłam przez sklep i wyszłam tą samą drogą, którą weszłam. Nasunęłam okulary przeciwsłoneczne na nos, wyjęłam telefon i zadzwoniłam pod numer, który poprzedniej nocy zapisałam w pamięci komórki.

– Halo? – powiedziałam radosnym tonem do słuchawki. – Poproszę kurs z Santa Clarita do Malibu.

– Bardzo proszę – usłyszałam przyjazny, uprzejmy głos. – Czy ma pani u nas konto?

– Nie. Zapłacę gotówką.

– Oczywiście. Samochód będzie za piętnaście minut.

– Cudownie. – Podałam dokładny adres, wyłączyłam telefon i wsunęłam go do kieszeni.

Z torby wyjęłam słomkowy kapelusz z szerokim rondem, nałożyłam go na głowę i przyklepałam. Uniosłam oczy do nieba i zmrużyłam je, z radością patrząc na piękne kalifornijskie słońce.

Prezenter pogody miał rację. To był idealny dzień na plażę.

*N*igdy nie lekceważ rodziny Larrabee

Błahahahahahahahaha!

Tak właśnie brzmiał mój diaboliczny śmiech pod tytułem „Przechytryłam ojca i tego jego durnego stażystę wazeliniarza, przydupasa i chłopca na posyłki”. I roześmiałabym się na głos, gdyby nie fakt, że stojąc na parkingu przed Albertsons, nie chciałam niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Nie w sytuacji, gdy zwycięstwo i ucieczka z tego piekła były już *tak blisko*.

To wcale nie było trudne. Właściwie poszło jak z płatka. Nawet zaczynała we mnie kiełkować uraza, że ojciec i jego sługus mają mnie za tak mało sprytną. Że tak bardzo nie doceniają moich talentów. Cóż, nie moja sprawa! Sami się prosili.

Gdy przedstawiłam swój pomysł Jii i T, z ogromną radością zaoferowały finansową pomoc na najbliższe pięćdziesiąt dwa tygodnie. Wiedziały, że im zwrócę. Bo przecież ostatecznie czek opiekujący na dwadzieścia pięć milionów dolarów był mi pisany. zaproponowałam, że oddam pieniądze z naliczonymi odsetkami, lecz obie odrzuciły taki układ.

Więc tak naprawdę jedyne, co mi teraz zostało, to przez okrągły rok dawać w łapę jednemu ciężko harującemu szefowi za drugim, a potem już tylko *bonjour*, funduszu powierniczy, *au revoir*, rodzinko Larrabee.

Spoglądając co rusz na komórkę, by sprawdzić godzinę, przez większość czasu rozglądałam się po parkingu w oczekiwaniu na zamówione auto. Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały z ogromnego placu, zostawiając na miejscu rzesze kur domowych z oczami przyklejonymi do cotygodniowych list zakupów. Powiedziałam Jii i T, że spotkamy się o jedenastej w domku mojego ojca na plaży w Malibu.

Napisałam Jii, że plan odniósł ogromny sukces. Akurat gdy wcisnęłam „Wyślij”, rozległ się klakson, więc ucieszona zarzuciłam torbę na ramię i ruszyłam w kierunku źródła dźwięku. Lecz gdy uniosłam głowę, z przerażeniem stwierdziłam, że wcale nie

podjechała po mnie zamówiona czarna limuzyna z przyciemnianymi szybami, lecz niewielki srebrny sedan.

Wyglądający *bardzo* znajomo.

Ten sam, którym dopiero co przyjechałam do pracy.

O cholera.

Szyba od strony pasażera zjechała w dół i moim oczom ukazała się twarz Carvera.

– Wybierasz się gdzieś?

– Nie – odparłam, udając, że nie mam pojęcia, o czym mówi. – Tak tylko wyszłam zaczerpnąć powietrza. – Zawachlowałam dłonią przed twarzą. – Wiesz, tam w środku jest bardzo duszno!

– Achaaaa. – Nie uwierzył w ani jedno moje słowo. – Wsiadaj – polecił.

Westchnęłam i niechętnie opadłam na fotel.

– Tak?

– Chciałbym ci coś pokazać. – Sięgnął do tyłu po neseser, po czym wyjął z niego srebrny laptop z logo Larrabee Media.

– Długo ci to zajmie? – powiedziałam z udawaną niecierpliwością. – Bo muszę już iść. Wiesz, mam tam sporo roboty. Muszę pakować żarcie i takie tam.

– Hmm... – usłyszałam w odpowiedzi, gdy Luke był zajęty wystukiwaniem czegoś na klawiaturze.

Dyskretnie wyjrzałam przez okno, czy aby nie pojawiło się już zamówione auto.

– Nie przyjedzie – oznajmił uczeń diabła, nie odrywając wzroku od laptopa.

– O czym ty mówisz?

– Twój zamówiony samochód – wyjaśnił z cieniem nonszalancji w głosie. – Nie przyjedzie.

– *Pfff*. – Chciałam mu pokazać, że absolutnie nie mam pojęcia, o czym mówi. – Jaki znowu samochód?

– Ten, który zamówiłaś. Nie przyjedzie, bo odwołałam usługę.

– Co?! – krzyknęłam. – Dlaczego w ogóle... Jak...

Przerwał mi, sadzając mi na kolanach laptop, i nacisnął jeden przycisk.

Na ekranie pojawił się niewyraźny czarno-biały obraz. Wyglądał dosyć znajomo. Wtedy wstrzymałam oddech, bo zdałam sobie sprawę, że przed oczami mam biuro sklepu, z którego dopiero co wyszłam. I to nie było zdjęcie. To był *film*, zapis z kamery. Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Neil, a za nim ja. Z przerażeniem patrzyłam, jak scena, którą dopiero co przeżyłam, powtarza się na moich oczach.

– Szpiegujesz mnie! – krzyknęłam zniesmaczona.

– „Kontroluję” to lepsze określenie.

– Szpiegujesz! – zaoponowałam. – To niedopuszczalne!

– Wiesz, kamery w sklepie były już wcześniej, przed twoim przybyciem – oznajmił. – Jedyne otrzymałem dostęp do zapisu.

Oczy rozszerzyły mi się z przerażenia.

– Czy Neil wie o tym?

– Oczywiście, dlatego zadzwonił do mnie zaraz po tym, jak wyszłaś. – Skinął z powagą.

W moim żołądku już zaczynało wrzeć.

– Co za oszukaniec!

Luke roześmiał się, obserwując moją reakcję.

– Och, Lex – powiedział protekcyjnym tonem. – Naprawdę myślałaś, że mnie przechytrzysz? Że jesteś mądrzejsza od swojego ojca? – Na dokładkę jeszcze pogardliwy uśmieszek. – No proszę cię.

Nic nie powiedziałam, jedynie gotowałam się z wściekłości, oddychałam szybko, a moja pierś unosiła się i opadała rytmicznie.

– Pan Larrabee ostrzegł mnie, że najprawdopodobniej będziesz zdolna do wszystkiego, byle tylko wymigać się od pracy. Dlatego wszyscy twoi szefowie otrzymali przykaz powiadamiania mnie o proponowanych przez ciebie łapówkach lub jakichkolwiek innych próbach uchylania się od obowiązków. Poza tym twój ojciec dał mi pozwolenie podsłuchiwania twoich rozmów telefonicznych. W aparacie, z którego korzystasz, został również umieszczony nadajnik GPS, więc na twoim miejscu nie próbowałbym uciekać. – Przekrzywił głowę i posłał mi pełne zadumy spojrzenie. – No to teraz rozumiem, dlaczego miałaś tak dobry humor z rana.

Gniew już się we mnie przelewał. Jak zwykle. Chwyciłam laptop oburącz i spojrzałam przez otwarte okno. Z pełnym wściekłości okrzykiem bitewnym podrzuciłam go do góry, celując w otwór. Czekałam na spotkanie urządzenia z chodnikiem. Na słodki odgłos trzasku, gdy maszyna wydana przez Larrabee Media rozwali się o beton.

Ale się nie doczekałam. Gdyż zdałam sobie sprawę, że Luke przechwycił laptop na ułamek sekundy przed tym, jak miałam go cisnąć za okno.

Obróciłam się, by ujrzeć, jak ze spokojem zamyka klapę i chowa urządzenie do neseseru. Jakby odbijanie sprzętu z rąk niedoszłych zabójców komputerów stanowiło jego główne, codzienne zajęcie.

– Tak, o twoim charakterku też mnie ostrzegał – oznajmił opanowany.

Jęknęłam, owładnięta furią szarpnęłam klamkę u drzwi i otworzyłam je kopniakiem.

– Wiesz, co ci powiem – wrzasnęłam, gramoląc się z powrotem na chodnik – jak na kogoś, kto nigdy mnie nie widuje, ojciec wie o mnie bardzo dużo!

– Miłej pracy! – zawołał.

Trzasnęłam drzwiami i wróciłam z powrotem do sklepu. Łaziłam tak długo, aż znalazłam Neila na dziale z pieczywem – akurat za pomocą pistoletu nabijał ceny na produkty.

– Oddawaj kasę – warknęłam, podstawiając mu otwartą łapę pod nos.

Data: Piątek, 6 lipca. 21.36

Do: Luke Carver

Od: Video-Blaze.com

Temat: Otrzymałeś wiadomość video od Lexington Larrabee

KLIKNIJ TUTAJ, BY OBEJRZEĆ WIADOMOŚĆ



Lub przeczytaj poniższą transkrypcję stworzoną dzięki naszej automatycznej funkcji zapisu tekstu mówionego.

[TRANSKRYPCJA]

Wiem, wiem. Od miesiąca nie wysłałam ci żadnego sprawozdania. Bla, bla, bla. Przypominasz mi o nim za każdym razem, gdy wsiadam do auta. Więc dobra. Oto i ono. Twój wyczekany nowy raport w formie filmu.

Nie wiem, czy sprawiam takie wrażenie, ale jestem strasznie zmęczona. Widzisz je? Widzisz te worki pod oczami? A może lepiej, żebym nachyliła się do kamery? O, tak? Widzisz teraz? Powinieneś. Bo są gigantyczne.

Hmm, to pewnie dlatego, że ostatni miesiąc spędziłam w piekle. I naprawdę nie mam najmniejszej ochoty ponownie przerabiać tych wszystkich okropnych tortur, ale cóż, muszę. Ponieważ... niniejsze nagranie to sprawozdanie. Ponieważ oczekuje się ode mnie sprawozdań. Jeżeli nie dostosuję się do twoich poleceń, natychmiast powiadomisz ojca o moim zachowaniu.

Podobało ci się to? Umiem cię naśladować! Nieźle, nie? Wiesz, ćwiczyłam.

Tak poza tym... Zaraz, czekaj... Mam coś pod paznokciem. Fuuuj! *Co to jest?! Nawet nie chcę wiedzieć!*

Dobra. Praca nr 2, czyli Albertsons. Czego się nauczyłam od pana Albertsons? Hmm... by w chwili dawania łapówki upewniać się, czy w pomieszczeniu nie ma ukrytej kamery. Nabyłam wiedzę, że pchanie szeregu czterdziestu wózków przez parking, gdy się ma na nogach espadryle od Pucciego, jest fizycznie niemożliwe. Bez przewracania się, rzecz jasna. Och, i jeszcze nauczyłam się, że nie wolno za pomocą polewy do tortów wypisywać nieprzyzwoitości ani rysować obrzydliwych kształtów na urodzinowych tortach dla dzieci. Swoją drogą, nie wiem, co powiedział ci Neil, ale tamten rysunek wcale nie przedstawiał tego, co miał na myśli ten chudzielec. To były dwie osoby uprawiające skoki z przeszkodami. To tak gwoli ścisłości.

Praca nr 3. Co ja tam robiłam...? Ach, jasne. Sprzątałam zagrody w stajniach w Malibu. Sorry. Po prostu chyba już udało mi się wymazać to z pamięci. Choć uznałam to doświadczenie za bardzo metaforyczne. Moje życie stało się dosłownie gówniane. Na dodatek zrobione z końskiego gówna. Tyle na temat tej pracy.

Potem pracowałam w wesołym miasteczku. Chodziłam z wózkiem i sprzedawałam skrzydełka z indyka. Dowiedziałam się, że to, co się serwuje w takich miejscach, to wcale nie są skrzydełka z indyka. To kawałki ścinków z różnego rodzaju mięs, sklezione wokół sztucznej kości. Mmm. Pychota!

Po tym smakowitym doświadczeniu nadszedł prawdziwie emocjonujący tydzień: zmywak w chińskiej restauracji. Nauczyłam się, że [dźwięk niemożliwy do zidentyfikowania] to po chińsku „pospiesz się, [wyraz niecenzuralny]”. A przynajmniej tak wywnioskowałam z kontekstu

i częstotliwości, z jaką to słyszałam. Podejrzewam, że gdy następnym razem zajadę do Pekinu, taka wiedza bardzo mi się przyda. Więc wyrażam wdzięczność! Dzięki, Luke! Dzięki, tatusiu! Rzeczywiście uczę się rzeczy przydatnych.

Jakbyś nie zauważył, to był sarkazm. Nie wiem, czy na twojej planecie istnieje takie zjawisko.

Dobra, na czym to ja...? Ach, tak. Praca nr 6. Poczekaj, wyjmę moją podręczną listę.

Jest. Widzisz? To oficjalna lista. Bruce był tak grzeczny i podesłał mi ją faksem. Poczekaj, przystawię ją do kamery. Spójrz! Nie wiem, czy zauważyłeś, ale wykreśliłam pierwotny tytuł i nadałam nowy. Teraz lista nazywa się „52 powody, dla których nienawidzę mojego ojca”. Znajdujemy się teraz przy przyczynie numer 6. Cmentarz. Kopanie grobów przez tydzień. Odrażające. Potworne. Chociaż...

Och, czekaj chwilę. Właśnie dostałam mejla. Od Jii i T, moich przyjaciółek. Wiesz, gdzie one teraz są? Tam, gdzie ja powinnam być. Na prywatnym jachcie na Morzu Śródziemnym. Wyruszyły w podróż trzy tygodnie temu. Czy nie zgodzisz się ze mną, że to wisienka na szczycie pysznego, gównianego tortu, jakim stało się moje życie? Palce lizać.

Oooo, w tym tygodniu są na Santorini. Jak cudownie. Zobacz, nawet podesłały zdjęcie. Obczaj tę krystaliczną, błękitną wodę! Czyż nie jest piękna? Napisały: „Tęsknimy. Kochamy Cię. Szkoda, że nie ma Cię tu z nami”. Tiiiiaaa, też żałuję.

Zaraz, pokażę ci jeszcze jedno zdjęcie. Poczekaj, muszę je znaleźć w telefonie. O, jest. To ja – uwieczniona, gdy zapieprzam na cmentarzu... serio, na *cmentarzu*. Widzisz tę łopatę w mojej dłoni? I ten brud? Jest wszędzie, nie? Spójrz, jak się uśmiecham! Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale tak wygląda uśmiech cierpienia.

Więc czego się nauczyłam podczas ostatniej mojej pracy? Że jak umrę, to niech mnie skremują.

[KONIEC TRANSKRYPCJI]

Front arktyczny

Nigdzie nie idę – jęknęłam, leżąc plackiem na niezasałanym łóżku, z twarzą wtuloną w poduszkę. Swoją drogą, od jakiegoś czasu tak właśnie wyglądały moje weekendy. Czterdzieści osiem godzin leżenia w bezruchu na pościeli lub w wannie, podczas gdy moje mięśnie i stawy próbowały dojść do siebie po horrorze tygodnia ostatniej pracy.

A ponieważ moi przyjaciele z radością pływali po basenie Morza Śródziemnego, nie miałam zbyt wiele innych opcji spędzania czasu. Dzień, w którym wyruszyli w podróż, był najgorszą chwilą mojego życia. Chcieli zostać, ale nie pozwoliłam im na to. No bo po co? To, że ja musiałam cierpieć, nie znaczy, że oni też.

Ale wkrótce zaczęłam żałować tej jakże wspaniałomyślnej decyzji. Bo teraz zostałam bez wsparcia. Dosłownie sama i samotna. Ostatnim, czego pragnęłam, było robienie dobrej miny do złej gry na imprezach towarzyskich. A szczególnie na tej.

– Ale to impreza *zaręczynowa* twojego ojca – stwierdziła Caroline, wystukując obcasem niecierpliwe *stuk–stuk–stuk*.

– No właśnie.

Prychnęła i sięgnęła do stojaka z ciuchami, przywiezionego zeszłej nocy przez moją stylistkę.

– A ta? – Wyjęła kolejną sukienkę. – Śliczna.

Nawet nie podniosłam głowy.

– Powiedziałam. Nie idę.

– Musisz – nalegała tym swoim nosowym francuskim akcentem. – Będą tam dziennikarze z całego świata.

– Ależ to romantyczne – bąknęłam.

– Twoim obowiązkiem względem rodziny jest stać u boku ojca i jego nowej narzeczonej. Musisz być na zdjęciach.

– Czy w dniu ich rozvodu też będę musiała robić sobie z nimi fotki?

Westchnęła, odwróciła się do stojaka i zdjęła z niego kolejną sukienkę.

– No ta to dopiero jest *cudowna*! Będiesz w niej wyglądać jak księżniczka! – Jej udawany entuzjizm przyprawiał mnie o mdłości.

Obróciłam się na plecy i nasunęłam kołdrę pod samą brodę. Holly wróciła z balkonu, na którym jeszcze przed chwilą uganiała się za wiewiórką, wspięła się po swoich czerwonych schodkach i skuliła obok mnie.

– Oszczędź sobie wysiłków. Nie wstanę z łóżka.

– Ale za godzinę zaczną się zjeżdżać goście. Bliźniaki przylecą z Nowego Jorku. „People” chce zrobić wywiad z tobą i braćmi. Chcemy przynajmniej jedno zdjęcie całej rodziny w komplecie, na tle parku.

Myśl, że ta głupia dupa będzie pozować do zdjęć w ogrodzie *mamy*, sprawiła, że miałam ochotę coś rozwalić. Albo *kogoś*.

– Skoro Coopera nie będzie, mnie też nie musi być.

– Cooper – warknęła – karmi głodujące dzieci w Sudanie. Jego działania wystarczająco pracują na dobre imię rodziny. Zaś ty to już inna bajka. Po tym, co odstawiłaś w sklepie, znajdujesz się w poważnych tarapatach. Relacje medialne mają być przychylne! Twój ojciec pracuje nad poważną fuzją i teraz potrzeba nam wszelkiego pozytywnego rozgłosu, aby udziałowcy nam sprzyjali. Więc wstań wreszcie, załóż coś, co spodoba się fotografom, znieś tyłek na dół i odegraj swoją rolę należycie. Okej?

Wzięłam komórkę z szafki przy łóżku i zaczęłam przeglądać najświeższe wpisy na Twitterze.

– Dzięki. Nie dziś.

– Jak chcesz – warknęła, energicznie odwieszając wieszak na miejsce. – Leż sobie całą noc. Mam to gdzieś. – Po czym wyszła, trzaskając drzwiami.

Powinłam była wiedzieć, że Caroline nie podda się tak łatwo. Mogłam przewidzieć, że wyśle posiłki. Ale nigdy nie przeszłoby mi przez myśl, że przyśle samego Kapitana.

A jednak! Dziesięć minut później odwiedził mnie ojciec. Nawet nie zapukał. Po prostu wszedł, stanął na środku pokoju, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Aż podskoczyłam. Nie byłam sobie w stanie przypomnieć, kiedy po raz ostatni jego stopa stanęła w tym pomieszczeniu. Nie pasował do otoczenia. Wyglądało to tak, jakby ktoś w samym sercu łąki umieścił wieżowiec.

– Lexington, skończ to przedstawienie. Wstawaj i się ubierz – rozkazał z surową miną.

Milczałam. Nieugięta ciszą starałam się zakryć zaskoczenie. Nie mogłam uwierzyć, że w ogóle chciało mu się przyjść do mojego pokoju.

– Rêve chce cię poznać. Czeka na dole – powiedział głosem wyciętym z emocji.

– Dlaczego? – rzuciłam.

– Dlaczego? – powtórzył zirytowany. – Dlatego, że będzie twoją nową macochą. Prychnęłam. W odpowiedzi skrzydełka jego nosa zafalowały gniewnie.

– Zrozum, nie mam czasu i ochoty na twoje humory – zagroził. (Czy kiedykolwiek miał czas i ochotę na moje humory?) – Wstaniesz, ubierzesz się, zejdziesz na dół i będziesz się uśmiechać do dziennikarzy. Co potem zrobisz, to mnie mało obchodzi.

Ruszył w kierunku drzwi, a ja nagle poczułam w sobie wzbierające pokłady odwagi. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale, jak Boga kocham, nie byłam w stanie dłużej hamować tej myśli, pieniającej się we mnie jak szampan, którego z pewnością właśnie odkorkowywali na dole.

– Bo ważne, żebym robiła dobrą minę przed kamerami, prawda? Reszta cię w ogóle nie obchodzi.

– Co takiego? – Odwrócił się powoli.

Pewnie powinnam się była zamknąć. Wygramolić z łóżka, narzucić na siebie jedną z markowych sukienek po dwadzieścia tysięcy dolarów za sztukę i robić, co mi każą. Bo zawsze tak właśnie się działo. Bo prościej jest ulec, niż walczyć z kimś, kto nigdy nie przegrywa. Łatwiej ustąpić, niż uderzać pięściami w kamienny mur.

Ale taka właśnie była różnica między mną z przeszłości a obecną. Tamta Lexington wiecznie się bała. Miała wiele do stracenia. Pieniądze. Życie. Komfort trwania w strefie bezpieczeństwa.

Ale obecna już to wszystko straciła.

Więc czego teraz miałam się bać?

– Dopóki z zewnątrz wszystko wygląda dobrze – ciągnęłam – wewnątrz się nie liczy. Prawda, *tatusiu*?

Żyłka na jego szyi zaczynała puchnąć. Tak można było poznać po nim gniew. Ale była to jedna z niewielu subtelnych oznak emocji u ojca i większości ludzi, z którymi się spotykał, po prostu umykała.

– Nie rozumiem, do czego pijesz, Lexi – powiedział grobowym tonem. – Nie mam na to czasu. Przede mną przyjęcie zaręczynowe.

– Ach, oczywiście – powiedziałam ironicznie. – Do sześciu razy sztuka, co nie? Choć milczał, żyłka na jego szyi pulsowała energicznie.

Usiadłam na łóżku, czując pewność siebie, jakiej nigdy wcześniej nie znałam.

– Kochasz ją?

Znów milczenie. Ale chyba oboje znaleźliśmy odpowiedź.

– Więc po co się z nią żenisz? – spytałam.

Tym razem przemówił, głosem płytkim, bez emocji.

– Małżeństwo, jak każdy związek między ludźmi, to nic innego jak umowa biznesowa. Oparta na negocjacjach. – Poprawił krawat i wygładził kłapy marynarki. – Miłość nie ma nic wspólnego z małżeństwem. Im prędzej to zrozumiesz, Lexington,

tym lepiej na tym wyjdiesz.

Przez niemal całe dzieciństwo krok po kroku budowałam w sobie odporność na nieczułość ojca i jego chłodne podejście do życia. Lecz niezależnie od mojej ciężkiej pracy, niezależnie od lat doświadczenia, nigdy nie stałam się w pełni odporna. Bo nie byłam w stanie przewidzieć, gdzie uderzy kolejna mroźna strzała. Albo jak bolesne odmrożenia spowoduje.

Choć bardzo chciałam się położyć i pozwolić, by arktyczna burza przetoczyła się po moim ciele, w samym sercu piersi poczułam ukłucie. Poleciały sopłe lodu. Przebiły się przez moją skórę. Celny strzał.

Nienawidziłam się za to, że byłam tak słaba, tak podatna na jego wpływ. Nie cierpiałam własnej wrażliwości.

– Ale nie wierzysz w to, co mówisz, prawda? – spytałam łamiącym się głosem.

Całe moje ciało drżało z zimna, czekając na jego odpowiedź. Chwyciłam leżący obok koc i narzuciłam go na kolana, żeby choć trochę powstrzymać dygot. Wstrzymałam oddech, obawiając się, że reakcja mojego organizmu nie ujdzie uwadze ojca.

Czekałam na odpowiedź, otoczona zamarznąłą tundrą.

Wtedy, tak samo prędko i gładko, jak przyszedł – ojciec opuścił pokój. Wyszedł bez słowa, zabierając ze sobą chłód. Powoli odsunęłam koc z nóg, sięgnęłam do wieszaka po pierwszą z brzegu sukienkę i zaczęłam szykować się na przyjęcie.

Przedstawienie czas zacząć

No patrzcie państwo, któż to postanowił zaszczycić nas swoją obecnością – zawołała Caroline, gdy wyszłam tylnym wyjściem i ukazałam się u szczytu schodów prowadzących do ogrodu. Wszędzie były kamery, aparaty, sprzęt; wzdłuż i wszerz coś się działo. Fotografowie ustawiali statywy, organizatorzy przyjęć dopieszczaali dekoracje, a kelnerki w przebraniach kupidynów (poważnie?!) tańczyły z tackami pełnymi przystawek i szampana.

Jedna właśnie mnie mijiała i udało mi się chwycić jeden z niesionych przez nią kieliszków.

Dzięki Bogu. Przynajmniej się rozluźnię.

Już miałam zamoczyć usta, gdy nagle Caroline wyrwała mi szkło z ręki i posłała zaniepokojone spojrzenie w stronę fotoreporterów.

– Oszalałaś?! – syknęła. Zęby zaciskała tak mocno, że aż zaczęłam się obawiać, że zaraz połamię sobie szczękę. – Dopiero co udało nam się ich przekonać, żeby przestali się rozwodzić nad twoim poprzednim alkoholowym wyskokiem.

Wyszczrzyła się do mijającego nas dziennikarza i uniosła kieliszek, jakby wznosiła z nim toast.

„Zdrówko! Za te bzdury, którymi was karmię”.

Upiła łyk, po czym wylała resztę w najbliższe krzaki, a puste szkło odstawiła na przelatującą tacę. Poprosiła kelnera, by przyniósł mi wodę gazowaną. Wrócił chwilę później ze szklanką pełną przejrzystego płynu z bąbelkami, udekorowaną limonką i listkiem mięty.

Zamoczyłam usta i skrzywiłam się, rozczarowana nijakim posmakiem. A miałam się rozluźnić.

Potrząsnęłam kostkami lodu w szklance, po czym przeniosłam spojrzenie na dół, pod główną fontannę. Młoda blondynka wdzięczyła się do fotografów w swojej

długiej sukni Galliano, w cielistym kolorze, z odsłoniętymi plecami i rozcięciem aż do połowy uda. Pławiła się w blasku swoich piętnastu minut sławy, no akurat w tym przypadku dwóch lat. Z łatwością dostrzegłam błyszczący na jej lewej dłoni pięciokaratowy diament Harry’ego Winstona. Coś podejrzewałam, że ojciec jest jednym ze stałych klientów tej firmy.

Według Access Hollywood „dwudziestodziewięcioletnia Rêve Rodicchio była jedną z ciężko pracujących asystentek w nowojorskim oddziale Larrabee Media, gdy spojrzenia jej i dyrektora generalnego spotkały się po raz pierwszy w bufecie firmy”.

Tiaa, jasne. Niedoszła ciężko pracująca asystentka, niedoszła aktorka, niedoszła modelka, gotowa rzucić się w ramiona każdemu, kto ją przygarnie i zapewni przyszłość bez choćby jednego dnia pracy. I udało jej się zgarnąć główną nagrodę. Pewnie celowała w jakiegoś wiceprezesa lub członka zarządu, czyli w pięćset tysięcy dolarów lub więcej rocznie, a ustrzeliła – patrzcie państwo, jaki fart – samego dyrektora generalnego.

Patrzyłam, jak zalotnie (i z wprawą) trzepotała rękami do obiektywów, każdemu z dziennikarzy poświęcając chwilę niezmaconej uwagi. Sprawiała wrażenie, jakby w tym jednym momencie nie chciała rozmawiać z nikim innym ani być nigdzie indziej.

Może jej nie doceniłam. Może faktycznie od samego początku celowała w główną nagrodę.

– Gotowa poznać nową macochę? – spytała szeptem Caroline.

– Nie, ale czy to ma jakieś znaczenie?

– Pamiętaj – ostrzegła, zakrywając usta dłonią – media twierdzą, że się znacie i że spędziłyście ze sobą już dużo, dużo czasu.

– Oczywiście, że tak – mruknęłam. – Niech zgadnę, jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami?

Pokiwała głową z boku na bok, jakby próbowała dopasować to, co powiedziałam, do rzeczywistości.

– Dobreee – stwierdziła. – To mi się podoba.

– Cóż, pasuje. Jesteśmy niemal w równym wieku.

Przeniosłam wzrok z powrotem na fontannę. Do towarzystwa dołączył ojciec. Z ręką ciasno przylegającą do nieistniejącej talii Rêve grzecznie odpowiadał na pytania dziennikarzy. W przeciwieństwie do partnerki nie tryskał prawie żadnym entuzjazmem, lecz tego należało się spodziewać. Ojciec nie bawił się w emocje. Zresztą radości Rêve wystarczyło za oboje.

– Zaczynamy przedstawienie – szepnęła Caroline, po czym zaczęła niewyraźnie mamrotać coś do niewielkiego mikrofonu, połączonego ze skrytą przy uchu słuchawką. Jest rzecznikiem czy szefem ochrony, na Boga?

Wiadomość dotarła do asystenta, zajmującego pozycję niedaleko fontanny.

W odpowiedzi skinął głową. Dotknął ramienia Rêve i wyszeptał jej coś do ucha. Oczy narzeczonej mojego ojca zabłyśły, głowa natychmiast się obróciła i jej spojrzenie spoczęło prosto na mnie.

– Lexi! – zawołała radośnie, machając ręką.

Już myślałam, że zrzuci obcasy, wskoczy do fontanny i zacznie przecieć przez szumiącą wodę, byle dostać się do mnie czym prędzej. To by dopiero była przedramatyzowana scena godna dobrej sztuki.

„Przedstawienie” to właściwe słowo, pomyślałam i uniosłam przyjaźnie dłoń, w mig przyklejając na usta równie szeroki uśmiech.

Ja ruszyłam w dół schodów, ona – przez ogród, aż spotkałyśmy się gdzieś pośrodku toru i przytuliłyśmy.

Pstryk. Pstryk. Błysk. Błysk.

Uczta dla fotografów.

– Tak się cieszę, że cię widzę – zapiszczała.

– Cudowna sukienka – ćwierknęłam równie rozkosznie.

– Dzięki! Twoja też jest śliczna! Czy to ta sama, którą kupiłaś, jak byliśmy razem na zakupach? – Szczercząc zęby, zaczęła gładzić materiał na swoim smukłym ciele.

– Tak, to ta sama! – odparłam, a w moich oczach zaświtała nostalgia za pięknym dniem, który nigdy się nie wydarzył.

Rêve westchnęła i sięgnęła do moich włosów, delikatnie dotykając jednego z loków. Czuły gest, zarezerwowany wyłącznie dla przyjaciół. Dla dwóch osób, których wspólna historia zapisana jest niezliczonymi kubkami wspólnie wypijanej kawy i godzinami rozmów o najintymniejszych, prywatnych sprawach.

– Och, Lex – zamruczała. – Tak się cieszę, że będę częścią waszej rodziny.

Łyk wody, by zamaskować odruch wymiotny.

– Ja jeszcze bardziej, Rêve – walnęłam z grubej rury.

Spojrzałam na Caroline, której mina wskazywała, że odeszłam zbyt daleko od umówionego scenariusza. „W tej chwili przestań!” – mówił jej wzrok. Posłałam jej radosny uśmiech.

– Więc, Lexi – zwrócił się do mnie jeden z pismaków – twój ojciec żeni się po raz szósty. Co o tym myślisz?

– Hmm, cóż mam powiedzieć? Wdał się w Henryka Ósmego! – zażartowałam.

Całe dziennikarskie stado zachichotało, rozległ się odgłos pospiesznego skrobienia stalówek, uwieczniających moją cenną uwagę dla potomności.

– Przynajmniej żadnej nie ściął! – rzucił wesoło jeden z reporterów.

– Jedynie w przenośni – odparłam, wywołując tym kolejną salwę chichotów i znów wprawiając w ruch długopisy.

Ojciec posłał Caroline groźne spojrzenie, ale nie tylko, coś jeszcze – jakąś niewypowiedzianą wiadomość. Rzeczniczka w mig wskoczyła w samo centrum

wydarzeń. Klasnęła, chcąc zwrócić na siebie uwagę i jednocześnie zapanować nad sytuacją.

– Proszę teraz wszystkich, by sięgnęli do podręcznych kalendarzy! Data ślubu już została ustalona. Ceremonia odbędzie się siedemnastego lutego – oznajmiła swoim żywym, wesołym tonem profesjonalisty. – W związku z tym Rêve ma dla Lexington bardzo ważną wiadomość.

Skinęła wymownie na moją przyszłą macochę, co oznaczało, że scena, jaka za chwilę miała się rozegrać, została już wcześniej przygotowana i przećwiczona.

– Och, prawda! – odparła wesoło Rêve, nieco zdezorientowana po mojej wcześniejszej wymianie zdań z dziennikarzami. Nie zdziwiłabym się, gdyby później w kibelku wygoogłała Henryka VIII.

Obróciła się do mnie i ujęła moją dłoń. Przez ułamek sekundy myślałam, że uklęknie i oświadczy się mnie.

– Lexi – powiedziała tęsknym głosem, a jej oczy jak na zawołanie zrobiły się wilgotne.

Dooooobra jest. Płacz na zawołanie. Do tego to już trzeba mieć talent. Albo urodziła się z umiejętnością kłamania (jeśli tak, to idealnie odnajdzie się w rodzinie), albo Caroline świetnie ją przeszkoliła.

– Wiem, że nawiązałyśmy kontakt od niedawna – podjęła, ściskając moją dłoń. – I jeszcze musimy się lepiej poznać. Ale już jesteś dla mnie jak córka i byłoby mi bardzo miło, nie, byłabym zaszczycona, gdybyś zechciała być moją druhną.

Pstryk. Pstryk. Błysk. Błysk.

Przygryzłam język tak mocno, że byłam pewna, iż przy następnym otwarciu ust krew poleje mi się po twarzy i będę wyglądać jak postać rodem z „Draculi”. Aparaty pstrykały ile wlezie, a ja miałam ochotę wyrwać się z tych niewielkich, kościstych rączek i czym prędzej wrócić do domu. Ojciec nagle wyrósł u boku Rêve, ze spokojem położył dłoń na jej obnażonym ramieniu, jakby chcąc dać dowód poparcia dla pomysłu, który i tak na pewno nie zrodził się w głowie jego narzeczonej. Na bank chciała, żeby jej druhną była jakaś kuzynka, siostra albo przyjaciółka z liceum, lecz pewnie już się przekonała (lub wkrótce przekona), że małżeństwo z Richardem Larrabee wymusza odstawienie osobistych preferencji na dalszy plan. W tej rodzinie jest tylko jeden jedyny sposób załatwiania spraw. Taki, który działa na korzyść Richarda Larrabee.

Taki, który zapewnia dalsze funkcjonowanie Larrabee Media z opinią wyśmienitego, multimiliardowego sukcesu. Jeśli komuś to nie pasuje, droga wolna.

Caroline posłała mi kolejne śmiercionośne spojrzenie i subtelny gest nalegania, bym jak najszybciej odpowiedziała. Ciemne oczy ojca, skupione na mnie, zwęziły się, ale tylko odrobinę.

Wiem, czego po mnie oczekiwali. Tego samego co zawsze – od chwili, gdy

wyskoczyłam z macicy matki. Uległości.

Byłam kolejnym pionkiem w strategicznych negocjacjach ojca. A ta cała farsa była kolejną umową biznesową, przewiazaną wstążką, załadowaną do pudła pełnego wypożyczonych strojów Kupidyna, mającą wyglądać jak zwykła miłość. Jak żyli długo i szczęśliwie.

Wszystkie działania rodziny Larrabee są na pokaz. Są jak kostium. Jak kurtyna czarownika mająca odgrodzić pozostałych mieszkańców Oz od prawdy. A ja, z przetarciami na kolanach skrytymi pod sukienką wartą dwadzieścia tysięcy dolarów, z siniakami na ramionach zakrytymi kilkoma warstwami najdroższych kosmetyków świata i pudłem pełnym peruk w szafie, wcale nie jestem od nich wszystkich lepsza.

Obróciłam twarz do dwudziestodziewięciolatki, która miała czelność nazwać mnie swoją córką.

– Nie, Rêve – powiedziałam, westchnąwszy głęboko, żałośnie.

Wszyscy wstrzymali oddech. Oczy urosły. Twarz Caroline zaczęła nabierać bardzo nietypowego odcienia czerwieni.

– To *ja* jestem zaszczycona – dokończyłam.

*M*orze niespokojne

C chwilę później zjawili się bliźniacy, Hudson i Harrison. Ledwo zdołałam się przywitać, a już Caroline i jej asystent zagonili nas do wspólnego rodzinnego zdjęcia.

W środku zajęła miejsce przyszła młoda para, obok ojca stanął RJ, zaś przy zaróżowionej Rêve – ja, dopiero co ukoronowana zaszczytnym tytułem druhny (trzeci raz z rzędu). Hudson i Harrison ustawili się na skrzydłach wymienionej czwórki.

– Przepraszamy za brak jednego członka rodziny – oznajmiła dziennikarzom Caroline. – Jak państwo wiedzą, Cooper Larrabee wciąż podróżuje z Korpusem Pokoju. Obecnie znajduje się w Sudanie, gdzie niesie pomoc głodującym, i z tego powodu nie mógł przybyć na dzisiejszą uroczystość. Przesyła ojcu i jego przyszłej małżonce wyrazy miłości i życzenia pomyślności.

Rêve sprawiała wrażenie poruszonej tymi słowami.

– Co za cudowny chłopak – powiedziała, unosząc dłoń do serca.

Staliśmy tak chyba przez całą wieczność, podczas gdy fotoreporterzy uwieczniali na zdjęciach ten prawdziwie radosny dzień z życia rodziny Larrabee. Nasz szczęśliwy klan zyskał kolejnego członka.

Wkrótce dziennikarze, jak w zegarku, spakowali manatki i skierowali się z powrotem do swoich furgonetek. Akurat zaczęli się zjeżdżać goście.

Głównym tematem rozmów było ukończenie studiów przez moich braci – prawa na Yale. Prawdopodobnie dlatego, że był to jedyny bezpieczny... i stały wątek. Nikt nie ważył się szepnąć choćby słówka na temat zbliżającego się ślubu ojca i panny „asystentki, która rozbiła bank”, poza oczywistymi pochlebstwami na temat jej sukni i nieskazitelnej cery. Każdy dobrze wiedział, że wszelkie głębsze uwagi równają się wtargnięciu na niebezpieczny teren. Ponieważ dwa i pół roku później zostaną wykorzystane przeciwko autorowi wypowiedzi, gdy pani i pan Larrabee zasiądą po

przeciwnych stronach stołu konferencyjnego, by przejrzeć surowe zasady standardowej intercyzy Kapitana.

Z kolei dyplomy z prawa i ukończenie studiów z dwoma najlepszymi wynikami na roku – to już wydarzenie pewne i niezmiennie. Tego nie da się cofnąć. Więc goście poszli po rozum do głowy i uczepili się go jak koła ratunkowego.

Prawdę mówiąc, bliźniacy przyciągali takie tłumy przez cały czas trwania przyjęcia, że nawet nie miałam okazji z nimi pogadać. Nie żebym chciała. Ale skoro RJ i jego żona nie opuszczali boku ojca, Cooper (który zazwyczaj solidaryzował się ze mną podczas takich okazji) był zajęty czynieniem dobra w Sudanie, a moi przyjaciele bawili się w najlepsze na Morzu Śródziemnym, było mi dosyć... samotnie.

Już zanosilo się na to, że moim jedynym przyjacielem tego wieczoru będzie wódka, której niepostrzeżenie dolałam do swojej szklanki z wodą. Orbitowałam od jednej grupki do drugiej, podsłuchując to tu, to tam, poszukując czegokolwiek na tyle interesującego, by skupić uwagę na dłużej.

Bar obległo stado kierowników z firmy ojca, jazgocząc na temat jakiejś francuskiej korporacji, z którą mają nadzieję się połączyć. Ziew. Następny.

Gromada nastolatek zebrała się w kącie, trajkocząc o stronie internetowej jakiejś piętnastolatki – można tam, oddając głos w ankiecie, decydować o różnych aspektach jej życia. Żenada. Następny.

Przeszłam spacerkiem nad basen i przysunęłam się do stolika z eleganckimi przystawkami. Wybrałam maleńką kanapeczkę i wsadziłam ją do buzi, zapijając zdrowym łykiem mojej „wody gazowanej”.

– Ha, pamiętam, jak był żonaty z Elizabeth – usłyszałam niewyraźny, tubalny głos.

Moje uszy automatycznie ożyły na dźwięk imienia matki. A przynajmniej zakładałam, że to właśnie o niej była mowa. To nawet było możliwe – przecież właśnie trwało przyjęcie zaręczynowe człowieka, który był z nią niegdyś żonaty. Choć z drugiej strony na świecie istniało więcej niż jedna kobieta o imieniu Elizabeth.

– Naprawdę? – odpowiedział kobiecy głos. – Nigdy nie miałam szansy jej poznać, ale słyszałam o niej takie dobre rzeczy.

– Ba! Jasne – odrzekł pan niewyraźny. – Przecież za to płacą rzecznikom. Ale ja znałem Lizzie przez długi, długi czas i powiem ci, z nią nie szło wytrzymać. Była bardzo trudna.

Zagadka rozwiązana. Na pewno nie rozmawiali o mojej matce. Nigdy nikt nie mówił o niej jako o „bardzo trudnej”.

Starałam się wytłumaczyć głos tego gościa, skoncentrować na wyborze kolejnej kanapeczki.

– I wyglądało to tak, że im Richard odnosił większy sukces, tym trudniejsza była. Żal mi go było. Musiał sobie radzić z nie lada humorami – mimochodem usłyszałam dalszą część wypowiedzi pana Niewyraźnego.

I znów włączył mi się radar. Czy on powiedział *Richard*? Ten Richard? Richard Larrabee, mój ojciec? Nie, to niemożliwe. Nie mógł mieć na myśli *tego* Richarda, bo to by oznaczało, że Elizabeth, o której mówił, to faktycznie moja matka.

Ostrożnie odwróciłam głowę w kierunku, z którego napływał głos, i moim oczom ukazał się brzuchaty, wyraźnie pijany mężczyzna o czerwonej twarzy. Skądś go znałam. Kobieta, z którą rozmawiał, sprawiała wrażenie, jakby starała się odnaleźć jakieś grzeczne wyjście z tej niewygodnej (żeby nie powiedzieć „niestosownej”) konwersacji. I mądrze. Tylko ktoś tak spity jak ten facet mógł odważyć się na rozmowę o mojej matce podczas takiego przyjęcia. Co dopiero otwarcie ją *znieważać*.

– Serio mówię. – Zamachał teatralnie, oblewając się szkocką wartą dziesięć tysięcy dolarów za butelkę. – Nie ma co obwiniać gościa, że po takim doświadczeniu wybrał sobie do ożenku wianuszek bezmózgich modelek.

Kanapeczka wypadła mi z dłoni i potoczyła się po trawie.

Zamarłam, dosłownie *ogłuszona* jego wypowiedzią. Jak śmiał rozpowiadać tak obrzydliwe, już nie wspominając o tym, że *kłamliwe*, rzeczy o mojej matce?! W jej własnym ogrodzie!

Już miałam do niego podejść, już chciałam (grzecznie) kazać mu wsadzić sobie te kłamstwa w wiadome miejsce, gdy nagle poczułam na ramieniu uścisk ciepłej dłoni.

– Hej! – usłyszałam znajomy głos.

Obróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z Carverem. Stażysta w jednej dłoni trzymał nietknięty kieliszek szampana, w drugiej – pusty talerzyk po przystawkach.

– Cześć – bąknęłam, posyłając za siebie jadowite spojrzenia.

– Coś się stało? – spytał, a jego wzrok pomknął w wiadomym kierunku.

Chrząknęłam.

– Jakiś pijany idiota wygaduje świństwa.

– To go zignoruj – odparł.

Wzięłam głęboki oddech. Luke miał rację. *Powinnam* go zignorować. Był spity i gadał od rzeczy. Nie pierwszy raz musiałam puścić mimo uszu jadowite plotki na temat członków mojej rodziny i zapewne nie ostatni. Zastanawiałam się, dlaczego ta konkretna rozmowa zirytowała mnie bardziej niż inne, wcześniej słyszone bzdury. Może dlatego, że ilekroć musiałam słuchać pełnych jadu pomówień, jeszcze nigdy nie dotyczyły one mojej matki.

A może dlatego, że ten konkretny mężczyzna był bardziej wkurzający niż inni plotkarze.

Lecz gdy znów spojrzałam w jego stronę, kobieta, z którą rozmawiał, już zdążyła go opuścić i teraz stał samotnie, z tęsknym wzrokiem wbitym w dno pustej szklanki po szkockiej.

Dobrze mu tak.

Palant.

Upiłam łyk wódki z wodą, w mig pozbywając się wrzącego gniewu, i całą uwagę skupiłam na Luke'u. Dopiero teraz dotarło do mnie, jak bardzo był wyjęty z kontekstu. Zapewne dlatego, że miał na sobie przedziwny zestaw, na który składały się: spodnie khaki zaprasowane w kant, biała, zapinana koszula, sweter w kratę, narzucony na ramiona i związany pod szyją. Całości dopełniały ciemnobrązowe mokasyny z frędzlami. Wyglądał jak ulizany model z broszurki prywatnego klubu dla nowobogackich.

Pokręciłam głową, posyłając mu krytyczne spojrzenie.

Z niepokojem spojrział po sobie.

– Co? Źle? – Panika w jego głosie jasno wskazywała, że spędził dobrą godzinę, kompletując odpowiedni strój.

Popatrzyłam na niego z politowaniem.

– Następnym razem, jak będziesz miał się ubrać na jakąś ważną okazję, daj mi znać.

– Spoko. – Zachichotał. – Upił możliwie najmniejszy łyżeczek szampana. – Ulżyło mi, jak cię zobaczyłem. W końcu jakaś znajoma twarz. – Na jego ustach zagościł ciepły, szczerzy uśmiech, a mnie zrobiło się go odrobinę szkoda. No serio, jakie to smutne, że ulżyło mu na *mój* widok.

Rozglądał się po tłumie gości, jaki wypełnił niemal każdy skrawek ogrodu.

– Ty *znasz* tych wszystkich ludzi?

– Nie. Połowy nawet nie kojarzę.

– A twój ojciec ich zna?

– Pewnie nie.

Chyba podążył za tokiem własnych myśli. Jego mina świadczyła o zachwycie przemieszonym z przerażeniem, próbie zrozumienia, co dzieje się dookoła niego.

– Jak to było dorastać w czymś takim?

– W czymś jakim?

Ręką wskazał ogród dookoła.

– W tym... wszystkim! Mając te samochody, domy i te... – uniósł kieliszek – litry szampana, którego butelka kosztuje więcej niż mój czynsz.

Słumiłam chichot, nagle świadoma, dlaczego jeszcze w ogóle nie tknął bąbelków. Bał się je pić.

– No – nalegał – jak to było?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. To znaczy nie wiem, jak to jest dorastać w czymś innym. To tak, jakbym ja spytała cię, jak to było wychowywać się w twojej rodzinie.

– Chujowo – odpowiedź była tak szybka, że aż zamrugałam zdziwiona.

– Och... – nie byłam w stanie wymyślić nic innego.

– Nigdy nie mieliśmy pieniędzy. Ciągłe przenosiliśmy się z miejsca na miejsce.

Bez przerwy wyrzucano nas z mieszkania, bo ojciec non stop tracił pracę. Rodzice wiecznie kłócili się o kasę. Było okropnie. Aż pewnego dnia mój stary wyszedł z domu, żeby poszukać nowego zajęcia, i już nie wrócił.

– Och... – znów ta sama odpowiedź. Nagle poczułam się bardzo nieswojo. Wychyliłam resztę wódki i odstawiłam szklankę na stół. – Przykro mi.

Wzruszył ramionami.

– Wyszedłem z tego bez szwanku. Prawie.

Dalej zachwycał się wszystkim dookoła. Jakby był postacią wyjętą z czarno-białego filmu i po raz pierwszy oglądał świat w kolorze. Powoli obracał się wokół własnej osi, napawając się widokiem, aż znów stał twarzą do tylnej ściany willi. I dalej stał, potrząsając głową z niedowierzaniem.

– Trudno mi sobie nawet wyobrazić, jak może być tam, w środku.

– Na szczęście nie musisz. – Zaśmiałam się. Chwyciłam go za ramię i pociągnęłam w kierunku schodów. Wyjęłam mu z dłoni pusty talerzyk i położyłam na pierwszy stopień. Lecz zanim wdrapaliśmy się do połowy, mój wzrok z wolna powędrował za siebie, na porzucone naczynie po przystawkach. W moim żołądku wykiełkował przedziwny niepokój. Puściłam ramię Luke'a, wróciłam na trawę, podniosłam talerz i wrzuciłam go do najbliższego kubła na śmieci.

Dogoniłam Luke'a, wzięłam go pod ramię.

– Chodź. Oprowadzę cię.

Pan Carver, w sali bilardowej, z kijem

Niech zgadnę, to twoja pierwsza impreza – powiedziałam, gdy przeszliśmy z jadalni do biblioteki.

Zagwizdał, wodząc wzrokiem po półkach z mahoniem, ciągnących się od podłogi po sufit.

– Na taką skalę tak. Do takich imprez to ja nie jestem przyzwyczajony.

Wskoczył na drabinkę na kółkach, odepchnął się jedną stopą i przejechał długość całej ściany, ukazując w szczerym uśmiechu pełnię swojego uzębienia. Wyglądał jak dzieciak na placu zabaw. Prawdę mówiąc, był to dość rozbijający widok.

– Zawsze chciałem to zrobić – wyjaśnił, schodząc z powrotem.

Zaśmiałam się.

– A do jakich imprez jesteś przyzwyczajony?

– Tak naprawdę to, wiesz, nie bywam na imprezach. – Wzruszył ramionami.

– No co ty! – Dźgnęłam go w ramię. – W USC? Dobrze wiem, że macie tam odjechane imprezki.

– Na pewno mamy – odparł lekceważąco, nachylając się nad gablotą z pierwszymi wydaniem klasyki literatury. – Ale nie znajduję na nie czasu. Zawsze mam dużo pracy. Moje stypendium nie pokrywa kosztów mieszkania i wyżywienia.

– Och. – Przygryzłam wargę.

– A ty? – spytał i uniósłszy głowę, przypatrywał mi się z drugiego końca pomieszczenia.

– Co ja? – rzuciłam, natychmiast przechodząc do defensywy.

– Studia – dodał i przestąpił kilka kroków w moją stronę. – Nie chcesz iść na studia?

– A po co? – Roześmiałam się.

– Nie wiem. Dowiedzieć się nowych rzeczy. Uczyć się. Nabrać obycia ze światem.

– Całe dzieciństwo podróżowałam po Europie. W ciągu osiemnastu lat zwiedziłam trzydzieści dwa kraje. Chyba jestem wystarczająco obyta.

Uniósł ręce, czyniąc gest poddania.

– Wybacz. Po prostu ciekawi mnie, czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co chcesz robić ze swoim życiem.

Odruchowo moje dłonie powędrowały do warg.

– A co jest złego w tym, jak żyję obecnie?

– Naprawdę chcesz, żebym na to odpowiedział? – Stłumił cisnący się na usta uśmiech.

– Tak – powiedziałam pewnie. – Chcę.

Postąpił kolejne kilka kroków w moim kierunku, aż znalazł się blisko, na wyciągnięcie ręki. Patrzył mi prosto w oczy. Twarz zaczęła mnie palić, stała się gorąca. Czy to z nagłej irytacji, czy z jakiegoś innego powodu, nie miałam pojęcia. Luke nie odwracał wzroku, wpatrywał się uporczywie i nagle zaczęłam szybciej oddychać. Miałam też wrażenie, jakbym mimowolnie nachylała się do niego.

– Nie, nie chcesz – oznajmił, spuszczać wzrok i odwracając się ode mnie. Podszedł do kominka i wbił oczy w wiszącą nad paleniskiem ogromną fotografię Richarda Larrabee. Została zrobiona niedługo po śmierci matki. Gdy byłam mała, po szkole przychodziłam do biblioteki i opowiadałam ojcu, temu na ścianie, jak mi minął dzień. Brałam jedno ze zdobionych krzeseł, stojących na środku pokoju, pchałam je pod sam kominek i wdrapywałam się na nie z trudem. Zapadałam się w nim, a moje stopy ledwo co dosięgały brzegu siedzenia. Czułam się wtedy taka bezpieczna, chroniona przez mojego olbrzymiego ojca. Spoglądał na mnie, uważnie i z powagą.

Teraz zdjęcie przyprawia mnie o nieprzyjemne ciarki. Spojrzenie człowieka z fotografii już mnie nie pilnuje. Ocenia. Sądzi. Gardzi mną. Zabawne, jak przez lata jeden i ten sam portret może zupełnie przekształcić cechy przedstawianej osoby.

– Kiedyś będę miał to wszystko – odezwał się Carver. Przez sekundę zdawało mi się, że nie powinnam była w ogóle dosłyszeć jego słów. Jakby mówił do siebie. Lecz po chwili powiedział głośniej: – Pewnego dnia będę taki sam jak on.

– Dobrej zabawy życzę – prychnęłam.

– Wiesz, nieprzypadkowo mam staż w Larrabee Media – podjął, puszczając mój sarkazm mimo uszu. – Staram się ukończyć studia. Podziwiam twojego ojca za to, że zaczynał od zera i stał się symbolem. Jego losy są inspiracją dla wielu ludzi.

Przewróciłam oczami.

– Też sobie wybrali – bąknęłam, rzucając okiem na portret. Dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa, więc prędko opuściłam wzrok.

– Dlaczego nigdzie nie ma zdjęć twojej mamy? – spytał, rozglądając się dookoła.

– Gdy zmarła, tata kazał je wszystkie pozdejmować – odparłam, starając się zachować jak najbardziej neutralny i obojętny ton. Lecz po tej skandalicznej

rozmowie, jaką wcześniej miałam nieszczęście podsłuchać, było to o wiele trudniejsze niż zwykle.

– Czytałem, że bardzo mocno przeżył jej śmierć.

– Taaa – mruknęłam, wbijając wzrok w paznokcie. – Tak mocno, że do dziś co trzy lata upamiętnia jej odejście, żeniąc się z kolejną dupą.

Czułam, że wzrok Luke'a momentalnie przeskoczył na mnie.

– Może lubi dupy.

– Nie lubi – odrzekłam pewnym głosem. – Jest z nimi dla rozrywki, odwrócenia uwagi, nic więcej.

– Niektórzy potrzebują odwrócenia uwagi od rzeczy, o których nie chcą myśleć – oznajmił łagodnym tonem.

Dobrze wiedziałam, co próbował zrobić. Nie miałam najmniejszej ochoty otwierać się i opowiadać o śmierci matki. A już na pewno nie przed Lukiem Carverem.

– Taaa, cóż, to było dawno temu i wszystkim już przeszło – stwierdziłam, próbując zakończyć temat. Chwyciłam go za ramię i poprowadziłam w kierunku drzwi. – Chodź. Przerwaliśmy zwiedzanie.

Najwyraźniej zrozumiał i uszanował moją próbę zamknięcia rozmowy. Poszedł za mną z powrotem na korytarz, gdzie powietrze było wyraźnie cieplejsze niż w bibliotece.

Poprowadziłam go do kolejnego pomieszczenia, lecz Carver zatrzymał się przed samym wejściem i wskazał zamknięte drzwi na końcu holu.

– Co tam jest?

– To prywatny gabinet ojca. Nikt nie ma tam wstępu. Zawsze zamyka go na klucz.

Weszłam do sali bilardowej. Luke, posławszy przeciągłe spojrzenie w kierunku zamkniętych drzwi, dołączył do mnie.

– A to, jak widać, jest bawialnia – oznajmiłam, ręką wskazując ogromny, ręcznie rzeźbiony, pokryty czerwonym filcem stół do bilardu.

Zagwizdał, po czym się roześmiał.

– To miejsce jest jak plansza do „Clue”!

– Tak? Pierwsze słyszę. Nigdy w to nie grałam. – Przeciągnęłam palcem po gładkim drewnie z dębu.

Buzia otworzyła mu się ze zdziwienia.

– Co?! Jak mogłaś nigdy nie zagrać w „Clue”?! Przecież to najpopularniejsza gra na świecie!

– Nie wiem. Po prostu nie miałam okazji. – Wzruszyłam ramionami.

– Szkoda. To jedna z moich ulubionych. – Skinął na stół. – A chociaż potrafisz grać w bilard?

Chwyciłam kij i zręcznie potarłam koniuszek kredą.

– Tak się składa, że nawet nieźle.

Posłał mi chytry uśmieszek i przyjął wyzwanie, chwytając drugi kij.

– No to jazda.

Ustawiłam bile, a Luke je rozbił, posyłając szóstkę do narożnej łuzy.

– Całe moje – oznajmił, ustawiając się do kolejnego ruchu. Chciał wstrzelić trójkę do boku, ale chybił o kilka milimetrów.

Natarłam koniuszek kredą i zabrałam się do roboty. Wbiłam siedem połówek z rzędu i zakończyłam grę, z łatwością wbijając ósmą do narożnej łuzy.

Luke odsunął się od stołu z przerażoną miną, jakby właśnie jakiś duch zwędził mu portfel.

– Więc tak to jest dostać wciry od dziewczyny – zażartował.

Roześmiałam się, przekrzywiając głowę.

– Przepraszam! – powiedziałam zupełnie nieszczerze.

Wciąż nie zamknął rozdziawionej z wrażenia buzi.

– Gdzie się nauczyłaś tak grać?

– Od Horatia – odparłam, uśmiechając się i opierając na kiju. Natychmiast o władnął mną niespodziewany powiew nostalgii, przypomniałam sobie, że gdy byłam mała, Argentyńczyk musiał podnosić mnie do stołu, żebym mogła trafić bile.

– Kto to jest Horatio? – spytał.

– Nasz lokaj.

– Oczywiście. – Pokręcił głową, śmiejąc się. – Lokaj nauczył cię grać w bilard. Czy to nie cudowne? – stwierdził obraźliwie, udając snobistyczny brytyjski akcent wyższych sfer.

– Ej! – krzyknęłam z przeciwnego końca stołu, czując, że policzki znów zaczynają mi płonąć gniewem. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz!

– Jezus, no – jęknął. – Uspokój się. Przecież żartowałem. Co za nietykalska.

– Och, i znowu te twoje psychologiczne bzdury! Dzięki, ale od tego mam terapeutę!

– Okej, okej – powiedział, unosząc ręce do góry. – Rozchmurz się, co? Przepraszam, jeśli cię uraziłem. – Zrobił jeden niepewny krok w moją stronę, na co ja odsunęłam się prędko i odłożyłam kij na stół.

– Nie powinieneś żartować z rzeczy, o których nic nie wiesz! – krzyknęłam i wypadłam na korytarz, nie kwapiąc się nawet, by wskazać mu drogę powrotną na przyjęcie. To przecież duży chłopiec. Chodzi na studia. Na pewno sobie poradzi.

Scena, w której znikam

Coś ciężko było mi tej nocy zasnąć. Mózg puszczał mi powtórkę wydarzeń całego dnia w systemie dźwięku wielokanałowego. Choć próbowałam, nie byłam w stanie wyprzeć z myśli wszystkiego, co tego dnia usłyszałam. Chwyającego za serce kazania ojca na temat miłości i związków, nieprzyjemnych zarzutów pana Przesadziłem ze Szkocką pod adresem mojej mamy. Słów mówiących o niej, jakoby była nikim więcej niż znerwicowaną jędzą. Nawet stosunkowo bezbronnych prób Luke'a, by bliżej mnie poznać.

Zastosowawszy wszystkie znane mi sposoby na pozbycie się niechcianych myśli, chwyciłam leżącego na szafce przy łóżku iPada. Holly, która spała na osobnej poduszce, momentalnie uniosła łebek, by sprawdzić, co robię. Musiała jednak stwierdzić, że nie czynię nic, czym można by się niepokoić, ponieważ prędko wróciła do przerwane go snu.

Ponieważ nie miałam pojęcia, gdzie ojciec schował stare fotografie mamy, jedynym miejscem, w którym mogłam ją zobaczyć, był Internet. Wpisałam w przeglądarce „Elizabeth Larrabee” i czekałam, aż Google zaprezentuje kilka stron wyników. Kliknęłam „Grafika” i przejrzałam miniatury niezliczonych fotek mamy, widniejące na stronach gazet, artykułów, reportaży. Znalazły się też stare profesjonalne zdjęcia promocyjne.

Rodzice pobrali się młodo. Mama miała dziewiętnaście lat, tata dwadzieścia. Dopiero co założył pierwszy biznes, a główna siedziba jego firmy znajdowała się na ladzie w kuchni niewielkiego apartamentu, jaki wynajmowali wtedy we Fresno.

RJ urodził się dwa lata po ślubie, zaś rok po narodzinach pierwszego syna ojciec dorobił się pierwszego miliona. W chwili gdy ja przyszedłam na świat, czyli dziewięć lat później, Larrabee Media miała już status korporacji wartej miliardy, a nazwisko ojca stanowiło synonim sukcesu.

Dlatego większość fotografii, na które właśnie spoglądałam, została zrobiona w ostatnich latach życia mamy, kiedy to rozpoznawalność rodziny Larrabee zaczynała ekspresowo rosnać.

Mój wzrok prześlizgnął się po kilku zdjęciach z czerwonego dywanu i promocyjnych sesjach całej rodziny, aż natrafiłam na moje ulubione. Pochodziło z wydania „Better Homes and Gardens” sprzed szesnastu lat. Magazyn poświęcił aż sześć stron na przedstawienie nowiutkiej posesji rodziny Larrabee w Bel Air, wraz z ogrodem projektowanym przez mamę na wzór jej ulubionych francuskich ogrodów przy zamku w Villandry.

Fotografia została zrobiona tuż po moich pierwszych urodzinach. Rodzice uczyli mnie chodzić po ścieżkach ogrodu.

Nie miałam żadnych wyraźnych wspomnień z czasów, kiedy mama jeszcze żyła – a nikt z moich bliskich nie chce o niej rozmawiać – lecz nie mogłam się nie domyślać, że wtedy życie wyglądało trochę inaczej. Musiał przecież istnieć taki czas, w którym wszyscy stanowiliśmy *prawdziwą* rodzinę. Może nie do końca zwyczajną, ale przynajmniej prawdziwą. Nie tę wydumaną propagandę, którą Caroline karmi media.

Mój wzrok spoczął na szezlongu, pokrytym jedwabiem i zdobionym złoceniami, który stał w samym środku mojego pokoju. Kiecka, którą miałam na przyjęciu zaręczynowym, wciąż na nim leżała, rzucona niedbale od czasu, gdy zerwałam ją z siebie, chcąc czym prędzej pozbyć się pozostałości z tego teatryku, który trwał w najlepsze w ogrodzie.

Wtedy spojrzałam na maleńką dziewczynkę na zdjęciu, odzianą w różową plisowaną sukienkę, z kokardką w takim samym kolorze i w białych lakierkach ze skóry. Właśnie stawiała pierwsze, chwiejne kroki, a rodzice z otwartymi ramionami kucali tuż obok, gotowi schwycić ją, gdy upadnie.

Ostrożnie badałam każdy szczegół tej sielankowej kompozycji i nagle po ramieniu przebiegł mi nieprzyjemny, mroźny dreszcz.

Co, jeśli się mylę?

Co, jeśli *zawsze* było tak jak teraz? Tylko że wcześniej byłam zbyt młoda i naiwna, by zdać sobie z tego sprawę? Co, jeśli wierzyłam w kłamstwa, łykałam je ochoczo, jak stada dziennikarzy, które wszędzie za nami krążą?

Czy ta maleńka sukienka nie była aby zwykłym przebraniem? Identycznym z tym, które musiałam włożyć dziś wieczór? Czy ta rodzinna idylla uwieczniona na zdjęciu była po prostu kolejnym przedstawieniem? Klasyczną czarującą scenką odegraną specjalnie dla mediów?

Czy po odejściu fotografa matka i ojciec wstali, otrzepali ślady trawy z kolan, a następnie oddali mnie w ręce niani? By móc się rozejść każde własną ścieżką, żyć własnym życiem?

Zresztą tak naprawdę jak dobrze znam tę kobietę ze zdjęcia? Słynną Elizabeth

Larrabee. Wszyscy twierdzą, że była cudowna. Pieją z zachwytu nad jej urodą. Wychwalają za uczynność, ciepło. Była żoną idealną. Wspaniałą matką.

Ale skąd miałam wiedzieć, czy to nie kolejny z góry ustalony scenariusz? Przygotowany słowo po słowie przez zdolnego rzecznika prasowego. Obmyślony tak, by ojciec wyglądał dobrze w oczach mediów, a dobre imię rodziny Larrabee pięknie świeciło w świetle jupiterów.

Skąd miałam wiedzieć, czy tamten pijany głupiec nie był przypadkiem jedynym na tyle odważnym, by głośno oznajmić prawdę?

Jedynym, któremu *nie zapłacono* za kłamstwa i milczenie.

Odłożyłam iPada i sięgnęłam po komórkę, odłączając ją najpierw od ładowarki. Znalazłam w kontaktach numer bezpłatny, do użycia jedynie–w–razie–wypadków i go wybrałam.

Jeden sygnał i odezwała się przyjazna recepcjonistka.

– Dziękujemy, że wybrali państwo Korpus Pokoju. Czym możemy służyć?

– Cześć – powiedziałam cienkim, łamiącym się głosem. – Chciałabym się skontaktować z Cooperem Larrabee. Z tego, co mi wiadomo, powinien być teraz w Sudanie.

– Czy to jakaś wyjątkowa sytuacja? Nagły wypadek? – spytała.

Zawahałam się.

– Tak. Kryzysowa sytuacja w rodzinie. Jestem jego siostrą – powiedziałam po chwili.

Odpowiedział mi pospieszny stukot klawiszy.

– Wysłałam wiadomość do naszego oddziału w Sudanie. Brat zostanie powiadomiony i oddzwoni do pani najszybciej jak to możliwe.

Było mi przykro, że musiałam ją okłamać, lecz potrzebowałam z kimś porozmawiać, a nikt inny nie przychodził mi do głowy. Pozostali bracia są dla mnie jak obcy ludzie. RJ po uszy siedzi w firmie ojca i nie ma czasu zawracać sobie głowy moimi problemami. Bliźniacy właściwie trzymają się razem, stanowiąc coś na kształt zamkniętego, miniaturowego kręgu, jak to podobno bliźnięta mają w zwyczaju. Cooper jest jedynym, z którym jestem w stanie się dogadać. Ponieważ dzielą nas raptem dwa lata, w pewien sposób potrafi mnie zrozumieć. Jako *jedyny*. Po śmierci matki to do jego łóżka się zakradałam, przerażona koszmarami. To on usypiał mnie do snu, opowiadając bajki o aniołkach i puszystych, białych chmurkach.

Kilka minut później aż podskoczyłam na dźwięk telefonu. Na ekranie nie pojawił się żaden numer, jedynie „Poza obszarem”.

– Halo? – odebrałam.

– Lex – usłyszałam spanikowany głos brata – co się stało?

Dźwięk jego głosu, choć stłumiony i nieco opóźniony przez zakłócenia na linii, sprawił, że natychmiast się uspokoiłam.

– Hej, Coop – przywitałam się łagodnie.

– Powiedzieli, że chodzi o jakiś wypadek.

– Wiem – odparłam tonem pełnym żalu. – Przepraszam. Możliwe, że trochę przesadziłam. Po prostu chciałam cię usłyszeć.

Odetchnął z ulgą i już się spodziewałam, że mnie zbeszta za coś takiego, ale nic nie powiedział.

– Co tam, siostrzyczko? – usłyszałam w jego głosie wesoły uśmiech.

– Jest... ciężko.

– Słyszałem o twojej nowej pracy. Czy raczej... *pracach*. – Zachichotał. Ale jego rozbawienie zupełnie mnie nie uraziło. Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, tak. Ale nie w przypadku Coopera. On zawsze miał na względzie moje dobro i dobrze o tym wiedziałam.

– Tiaaa. – Westchnęłam. – Ale tak naprawdę chciałam spytać o mamę.

– Mamę? – powtórzył zdziwiony. Powinnam była się tego spodziewać. To nigdy nie był częsty temat naszych rozmów, ot, taka milcząca zasada. Wszyscy jej przestrzegają. Cała rodzina.

– Jak dobrze ją pamiętasz? – spytałam.

– Niezbyt dobrze – odparł. – Pamiętam, że była cudowna. Kochająca, pomocna, pełna ciepła.

Na dźwięk tych słów wezbrał we mnie gniew, aż przycisnęłam palce do skroni.

– Ale naprawdę masz ją taką w pamięci czy powtarzasz to, co mówili ci o niej inni ludzie?

Zawahał się przez chwilę i nawet znajdując się trzynaście tysięcy kilometrów od niego, byłam w stanie usłyszeć pracujące trybiki jego umysłu, usilnie próbujące, jak ja wcześniej, oddzielić prawdziwe wspomnienia od wszczepionych.

– Nie jestem pewien – przyznał.

– A czy pamiętasz cokolwiek innego? Cokolwiek... nie wiem... dziwnego, nietypowego, może nawet... *niepokojącego* w jej zachowaniu?

– Lex – powiedział ostrzegawczym tonem – co się dzieje?

– Nic – rzekłam pospiesznie, choć wiedziałam, że tego nie kupi. – Po prostu dużo o niej myślę.

– Może lepiej, żebyś zadzwoniła do RJ-a. On powie ci więcej. Miał czternaście lat, gdy zmarła.

– Wiesz przecież, że nie jestem w stanie z nim rozmawiać.

Westchnął.

– Cóż, pamiętam, że sporo wyjeżdżała. Szczególnie pod koniec. Wiesz, zanim zmarła.

– Wyjeżdżała? – powtórzyłam z nutą sceptycyzmu.

– Taaa. Na wakacje.

– Jakie wakacje?

Zapadła dłuższa niż zazwyczaj cisza, gdy Cooper starał się sobie przypomnieć.

– Chyba w rejsy.

– Poważnie?

– Taaa – odparł, a jego ton niespodziewanie nabrał rozpędu, jakby Cooper znalazł jakieś otwarte drzwi w swoich wspomnieniach i teraz chciał czym prędzej dostać się na drugą stronę, zobaczyć, co tam jest. – Już sobie przypominałem. Wyłączyła w jedno-, dwutygodniowe rejsy. Czasem na dłużej. Horatio mówił, że chciała się w ten sposób rozluźnić, zrelaksować, odpocząć od stresu związanego z wychowywaniem piątki dzieci. – Roześmiał się serdecznie. – I chyba nie można mieć jej tego za złe.

– Ja tego w ogóle nie pamiętam – wyszeptałam zdumiona.

– Cóż, miałaś pięć lat – stwierdził. – Wcale mnie to nie dziwi.

– Jak często wyjeżdżała?

– Nie wiem – odparł lekceważąco. – Ale kojarzę, że zanim zdarzył się wypadek, właśnie wróciła z jakiejś wyjątkowo długiej podróży.

Starałam się za wszelką cenę dojrzeć cokolwiek przez mgłę wspomnień z dnia, gdy dotarły do nas tragiczne wieści. Przez te wszystkie lata ciężko pracowałam nad tym, by usunąć z niego jak najwięcej. Cooper i ja bawiliśmy się z Horatiem w ogrodzie. U szczytu schodów pojawił się Bruce. Zawołał nas do środka. RJ i bliźniaki już tam byli. Posadził nas na kanapie – a może przy stole w jadalni? – i powiedział, że matka zmarła w wypadku w drodze z lotniska. Nigdy nie pomyślałam, by się zastanowić, dlaczego w ogóle znalazła się na lotnisku. Więc rejsy pasuje do scenariusza.

Ale co, jeśli to wszystko było opowieścią? Taką skrzętnie zmyśloną, by zakryć prawdę? Jeśli tak, to co dokładnie miała zakrywać?

– Lex – głos Coopera wyrwał mnie z zamyślenia.

– No?

– Powiesz mi, skąd te wszystkie pytania?

Aż mnie mózg rozboleł od tych przypuszczeń. Nagle zrobiłam się bardzo senna. I podejrzliwa jak jakiś paranoik. Pewnie doszukuję się wad tam, gdzie ich nie ma. Mama lubiła wyłączyć w rejsy. No i co z tego? Wychowywanie pięciorga dzieci *jest* stresujące. A ten mężczyzna na imprezie był naprawdę spity. Musiała przez niego przemawiać szkocka. Mówił, że Elizabeth znał przez wiele, wiele lat, więc równie dobrze mogła to być historia nigdy nieodwzajemnionej miłości. Może w ten sposób chciał się na niej odegrać. Rozsiewając plotki.

W każdym razie nie było sensu niepokoić Coopera. Szczególnie że znajdował się na drugim końcu świata, próbując zaradzić *prawdziwym* problemom.

– Mniejsza z tym – wyszeptałam. – Serio, to nic ważnego. – Przełożyłam telefon do drugiej ręki i położyłam się na łóżku. – Opowiedz o podróży. Jak ci idzie

z ratowaniem świata?

Roześmiał się, po czym opowiedział kilka historyjek o swoich przygodach w Sudanie, w tym o chłopcu imieniem Chiumbo, który uczy go rapować. Uśmiechałam się, czując, jak jego znajomy, ciepły głos opatula mnie. Pozwala mi odpłynąć, nawet jeśli tylko na moment, na drugą stronę globu, gdzie moje problemy nie mają prawa istnienia i mój umysł staje się zupełnie pusty.

Data: Piątek, 10 sierpnia. 22.40

Do: Luke Carver

Od: Video-Blaze.com

Temat: Otrzymałeś wiadomość video od Lexington Larrabee

KLIKNIJ TUTAJ, BY OBEJRZEĆ WIADOMOŚĆ



Lub przeczytaj poniższą transkrypcję stworzoną dzięki naszej automatycznej funkcji zapisu tekstu mówionego.

[TRANSKRYPCJA]

Hej! To znowu ja. Krótka i na temat, ponieważ tak naprawdę nie mam nic do powiedzenia. Mogłabym ci pokazać kilka nowych siniaków, ale myślę, że ta sprawa już dawno ci się opatrzyła.

Wiem, mam opowiedzieć, czego się nauczyłam przez kilka ostatnich tygodni, ale, szczerze, nie wiem, co powiedzieć.

Czekaj, wezmę listę.

Co my tu mamy... Który dziś? Ach, jasne. Praca nr 11. Doiłam krowy na farmie. A przedtem trzymałam znak stopu na przejściu, żeby dzieci mogły bezpiecznie dostać się na drugą stronę ulicy, wracając ze szkoły. Zaś na targu rybnym patroszyłam ryby.

Tyle. *C'est tout.*

Pewnie minie trochę czasu, zanim znowu zjem sushi. Więcej wniosków nie wyciągnęłam.

Więc... tiaaa. Dozo!

[KONIEC TRANSKRYPCJI]

Często mi to mówią

Pierwszy dzień pracy w miejscu o zacnej nazwie Don Juan's Tacos, popularnej sieciowej restauracji, znanej z nad wyraz kreatywnego podejścia do serowych dipów. Nie wspominając o menu pełnym smakowitych przekąsek poniżej dolara. I to nie jest pochwała.

Uniform to osobna historia. Zaczynijmy od koloru koszulki. Obrzydliwy. Pierwsza zasada mody brzmi: nikt nie wygląda dobrze w musztardowym. Nawet ja. A swego czasu znana byłam z odważnych stylizacji kolorystycznych. I po kiego ta wstawka z elastycznej gumy w pasie? Czy to spodnie dla kobiet w ciąży? A może zostały obmyślane tak, by pomieścić nowe, narastające kilogramy – scenariusz czekający każdego, kto pracując w tym miejscu, będzie również spożywał oferowane tu dania.

Zaś sombrero przemilczę.

Urody nie doda mu nawet moja piękna blond peruka o prostych, gładkich włosach sięgających ramion.

Nigdy wcześniej nie byłam w Don Juan's Tacos, lecz ich dania były mi bardzo dobrze znane z niekończącego się tasiemca puszcanych w telewizji reklam. Ale najwyraźniej moja rzekomo dobra znajomość nie wystarczyła, abym była w stanie od zera przyrządzić cokolwiek z menu.

Javier, kierownik przyuczający mnie do pracy w kuchni, zaczynał tracić cierpliwość, obserwując moje niezdarne próby przygotowania burrito. Jak dotąd udało mi się dowieść, że za nic w świecie nie jestem w stanie bez rozrywania owinąć placka tortilli wokół dwustu gram fasoli z serem.

Wnioskując z tego, jak na mnie krzyczał, traktował moją porażkę *bardzo* osobiście. Nie miałam pojęcia, o co tak naprawdę mu chodziło, ale zdołał przyprawić mnie o ból głowy.

Chwyciłam garść sałaty i położyłam ją na rozłożonym przed sobą placku.

– Och, *dios mío!* – zawołał, dodając wiązanek hiszpańskich przekleństw. Zrozumiałam je bez najmniejszego trudu, zaprawiona osiemnastoma latami życia pod jednym dachem z Horatiem, który od czasu do czasu próbował sam brać się do niektórych napraw.

– I jak ty chcesz to zawinąć z taką ilością sałaty?! – spytał. – Co? Co?!

Patrzył na mnie z taką wściekłością w oczach, jakby naprawdę spodziewał się, że odpowiem.

Zaczęłam się zastanawiać, czy aby Javier nie jest spokrewniony z Fidelem Castro.

– Nie dasz rady! – ryknął, nim zdążyłam wypowiedzieć choćby jedno słowo. – Właśnie tak!

Chwycił połowę zielska i odrzucił je z powrotem na miejsce. Odepchnął mnie na bok, mamrocząc, bym poszła na salę i poprosiła Jennę, żeby przyuczyła mnie do obsługi kasy, po czym pospiesznie zawinął przygotowywane burrito w papier i położył je na tacy.

Ciężko było mi uwierzyć, że po tym wszystkim, co przeszłam, to była dopiero piętnasta praca z listy. Przede mną jeszcze trzydzieści siedem tygodni.

Chwiejnym krokiem wyszłam na salę. Przy kasie znalazłam niewysoką blondynkę z wyraźną akwamarynową kreską na powiekach, tandetną trwałą i identyfikatorem z napisem JENNA. Przedstawiłam się aktualnym pseudonimem – Alicia – i niezbyt radosnym tonem poinformowałam ją, że ma mnie przeszkolić z obsługi urządzenia, przy którym pracuje.

– Nie przejmuj się Javierem – stwierdziła, poprawnie odczytując moją zrezygnowaną minę. – Zawsze jest taki dla nowych. Dopiero jak się go bliżej pozna, okazuje się, że to całkiem miły człowiek.

– Och, jasne. Już widzę, że będziemy najlepszymi przyjaciółmi – powiedziałam cierpko.

Zachichotała, lecz jej śmiech urwał się nagle, a na jej twarz wypłynęła bardzo dziwna mina. Przyglądała mi się z ogromną ciekawością. Czulałam, że serce zaczyna mi szybciej bić.

Znam to spojrzenie.

Bo widziałam je z milion razy. W niezliczonych miejscach. To wyraz zdziwienia i konsternacji, jaki pojawia się u ludzi, gdy myślą, że skądś cię znają, tylko nie wiedzą skąd. Już tylko sekundy dzieliły mnie od chwili, gdy trybiki w umyśle Jenny zaskoczą, zaświeci się lampka oświetlenia, rozświecili się jej twarz i powie...

– O Boże! – krzyknęła, wskazując mnie palcem i podskakując, jakby ekscytacja rozsadała ją od wewnątrz.

Zamknęłam oczy i zakląłam bezgłośnie.

Więc to tutaj prawda miała wyjść na jaw, tak? Don Juan's Tacos miało stać się moim Waterloo. Tyle z przebieranek. Tyle z wiary w „zjawisko wyrwane

z kontekstu”. Podświadomie od początku wiedziałam, że chwytam się brzytwy. Że ktoś w którymś momencie po prostu *musiał* mnie rozpoznać.

– Wiesz, kogo przypominasz? – pisnęła, tryskając radością.

Ostrożnie otworzyłam oczy.

– Co?

– Pewnie często ci to mówią.

Zmrużyłam oczy, bacznie ją obserwując.

– Co mi często mówią?

– Że wyglądasz jak Lexington Larrabee!

Wysoki, patykowaty pracownik, wycierający ladę z sosami, na moment przerwał czyszczenie i z ciekawością spojrzął w naszą stronę.

– Wiesz, ta rozpuszczona dziedziczka fortuny, co ją ciągle pokazują w tabloidach – wyjaśniła Jenna.

Wypuściłam powietrze z płuc i zmusiłam się do uśmiechu.

– Ach. Jasne. *Ona*.

– Wyglądacie *identycznie* – stwierdziła pochwalnie, jakby zakładała, że taka uwaga wprowi mnie w dobry nastrój. Chociaż, prawdę mówiąc, bardzo się ucieszyłam. Lecz nie w taki sposób, jaki zakładała Jenna.

Odwróciła się do nastolatka przy ladzie z sosami.

– Rolando, czyż ona nie wygląda *identycznie* jak Lexington Larrabee?

Pospiesznie skinął głową, po czym wrócił do czyszczenia.

– Normalnie mogłabyś nią *być*! – ciągnęła. – Poza, wiesz, włosami.

Machinalnie dotknęłam swojej peruki w odcieniu popielatego blondu, śląc bezgłośnie słowa podziękowań pod adresem hurtowni, która mi ją dostarczyła.

– Taaa... – Skinęłam czym prędzej. – Często mi to mówią.

– Wiesz, do kogo mnie porównują? – rzuciła.

– Eee... – Przyglądałam jej się uważnie. Prawdę mówiąc, z tą szczecinowatą trwałą, przykrytą grubą warstwą żelu do stylizacji, ciężko było mi uwierzyć, żeby ludzie brali ją za którąkolwiek z celebrytek. – Hmm... – przeciągałam, próbując usilnie dopasować jakieś nazwisko. Na szczęście uratowała mnie para, która właśnie weszła do restauracji. Jenna natychmiast się z nimi przywitała.

– Witamy u Don Juana! – powiedziała z lekkim dygnięciem. – Co dla państwa?

Mężczyzna uniósł palec, dając do zrozumienia, że muszą z żoną przyjrzeć się menu. Szeptali do siebie. Wnioskując z ich ubioru, natychmiast zrozumiałam, że nie są Amerykanami. Spędziłam kawał dzieciństwa, przenosząc się z jednego państwa Europy Zachodniej do drugiego. Wykształciłam w sobie nie lada radar na obcokrajowców. Szczególnie Europejczyków.

Na twarzy kobiety pojawił się grymas zniesmaczenia. Obróciła się do męża i wyszeptała:

– *Je n'arrive pas à croire que les Américains mangent cette nourriture dégoûtante. Je peux pas manger ici.*

Miałam rację. To byli Francuzi. A kobieta właśnie wyraziła swoje niedowierzenie, że też Amerykanie mają czelność nazywać „jedzeniem” cokolwiek, co znajduje się w tym menu. Gdy tego ranka przyszedłam tu po raz pierwszy, miałam dokładnie identyczne odczucia.

– Zapewniam panią – nie zastanawiając się nad tym, zaczęłam w płynnym francuskim – *nie* wszyscy Amerykanie jedzą ten syf.

Para roześmiała się, po czym kobieta spytała, czy lepiej spróbować Mimi's Cafe, knajpki obok. Powiedziałam, że tam prędzej znajdzie porządne jedzenie niż tu.

Gdy tylko wyszli, Jenna odwróciła się do mnie z miną najczystsze uwielbienia.

– Mówisz po francusku?

Zamrugałam. Zajęło mi chwilę, nim zdałam sobie sprawę, dlaczego to taki powód do zdziwienia i zachwytu. Nawet Rolando, chłopak czyszczący ladę z sosami, uniósł głowę i patrzył w moją stronę, ciekawy odpowiedzi.

O-o.

Wychodzi na to, że od pracowników Don Juan's Tacos nie oczekuje się znajomości francuskiego.

– Eee... – bąknęłam i machnęłam dłonią, bagatelizując sprawę. – Tylko troszeczkę.

Jenna roześmiała się.

– Brzmiało na więcej niż troszeczkę. – Znów odwróciła się do chłopaka przy sosach. – Rolando, słyszałeś to? Normalnie zapierniczała „Bluudiduu bla bluu bla”.

Teraz on się roześmiał.

– Taaa. Jestem pod wrażeniem.

– Cóż... – Moje palce zaczęły wodzić po stosie plastikowych tac na ladzie. – Moja mama jest Francuzką.

Gdy tylko kłamstwo doszło moich uszu, bardzo go pożałowałam. Zrobiło mi się przykro, że w ogóle wspomniałam o matce. Szczególnie że skłamałam jej kosztem.

– Zajefajnie – stwierdziła Jenna. – Moi krewni są z Norwegii albo coś. Ale to było z tysiąc lat temu. Wiesz, co jest dziwne? Zdaje mi się, że Lexington Larrabee też mówi po francusku! Jestem pewna, że gdzieś o tym czytałam. Ma chyba z pięć domów we Francji albo coś.

Właściwie to dwa, tylko dwa. Mieszkanie w Paryżu i zameczek nieopodal Aix-en-Provence, ale nie miałam ochoty jej poprawiać.

– Chociaż jej mama chyba nie jest Francuzką – ciągnęła. – Raczej nie żyje. Zginęła w jakimś tragicznym wypadku czy coś. Trochę to smutne, nie? Stracić mamę w ten sposób?

– Chyba powinniśmy skończyć szkolenie – wciąłam się. – Wiesz, zanim Javier wyłoni się z kuchni i zamorduje mnie ciosem tortilli.

Roześmiała się, chyba nie zauważając mojej zręcznej próby zmiany tematu.

– Masz łeb – stwierdziła i poklepała się po czole.

Dzięki Bogu, Rolando wrócił do napełniania pojemników na sosy, Jenna do wskazywania klawiszy na klawiaturze kasy, a ja do normalnego, spokojnego rytmu oddychania.

O *biekt kultu*

Zdawało mi się, że praca w barze szybkiej obsługi nie wymaga wielkiego talentu. Jednak okazało się, że jest potwornie trudna. Jak operacja mózgu albo coś. Korzystanie z zestawu słuchawkowego do obsługi zamówień *drive-thru* wymaga dyplomu doktora. W ciągu raptem jednej zmiany udało mi się obrazić trzech klientów, ponieważ myśląc, że wcisnęłam przycisk „off”, tak naprawdę wcisnęłam „przekaż-całemu-swiatu-co-myślisz”. A ponieważ każdy pracownik knajpy przez cały czas jest na odsłuchu, moją opinię usłyszeli dosłownie wszyscy.

Ekran z zamówieniami, zaraz nad przepierzeniem między kuchnią a salą, to jeszcze większy koszmar. Mogłabym przysiąc, że zamówienia oczekujące wyświetlane są jakimś supertajnym, rządowym kodem. Co to, u licha, znaczy „SDT wo ch+so”?! Potrzebowałam obcykanego tłumacza, żeby w ogóle spróbować przyrządzić danie, lecz składników było tyle, że nawet wiedząc, co mam zrobić, nie byłam w stanie przygotować jedzenia poprawnie.

Poza tym frytkownica się na mnie uwzięła. Byłam tego pewna. Bulgotała i wrzała rozpaloną do białości furią, smagając mnie tłuszczem za każdym razem, gdy zatapiałam w niej kosz frytek. O serowym sosie do nachosów lepiej w ogóle nie mówić. Ta śmiercionośna substancja jest niebezpieczna, lotna i powinno się ją trzymać z dala od żywych organizmów. Jej sympatyczna kremowa konsystencja to pułapka, mająca zwabić głodnego, zaskarbić jego zaufanie. Lecz wystarczy na chwilę odwrócić się do sosu plecami, by się przeobraził w potworny, galaretowaty, fluorescencyjny szlam. A gdy już zetknie się z powierzchnią jakiegokolwiek przedmiotu, nie sposób go zetrzeć.

Pod koniec pierwszego dnia miałam opuchnięte stopy, obolałe plecy, oparzenia na rękach i pachniałam, jakbym wraz z frytkami taplała się w głębokim tłuszczu. Poważnie! Oleisty smród wżarł się w moje ubrania i skórę.

Więc oczywiste, że ostatnią rzeczą, jaką chciałam widzieć o dwudziestej drugiej, po piekielnej, ośmiogodzinnej zmianie, była twarz mojego ojca. A jednak. Musiałam na niego spojrzeć, jak tylko otworzyłam drzwi samochodu Carvera. Ten słynny połowiczny uśmiech pod tytułem „Zjem cię żywcem i uwierz, będę się tym nieźle bawił” świecił prosto w moim kierunku.

Leżała na fotelu pasażera. Była to okładka autobiografii ojca. Choć w tym konkretnym przypadku „auto” to kolejne genialne kłamstwo Richarda Larrabee. Dobrze wiedziałam, że wynajął do tego zadania jakiegoś literackiego murzyna.

Jęknęłam.

– Co to tu robi?! – spytałam, wściekle nie spuszczać oka z fotografii. Schyliłam się, by wsiąść, celowałam tyłkiem prosto w pełną samozadowolenia twarz ojca. Luke jednak zdołał w porę ocalić książkę i przyciskał ją teraz do piersi.

– Dopiero co kupiłem – powiedział z dumą. – Mam zamiar zabrać ją jutro do biura i poprosić o autograf.

Przewróciłam oczami i zapięłam pas.

– Mamy to przeczytać na zajęcia z przedsiębiorczości – ciągnął. – O tym, jak Richard Larrabee zaczynał bez grosza, bez wykształcenia, pracując w oddziale pocztowym niewielkiej gazety.

– W punkcie ksero – poprawiłam go niechętnie.

– No właśnie – odparł. – To niesamowite, jak w ciągu raptem kilku lat jego biznes urósł do rangi największych korporacji świata.

– Oszczędź mi tej recenzji, okej? – jęknęłam z odrazą.

Posłał mi besztające spojrzenie, po czym przystawił mi książkę do twarzy i energicznie zastukał palcem w okładkę.

– Ten mężczyzna to żywa legenda. Jego działania zmieniły życie innych ludzi!

– Taaa, jestem na to dowodem – mruknęłam.

Ale Luke mnie nie słuchał. Tęsknym wzrokiem gapił się na zdjęcie mojego ojca, niczym dwunastolatka z oczami wlepionymi w plakat najnowszego idola, gotująca się do pocałunków z papierem.

– Mnie na pewno zmienił – oznajmił. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że brzmiał jak członek jednej z tych sekt, które porzucają normalne życie i przenoszą się do dzikiego lasu.

I dobrze. Już tam się z nim rozprawia.

– Powinnaś to przeczytać – stwierdził, wybudzając się z miłosnego transu i znów postukując o okładkę.

– Jasne. Bo właśnie *tak* chcę spędzać wolny czas – prychnęłam.

– Mogłabyś się dowiedzieć czegoś o mężczyźnie, który cię wychował.

– Ten mężczyzna mnie *nie* wychował.

– Wiesz – podjął zadumany – myślę, że nie doceniasz tego, co masz. Tego, kim

jesteś. Jakie miałaś szczęście, że urodziłaś się właśnie w tej rodzinie. Reszta z nas naprawdę musi *ostro* pracować, żeby dorobić się czegokolwiek.

Zachichotałam sztucznie.

– A ja myślę, że ty nie dostrzegasz rzeczywistości związanej z byciem częścią tej rodziny.

Zupełnie zignorował moją uwagę.

– Miałaś tak wiele cudownych okazji, a zdecydowałaś się odrzucić wszystkie na rzecz picia, imprezowania i rozbijania samochodów.

– Cóż, przynajmniej dobrze się bawiłam – warknęłam gniewnie. – Przynajmniej *umiem* się dobrze bawić.

– Ja też umiem się dobrze bawić – powiedział urażonym tonem.

– Ha, jasne. Jestem pewna, że arkusze kalkulacyjne i sprawozdania dają niezłą rozrywkę – zakpiłam.

– Żebyś wiedziała, że moje życie to nie tylko arkusze kalkulacyjne i sprawozdania!

– Proszę cię! Wielki Sztywniak to twoje drugie imię! – ciągnęłam. – Nie jesteś w stanie nawet odpalić auta bez przygotowań i analizy mechanizmu działania maszyny! Założę się, że dobra zabawa to dla ciebie układanie długopisów w szufladzie w biurku. Nigdy nie luzujesz? Nigdy nie puszczasz ostrożności w cholerę? Nie robisz nic nieprzemyślanego?

Zapadła martwa cisza i nagle miałam wrażenie, jakby miast piętnastocentymetrowej konsoli dzieliło nas boisko do piłki nożnej.

– Tak – wyszeptał. – Tak, robię.

– Och, naprawdę? – rzuciłam. Bez słowa otworzyłam drzwi i wysiadłam z auta.

– Co robisz? – zawołał, ale nie odpowiedziałam. Podeszłam do drzwi od strony kierowcy. Luke patrzył na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Wysiadaj – rozkazałam, poganiając go gestem dłoni.

Posłał mi podejrzliwe spojrzenie, lecz usłuchał.

– Po co?

Natychmiast wślizgnęłam się za kierownicę i zapięłam pas.

– Ja prowadzę.

– O-okej – wyjąkał. Choć nie protestował, jego twarz malowała się w barwach wielkiego niepokoju. – Dokąd jedziemy?

Przesunęłam fotel do przodu, tak by moje stopy dosięgały pedałów, po czym włączyłam silnik.

– Mówisz, że wiesz, jak się bawić? – rzuciłam, wrzucając bieg. – Więc zabiorę cię gdzieś, gdzie będziesz mógł tego dowieść.

Sztuka negocjacji

Z piskiem opon zatrzymałam się przed klubem Shadow przy Sunset Boulevard. Moja nieostrożna jazda sprawiła, że twarz Carvera przybrała zielonkawy odcień, i spodziewałam się, że jak tylko się zatrzymamy, wyskoczy z auta i zacznie wymiotować. Wsiadłam i spuściłam klucze na dłoń parkingowego. Stażysta mojego ojca ostrożnie podążył za mną, wlepiając oślepiiony wzrok we flesze aparatów paparazzich, którzy oblegali główne wejście.

– Lexi! – ryknęli na mój widok, za wszelką cenę chcąc sprawić, bym odwróciła się w ich stronę, by mogli zrobić mi zdjęcie en face. Zignorowałam ich nawoływania, idąc prosto do klubu z opuszczoną głową i ciągnąc Luke’a za rękaw.

Gdy weszliśmy, natychmiast poprowadzono nas do sali dla VIP-ów, do stolika na tyłach. Zamówiłam wódkę z lodem, a mój towarzysz bąknął coś o dietetycznej coli.

Przewróciłam oczami. Nawet wybór picia w jego wykonaniu okazał się nudny. Kelnerka już miała odejść, lecz zatrzymałam ją w porę i powiedziałam, żeby zapomniała o wódce i coli i od razu przyniosła nam kolejkę tequili. Skinęła i puściła do mnie oko.

Spojrzałam nad stolikiem na Luke’a, który oczami wielkimi jak spodki rozglądał się dookoła. Widoki – skąpo odziane kelnerki z tacami, dwie dziewczyny oddające się gorącym pieszczotom przy stoliku obok, kocioł rozpoznawalnych celebrytów, objających się o siebie na parkiecie – pomału zaczynały docierać do jego świadomości.

Jego mina jelenia uchwyconego w świetle samochodowych reflektorów tuż przed zderzeniem sprawiła, że poczułam ogromne zadowolenie. Ten człowiek już zbyt długo żył w bezpiecznym bąbelku. Pora, żeby ktoś go przebił.

– Nie chce mi się wierzyć, że nawet nie poprosili cię o dowód – powiedział, gdy kelnerka przyniosła szoty.

– Znają mnie. – Wzruszyłam ramionami.

– Właśnie – odparł, wachając tequilę i krzywiąc się z niesmakiem. – Wiedzą, że masz tylko osiemnaście lat.

– Ja żyję na innych zasadach.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

– Zauważyłem.

Uniosłam kieliszek i pokazałam mu, by zrobił to samo. Ale on jedynie patrzył się na mnie jak sparaliżowany.

– No dalej – zachęcałam. – Poużywaj życia.

– Och, używam wystarczająco, dziękuję.

– Nie wątpię. – Posłałam mu nieśmiały uśmiech. – Dam sobie rękę uciąć, że nigdy, nawet na moment, nie popuściłeś hamulców. Nawet na sekundę.

Znów pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

– Mam rację, prawda?

Zesztywniał momentalnie.

– Nie trzeba się upijać, żeby się dobrze bawić, wiesz?

– Prawda – przyznałam z uśmiechem. – Ale alkohol pomaga.

Oparł się wygodnie i skrzyżował ramiona na piersi.

– Posiedzę tutaj, upewnię się, że wrócisz do domu cało. Oboje wiemy, że miewasz z tym problemy.

– Jak chcesz – odparłam ze spokojem, jednym haustem pochłonęłam zawartość kieliszka, po czym sięgnęłam po porcję mojego towarzysza. Przełknęłam i skrzywiłam się, czując w ustach gorzki posmak.

– Iiiihaaaa! – zawołałam. – Jak dobrze być z powrotem w domu!

Patrząc na mnie, Carver ponownie pokręcił głową.

Stłumiłam mimowolny chichot.

– Zostań sobie tutaj i dalej żyj nudnym życiem – rzuciłam żartobliwie, wyciągając w jego stronę palec i niemal wpychając mu go w twarz. Odsunął się prędko, niemal na skraj kanapy. – Ja idę tańczyć. Dołącz do mnie, jak już ci się znudzi wegetacja w tym twoim bąbelku.



Po godzinie i kilku kolejnych szotach ja wciąż wyginałam się na parkiecie, a Luke nadal dąsał się przy stoliku. Chociaż z drugiej strony, od kiedy rzuciłam się w wir tańca, nie patrzyłam w tamtą stronę, więc równie dobrze mógł już dawno pojechać do domu.

Lecz obiecałam sobie, że nie będę o nim myśleć. On był naczelnym psujem dobrej

zabawy, a akurat w tej chwili ja czułam się świetnie i nie chciałam sobie psuć humoru. Tak cudownie było znów wrócić do klubu. Ten alkohol sunący żyłami. Rozgrzewający. Rozluźniający. Wymazujący. Muzyka tłumiała mój mózg i wyciszała myśli. Odbierałam jej bicie w kręgosłupie, czułam, jak przejmuję kontrolę nad moim ciałem, wywija moimi członkami tam i tu, tak i siak. Moja głowa stawała się lżejsza i lżejsza. Otwierała się. Płynęła.

Pozwoliłam, by powieki się zamknęły, i zawładnął mną jednostajny rytm.

Właśnie tego mi było trzeba. Ucieczki. Odwrócenia uwagi. Sposobu, by wcisnąć przycisk „restart” i sprawić, by ostatnie trzy miesiące zniknęły.

Poczułam energiczne klepanie po ramieniu, otworzyłam oczy i zobaczyłam obok siebie Luke’a. Nie tańczył. Nawet nie próbował ruszać się w takt muzyki. Po prostu stał, smętnie trzeźwy i bardzo poirytowany.

– Powinniśmy już iść! – starał się przekrzyczeć muzykę.

– Co? Czemu? – krzyknęłam w odpowiedzi. – Przecież jeszcze nie minęła północ.

Rozejrzał się dookoła zaniepokojony, a dyskomfort spowodowany znalezieniem się w takim otoczeniu wyraźnie malował się na jego twarzy.

– Jutro rano idziesz do pracy.

– No i co? – Roześmiałam się.

– Powinnaś się przespać. Odpocząć.

– A może ty powinieneś odpocząć od tego zrzędzenia, co? – odszczekałam.

Chwyciłam go w pasie, zmuszając, by zaczął się ruszać.

– No dalej! Rozchmurz się. To takie proste. Musisz się tylko odłączyć od umysłu.

Podenerwowany zrobił kilka kroków w tył, by nie być w zasięgu moich rąk.

– Chodź, Lexi. Robi się późno. Już się pobawiłaś. Powinniśmy wracać do domu.

– Dlaczego? Obawiasz się, co *tatus* pomyśli? Stażysta imprezuje z jego jedyną córeczką? Boisz się, że cię nie pochwalą?

Ze sposobu, w jaki opadły mu kąciki ust, wywnioskowałam, że dźgnęłam go do żywego. Mimo to nic nie powiedział.

– Słuchaj... – zaczęłam, ale głos uwiązł mi w gardle, gdyż moje oczy zarejestrowały postać w oddali, idącą w moją stronę, sunącą przez roztańczony tłum jakby w spowolnionym tempie. Choć alkohol stworzył mi przed oczami mglistą zasłonę, natychmiast rozpoznałam te szerokie barki. Powiew dumy, gdy idzie – nie, *kroczy* przez tłum. Ten seksowny uśmiech, który z miejsca pojawia się na mój widok.

Luke odwrócił się, zaciekawiony, co tak przykuło moją uwagę.

– Ej, czy ja tego gościa skądś nie znam? – powiedział.

Czułam, jak moim płucom zaczynało brakować tlenu. Mięśnie w moich nogach z nagłą przeistoczyły się w papkę.

– Tak. To Mendi Milos. – Głos mi ochrypł i niemal drżał. – Dziedzic imperium nieruchomości rodziny Milos... – urwałam, wzięłam głęboki oddech, próbując

zapanować nad płucami. – I mój były.

Nie zdążyłam nawet pomyśleć, co zrobić i jak zareagować, a Mendi już znalazł się przy mnie, cmokając w mój policzek.

– Hej, Lex – powiedział, a jego gładki ton z łatwością przebił się przez muzykę. – Dawno cię tu nie było.

Przełknęłam ślinę.

– Byłam zajęta. Odpoczywałam trochę od imprez.

Uśmiechnął się, sprawiając, że kolana się pode mną ugięły.

– Nic dziwnego – stwierdził. – Czasem to wszystko może się... nie wiem, znudzić. – Rzucił okiem za siebie. – Co to za jeden?

– Och – westchnęłam zdziwiona. Na moment zupełnie zapomniałam, że Luke tam stał. Mendi zawsze działał na mnie w ten sposób: jakby świat dookoła nas przestawał istnieć; jakby w promieniu kilkuset kilometrów nie było nikogo. Nawet w zatłoczonym klubie. – Wybacz. To jest Luke Carver. Luke, to jest Mendi Milos – przedstawiłam ich grzecznie. – Luke pracuje dla mojego ojca – dodałam.

Wymienili uścisk dłoni, dyskretnie mierząc się wzrokiem, jak to tylko mężczyźni potrafią.

Niemal natychmiast Mendi zwrócił się do mnie, jakby Luke rozpułynał się w powietrzu, i już z powrotem znaleźliśmy się w naszym niewielkim świecie, w którym miejsca starczyło jedynie na dwoje.

– Dobrze cię widzieć, maleńka. Tęskniłem.

Moje organy wewnętrzne topniały. Najpierw żołądek. Potem płuca. Potem serce. Ten głos niegdyś usypiał mnie do snu. Stanowił smakowitą mieszankę sześciu nacji cudownie spojonych w jeden melodyjny akcent. Efekt dorastania w hotelach na terenie całej Europy. I wciąż ku mojemu niezadowoleniu najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek dane mi było usłyszeć.

Instynktownie rozwarłam usta, by coś powiedzieć, szepnąć, że ja też za nim tęskniłam. Nagle u boku Mendiego wyrosła dziewczyna. Jak gdyby nigdy nic wsunęła dłoń do tylnej kieszeni jego markowych jeansów, po czym, zupełnie niedyskretnie, zgromiła mnie wzrokiem, jak to tylko kobiety potrafią.

Rozpoznałam ją natychmiast. Przedłużane blond strąki. Trzydzieści centymetrów w talii. Piersi D wciśnięte w miseczkę B.

Serce podskoczyło mi do gardła, biło tam, dusząc mnie, odbierając mi mowę.

Bezradna patrzyłam, jak ręka mojego byłego zamknęła się na jej szczupłych, wątłych barkach. To samo ramię, które niegdyś otaczało mnie. Które przytulało, gdy było mi zimno. Które odgradzało mnie od wścibskich paparazzich.

– To jest Serena – powiedział. Jakbym nie wiedziała. Jakby cały świat od dwóch lat nie oglądał jej w tym lichym reality show na MTV.

Słynna Serena Henson. Znana również jako obłudna idiotka ze spalonymi kudłami.

Nigdy nic do niej nie miałam. Do czasu, aż znalazła się w klubie z moim byłym.

Nie chciało mi się wierzyć, że Mendi mógł spotykać się z kimś takim. Europejski dziedzic pierwszej klasy nie powinien umawiać się z tandetnymi gwiazdkami amerykańskich reality show. To po prostu nie uchodzi.

– Dobrze wyglądasz – rzucił. – Co porabiałaś ostatnio?

Może i Mendi miał ochotę pogadać, jakby nigdy nic się nie stało – jakbyśmy przez ostatnie dwa lata nie schodzili się i rozchodzili bez przerwy – ale ja nie byłam w stanie wystać tam ani sekundy dłużej. Szczególnie że nie chciałam, by dopiero co spożyty alkohol przebył swoją krótką drogę w powrotnym kierunku. Więc odwróciłam się na pięcie i wystrzeliłam, zbiegając z zatłoczonego parkietu i kierując się do drzwi.

Poczułam czyjś uścisk na ramieniu. Zatrzymał mnie. Gdy się odwróciłam, znów stanęłam twarzą w twarz z Lukiem. Już nie wyglądał na zirytowanego. Raczej na naprawdę zaniepokojonego.

– O co poszło?

Nie odpowiedziałam. Nawet gdybym była w stanie, nie umiałabym. Bo, prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia, o co poszło. Nigdy nie potrafiłam wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo ciągnęło mnie do Mendiego. Gdybym wiedziała, może umiałabym odwrócić proces przemiany moich członków w drżącą papkę, który zachodził za każdym razem, gdy mnie dotykał ten facet.

Nie myśląc, napałam na Luke'a, zarzuciłam mu rękę na szyję. Ustami znalazłam jego wargi. Potknął się i upadł na pustą kanapę. Wylądowałam na nim, wciąż nie przerywając pocałunku.

Splotłam dłonie na jego karku, unieruchamiając mu w ten sposób głowę, niczym w potrzasku. Zastygł, najwyraźniej nie będąc pewien, jak postąpić przy tak nieoczekiwanym rozwoju wydarzeń. Lecz po chwili zaczął oddawać pocałunki. Jego usta jęły poruszać się w zgodzie z moimi, dłonie wodziły po moich plecach. Intensywność doznań narastała.

Niestety, jego czynny udział nie trwał długo. Wrodzony instynkt Luke'a prędko ustąpił miejsca tej nieznośnej, analitycznej części mózgu. Zdołała poukładać wszystkie zmienne i oszacować konsekwencje tak nietypowego zachowania. Wargi stażysty znów zastygły, ręce opuściły moje plecy i przeniosły się do szyi właściciela, do moich nadgarstków. Chwyciły je i zdołały rozewrzeć ścisk. Wreszcie Luke odsunął głowę na bok.

– Ej, Lexi! – powiedział, patrząc na mnie. – Co ty robisz? Nie przemyślałaś tego, jesteś...

Machnęłam lekceważąco na jego głupią logikę i znów się na niego rzuciłam. Tym razem siłą wepchnęłam mu język do ust, przesunęłam się bliżej jego piersi, przyciskając udami tak, by trudniej mu było się wyrwać.

Ale i tak mu się udało. Wyślizgnął się spode mnie, rzucając mną jednocześnie na kanapę – upadłam na twarz i mój wysunięty język skosztował puszystego smaku aksamitu.

Wściekła poderwałam się na kolana.

– O co ci, kurna, chodzi?! – warknęłam. – Wiesz, ilu facetów w tym klubie, ba, w tym *mieście*, oddałoby wszystko, żeby znaleźć się na twoim miejscu?!

– Lexi – uciszył mnie spokojnym tonem – sporo wypiąś. Nie myślisz trzeźwo.

– Chryste! – jęknęłam. – Ty potrafisz wyłącznie trzeźwo myśleć! To tak nudne, że aż mam ochotę przy tobie zasnąć! – Prędko pozbierałam swoje zszargane emocje do kupy i grymas zirytowania zastąpiłam kokieteryjnym uśmiechem. Przesunęłam się w jego stronę. – No dalej – powiedziałam namiętnie. – Nie masz czasem ochoty zrobić czegoś impulsywnie?

Nachyliłam się, naciskając dłonią na jego pierś. Odbierałam szybkie bicie jego serca. Czułam nikłą woń wody po goleniu. Zaczęłam zdejmować mu marynarkę z ramion, jednocześnie pochylając się, by pocałować go w szyję. Jego grdyka rosła i malała, gdy głośno przełykał ślinę.

– Lex – powiedział z niepokojem i łagodnie odsunął moje ramiona – dlaczego to robisz? Przecież ty mnie *nie lubisz*.

– No i co? – odparłam, wijąc się, by uwolnić się z jego trzymających mnie na dystans rąk. – Nie muszę cię lubić, żeby robić z tobą pewne rzeczy. – Przesunęłam opuszką palca po jego koszuli, zatrzymując się na koniuszku krawata, po czym zacisnęłam na nim dłoń i przyciągnęłam Luke'a do siebie. Czułam, że jego ciało już się poddało. Widać wrodzone męskie instynkty znów wzięły górę.

Zatrzymałam się na kilka milimetrów przed jego ustami.

– Poza tym miłość to tylko umowa biznesowa między dwojgiem ludzi.

Nagle znów poczułam na swoich ramionach jego ręce odpychające mnie na maksymalną odległość.

– Co takiego? – syknął.

– Słyszałeś.

Wpatrywał się we mnie badawczo.

– Ty naprawdę w to wierzysz?

– Tak. – Wzruszyłam ramionami i odwróciłam wzrok.

Czułam, że spojrzeniem wodzi po mojej twarzy, wpatruje się intensywnie, niemal przewiercając mnie na wylot. Po dłuższej chwili zachichotał z niedowierzaniem i pokręcił głową.

– Jesteś pijana – stwierdził, ześlizgując się z kanapy i wyciągając dłoń w moją stronę. – Chodź. Zawiozę cię do domu.

Ściąć go!

Co za wstyd! Co dziwne, nie miał on nic wspólnego z gigantycznym słomkowym sombrero na mojej głowie. Choć usilnie starałam się zatamować napływ wspomnień z poprzedniego wieczoru, udawało im się zmyślnie prześladować moją świadomość.

Luke Carver.

Całowałam się z Lukiem Carverem.

Co ja, do licha, myślałam?!

Sorry, ale stan upojenia alkoholowego nie jest dobrą wymówką. Już wcześniej pod wpływem rozmaitych trunków wyczyniałam wiele żenujących rzeczy, wartych okładki tabloidu, ale to... to było coś zupełnie innego. To zupełnie nowy rodzaj wstydu.

Na szczęście, gdy wsiadłam do samochodu w czwartkowy poranek, Luke zdawał się tak samo jak ja niechętny do rozmowy o zdarzeniach minionego wieczoru. Siadłam w fotelu, bąknęłam coś w stylu „dzień dobry”, po czym zatkałam uszy słuchawkami i puściłam głośną muzykę. Luke najpierw spędził chwilę, próbując włączyć jakąś swoją płytę, następnie ruszył z podjazdu.

Po raz pierwszy od trzech miesięcy nie poświęcił pięciu minut na przygotowanie auta do jazdy. Odjechał tak po prostu. Założyłam, że oboje bardzo chcieliśmy mieć tę podróż już za sobą.

Zaryzykowałabym nawet stwierdzenie, że oboje chcieliśmy mieć ten rok już za sobą.

Więc wychodziło na to, że jednak mamy coś wspólnego.

I co ty na to?

Gdy weszłam do Don Juan's Tacos, nastąpiło coś w stylu wszechogarniającej emocjonalnej fali. Wszyscy spojrzeli na mnie z wyrazem przemożnego zdziwienia,

jakby widzieli mnie po raz pierwszy w życiu.

– Hej. – Jenna podeszła do mnie ostrożnie, gdy odwieszałam torbę na wieszak nieopodal drzwi. – Jesteś.

Spojrzałam w dół, na mój pożałowania godny uniform.

– Niestety.

– Niektórzy myśleli, że zrezygnowałaś po wczorajszym dniu... Albo że zostałaś zwolniona – dodała łagodnym głosem i rzuciła okiem na pomieszczenie pełne ciekawskich twarzy obserwujących nas z niecierpliwością.

Chciałabym.

Przylepiłam na usta uśmiech numer pięć i głośno oznajmiłam, tak by słyszeli mnie wszyscy:

– Nie! Wciąż tu pracuję!

Zauważyłam, jak jeden z pracowników z kwaśną miną przesunął na ladzie banknot dwudziestodolarowy w kierunku Rolanda, który uśmiechnął się szeroko i prędko schował kasę do kieszeni.

– Dobrze! – Jenna sprawiała wrażenie, jakby siliła się na wesołość. – I tak głupio mi tu było, tak samej wśród mężczyzn.

– Co mam dziś robić?

Rzuciła okiem na kuchnię.

– Może pomóż przy przygotowaniu składników, co?

Niechętnie zawlekłam się do kuchennej lady, przy której Rolando, uzbrojony w ogromny metalowy wynalazek, kroił pomidory. Chłopak był wysoki i szczupły, miał w sobie jakiś łobuzerski urok. Włosy nosił ostrzyżone wyjątkowo krótko, na modłę marines.

– Hej – bąknęłam, stając obok niego. – Mam ci pomóc.

Posłał mi sympatyczny, szczery uśmiech, po czym pchnął karton pomidorów w moją stronę.

– Dobra, skończ kroić, a ja zabiorę się za napełnianie pojemników z sałatą.

– Więc założyłeś się, że jednak zostanę po pierwszym dniu, co? – spytałam, chwytając czerwony owoc i kładąc go pod ostrzem.

– Och, taaa. Przepraszam. – Zarumienił się, nagle uświadomiony, że widziałam jego wygrane dwadzieścia dolców.

– Ależ nie szkodzi – powiedziałam. – Jesteś jedynym w tej knajpie, który zdaje się pokładać we mnie wiarę. – Po czym dodałam pod nosem: – Właściwie jedynym w ogóle.

Opuściłam dźwignię maszyny szatkującej i napałam na nią ciężarem ciała. Ale zamiast pokroić pomidora, ostrza zgmiotły go, wytrysnął sok i pestki, obryzgując wszystko dookoła, włącznie z moim uniformem.

– Cudownie! – jęknęłam, sięgnęłam po ręcznik i zaczęłam wycierać ubranie.

Rolando roześmiał się i natychmiast znalazł się przy mnie.

– Czekaj – powiedział, biorąc kolejny owoc i kładąc go w maszynie. – Pokażę ci. Musisz zrobić to mocno i szybko. Wiesz, trochę jak z obsługą gilotyny.

– Gilotyny? – Zachichotałam, rozbawiona porównaniem.

– Taaa... – Uśmiechał się od ucha do ucha. – Wiesz, tak jak odcinało się ludziom głowy.

– Wiem, czym jest gilotyna. Po prostu zdziwiło mnie twoje porównanie.

– Ale ono się sprawdza, wiesz – stwierdził. – Myślę o kimś, kogo nie lubię, i mówię sobie, że mam władzę nad jego głową. – Nacisnął dźwignię szybko i pewnie. Pomidor gładko zamienił się w mnóstwo wąskich paseczków, które opadły do pojemnika poniżej. – Widzisz?

Znów się roześmiałam.

– To takie brutalne.

– Niezupełnie. Ale naprawdę czyni pracę przyjemniejszą. – Machnął ręką.

Wzięłam kolejny owoc i umieściłam go pod ostrzami.

– Więc? – spytał. – Kim będzie twój pomidor?

Przebiegły uśmiešek wykrzywił moje usta.

– Nie martw się. Mam kilku kandydatów.

Moje palce mocno zacisnęły się na gumowym uchwycie dźwigni. Wykorzystałam całą siłę i masę skumulowanych emocji, by opuścić ostrza szybko i wściekle. Podczas akcji moje usta wydały niewielkie, godne sztuk walki stęknięcie. Ku mojemu zaskoczeniu ostrza gładko weszły w mięsz i pojemnik uzupełnił się o kilka nowych plasterków.

– Brawo! – zawołał Rolando. – Bardzo dobrze!

Zdumiona nie mogłam oderwać wzroku od mojego dzieła. Uszło ze mnie tyle gniewu. Pracowałam dalej. Gdy w końcu wsadziłam rękę do kartonu i na dnie nie było już ani jednego pomidora, czułam się lepiej niż po wartej pięćset dolarów za godzinę sesji terapeutycznej. Nawet rozluźniło się napięcie w karku i ramionach. Czułam się silna. Potężna. Niemal *nowo narodzona*.

– O rety, dziewczyno! – krzyknął Rolando, patrząc na pojemnik pełen owoców mojego gniewu. – Chyba naprawdę musisz kogoś bardzo nienawidzić.

Zachichotałam pod nosem.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Igrzyska czas zacząć

Rolando jest przezabawny! Ma talent do przekształcania wszelkich knajpianych obowiązków w gry i zabawy. Oprócz Pomidorowej Gilotyny była jeszcze Waga Ciężka: Pierwszy na Mecie. Otrzymywało się punkty w oparciu o skomplikowany rachunek, w który wliczało się czas przygotowania jakiegoś dania oraz jego ostateczną wagę w porównaniu z sugerowaną – widniejącą w poradniku dla pracowników Don Juan's Tacos. W tej konkurencji niemożliwym do pobicia mistrzem był sam Rolando, szczególnie w przypadku potraw Deluxe Taco, Grande Burrito i Grande Nachos.

I jeszcze jedna zabawa: Zgadnij, Kto To. Punkty otrzymuje się za poprawne odgadnięcie cech osób zamawiających przez *drive-thru* w oparciu jedynie o ich głos. Na przykład można próbować tak: ruda, duże cyce, ma na sobie czapeczkę bejsbolową. A ponieważ przez kamery na ekranie widać było jedynie samochody z zewnątrz, otrzymywało się dodatkowe punkty za odgadnięcie szczegółów wnętrza takich, jak: manualna skrzynia biegów lub pusty kubek po kawie ze Starbucksa. Akurat w tej zabawie wymiatałam. Wyprzedziłam przeciwników w przedbiegach i wskoczyłam na sam szczyt rankingu, gdy poprawnie odgadłam, że kobieta o seksownym, namiętym głosie, siedząca za kierownicą olbrzymiego czarnego range rovera, ma na sobie dres Juicy Couture, bransoletkę z serduszkami Tiffany'ego, a pieniądze, by zapłacić za obiad dla swoich dzieci, wyjmie z torebki Fendi z zeszłorocznej kolekcji. I choć akurat tego ostatniego nikt oprócz mnie nie mógł potwierdzić, otrzymałam za tę rundę z dobre tysiąc punktów.

Nie miałam pojęcia, jakim cudem Rolando wpadał na te pomysły, ważne, że były genialne. Czas leciał migiem. Zazwyczaj siedziałam ze wzrokiem wlepionym w zegar, lecz tego dnia Javier musiał grzecznie zwrócić mi uwagę, że to koniec mojej zmiany i pora, żebym poszła do domu.

– Dobra robota! – Jak Boga kocham, tak właśnie powiedział.

Przez sekundę myślałam, że żartuje (lub śle pochwałę pod adresem innego pracownika), więc patrzyłam na niego, czekając, aż jego mina powie mi prawdę.

– Poważnie? – spytałam po chwili gapienia się w jego obojętną twarz.

– Poważnie. Oby tak dalej – odparł zupełnie szczerze.

Byłam w takim szoku, że o mało nie zemdlałam. Podziękowałam mu wylewnie, po czym tanecznym krokiem pomknęłam do szatni dla pracowników. Chwyciłam torbę, rozweselona pożegnałam się z wieczorną zmianą i wypadłam na zewnątrz.

Ale mój dobry humor prysł w momencie, gdy przypomniałam sobie, co miało mnie zaraz czekać.

Luke.

Znów miałam stawić mu czoła. Dzielić z nim zamkniętą przestrzeń. I wtedy ponownie zalała mnie fala przerażających wspomnień minionego wieczoru.

Mendi z uczepioną u boku dziweczką z telewizji. Ja zbiegająca z parkietu. Ja na Luke'u. Wciskająca mu język do ust.

Fuuu! Przestań!

Jeśli miałam przetrwać kolejne osiem i pół miesiąca, musiałam nauczyć się wypierać mdlące myśli tego typu.

Niechętnie wyszłam na parking i skuliłam się w sobie, spodziewając się, że lada moment ujrzę znajomy samochód, z którego wychyli się ku mnie twarz stażysty, i ponownie doświadczę tego całego wstydu. Ale Luke'a nigdzie nie było. Z początku odetchnęłam z ulgą, lecz za chwilę pomyślałam, że to bardzo dziwne. Zazwyczaj po każdej zmianie już na mnie czekał, z punktualnością typowego opiekuna lizodupy.

Na komórce znalazłam wiadomość: spóźni się, ponieważ mój ojciec akurat jest w trakcie przeprowadzania jakiejś gigantycznej fuzji i zlecił Luke'owi dodatkową robotę w biurze. Ogarnęła mnie wściekłość. Czy on naprawdę spodziewa się, że będę na niego czekać, jak jakiś dzieciak tkwiący samotnie w przedszkolu, bo rodzice odbierają go późno po pracy?

Ojciec mawiał, że ludzie spóźniają się po to, by okazać swoją wyższość i władzę. Kiedyś irytowało mnie to powiedzenie. Szczególnie że nie miałam wtedy pojęcia, co dokładnie miał na myśli. No i dlatego, że mówiąc to, zazwyczaj odnosił się do mojej osoby. Lecz dopiero teraz zaczynałam rozumieć, o co mu tak naprawdę chodziło.

Wściekła, że to najwyraźniej mój opiekun jest górą w tym durnym układzie, postanowiłam przejrzeć skrzynkę mejlową. Dostałam wiadomość od Jii i T – zachwycały się jakąś cudowną willą na południu Francji, którą zamierzały wynająć po zakończeniu rejsu. No chyba że będą mi potrzebne w LA. Wtedy przyłecą jak najprędzej.

Oczywiście, że były mi potrzebne. W ogóle co za durne pytanie.

Chociaż... Nie byłam pewna, czy moja automatyczna odpowiedź jest w pełni

szczera.

Westchnęłam, przełknęłam rosnącą w gardle gulę i otworzyłam kolejnego mejla. Tym razem od Caroline. Od kilku tygodni próbowała zorganizować jakiś debilny lunch z udziałem Rêve, moim i mediów. Oznaczyłam wiadomość jako spam i przesłałam dalej.

– Świetna robota dziś! – niespodziewany głos przerwał mi przeglądanie wiadomości. Uniosłam głowę i moim oczom ukazał się wychodzący tylnymi drzwiami Rolando. Narzucił na siebie czarną, sponiewieraną bluzę z kapturem, a na ramię czerwony plecak. Przyjazny, wesoły ton jego głosu natychmiast wywołał na mojej twarzy uśmiech.

– Dzięki tobie – przyznałam.

Poczerwieniał i machnął ręką.

– Eee tam. Sama sobie poradziłaś.

– E-e. – Pokręciłam głową. – Sama nigdy bym tyle nie zrobiła. Nie wiem, czy już zauważyłeś, ale mam dwie lewe ręce do... – zamachałam rękami – do wszystkiego.

– Nie wierzę – stwierdził, podchodząc i klepiąc mnie przyjaźnie po ramieniu. – Po prostu nie jesteś w swoim żywiole, tyle.

– Gadaj zdrów.

– Tu jest zupełnie inaczej niż w Bel Air, prawda?

Zajął mi chwilę, nim się zorientowałam, co naprawdę powiedział. A gdy już do mnie dotarło, zachwiałam się i wbiłam w niego wzrok, otwierając buzię ze zdziwienia.

– Co ty powiedziałaś?

Ale on się tylko roześmiał i nasunął kaptur na głowę.

– Wiem, że nie nazywasz się Alicia – stwierdził takim tonem, jakby nie była to żadna sensacja. Jakby po prostu tłumaczył komuś, jak dostać się do pobliskiego supermarketu czy coś.

– C-c-co... Ja... Ja nie wiem, o czym mówisz – wyjąkałam.

Zachichotał.

– Lexington Larrabee. Słynna córka Richarda Larrabee. Wiem, kim jesteś. I trochę mnie dziwi, że spotkałem cię właśnie *tutaj*. To jakiś eksperyment?

– S-s-skąd wiedziałaś? – wyjąkałam.

Zachichotał na moją baranią minę.

– Wiedziałem od początku, jak tylko weszłaś. Moja dziewczyna jest twoją wielką fanką. Wisisz na każdej ścianie jej pokoju. Choć od początku byłem niemal pewien, że ty jesteś Lexington, przekonałem się na sto procent dopiero wtedy, gdy odezwałaś się po francusku. Moja dziewczyna w przyszłym roku rozpoczyna naukę tego języka, chce się do ciebie upodobnić. – Skinął na moje włosy. – To peruka, prawda?

Opuszkami palców dotknęłam włosów Alicii, a po kilku sekundach zdjęłam je

zupełnie, ukazując moje prawdziwe, ułożone w niedbały koczek.

Nie wyglądał na zaskoczonego. Po prostu pokiwał głową, zadowolony, że jego podejrzenia się potwierdziły.

– Ale chyba nie... eee... nikomu nie powiedziałaś? – spytałam, nagle zaniepokojona, że zdjęcie wykonane miernym aparatem fotograficznym w telefonie komórkowym może się jeszcze tego wieczoru znaleźć w Access Hollywood. Aż mnie zemdliło. – Twojej dziewczynie? Ludziom w Don Juan's?

– Neeee, co ty – powiedział prędko. – Stwierdziłem, że jeśli chciałabyś, żeby wiedzieli, sama byś im powiedziała.

– Dziękuję. – Odetchnęłam z ulgą.

– Więc – podjął – dlaczego Lexington Larrabee pracuje w Don Juan's Tacos?

– Cóż – odparłam, chichocząc. – Ile masz czasu?

– Moja mama dziś robi enchiladę na obiad – powiedział. – Robi je najlepsze w Stanach. Może wpadniesz?

Rzuciłam okiem na swoją komórkę. Luke wciąż nie napisał, kiedy w końcu raczy się zjawić. Poza tym okazja odłożenia spotkania z nim na kilka kolejnych godzin była bardzo kusząca.

Aż się uśmiechnęłam, gdy wyobraziłam sobie, że kiedy się tu zjawi, mnie już nie będzie. Spanikuje jak nic.

Ha! I kto teraz jest górą?

Wyłączyłam telefon i schowałam go do torebki.

– Jasne. – Wzruszyłam ramionami. – Czemu nie.

– Supcio – odparł, po czym kciukiem wskazał przystanek autobusowy na rogu. – Chodź, dziś przejedziesz się ze mną.

Zaniepokojona patrzyłam we wskazanym kierunku.

– Autobusem? – spytałam niepewnie.

Odpowiedział mi gromki śmiech.

– Zapomniałem! Jeszcze nigdy nie korzystałaś z transportu publicznego, co?

– Nieprawda! – odszczekałam. – Gdy miałam trzynaście lat, przejechałam się metrem w Paryżu. – Urwałam, po czym wyjaśniłam: – Chociaż to było z okazji otwarcia nowej linii, a cały skład był pusty. Tylko ja, ojciec i kilku francuskich dziennikarzy.

Rolando zaczął z powrotem ściągać bluzę.

– To się nie liczy.

– Tak myślałam.

Podał mi zdjęty przed chwilą ciuch.

– Masz, załóż. – Puścił do mnie oko. – Dodatkowy kamuflaż.

Przyjęłam ją z wdzięcznością i wsunęłam ręce w rękawy. Materiał był mocno zniszczony, ale pachniał miękkim płynem do tkanin. Miałam wrażenie, że jest

niesamowicie gładki. Jak nic, czego kiedykolwiek dotykałam. Dziwnym sposobem przypominał mi mamę. Czy też te strzępki wspomnień, jakie mi po niej pozostały.

A więc tak wyglądają ubrania noszone więcej niż jeden sezon, pomyślałam.

– Chodź, laska – powiedział Rolando i pociągnął mnie za pożyczony rękaw. – Pokażę ci, czym *ja* jeżdżę. A jakich mam szoferów!

Roześmiałam się, nasadziłam perukę z powrotem na głowę i nasunęłam na nią kaptur. Rolando pociągnął za sznurki, przez co brzegi kaptura zacisnęły się wokół mojej twarzy.

– Idealnie – oznajmił, uśmiechając się od ucha do ucha. – Wtopisz się jak nic.

Świat od drugiej strony

Autobus był przeładowany. Pozostali, tak samo jak my, zapewne dopiero co skończyli ośmiogodzinną zmianę. Nie wpływało to zbyt korzystnie na wrażenia węchowe, ale całymi siłami starałam się nie dać po sobie poznać niesmaku. Nie chciałam obrazić Rolanda, który najwyraźniej podróżował w ten sposób każdego dnia – wywnioskowałam to z płynności jego ruchów, łatwości, z jaką zapłacił za nas oboje u kierowcy, po czym parł na tył pojazdu, przenosząc rękę z uchwytu na uchwyt, niczym dzieciak na drabinkach na placu zabaw.

Starałam się go naśladować, lecz szło mi zdecydowanie gorzej i ostatecznie po drodze powpadałam na kilkanaście osób, gdy moje ciało miotano się bezwładnie w lawirującym między autami autobusie.

Rolando znalazł dwa wolne miejsca. Trajkotał ożywiony, a tymczasem nasz pojazd sunął szeroką aleją. Było w tym chłopaku coś tak niewinnie intrygującego. Opowiadał o dzieciństwie spędzonym na „zadupiu Los Angeles”, jak zwykł mawiać, o nauce w technikum, z którego musiał zrezygnować po pierwszym semestrze. Zamiast tego zatrudnił się w Don Juan’s, aby wspomóc rodzinę. Jego ojciec przeszedł zawał i musiał zwolnić się z pracy. Opowiadając, miał spochmurnieć i przybrać ton narzekania, Rolando pozostał wesoły, radosny, jakby opisywał wydarzenia ostatniego odcinka ulubionego serialu, a nie z własnego życia.

To niesamowite, że on tak potrafi.

Przyjemnie się z nim rozmawiało. Energia, którą tryskał, wpływała na mnie rozluźniająco, niemal ugasila wieczny płomień w mej piersi, który nieustannie groził nagłym wzrostem. Nietrudno było mi się przed nim otworzyć. Więc gdy rozmowa wreszcie wróciła na tory mojej jednotygodniowej pracy w Don Juan’s Tacos, nie miałam ochoty czegokolwiek przed nim zatajać. Wszystko jakoś samo ze mnie wypłynęło.

Był wspaniałym słuchaczem. Najlepsze, że nikt mu za to *nie zapłacił*. Nie pracował dla mojego ojca. Nie znajdował się na oficjalnej liście płac rodziny Larrabee. Po prostu chciał usłyszeć, co miałam do powiedzenia. A gdy mówiłam, sprawiał wrażenie, jakby był szczerze zainteresowany.

– Więc te prace – odezwał się zamyślony, gdy skończyłam opowiadać – mają coś wnosić czy zostały dobrane na chybił trafił?

Takiego pytania się nie spodziewałam. Po kilku miesiącach jęczenia i narzekania, po tylu próbach wyswobodzenia się z harówki w ogóle nie wpadłam na to, by zadać sobie takie pytanie.

– Nie wiem – przyznałam. – Chyba na chybił trafił. To znaczy po prostu nikt mi nie powiedział, czy to ma mieć jakieś znaczenie.

– Hmm... – Moja wypowiedź ewidentnie go nie przekonała. – A twój tata zawsze tak postępuje? Na chybił trafił?

Jeszcze zanim dokończył, już kręciłam głową.

– Nie. Nigdy.

– Więc pewnie i dobór prac ma jakieś znaczenie. Wątpię, żeby dobierał je ot tak.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie żeby było to dla mnie ważne. I tak nie zmieni nadchodzących trzydziestu siedmiu parszywych tygodni.

– Myśl o pozytywnych stronach tej całej sytuacji – odparł radosnym tonem.

– Na przykład?

Posłał mi ten chłopięcy, szeroki uśmiech, który nadawał mu wygląd pięciolatka.

– Oczywiście oczywistość. Poznałaś mnie!

Roześmiałam się.

– Och, no przecież! Jak mogłam zapomnieć?



Rolando mieszka z rodzicami w bloku w Inglewood, jakieś trzydzieści minut drogi od knajpy. Wysiedliśmy z autobusu i jeszcze kilka przecznic przeszliśmy na piechotę. Okolica nie wyglądała zbyt zachęcająco, a blok, pod który zaszliśmy, należał do tych bardzo starych i niszczących. Pęknięcia w niektórych oknach naprawiono srebrną taśmą klejącą, a cały front budynku był upstrzony graffiti. Przez chwilę myślałam, że to jeden wielki żart. Że Rolando robi sobie ze mnie jaja, bo wie, że mieszkam w Bel Air i po prostu chce zobaczyć moją reakcję na zupełnie nowe otoczenie. Prawdę mówiąc, nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że *ktokolwiek* może mieszkać w czymś takim. Poza ćpunami i ludźmi podejrzanymi o morderstwa, jakich ogląda się w serialach kryminalnych.

Rolando, jakby czytając mi w myślach, odwrócił się do mnie.

– Swego czasu mieszkaliśmy z czterema innymi rodzinami w czteropokojowym domku, więc obecne mieszkanie to niebo a ziemia!

Niebo a ziemia?! To?!

Gapiałam się na niego, nie dowierzając, ale on jedynie się roześmiał i otworzył drzwi wejściowe.

Gdy prowadził mnie przez zaniedbane podwórze, z trawnikiem niepielegnowanym od dobrych dziesięciu lat i pustym basenem, obrosłym suchym błotem, uważnie spoglądałam na jego twarz. Nie byłam pewna, co tak naprawdę spodziewałam się w niej dojrzeć, lecz cokolwiek by to miało być, nie ujawniło się. Prawdopodobnie szukałam śladu uczucia poniżenia... czy nawet wstydu. Bo nie da się przyprowadzić kogoś do takiego domu, nie czując choćby nikłego ukłucia zażenowania. Można przynajmniej zdobyć się na jakąś wymówkę. Coś w stylu: „Właśnie jesteśmy w trakcie remontu naszego domu na przedmieściach i na chwilę przenieśliśmy się tutaj”.

Świat, w którym ja mieszkam, pełen jest właśnie takich kamuflaży. Misternych kłamstw przykrywających obrzydliwą prawdę warstwą sztucznego piękna. Kwieciste przebrania mają wywołać odzew uznania i akceptacji.

Lecz nie tutaj. Nie w przypadku Rolanda. On sprawiał wrażenie, jakby ostatnim, na czym miałyby mu zależeć, było moje zdanie o skromnym lokum jego rodziny.

– ¡Mama! Papa! – zawołał, pchnąwszy drzwi, i zaprosił mnie do środka. – ¡Estoy en casa!

Zsunęłam z głowy kaptur pożyczonej bluzy i rozejrzałam się po zagraconym mieszkaniu. Mojej uwadze nie uszedł obrzydliwy, kudłaty, brązowy dywan, płyty farby odłazące ze ścian i meble, ewidentnie z trzeciej lub czwartej ręki. Lecz poza widocznym brakiem ekstrawagancji w tym pomieszczeniu znajdowało się coś, czego próżno by szukać w moim domu. W *którymkolwiek* z domów należących do mojej rodziny. Coś gęstego, ciepłego w powietrzu, niemal namacalnego. W kilka sekund pojęłam, co to.

To miejsce zdawało się prawdziwie zamieszkane. Nie tylko w takim sensie, że było zajmowane przez ludzi: śpiących na łóżkach, trzymających swoje rzeczy w szafach.

Wysoki, chudy mężczyzna w średnim wieku podniósł się z kanapy i podszedł do nas. Wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie Rolanda za dwadzieścia pięć lat. Ta sama okrągła twarz i wydatne poliki, ten sam, odrobinę większy nos i ciemne oczy w kształcie migdałów. Ojciec i syn mieli również identycznie ostrzyżone włosy.

– ¡Hola! – powiedział zachrypniętym, acz sympatycznym głosem. – ¡Bienvenido a nuestra casa!

– Papa – zagrzmiął Rolando, posyłając mi przepaszające spojrzenie – ona nie

mówi po hiszpańsku.

Ale już minęłam chłopaka i wyciągnęłam rękę w kierunku jego ojca.

– *Gracias, señor Castaño. Estoy muy contento de estar aquí.*

Mój knajpiany kolega rzucił mi spojrzenie pod tytułem: „A to skąd się, u licha, wzięło?!”, lecz jego ojciec wyszczerzył zęby i nie posiadając się z radości, zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

– *Hola, mi cariño* – usłyszałam kolejny głos i z kuchni wybiegła niska, przysadzista kobieta ze szpatułką w dłoni. Rolando pocałował ją w czoło, a następnie przedstawił jako mamę.

– *¡Vengan!* – zaprosiła nas do stołu. – Obiad gotowy.

– Myślałam, że mówisz po francusku – szepnął Rolando, odsuwając dla mnie krzesło.

– Wychowała mnie służąca Meksykanka i lokaj Argentyńczyk – wyjaśniłam, siadając.

Przysunął mnie do stołu.

– Och, no przecież.

– Mam nadzieję, że jesteście głodni – powiedziała mama Rolanda, głęboko zatapiając szpatułkę w ogromnym półmisku ociekających serem enchilad. Wydobyła bodaj największy, przeogromny kawałek, nałożyła go na talerz i podała mi z uśmiechem.

Zachichotałam nerwowo i przyjęłam gigantyczną porcję, zastanawiając się, jak, na Boga, mam ją całą zjeść. Dobrze, że wciąż miałam na sobie uniform, w którego skład wchodziły spodnie z elastycznym stanem.

Gdy talerze wszystkich się napełniły, podniosłam widelec i ostrożnie spróbowałam potrawy. Mój język eksplodował wprost nieziemską mieszanką smaków – pikantnych przypraw zatopionych w bogatym kremowym serze. Enchilada mamy Rolanda była jak dotychczas najpyszniejszym daniem, jakie miałam okazję jeść. Żułam powoli, rozkoszując się smakiem, wręcz odwołując moment przełknięcia.

Gdy uniosłam głowę znad talerza, zdałam sobie sprawę, że nikt jeszcze nie ruszył obiadu. Wszyscy patrzyli na mnie, ciekawi reakcji.

Zaczerwieniłam się i musnęłam usta serwetką.

– Pani Castaño, Rolando miał rację. To najwspanialsza enchilada świata!

Na twarzach całej trójki wykwitły identyczne miny i nie mogłam nie zauważyć, jak rozkosznie wyglądali w komplecie, z tymi swoimi wielkimi oczami i zaraźliwymi uśmiechami. Wreszcie oni również dobrali się do własnych talerzy, a ja sięgnęłam po kolejny pyszny kęs.

Rozmowa płynęła sama. Państwo Castaño opowiadali historie ze swojej przeszłości, o ludziach, jakich znali. Zaś Rolando zachwycał się moją pierwszorzędną wygraną w Zgadnij, Kto To i wszyscy ryknęli gromkim śmiechem, gdy z wigorem

odgrywał moje poranne, pełne śmiercionośnej furii spotkanie z gilotyną.

Obserwując zachowanie rodziny Castaño – ich płynne rozmowy, przyjazne przekomarzanie się, porozumiewawcze spojrzenia, wymieniane w przerwach między żartami – zdałam sobie sprawę, jak dziwne i nieznajome jest dla mnie takie zachowanie. Czułam się jak zoolog obserwujący rzadki gatunek zwierząt w ich naturalnym środowisku.

Więc *tak* żyją prawdziwe rodziny.

Rozmawiają ze sobą. Rozśmieszają się nawzajem. Obsypują się ciepłymi uśmiechami i troskliwymi spojrzeniami z taką częstotliwością i intensywnością, z jaką słońce obdarowuje nas swoim światłem.

Siedzą razem w jednym pomieszczeniu. Przy jednym stole. Jedzą wspólny posiłek. I nie ma przy nich fotografa, który miałby upamiętnić tę chwilę na potrzeby następnego wydania magazynu „Time”.

I wtedy, jakby smagnął mnie podmuch mroźnego, arktycznego wiatru, poczułam ukłucie lodowatego żądła i zdałam sobie sprawę z rzeczywistego stanu sytuacji.

To nie oni byli tymi dziwnymi i nieznajomymi. *Ja* taka byłam. Ja byłam tą niepasującą. Ja byłam tą, której nikt nie potrafił do końca zrozumieć.

To *moja* rodzina jest tym rzadkim gatunkiem, który wszyscy pragną oglądać w jego naturalnym środowisku. Który wszyscy chcą badać, fotografować, spekulować na jego temat – o jego genezie, interakcji między przedstawicielami.

No dobra, *prawie* wszyscy.

Nawet jeśli Rolando zdążył ostrzec rodziców, kogo przyjdzie im gościć na obiedzie, w ogóle nie dało rady tego zauważyć. Nie traktowali mnie tak jak inni. Nie pytali o samochody, jakimi jeżdżę, ani o to, jak to jest być córką jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Bo większość ludzi, których spotykam na drodze, nie chce się dowiedzieć czegoś *o mnie*. Chcą wiedzieć, co mogę zrobić *dla nich*. Czy mogłabym przekazać ich demo prezesowi Capitol Records? Czy mogłabym przedstawić ich najgorętszemu, najnowszemu reżyserowi w mieście? I perełka: czy mogłabym przekazać ich CV mojemu ojcu?

To ostatnie zawsze uważałam za najbardziej zabawne. Ojciec nigdy nie zatrudniłby osoby polecanej przeze mnie. Nigdy.

Z kolei rodzice Rolanda zachowywali się tak, jakbym była po prostu kolejnym przyjacielem domu. Gościem mile widzianym przy stole. Nigdy jeszcze nie byłam tak wdzięczna za to, że ktoś pozwolił mi poczuć się... zwykłą.

Nigdy nie czułam się bardziej normalna.

– Więc – zwrócił się do mnie pan Castaño, gdy jego żona, okrążając stół, rozlewała kawę do czterech niepasujących do siebie filiżanek – jak ci się podoba praca w Don Juan’s Tacos?

Westchnęłam.

– Cóż, powiem w ten sposób: gdyby nie państwa syn, chyba bym tam umarła. Potrafi sprawić, że więzienie staje się Disneylandem.

Pani Castaño postawiła dzbanek na stole, z uczuciem pogłaskała chłopaka po głowie, po czym usiadła na swoje miejsce i upiła łyk kawy.

– Zawsze był szczęśliwym dzieckiem – powiedziała z dumą. – Niezależnie od tego, co robił albo gdzie się znajdował, potrafił znaleźć sobie zajęcie. Gdy miał sześć lat...

– Nie, nie – wciął się Rolando, wyciągając ręce w stronę matki, jakby chciał chwycić ją i przytrzymać, tak by nie wyleciała przez przednią szybę nagle hamującego auta. – Żadnych opowieści z dzieciństwa!

Stolikiem aż wstrząsnęło od śmiechu, a pani Castaño zacisnęła usta, uśmiechając się krzywo, lecz zastosowała się do jego prośby.

– Ale jak ty to robisz? – spytałam ciekawa. – Jakim cudem jesteś w stanie pojawiać się tam dzień w dzień i zachowywać tak, jakby praca w tym miejscu była twoją wymarzoną?

– Ha! – krzyknął. – To absolutnie *nie jest* moje wymarzone zajęcie. Naprawdę ci się wydaje, że *lubię* całymi dniami zawijać taco po dziewięćdziesiąt dziewięć centów? Ja tego nienawidzę! Chcę zostać trenerem NBA.

– Poważnie? – pisałam zaskoczona. – I to chcesz robić w życiu?

Rolando energicznie pokiwał głową.

– Oczywiście. Od dzieciństwa pragnę tylko tego. Od piątego roku życia oglądam wszystkie mecze w telewizji, ucząc się w ten sposób taktyki. A od trzech lat w ramach wolontariatu trenuję dzieciaki w lidze międzymiastowej.

– Wkłada w to swoje serce – powiedział z dumą jego tata. – Któregoś roku na gwiazdkę podarowaliśmy mu tablicę kredową. Przez tydzień nie ruszał się przed telewizora, oglądał mecze, a tablicę wypełniał iksami, kółkami i przerywanymi liniami. Lepszego prezentu nie mógł dostać.

Pokręciłam głową oniemiała.

– Ale w Don Juan's zawsze jesteś taki pozytywny, pełen energii – stwierdziłam. – Jak możesz się tak zachowywać, skoro tak naprawdę chcesz robić coś zupełnie innego? Jakim cudem jesteś taki szczęśliwy, wykonując zajęcie, którego nienawidzisz?

– Szczęście nie bierze się z pracy – odparła cierpliwym tonem pani Castaño, a jej twardy hiszpański akcent sprawił, że zdanie zabrzmiało jak poezja. – Gdyby tak nie było, cały świat żyłby w nieszczęściu.

Już chciałam powiedzieć, że przecież cały świat *jest* nieszczęśliwy. Przynajmniej z mojego doświadczenia. Lecz coś nakazało mi, bym się nie odzywała. Nie chciałam cynizmem niweczyć przyjemnej atmosfery.

– W hiszpańskim jest takie przysłowie – podjął pan Castaño. – *No hay mal que por*

bien no venga.

– Nie ma tego złego – tłumaczyłam powoli – co na dobre nie wyjdzie?

– *Sí* – przytaknął, posyłając mi spojrzenie, którego nie byłam w stanie rozszyfrować. Zajęło mi chwilę, nim zdałam sobie sprawę, co się w nim kryje. A udało mi się to jedynie dlatego, że ten sam wyraz twarzy widziałam już parę minut wcześniej. Wtedy, gdy patrzył na Rolanda.

To duma.

Ojcowska duma.

– To znaczy – ciągnął – że każda rzecz ma dwie strony. Jest strona dobra i jest strona zła. Po angielsku mówi się chyba, że każda moneta ma dwie strony.

– Każdy medal – poprawił Rolando.

– *Sí*, medal – powtórzył ojciec. – I czasem trzeba się ciężko napracować, żeby dojrzeć tę drugą.

Uśmiechnęłam się, słuchając wywodu pana Castaño. Życzliwego tonu jego głosu. Rozczuliła mnie pewność, z jaką opisywał swoją życiową filozofię. Wiara. To takie ujmujące. Zupełnie jak ślepy optymizm Rolanda, przejawiający się w każdej sytuacji. Lecz w głębi serca trudno mi było w takie podejście uwierzyć. Może nawet w ogóle nie byłam w stanie go pojąć. Przynajmniej w moim przypadku się nie sprawdzało.

Lecz nagle przygnębiająca myśl sprowadziła mnie z powrotem do mojej zimnej, ponurej rzeczywistości.

Prawda jest taka, że mogłam do woli próbować skrywać się w tym prostym, zwykłym świecie, gdzie dwustronne medale spadały z nieba, a szczęście rośnie na drzewach. Mogłam wkładać perukę i znoszoną bluzę z kapturem i udawać, że pasuję do tego miejsca. Mogłam śmiać się wraz z drugą połową ziemi, jeść ich jedzenie i pić kawę z supermarketu. Lecz gdzieś z tyłu głowy wiedziałam, że na tej planecie jestem jedynie gościem. Że nie wolno mi zostać.

Ponieważ w którymś momencie moi ludzie przyjdą mnie szukać. Moja rzeczywistość znajdzie mnie, dogoni. Ktoś zapuka do drzwi i wywlecze mnie na zewnątrz, by zabrać tam, skąd pochodzę.

Tam, gdzie moje miejsce.

*N*ie ma jak w domu

Wezwanie pojawiło się w formie telefonu. Ponieważ nie odbierałam komórki przez długi czas, Carver musiał działać. Zdołał odnaleźć świadka, który widział, jak opuszczałam parking Don Juan's Tacos w towarzystwie Rolanda, wziął jego numer od Javiera i zadzwonił.

Znosiłam wściekłe perory Luke'a, starając się, przez wzgląd na rodzinę Rolanda, by negatywne emocje nie ujawniły się na mojej twarzy. Wreszcie po pięciu długich minutach mój opiekun się rozłączył. Nie omieszkał mnie ostrzec, że już po mnie jedzie.

Nie chciałam, żeby się tu wpakował i zniszczył spokój, jaki zdołałam sobie w tym miejscu wypracować, więc czym prędzej pożegnałam się wylewnie z państwem Castaño, prawiąc ogromne dzięki za obiad i rozmowę, po czym wyszłam czekać na Luke'a na zewnątrz.

Rolando postanowił mi towarzyszyć, twierdząc, że okolica nie jest na tyle bezpieczna, by kobieta sama stała na ulicy. Jak tylko dotarliśmy do krawężnika, zdałam sobie sprawę, że dzielnica zdaje się po zmroku jeszcze straszniejsza, i byłam mu wdzięczna, że nalegał, by ze mną wyjść.

– Więc gdzie będziesz pracować w przyszłym tygodniu? – spytał, opierając się o latarnię.

– Nie wiem. Gdy dotrę do domu, sprawdzę listę. Ale możesz być pewien, że będzie do dupy. To chyba wstępny warunek tych prac.

– Cóż – odparł, uśmiechając się kącikami ust – będziesz musiała wymyślić sposób, żeby praca nie była do dupy.

Pokręciłam głową.

– To twoja mocna strona. Nie moja. Reszta świata, w tym ja, po prostu musi to jakoś przeżyć.

– Nie byłbym tego taki pewien – powiedział zamyślony. – Myślę, że sobie poradzisz. Wierzę w ciebie, dziewczyno.

Prychnęłam.

– Chyba jesteś jedyny.

Uniósł pytająco brew.

– To tak jak dzisiejszego ranka w knajpie – wyjaśniłam, chowając dłonie w kieszeniach pożyczonej bluzy. – Byłeś jedynym, który obstawiał, że przetrwam dłużej niż jeden dzień.

– I wygrałem – rzucił.

– Nie o to chodzi – ciągnęłam. – Ale o to, że całe moje życie wyglądało i wygląda właśnie tak. Ludzie obstawiają przeciwko mnie. Nikt nigdy niczego ode mnie nie wymagał i niczego się nie spodziewał. Poza porażką. Czasami mam wrażenie, że cały świat czeka, wierząc się niecierpliwie, aż znowu coś spartolę. A najgorszy jest mój ojciec. Tak szczerze, to mam wrażenie, że ten cały projekt z robotą, te pięćdziesiąt dwie prace, wykombinował, żeby patrzeć, jak upadam.

– Może – przyznał, odpychając się od latarni i podchodząc do mnie. – A może tak naprawdę nigdy nic ci się nie udało, ponieważ *myślisz*, że właśnie tego się od ciebie wymaga.

Moje brwi zetknęły się wysoko, gdy próbowałam zrozumieć pokręconą logikę jego wypowiedzi.

– Że co?

– Mówię, że może od zawsze dajesz ludziom tylko to, czego tak naprawdę od ciebie oczekują.

Pokręciłam energicznie głową.

– No co ty. Nigdy świadomie nie dałabym ojcu tego, co chciałby ode mnie otrzymać.

– No przecież o to chodzi – przyznał.

– Okej, Rolando. Teraz to już w ogóle cię nie rozumiem.

– Wybacz. – Zachichotał. – Chodzi mi o to, że zamiast posłusznie spełniać oczekiwania innych, może lepiej ich zaskoczyć?

– Zaskoczyć? – powtórzyłam niepewnie.

Wzruszył ramionami.

– Taaa, skoro wszyscy spodziewają się, że polegniesz, czemu nie zrobić im na przekór?

– Odnieść sukces? – zgadywałam.

– Nie tylko – dodał. – Zgnieść ich. Zdziwić tak, że zaniemówią. Być kimś wspaniałym, budzącym szacunek.

Rozległ się klakson i gdy się odwróciłam, moim oczom ukazała się marsowa mina Luke'a za szybą hondy civic.

Rolando zmrużył oczy, patrząc w stronę oślepiających reflektorów auta.

– Chłopak? – spytał.

– Gorzej. Opiekunka. – Przewróciłam oczami.

– Nawet nie mam zamiaru pytać.

– Dzięki za wszystko – powiedziałam.

– Nie ma sprawy, laska. – Zrobił krok w przód, otworzył szeroko ramiona i zamknął mnie w ciasnym uścisku. Zatopiłam się w niego, czując bezpieczeństwo i ciepło. Jakby Rolando stanowił naturalne przedłużenie świata swojego mieszkania.

Luke ponownie zatrąbił – powinien wreszcie wymyślić jakiś inny sposób na zwrócenie mojej uwagi – więc niechętnie odsunęłam się od Rolanda i sięgnęłam po klamkę od drzwi. Nagle zdałam sobie sprawę, że wciąż mam na sobie pożyczoną bluzę.

– O, czekaj. – Zaczęłam ją ściągać.

– Nie przejmuj się – odparł. – Oddasz jutro. Albo po prostu zachowaj ją dla siebie. Zawahałam się, lecz nie ustępowałam.

– Będzie ci potrzebna. Wiesz, będziesz się musiała przebrać, żeby kiedyś mnie tu jeszcze odwiedzić.

– Och, masz rację. Dzięki. – Otworzyłam drzwi auta i wsiadłam. – Do jutra!

Rolando patrzył, jak ruszamy, po czym wrócił z powrotem do mieszkania.

– Nowy chłopak? – rzucił złośliwie Luke.

Po prostu nie mogłam się nie roześmiać. Ton jego głosu nie był tak wesoły jak Rolanda, gdy tamten chwilę wcześniej zadawał identyczne pytanie. Mój opiekun był bardziej uszczypliwy.

– Nie. Znajomy – odparłam, zapinając pas. – Chyba wolno mi się zaprzyjaźniać z ludźmi, nie? Czy to wbrew regułom?

Stęknął i pokręcił głową, najwyraźniej nie mając ochoty na sprzeczkę.

– Po prostu następnym razem, jak będziesz się po pracy wybierać do domu jakiegoś faceta, powiedz mi o tym.

Parsknęłam śmiechem. Uwaga była tak niedorzeczna i nadopiekuńcza. Jakbym słyszała jakiegoś zazdrosnego chłopaka.

– Taaa – westchnęłam, przewracając oczami. – Masz to jak w banku.



Gdy dotarłam do domu, było w nim cicho i pusto. Większość służby już dawno skończyła pracę, a Horatio miał wolny wieczór. Stałam pośrodku holu, dziwiąc się, jak wielka była różnica między domem, z którego dopiero co wyszłam, a tym, w którym teraz się znajdowałam. Tym, który rzekomo powinnam nazywać moim.

Jak w przypadku wszystkich naszych rezydencji, rozrzuconych po całym globie, tu też wyczuwałam zimną pustkę, której nigdy wcześniej nie dostrzegałam – przynajmniej nie świadomie. Pustkę, której nigdy nie da rady wypełnić, nawet listą złożoną z czterystu gości.

Zacząłam bez celu wałęsać się po pomieszczeniach na parterze – bibliotecę, bawialnię, salonie. Nie zajęło mi długo, nim zrozumiałam, co dokładnie zawierało maleńkie, zrujnowane mieszkanie państwa Castaño, a czego nie mogłam znaleźć w tej mierzącej tysiąc czterysta metrów kwadratowych willi w Bel Air.

Tego nie można kupić w salonie z markowymi meblami. Nie można uzyskać, zatrudniając dekoratora wewnątrz do zaprojektowania przestrzeni i pomalowania ścian. Tego nawet nie da rady uwiecznić na zdjęciu, po czym pokazać światu w czasopiśmie o stylowych wnętrzach i ogrodach.

Państwo Castaño stworzyli prawdziwy *dom*. Miejsce, do którego się wraca nie ze względu na to, *co tam na ciebie czeka, lecz kto*.

A Bel Air to nic więcej niż stos drogich cegieł i importowanych materiałów.

I choć byłam wdzięczna za to, że dane mi było ujrzeć ulotny promyk tego, czego brakowało w całym moim życiu, doświadczenie napełniło mnie również głęboką rozpaczą. Głębszą niż zazwyczaj. Czułam, że ten zły nastrój we mnie wsiąka. Że się rozlewa. Wnika do krwi. Przecieka w zaułki, do których normalnie trudno jest dotrzeć.

Poczułam się oszukana. Ograbiona. Jakby ktoś zbił na mnie nieuczciwy interes. I nie chodziło wcale o pięćdziesiąt dwie prace. Chodziło o cały mój byt. Tak, od zawsze dawano mi wszystko, co chciałam. Ubierałam się w najdroższe stroje, sypiałam w najbardziej ekskluzywnych hotelach, od maleńkiego jadłam najpyszniejsze rzeczy, lecz mimo to teraz czułam się, jakbym w życiowym rozdaniu otrzymała najgorszą z opcji.

Otepiąłem nalałam sobie alkoholu z barku w bibliotecę. Potrząsnęłam szklanką, patrząc, jak przejrzysty płyn wiruje, jak kostki lodu obijają się, wydając znajomy odgłos. Lecz nie wypiliśmy zawartości. Nawet nie przywiodłam szklanki do ust, by posmakować. Pozostawiłam ją na stole i ruszyłam na piętro. Westchnąwszy, ociężałe poniosłam swoje zmęczone ciało w górę długich, spiralnych schodów, a potem korytarzem do mojego pokoju. Zsunęłam perukę z głowy, zdjęłam wygodną czarną bluzę Rolanda, narzuciłam na siebie czystą bawełnianą piżamę i zmyłam z twarzy makijaż.

Gdy wślizgnęłam się do łóżka i nasunęłam kołdrę aż pod brodę, już czułam, że tej nocy zaszła pewna zmiana. Został przestawiony jakiś przełącznik. Lont podpalony.

Wiedziałam też, że w przeciwieństwie do poprzednich zdarzeń z mojego życia – tak wielu innych ponurych momentów – tym razem nie będzie mi łatwo zakopać rozpacz. Nie będzie łatwo jej stłumić. Ani pigułka, ani alkohol niczego nie wymażą,

nie rozmyją.

Lecz najbardziej przeraziło mnie to, że gdy zgasiałam światło i przytuliłam się do poduszki, dotarło do mnie, że wcale nie byłam pewna, czy chciałam z tym cokolwiek robić.

Data: Piątek, 14 września. 16.18

Do: Luke Carver

Od: Video-Blaze.com

Temat: Otrzymałeś wiadomość video od Lexington Larrabee

KLIKNIJ TUTAJ, BY OBEJRZEĆ WIADOMOŚĆ



Lub przeczytaj poniższą transkrypcję stworzoną dzięki naszej automatycznej funkcji zapisu tekstu mówionego.

[TRANSKRYPCJA]

Hej, Luke! Ale jaja, zobacz! Nagrywam to z telefonu! Video-Blaze wydali nową appkę na telefon. Czad, nie?

Więc to już mój ostatni dzień w kwiaciarni Morty'ego. Ale chyba już wywnioskowałeś z odgłosów ulicy, że w tej chwili nie jestem w sklepie. Teraz dostarczam kwiaty do domu.

A ponieważ to najfajniejsza część tej roboty, pomyślałam, że mi potowarzyszysz. Wiesz, to będzie coś w stylu „relacji z planu”.

Za mną widzisz dom. To nie jest jakiś tam dom. To dom Victorii Rivery i ona zaraz się dowie, że jej mąż w przyszłym tygodniu wraca z Iraku. Skąd o tym wiem? Ponieważ on zamówił dla niej bukiet! I właśnie tę miłą wiadomość chciał umieścić na bileciku. Czy to nie słodkie? I teraz ja dostarczę jej te kwiaty.

O cholerka. Zostały w samochodzie. Czekaj.

[Dźwięk niemożliwy do zidentyfikowania]

Okej, jestem. I mam kwiaty. Widzisz? Ładne, nie? Sama robiłam bukiet. Okazało się, że mam do tego rękę. Zapytaj samego Morty'ego. Powiedział, że jak skończę tydzień, to może zatrudnić mnie na stałe. Co myślisz?

Ale serio, ta robota jest po prostu czadowa! To przeciwieństwo donosiela złych wieści! Zresztą sam zobacz.

[Pukanie]

Dzień dobry. Victoria Rivera? To dla pani.

[Krzyk]

Bardzo się cieszę, że się pani podobają! Czy mogłaby mi pani wyświadczyć przysługę? Niech pani spojrzy do kamery i powie mojemu znajomemu, Luke'owi, jak bardzo podoba się pani prezent.

O Boże, kwiaty są cudowne!

Dziękuję. Jeszcze jedno. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, że fenomenalnie sprawdzam się w roli kwiaciarki?

Cześć, Luke. Ta dziewczyna jest fenomenalna. Kwiaty są naprawdę precudowne!

Dziękuję!

Słyszałeś, Luke? *Fenomenalna*.

Tak à propos, czy dzwonił do ciebie Phil, mój szef z zeszłego tygodnia? Powiedział, że osobiście do ciebie zadzwoni, by powiedzieć, jak dobrze mi poszło. Kto by mógł podejrzewać, że tak bardzo sprawdzę się jako telemarketer? Mówił ci, ile pakietów ochrony kart kredytowych sprzedałam w jeden tydzień? Twierdził, że pobiłam jakiś rekord. Wychodzi na to, że jeśli chcę, potrafię być bardzo przekonująca. Chociaż tobie chyba nie muszę o tym przypominać, prawda?

Ale serio, powinienes ubezpieczyć kartę na wypadek oszustwa. Na świecie jest wielu nieuczciwych ludzi, którzy są w stanie w mgnieniu oka ukraść twoją tożsamość.

Z tamtej pracy najbardziej podobało mi się rozmawianie z wieloma osobami. Jasne, że większość po prostu odkładała słuchawkę lub słała wyzwiska pod moim adresem, ale niektórzy byli niesamowicie mili. Któregoś dnia przekonałam pewną cudowną młodą kobietę, by nie wychodziła za swojego narzeczonego, który stosował wobec niej przemoc psychiczną. I to był najpiękniejszy moment tamtej pracy. No bo pomyśl, jakie ona miałaby życie, gdybym nie zadzwoniła do niej z ofertą pakietu ochrony karty kredytowej?

Dobra, teraz jestem w pracy numer 16. Telemarketing to była 15. A co było przedtem? Och, jasne! Myjnia samochodowa. Nie będę kłamać, było ciężko. Ale zobacz, jaka jestem opalona! Jakbym przez tydzień leżała na plaży! To największa, niespodziewana zaleta szorowania samochodów. I zobacz, jakie mam bicepsy! Mycie samochodów rzeźbi mięśnie jak nic! Do dupy z pilatesem!

Okej, póki co tyle. Niniejszym otrzymujesz sprawozdanie. Koniec wiadomości.

Do następnej.

[KONIEC TRANSKRYPCJI]

W poszukiwaniu fenomenu

Gdy wysłałam do Luke'a najnowsze nagranie, odpaliłam silnik furgonetki Morty'ego i ruszyłam w drogę powrotną do kwaciarni. Choć z niecierpliwością wyczekiwałam kolejnej pracy – coraz bliższej końca listy – odczuwałam smutek, że to już ostatni dzień u Morty'ego. Bo *naprawdę* świetnie się bawiłam.

Od kiedy kilka tygodni temu wyszłam z domu Rolanda, wiele myślałam o tym, co powiedział wtedy na ulicy. O oczekiwaniach.

A im więcej o tym myślałam, tym bardziej docierało do mnie, że miał rację.

Ostatnie osiemnaście lat żyłam, spełniając wyłącznie oczekiwania innych. Odkąd sięgam pamięcią, ludzie myśleli o mnie tylko w kategoriach porażki. Byłam dla nich rozpuszczoną księżniczką, bez wartości i etyki zawodowej. I odkąd sięgam pamięcią, wszystkie moje działania potwierdzały ich wyobrażenia.

Przez cały ten czas myślałam, że aby odegrać się na ojcu za piekło, jakie mi zgotował, wystarczy, że będę się dąsać, wybuchać i narzekać, jak to jest mi źle. Jakie nieszczęśliwe mam życie. Jak niesprawiedliwie jestem traktowana.

Ale szczerze? Właśnie tego wszyscy się po mnie spodziewali – ojciec, Bruce, nawet Luke. Dlaczego? Dlatego, że całe życie się tak zachowuję.

I gdzie mnie to doprowadziło?

Nigdzie.

Uświadomiłam sobie, że jeśli naprawdę chcę pokazać coś ojcu, muszę robić tak, jak radził Rolando. Muszę odnieść oszałamiający sukces. Po raz pierwszy w życiu muszę im udowodnić, że się mylą.

Muszę być *fenomenalna*.

Więc właśnie to robiłam. I okazało się, że to o wiele prostsze, niż z początku myślałam. W niektórych zajęciach radziłam sobie tak dobrze, że w życiu bym siebie o to nie podejrzewała. Wychodzi na to, że przez cały czas byłam zbyt zajęta

jęczeniem i narzekaniem – po prostu wcześniej w żadnym momencie nie dałam sobie okazji, by pomyśleć, *jak* pracować.

– Bardzo mi się podobało twoje ostatnie sprawozdanie – powiedział Luke, gdy odebrał mnie po południu z kwaciarni.

– Dzięki – odparłam, uśmiechając się do siebie. – Tak myślałam, że ci się spodoba.

Zapięłam pas, gotowa do jazdy, ale Luke w ogóle się nie poruszył. Jedynie bawił się nerwowo koniuszkiem krawata, sprawiając wrażenie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie chciało mu to przejść przez gardło.

– Coś jeszcze? – zachęciłam go.

– W sumie tak.

Obróciłam się twarzą do niego.

– Okej. Co? Chodzi o Morty’ego? Jeszcze do ciebie nie zadzwonił, żeby zdać raport z moich postępów, bo przygotowuje na jutro ogromne zamówienie. Powiedział, że skontaktuje się z tobą z samego rana.

– Nie, nie. Nie chodzi o pracę – pospiesznie wyjaśnił Luke.

– Nie chodzi o pracę? A od kiedy ty rozmawiasz o czymkolwiek innym niż praca?

– Roześmiałam się.

– Wiem, wiem – przytaknął zażenowany.

– Więc o co chodzi?

Wykrzywił usta w śmiesznym grymasie i odwrócił wzrok.

– Chodzi o ubrania.

– Ubrania? – powtórzyłam, nie dowierzając. – Chcesz ze mną rozmawiać o *ubraniach*?

Jego mina wskazywała na jeszcze większe zażenowanie niż wcześniej.

– Pamiętasz przyjęcie zaręczynowe?

– To, na którym pojawiłeś się w stroju golfisty? Taaa.

– Dokładnie – odparł. – Powiedziałaś, że jak następnym razem będę się gdzieś wybierał, mam do ciebie zadzwonić.

Mój uśmiech pojaśniał, a dłoń teatralnym gestem powędrowała do serca.

– Och, Luke – powiedziałam łamiącym się głosem. – Chcesz, żebym cię *ubrała*? Jest mi tak miło.

– Cóż... coś w tym... to znaczy już coś tam wymyśliłem... – posypał się zupełnie, nie był w stanie nawet skończyć zdania. Jego twarz zaczęła mienić się kilkoma odcieniami czerwieni. To *bardzo* nie w jego stylu.

Postanowiłam ukrócić jego męczarnię.

– Gdzie i kiedy idziesz? – spytałam władczym tonem, przejmując kontrolę nad sytuacją.

Westchnął z ulgą.

– Na otwarcie galerii. W Silver Lake. Dziś wieczorem.

– Kogo wystawiają?

– Jakiegoś młodego artystę z Brazylii, o którym teraz wszyscy mówią. To znajomy znajomych, więc zostałem zaproszony na otwarcie.

– Dobra. Silver Lake. Otwarcie galerii. Nowy wzięty artysta. Już to widzę – podsumowałam.

– I co teraz? – spytał, znów sprawiając wrażenie skrępowanego.

– A jak myślisz? Pora na rodeo!

– Nie powinniśmy najpierw pojechać do mojego mieszkania, żebyś sprawdziła, co mam w szafie?

Pokręciłam głową i posłałam mu protekcjonalny uśmiech. Ach, jak cudownie było chociaż raz znajdować się na tej pozycji!

– Och, Luke, Luke – westchnęłam z politowaniem. – *Gwarantuję ci, że tam niczego nie znajdziemy.*

Pod tą powłoką

Gdy Luke wyszedł z przymierzalni, odniosłam wrażenie, jakby stanęła przede mną zupełnie inna osoba. Różnica była wprost oszałamiająca. Już chciałam zajrzeć za zasłonę, by sprawdzić, czy przypadkiem nie zostawił tam wcześniejszej wersji siebie, zarzuconej na beładny stosik w rogu.

Miał na sobie oldschoolowe jeansy Diesela, z wąskimi nogawkami. Do tego żółtą koszulkę z napisami i białą marynarkę. Choć to ja wybierałam ubrania, ledwo mogłam go w tym poznać. W ciągu trzech miesięcy naszej znajomości chyba *ani razu* nie widziałam go w czymś innym niż nudny garnitur. Nie licząc tego szkaradnego stroju z przyjęcia zaręczynowego ojca.

Teraz dopiero wyglądał *normalnie*.

Nie. Lepiej niż normalnie. Wyglądał... *przystojnie*. To znaczy ciuchy wyglądały rewelacyjnie. Na nim.

Zagwizdałam i skinęłam głową z poparciem.

– *O wiele* lepiej. – Zrobiłam spiralę palcem w powietrzu, pokazując mu, by się obrócił.

Uśmiechnął się nieśmiało i okręcił wokół własnej osi.

Przechyliłam głowę na bok, przyglądając się zestawieniu.

– Chociaż – zaczęłam, a zadowolenie zniknęło mi z twarzy, ustępując zmarszczonym brwiom. – Koszulka nie pasuje. Poczekaj sekundkę.

Popędziłam do wieszaka, z którego wcześniej wzięliśmy żółty T-shirt. Znalazłam ciemnozieloną wersję i zaniosiłam ją do przymierzalni.

– Weź – powiedziałam, ściągając koszulkę z wieszaka. – Spróbuj tę.

Zsunął marynarkę, położył ją ostrożnie na pufie, po czym zaczął ściągać koszulkę.

– Eee... Może powinienes... – zaczęłam, proponując, by wszedł do przebieralni. Bo przecież tak właśnie nazywało się to pomieszczenie. Lecz zanim całe zdanie przeszło

mi przez gardło, koszulka już zniknęła z jego torsu i oto miałam przed sobą gołą klatę Luke'a. Ten widok sprawił, że cała ślina w mych ustach, do ostatniej kropli, wyparowała.

Och, dzień dobry panu! Jaka rzeźba! Jaka klata! Skąd ten kaloryfer? I przez *cały* ten czas takie ciało tkwiło skryte pod garniturem? Jaka szkoda! Jaka strata!

Skąd on miał czas na opalanie się? Wyglądał, jakby całe lato spędził na plaży. Na pewno nie tak, jak zazwyczaj prezentuje się standardowy pracownik firmy ojca, ślęczący przy biurku w swojej przegrodzie. Albo wożący mnie tam i z powrotem podczas różnych prac.

Kazałabym sobie zamknąć usta, lecz mój mózg akurat stracił łączność z ciałem. Gdyby był w stanie cokolwiek zakomunikować, już dawno odwróciłabym uprzejmie wzrok. Lecz nic takiego się nie stało i wcale nie było mi żal.

– Lexi! – usłyszałam z oddali. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to Luke mówi do mnie. Założyłam, że to on. Bo przecież w pobliżu nie było nikogo. No ale po co miałam unosić wzrok do jego ust, by sprawdzić, czy się ruszają? Lepiej pozostawić wlepiony w pierś... – *Lexi!* – powtórzył, tym razem głośniej. – Koszulka?

– Co? – Zamrugałam i prędko doszło do mnie, że wciąż miałam w rękach zielony T-shirt, który Luke miał przymierzyć. Spojrzałam na swoje dłonie i zdałam sobie sprawę, że materiał był teraz mocno pomięty od moich zaciśniętych palców. – Och – westchnęłam, niepewna, co zrobić z rękami. – Ta jest pomięta. Przyniosę nową.

– Ha! No i gdzie te odporne na gniecenie ciuchy, o których mówiłaś? Przydałyby się, nie?

– Taaa – zawołałam, chichocząc nerwowo i na miękkich nogach podchodząc do stojaka po nową koszulkę.

Gdy wróciłam, niechętnie mu ją podałam, po czym patrzyłam, jak narzuca ją przez głowę i z powrotem zakłada marynarkę.

Odwrócił się i stanął twarzą do trzyskrzydłowego lustra, gładząc kłapy.

– Lepiej? – spytał.

Nie, chciałam powiedzieć. W żadnym razie. Ale skryłam rozczarowanie pod uśmiechniętą maską.

– Taaa, o wiele lepiej. Ciemnozielony podkreśla kolor twoich oczu – bąknęłam.

Kiwnął głową, wciąż przeglądając się w lustrze.

– Okej, super. W takim razie biorę wszystko.

Wrócił do przymierzalni po garnitur, a ja tymczasem zabrałam się do przeglądania stojaka z okularami przeciwsłonecznymi przy kasie. Wybrałam parę, która najlepiej dopełni jego nowy strój, i położyłam ją na ladzie. Luke pojawił się chwilę później, wciąż w nowych ciuchach. Spytał ekspedientkę, czy mogłby w nich od razu zostać.

– Oczywiście! – odparła i z niemal energicznym podskokiem chwyciła nożyczki i wzięła się do odcinania metek.

- I jeszcze te okulary. – Przesunęłam oprawki po ladzie.
- Okulary przeciwsłoneczne? – spytał. – W nocy? – Uniósł zdziwioną brew.
- Zaufaj mi.
- Ty tu rządzisz. – Uniósł ręce w poddańczym geście.
- Przynajmniej do poniedziałku, nie? – Zachichotałam.

Gdy wyjmował portfel, by zapłacić za nowe rzeczy, rozległ się dzwonek komórki. Otrzymałam wiadomość od Morty'ego, właściciela kwiaciarni.

– Och – westchnęłam zaskoczona. – To Morty. Wieczorny kierowca nie pojawił się w pracy i przez to zostało kilka bukietów do rozwieszenia. Mógłbyś podrzucić mnie z powrotem do pracy? Jak skończę, zadzwonię po Kingstona.

Podpisał paragon od karty kredytowej.

– Oczywiście, że cię podwozę. Prawdę mówiąc, chętnie pojedę z tobą.

Posłałam mu sceptyczne spojrzenie.

– Rozwozić kwiaty?

– Jasne, czemu nie? – Wzruszył ramionami.

Skinęłam na jego modny strój.

– A co z otwarciem galerii?

Ekspedientka złożyła garnitur i umieściła go w torbie. Luke przyjął pakunek, po czym rzucił okiem na zegarek.

– Mam jeszcze dwie godziny. Poza tym po twoim ostatnim porywającym sprawozdaniu mam ochotę na własne oczy przekonać się, o co ten szum.

– Cóż – zaczęłam, chichocząc beztrosko. – Nie spodziewałam się, że przyjdzie mi kiedyś usłyszeć *te* dwa słowa zestawione razem.

Na jego czole wystąpiły zmarszczki.

– Jakie słowa?

– Porywające sprawozdanie.

Zerwane połączenie

Przez następne półtorej godziny kursowaliśmy po zachodniej stronie miasta, dostarczając bukiety niczego się niespodziewającym adresatom. W Beverly Hills była pewna Beatrice, którą mąż błagał o wybaczenie za niestawienie się na kolację wcześniejszego wieczoru. W Santa Monica mieszkała Margaret, której wnuk, mieszkający z powodu studiów w innym mieście, z okazji osiemdziesiątych urodzin przesłał wazon pełen ukochanych kalijek. Państwo Carsonowie dopiero co wprowadzili się do nowego domu w Cheviot Hills, więc stowarzyszenie właścicieli zamówiło im kwiaty na powitanie. I na koniec moje ulubione zlecenie – dwunastoletnia Nessa z Culver City otrzymała bukiet dwunastu róż od tajemniczego wielbiciela. Widok rozpromienionej twarzy dziewczynki czytającej karnecik był niczym obraz dopiero co zapalonych lampek na bożonarodzeniowej choince w Rockefeller Center.

Przez cały wieczór uważnie przyglądałam się reakcjom Luke'a. Było jasne, że bawił się setnie. Po prostu nie można nie lubić takiej pracy. Mina na twarzy osoby, która właśnie otworzyła drzwi i ujrzała dostarczyciela z bukietem kwiatów w dłoni, to natychmiastowy poprawiacz humoru.

Coś jak narkotyk.

I to musi działać, ponieważ nigdy przedtem ja i Luke nie spędziliśmy ze sobą tak dużo czasu, nie prawiąc sobie złośliwości. Prawdę mówiąc, większość wieczoru po prostu się śmialiśmy. Tylko substancje psychoaktywne mogłyby doprowadzić do czegoś takiego – przemienić śmiertelnych wrogów w chichoczących sojuszników.

Gdy dostarczyliśmy już wszystkie zamówienia prócz jednego, którego adresat był poza domem, wsiedliśmy z powrotem do furgonetki i ruszyliśmy do kwaciarni.

– Chcę ci coś powiedzieć – oznajmił Luke, gdy skręcałam w Washington Boulevard, prowadzącą na autostradę. – Ale obawiam się, że nie zabrzmiałoby to zbyt

dobrze.

Spojrzałam na niego krzywo.

– Luke, widziałam cię bez koszulki. Wal śmiało.

Roześmiał się.

– Okej. – Wziął głębszy oddech. – Jestem z ciebie dumny.

– Niby za co? – Posłałam mu nierozumiejące spojrzenie.

– Za to, że nauczyłaś się wyciągać jak najczęściej z tego, czym się zajmujesz. Na samym początku, gdy zaczynaliśmy współpracować, byłaś dokładnie taka, jak się spodziewałem.

– A jakiej mnie się spodziewałeś? – spytałam nieśmiało.

Pokręcił głową.

– No wiesz... rozpuszczonej, niewdzięcznej, wrednej...

– Czyli zestaw samych dobrych cech? – rzuciłam ironicznie.

– Taaa, chyba tak. Gdy twój ojciec poinformował mnie, co chce, żebym robił, że chce, żebym... powiedzmy sobie szczerze, był twoją *opiekunką*, podszedłem do sprawy bardzo sceptycznie. Ale tak bardzo chciałem pracować dla twojego ojca, że przyjąłem zlecenie. – Zachichotał. – Serio, nie miałem pojęcia, czy i jak z tobą wytrzymam przez okrągły rok. Po wszystkim, co o tobie czytałem w tabloidach i co widziałem w telewizji, byłem pewien, że złamię się po tygodniu. Albo że ty się złamiesz.

– Dzięki, Luke – odparłam ironicznie. – To dopiero komplement.

– Ale – ciągnął, ostrzegawczo unosząc palec – w ciągu ostatnich kilku tygodni niesamowicie mnie zaskoczyłaś. Mam wrażenie, jakbyś dobrze bawiła się tym, co robisz. Jakbyś odkrywshi, że medal ma dwie strony, wybrała tę dobrą albo coś.

Na dźwięk tych słów moje myśli natychmiast powędrowały w stronę ojca Rolanda. Przypomniałam sobie, jak przy stole mówił dokładnie to samo, i nie mogłam pohamować szerokiego uśmiechu.

– Albo coś.

– W każdym razie jestem pod wrażeniem. Tyle.

Mój uśmiech zrobił się jeszcze większy.

– Dzięki, Luke – odparłam wesoło, zajeżdżając pod kwiaciarnię Morty’ego i gasząc silnik. Obróciłam się twarzą do niego. – Ty też mnie zaskoczyłeś.

Posłał mi zdziwione spojrzenie.

– Och, doprawdy? Czym to znowu?

– Po pierwsze nigdy bym się nie spodziewała, że pod tą koszulą czai się taki kaloryfer.

Wybuchnął gromkim śmiechem. W furgonetce było ciemno, więc nie widziałam koloru jego twarzy zbyt dokładnie, ale mogłabym przysiąc, że znów mieniła się wszystkimi odcieniami karmazynu.

– Po drugie – ciągnęłam – dziś wykroczyłeś daleko poza obszar swoich obowiązków.

– W jakim sensie?

Wskazałam bagażnik furgonetki.

– Nie wydaje mi się, żeby lista twoich zajęć zawierała rozwożenie kwiatów ze mną w piątkowy wieczór.

Znów się roześmiał, lecz tym razem łagodniej. Odrobinę ciszej. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, że kąciki jego oczu marszczą się przy uśmiechu. Właściwie to nawet seksowne. Nachylił się do mnie tak, że czułam, jak ciągnie mnie do niego jakaś siła.

– Podejrzewam, że w zakres moich obowiązków nie wchodzi wiele rzeczy, które robiłem przez ostatnie kilka miesięcy – oznajmił żartobliwie.

Lecz jego uśmiech znikł w chwili, gdy nasze oczy się spotkały. Choć znajdował się niecały metr ode mnie, odniosłam wrażenie, jakby dzieliło nas wiele kilometrów. O wiele za wiele. Z niewiadomego powodu starałam się przekazać mu myślami wiadomość, by przysunął się bliżej.

– Czy to ci przeszkadza? – spytałam cicho. – Robienie rzeczy, które nie są częścią twojej pracy?

– Zależy, co to jest – oznajmił ledwo słyszalnym szeptem.

Czułam bijące od tych słów przyciąganie i zacieśniającą się między nami bliskość. Nie byłam pewna, co tak naprawdę się działo. Miałam wrażenie, jakby mój umysł znów oddzielił się od reszty. Tak samo jak stało się w przymierzalni. Jakby drut łączący mózg z resztą ciała został zerwany i jedyne, co teraz wypełniało pustkę w mojej głowie, to elektryczność statyczna.

Lecz z niewiadomej przyczyny ucieszyło mnie to płaskie widmo. Niemożność myślenia bardzo mi odpowiadała. Wiedziałam, że gdyby mój rozum nagle znów zaczął działać na pełnych obrotach, oznajmiłby, że to, co się teraz dzieje, jest złe. Bardzo, bardzo złe.

A w tym konkretnym momencie nie byłam pewna, czy chcę słyszeć akurat coś takiego.

Usta Luke'a znajdowały się kilka centymetrów od moich. Pozwoliłam moim powiekom opaść z wolna i przez w półprzymknięte oczy dostrzegłam, że Luke robi dokładnie to samo. I zanim pochłonęły mnie błogie ciemności, z tego stanu półsnu wyrwało mnie przenikliwe brzęczenie.

Zamrugałam i pokręciłam głową, ospale powracając do rzeczywistości.

Co to za dźwięk?

Gdy już doszłam do siebie na tyle, by wyraźnie widzieć wszystko dookoła, ujrzałam Luke'a sięgającego do kieszeni po komórkę.

– Przepraszam – powiedział ochryple, po czym odchrząknął. – O cholera! Jestem spóźniony na otwarcie. Moja koleżanka na mnie czeka. Umówiliśmy się przed

wejściem. Ile zajmie mi dojazd stąd do Silver Lake?

Lecz nie udzieliłam odpowiedzi. Ledwo co ją dosłyszałam. Cała moja uwaga zbyt skupiła się na jednym niewinnym słowie.

– *Koleżanka?* – spytałam z niedowierzaniem. Gdy tylko usłyszałam własny głos, pożałowałam impulsu. Och, dlaczego nie trzymałam gęby na kłódkę? Mój ton mówił wszystko. Teraz moja kolej odchrząknąć. – To znaczy – ciągnęłam, starając się mówić z wyraźną rezerwą – nie miałam pojęcia, że to randka.

Poruszył się niewygodnie na siedzeniu, pocierając dłońmi nowe jeansy.

– Och, nie wspominałem?

Pokręciłam głową.

– Och, przepraszam. Myślałem, że tak. To znaczy to nie jest *prawdziwa* randka. Taka niby. Właściwie nie mam pojęcia, co to jest. Poznaliśmy się na uczelni w zeszłym tygodniu. Wiesz, w tej chwili to raczej wielka *niewiadoma*...

Plótł głupoty i wiedziałam, że muszę go powstrzymać. Ze względu na nas oboje. Chociaż bardziej ze względu na mnie.

– Jasne, rozumiem – odparłam prędko. – To znaczy, cokolwiek to jest... to nie moja sprawa. Idź już, bo się... spóźnisz.

– Nie masz mi za złe? – spytał, krzywiąc się.

– Oczywiście, że nie! – zapisałam. – Zupełnie nie! To znaczy cieszę się, że... wiesz, masz randkę. Albo coś.

Okej. Dosyć tego. Milcz.

Zachichotał nerwowo.

– Ale nie masz mi za złe, że teraz pojedę do galerii? Zadzwońisz po kogoś, tak?

– Och, jasne – ćwierknęłam. – Zadzwońię po Kingstona. Będzie tu migusiem.

Migusiem?

O Boże, ale ze mnie oferma towarzyska. Każde wypowiedane słowo jedynie pogarszało stan sytuacji. Musiałam się stamtąd wynosić. Pozbyć się go jak najszybciej.

Szarpnęłam uchwyt od drzwi, otworzyłam je mocnym kopniakiem i zamknęłam za sobą. Luke wysiadł od strony pasażera, na pozór spokojnie i niespiesznie.

– A co z ostatnim bukietem? – spytał, skinąwszy na furgonetkę.

– Tym się nie przejmuj – zapewniłam, idąc na tył i otwierając drzwi bagażnika, by wydobyć kwiaty z uprząży. – Wyrzucę go. Możesz już jechać.

– Wyrzucisz? – spytał z miną zagubionego psiaka.

– Taaa. Tak się robi w sytuacji, gdy nie było możliwości dostarczenia kwiatów. Jutro rano zrobią nowy bukiet i znów spróbują go dostarczyć. Bo ten już do jutra będzie nieświeży.

Najpierw spojrzał na mnie, potem opuścił wzrok.

– W takim razie – zaczął niepewnie – czy miałabyś coś przeciwko, żebym je

wziął?

Wbiłam wzrok w wiązankę w mojej dłoni.

– Po co? – spytałam zdziwiona. Lecz gdy tylko doszedł mnie dźwięk pytania, odpowiedź natychmiast uderzyła mnie ze zdwojoną siłą.

Chciał je wziąć na randkę.

– Och! – wykrzyknęłam i klepnęłam się w czoło wolną dłonią. – Oczywiście! – I natychmiast wepchnęłam mu bukiet w ramiona. Na szczęście udało mu się go w porę złapać. – Jest twój, bierz.

– Dzięki.

– Spoko.

Wtedy wyjął ze środka jedną z różowych róż i wyciągnął ją w moją stronę.

– Weź – powiedział.

Ostrożnie przyjął kwiat.

– Za co?

Jego uśmiech sprawił, że momentalnie rozświetliło się całe moje wnętrze.

– Mówiłem zupełnie serio. Uważam, że świetnie sobie radzisz. Oby tak dalej.

– Jasne – odparłam łamiącym się głosem, czując ciężar opadających ramion i z wolna znikające światło. – Dzięki.

Ojciec – domator

Nie mam pojęcia, o co poszło, serio.

I co z tego, że Luke szedł na randkę? Dlaczego miałyby mnie to obchodzić? Nie powinno. Więc mnie to nie rusza. Nie będzie.

Ale powinien mi o tym powiedzieć od razu. Zaraz gdy poprosił o pomoc przy wyborze stroju. Akurat taka informacja jest bardzo ważna w przypadku doboru ciuchów. Gdybym wiedziała, że ubieram go na randkę, wybrałabym coś innego. Może coś, w czym nie wyglądałby aż tak seksownie.

To dlatego, że na pierwszym spotkaniu nie powinno się epatować seksem. Należy podkreślać seksapil po to, by umawiać się na randki, lecz później trzeba spuścić z tonu. Wiesz, trzeba grać trudnego do zdobycia. Pozostawić w drugiej osobie pragnienie smakowania więcej. Przecież wszyscy to wiedzą. To pierwsza zasada flirtowania.

Dwadzieścia minut po tym, jak Luke odjechał, zjawił się Kingston. Tym razem odpuściłam sobie siadanie na tylnej kanapie i wybrałam fotel pasażera obok kierowcy. Szofer był trochę zaskoczony, lecz nic nie powiedział.

Nie byłam pewna, czy chciało mi się siedzieć samej z tyłu. Nawet jeśli nie mieliśmy rozmawiać w trakcie jazdy, sama świadomość, że ktoś siedział obok mnie, sprawiała, że czułam się bezpieczniej. Mniej osamotniona.

Gdy dotarliśmy do domu, na podjeździe stało nieznane mi auto. Nie miałam pojęcia, kogo (lub czego) się spodziewać, lecz gdy przestąpiłam próg domu i gdy mój wzrok zatrzymał się na czekającej osobie, jej obecność wcale mnie nie zaskoczyła.

– Lexington! Od tygodni próbuję się z tobą skontaktować! – Caroline stała w samym środku holu, z jedną ręką opartą na biodrze, podczas gdy w drugiej trzymała solidny plik dokumentów.

– Jak miło cię znów widzieć, Caroline – wymamrotałam, mijając ją i kierując się

prosto do kuchni. Położyłam różę od Luke'a na stole i wyjęłam butelkę wody z lodówki.

Jej obcasy stuknęły rytmicznie o marmurową posadzkę, gdy powędrowała za mną.

– Nagrałam się na pocztę głosową i wysłałam ci *setki* mejli.

– Doprawdy? – odparłam, udając zaskoczenie. Odkręciłam butelkę i upiłam łyk wody. – Nic nie dostałam. Pewnie wylądowały w spamie.

Odwrociłam się i ruszyłam w kierunku schodów, lecz Caroline przywarła do mnie jak nieznośna mucha.

– Nie odchodź, Lexi. W przyszłym tygodniu pojawisz się z Rêve i ojcem na premierze nowego filmu Miley Cyrus. To największy rodzinny hit roku. Masz tam być. Żadnych ale.

– Przykro mi, jestem zajęta w przyszłym tygodniu – oznajmiłam lekceważąco i ruszyłam po schodach.

Nie odpuszczała.

– Cóż, będziesz musiała porzucić zajęcia, ponieważ to wydarzenie jest bardzo ważne. Twojemu ojcu potrzeba rozgłosu. Zbliża się ogromna fuzja i jeśli ma otrzymać poparcie udziałowców, musi zmienić postrzeganie swojej osoby. Ostatnio media kreują go na nieco zbyt niedostępnego. Zimnego. Rozpocznam nowe działania, które mają ocieplić jego wizerunek. Żeby wydawał się bardziej przyjazny. Trochę jak ojciec rodziny, domator. Potrzebuję w tym twojej pomocy.

Nie mogłam nie zachichotać, przechodząc przez próg sypialni.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz? Chcesz, żeby *wydawał się* przyjazny, wydawał się ojcem rodziny. Chcesz, żeby *udawał*, że jest miły i ciepły. I chcesz, żebym *ja* udawała, że to wszystko prawda. Czy ty nie widzisz, że właśnie tacy jesteśmy? Jesteśmy niczym więcej niż stadem stwarzającym pozory, że wszyscy lubimy siebie nawzajem. Kłamiemy, że wszystko układa się świetnie. To jakiś absurd.

Wściekle sycząc przez zaciśnięte zęby, Caroline wyrwała z pliku dokumentów jakąś gazetę, najświeższy numer „Forbesa”, i podsunęła mi ją pod nos. Na okładce widniała twarz ojca, a zaraz nad nią olbrzymi, pogrubiony nagłówek: RICHARD LARRABEE: ŁAJDAK CZY SUPERBOHATER?

Musiałam się odwrócić, by Caroline nie dostrzegła płaczącego mi się na ustach ironicznego uśmiechu. Wreszcie ktoś podał w wątpliwość ten gwiazdorski image, jaki udawało się ojcu zachować przez lata. Wreszcie ktoś zaczynał go postrzegać z *mojego* punktu widzenia. Oj, chyba zacznę czytać „Forbesa”.

– Widzisz to? – spytała, postukując palcem w tytuł. – Widzisz ten znak zapytania? Wyraża wątpliwość. A coś takiego jest w biznesie niewskazane. Nie zatrudniono mnie po to, bym pozwalała ludziom na wątpliwości. Moim zadaniem jest dostarczać pożądaną przez nas pewność.

Upiłam kolejny łyk wody.

– Taaa, cóż, wygląda na to, że do tej roboty nadajesz się wyśmienicie.

– Lexi, dlaczego zawsze wszystko utrudniasz? – Westchnęła. – Zależy mi tylko na ułamku twojego czasu. Nie więcej niż godzinie. Czy proszę o wiele? Jedyne o to, żebyś narzuciła na siebie coś ślicznego, uśmiechała się do obiektywów i przytuliła ojca na czerwonym dywanie. Serio, Lexi. Przecież nie zmuszam cię do niewdzięcznej roboty fizycznej.

Odwrociłam się twarzą do niej.

– Masz rację – przyznałam. Jej ramiona natychmiast opadły z ulgą. Lecz jeszcze nie skończyłam. To jedynie rozgrzewka. – To *nie jest* praca fizyczna. Pracą fizyczną jest to, co bez przerwy wykonuję od bez mała czterech miesięcy. To przez tego faceta haruję jak wół i wiesz co, on zasługuje na każde słowo negatywnego rozgłosu. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że jutro kioski *zaroją się* od gazet z nagłówkami w tym stylu. Zdecydowanie bardziej wolę zamiatać końskie gówno w stajni, niż rozrzucać je z nim na czerwonym dywanie. Wiesz, dlaczego ojciec musi *udawać*, że jest miłym, ciepłym człowiekiem? Bo nie jesteśmy rodziną! I to już od dwunastu lat! Nie mam najmniejszej ochoty kłamać, że jest inaczej. Widziałam, jak wyglądają ludzie sobie bliscy, jak członkowie normalnej rodziny zachowują się wobec siebie, i powiem ci, my tacy nie jesteśmy. Więc od teraz do niczego mnie nie angażuj. Nigdzie nie idę.

Trzasnęłam drzwiami.

– Przepraszam Miley Cyrus! – zawołałam na odchodne.

Data: Piątek, 14 września. 22.10

Do: Lexington Larrabee

Od: Video-Blaze.com

Temat: Otrzymałeś wiadomość video od Luke'a Carvera

KLIKNIJ TUTAJ, BY OBEJRZEĆ WIADOMOŚĆ



Lub przeczytaj poniższą transkrypcję stworzoną dzięki naszej automatycznej funkcji zapisu tekstu mówionego.

[TRANSKRYPCJA]

Hej, Lexi. To ja, Luke. Okazało się, że mam w laptopie wbudowaną kamerę. Używam jej teraz po raz pierwszy. Dasz wiarę? Taaa, pewnie dasz.

Tak poza tym oto jestem. Pomyślałem sobie, że może tym razem to *ja* wyślę ci wiadomość w formie filmu. Wiesz, aby trochę rozruszać sprawę. Nie żebyśmy musieli cokolwiek ruszać. To znaczy między nami wszystko układa się w porządku. Nic złego się nie dzieje. Ani nie działa.

Tak tylko mówię...

Wiesz co, plotę od rzeczy. Chciałem wysłać ci wiadomość tak na szybko. Po raz kolejny podziękować za tę całą wczorajszą akcję z garderobą. Chyba oboje wykroczyliśmy poza swoje obowiązki, co nie?

[Śmiech]

Mniejsza z tym. Dzięki. Świetnie się bawiłem i to wszystko twoja zasługa.

To tyle. Już pójdę. Muszę się uczyć na egzamin z księgowości. Widzimy się w poniedziałek. Miłego weekendu.

Czy ja już tego nie mówiłem? Nie, chyba nie.

Okej, trzymaj się.

[Dźwięk niemożliwy do zidentyfikowania]

Żebym to ja wiedział, jak wyłączyć to ustrojstwo.

[KONIEC TRANSKRYPCJI]

Widzę zmarłych

W sobotni poranek obejrzałam wiadomość od Luke'a trzy razy. Zabawne, jak nerwowo i nieswojo wygląda przed kamerą. Właściwie to nawet słodkie.

Lecz przewijałam wiadomość głównie dlatego, że nie do końca rozumiałam, co miał na myśli, mówiąc: „Świetnie się bawiłem i to wszystko twoja zasługa”.

Czy to oznacza, że świetnie się bawił, rozwożąc ze mną kwiaty, i za to właśnie mi dziękuje? Czy może bawił się świetnie na randce, między innymi dlatego, że tak wspaniale dobrałam mu ciuchy? Dlaczego mężczyźni muszą wyrażać się w tak niejasny sposób? Dlaczego nie mogą powiedzieć ot tak, prosto z mostu, co im po głowie chodzi, zamiast skrywać emocje za wymijającymi stwierdzeniami, których w żaden sposób nie da się odszyfrować?

Mniejsza z tym. Nie żeby miało to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

Wyłączyłam laptop i zeszłam na dół na śniadanie. Kucharz przygotował mój ulubiony zestaw: jaja na miękko, z drożdżową bułeczką i grillowaną poledwicą wieprzową. Chwyciłam talerz i skierowałam się do mojego ulubionego miejsca przy blacie.

Horatio nienawidzi tego, że mam zwyczaj jadać w kuchni. Wolałby, gdybym spożywała posiłki w jadalni, i dlatego dzień w dzień przygotowuje tam dla mnie nakrycie. To taka subtelna wskazówka. Lecz rzadko kiedy w ogóle zwracam na nią uwagę. Od kiedy Cooper dołączył do Korpusu Pokoju, śniadania jadam zupełnie sama, więc po co mam siadać przy ogromnym stole dla dwunastu osób.

To takie dołujące.

Poza tym lubię jeść przy ladzie, bo wtedy mogę spoglądać w zainstalowany w kuchni telewizor. W jadalni nie ma żadnego. Bo to niezgodne z zasadami feng shui.

Lecz tego dnia, gdy sięgnęłam do szuflady po łyżeczkę, zauważyłam, że Horatio przygotował mi nakrycie na kuchennym blacie. Było tam wszystko: mata, zręcznie

złożona serwetka, sztucce. A zaraz obok ustawił smukły kryształowy wazon z jedną różową różą.

Natychmiast rozpoznałam w niej kwiat, który podarował mi Luke. Chyba poprzedniej nocy zostawiłam go na stole, zaraz po tym, jak dotarłam do domu.

Choć ujął mnie gest Horatia, mój umysł powędrował w kierunku rozmyślenia nad tym, co też stało się z resztą bukietu. Na czym stole pełnił właśnie funkcję dekoracji? Czy spowodował, że obdarowana osoba ucieszyła się i uściskała ofiarodawcę? A może dała całusa? *Coś więcej niż całusa?*

Nie. Na pewno nie.

Luke nie sprawia wrażenia jednego z tych, którzy posuwają się do szybkich działań już na pierwszej randce. Jest zbyt... no nie wiem... porządny.

Lecz pomimo pewności i tak wyjęłam z kieszeni komórkę i sprawdziłam, kiedy dokładnie została wysłana wiadomość: 22.10. To raptem dwie godziny po tym, jak opuścił kwiaciarnię Morty'ego.

– Ha! – zawołałam triumfalnie, aż szef kuchni, Clement, odwrócił się od swojej stacji dowodzenia i posłał mi zaskoczone spojrzenie.

Ukrywając twarz za telefonem, uśmiechałam się do ekranu.

Raptem dwie godziny, co?

To dopiero musiała być rewelacyjna randka.



Zatopiłam w filiżance wody koniuszek zakrzywionego pędzelka do kresek. Następnie przeciągnęłam nim ostrożnie po powierzchni ciemnobrązowego cienia z leżącej przede mną palety, nabierając zdrową porcję pigmentu.

– Okej, pani Schmerty – oznajmiłam przyjaźnie. – Proszę zamknąć oczy.

Pewną dłonią wykropkowałam długą linię wzdłuż górnych rzęs klientki. Następnie sięgnęłam po patyczek do uszu, zmoczyłam go i rozmasałam punkty tak, by powstała ładna, przydymiona linia.

Odsunęłam się nieco, by przyjrzeć się swojej pracy.

Nieźle. Wcale nieźle.

Chwyciłam lusterko z tacy pełnej rozmaitych przyborów i uniosłam je do twarzy malowanej kobiety.

– I jak, pani Schmerty? Ależ pani pięknie wygląda! Uważam, że taka bogata zieleń wprost idealnie komponuje się z odcieniem pani cery.

Moja klientka nic nie powiedziała. Nawet nie otworzyła oczu, by przejrzeć się w lusterku.

Nie żebym się naprawdę spodziewała, że zareaguje. Przecież była martwa.

To był mój trzeci dzień pracy w Domu Pogrzebowym Lancaster and Sons w Manhattan Beach. Choć z początku myśl, że będę pracować z martwymi ludźmi, zupełnie mi się nie spodobała, ostatecznie nie było wcale tak źle. Gdy dotarłam na miejsce, pan Lancaster bardzo się ucieszył, gdy powiedziałam, że mam niezłą rękę do makijażu, ponieważ jego wizażystka dopiero co się zwolniła. Jak na razie był bardzo zadowolony z mojej pracy.

I tak minęło trochę czasu, nim pogodziłam się z faktem, że osoby, którym maluję twarze, tak naprawdę nigdy nie będą w stanie zobaczyć, co dla nich robię, ani docenić mojego dzieła. Ale teraz już to pojęłam.

Poza tym dotarło do mnie, że z martwymi całkiem łatwo prowadzić rozmowy.

– Zgadzam się z panią – oznajmiłam pani Schmerty, kiwając głową. – Przydałoby się więcej błyszczyku.

Sięgnęłam po tubkę kupionego dzień wcześniej kosmetyku Chanel i zręcznie nałożyłam drugą warstwę.

Znów odsunęłam się odrobinę, by ocenić efekt.

– O wiele lepiej. – Skinęłam.

Pojaśniałam z zadowolenia. Bez wątpienia poczyniłam ogromne postępy od pierwszego dnia pracy. Twarz pani Schmerty to jak dotychczas moje najlepsze dzieło. Prawdę mówiąc, byłam tak dumna, że nagle poczułam ogromną chęć podzielenia się z kimś swoim osiągnięciem. Z kimś, kto mnie doceni.

Szczerze, do głowy przyszła mi tylko jedna jedyna osoba.

Wyjęłam komórkę i włączyłam kamerę. Wyciągnęłam rękę przed siebie, tak by moja twarz zmieściła się na ekranie, i wcisnęłam przycisk nagrywania.

– Cześć, Luke – powiedziałam wesoło. – Dobra, wiem, że jest środek tygodnia i to nie jest żadne oficjalne sprawozdanie czy coś, ale bardzo chcę ci pokazać, co dziś zrobiłam. Jak zapewne się orientujesz, pracuję w Domu Pogrzebowym Lancaster and Sons. Przecież podwoziłeś mnie rano do pracy. Swoją drogą, wypalisz mi płytkę z tą muzyką, której słuchaliśmy dziś w aucie? W ogóle co to było? Brzmiało jak pokrzepiający New Age. Mniejsza z tym. Dziś pan Lancaster polecił mi wykonać makijaż pani Schmerty. Właśnie skończyłam i musisz, po prostu musisz zobaczyć, jak świetnie teraz wygląda!

Odwróciłam komórkę tak, by obiektyw był skierowany na twarz umalowanej kobiety, i przybliżyłam obraz.

– Ta-daaa! – wykrzyknęłam. – Czyż nie wygląda pięknie? Ma osiemdziesiąt siedem lat i chyba nigdy wcześniej nie wyglądała korzystniej.

Nakierowałam obiektyw z powrotem na moją twarz.

– Sama dobrałam kolory – dodałam zadowolona. – Oczywiście dom pogrzebowy nie inwestuje w kosmetyki do makijażu najlepszej jakości, więc musiałam w ich imieniu wybrać się na niewielkie zakupy. Uwierz, teraz nie zabraknie im

najświeższych, najmodniejszych jesiennych odcieni. Okej. Tyle – oznajmiłam. – Pomyślałam sobie, że podzielę się z tobą moją pracą. Mam nadzieję, że w biurze wszystko w porządku. Do zobaczenia wieczorem.

Zakończyłam nagrywanie i rozpoczęłam przesyłanie wiadomości do serwisu Video-Blaze.com. Lecz gdy ekran zamrugał pytaniem, czy aby na pewno chcę to zrobić, zawahałam się przez moment. Nie wcisnęłam „wyślij”, jak to zazwyczaj czyniłam. Tym razem jednak musiałam się nad decyzją zastanowić.

Czy ja naprawdę chcę to wysłać?

Zaś to wahanie zapoczątkowało lawinę kolejnych, podrzędnych pytań i wątpliwości.

Czy nie byłam aby zbyt podekscytowana?

Może powinnam nagrać wiadomość raz jeszcze, tylko tym razem zjechać trochę z wesołego tonu?

Nie chcę, żeby Luke uważał, że praca z martwymi bawi mnie aż tak bardzo.

Co, jeśli pomyśli, że jestem nekrofilem?

Może powinnam to po prostu skasować?

– Och! Przestań! – powiedziałam do siebie na głos, kręcąc głową. Odwróciłam się twarzą do leżącej kobiety. – Jak pani sądzi, pani Schmerty?

Moja rozmówczyni uparcie milczała.



– Ma pani rację. Powinnam to po prostu puścić i przestać się obsesyjnie zastanawiać – dodałam, kiwając głową.

Więc kliknęłam „wyślij” i schowałam komórkę do torebki.

– Nie do końca wiem, o co chodziło – odparłam na niewypowiedziane pytanie pani Schmerty. – Nie! – krzyknęłam osłupiała, posyłając jej kpiący uśmiešek. – Tu nie o to chodzi! On nie jest znowu aż tak przystojny! Jest zwyczajny. Przecież to *stażysta*.

Zdawało mi się, że staruszka zmarszczyła brwi. Jakby nie wierzyła w to, co mówię.

– Przykro mi, że pani tak uważa – odparłam z drwiną. – I proszę sobie zapamiętać, że nie patrzę wyłącznie na wygląd.

Przewróciłam oczami i odwróciłam wzrok.

– Ale nie obchodzi mnie to, że w przeszłości było inaczej! Okej?

Zmęczona kłótnią (i nieco przerażona swoim zachowaniem), naciągnęłam prześcieradło na głowę pani Schmerty.

Kilka minut później zrobiło mi się głupio, że uciszyłam ją tak po prostu, więc znów zsunęłam płótno z jej twarzy, chcąc jednocześnie po raz ostatni przyjrzeć się efektom mojej pracy. Kobieta wyglądała naprawdę dobrze. Choć praca w takim

miejscu przyprawia o gęsią skórę, muszę przyznać, że daje ogromną satysfakcję. Myśl, że pomagam stworzyć wieczne wspomnienie osoby zmarłej, jest strasznie fajna. Bo przecież to właśnie na pogrzebie rodzina i przyjaciele zmarłego ujrzą go po raz ostatni. Miło jest pomyśleć, że przyczyniam się do tego w jakiś pozytywny sposób.

Z kolei ja nie posiadam ostatniego wspomnienia matki. A przynajmniej nie takiego, które mogłabym dokładnie wskazać palcem i powiedzieć: „Tak, właśnie wtedy widziałam ją po raz ostatni”. Z powodu rozległości powypadkowych obrażeń czuwano przy zamkniętej trumnie. Lecz teraz, gdy przepracowałam kilka dni w domu pogrzebowym, zaczynałam żałować, że nie dane mi było spędzić z nią ostatniej chwili. Nie mam nic, czego mogłabym się złapać kurczowo. Nic, co mogłabym wspominać.

Jedynie stertę strzępków wspomnień i cudzych opowieści o matce, które nie trzymają się kupy. Zaczynałam się zastanawiać, czy kiedykolwiek będą.

Czuwanie

Obzadek czuwania przy zwłokach pani Schmerty miał miejsce w piątek po południu, ostatniego dnia mojej pracy w zakładzie pogrzebowym. Pomogłam panu Lancasterowi w ostatnich przygotowaniach, a potem stanęłam z boku, obserwując, jak żałobnicy kolejno podchodzą do otwartej trumny, szepczą słowa modlitwy, po czym zajmują miejsca. Przyglądałam im się z ciekawością, notując, w jak różny sposób każdy z nich żegna się ze zmarłą. Niektórzy płakali rzewnymi łzami, obnosząc się z żałobą tak, by wszyscy widzieli. Inni, modląc się, skrywali oczy pod haftowanymi chustkami i nie byłam w stanie orzec, czy ronili łzy naprawdę, czy też chcieli, by tak wyglądało. Byli też tacy – niewielu, może dwie, trzy osoby – którzy wyłączyli się zupełnie. Ci ludzie wyglądali, jakby odcięli się od rzeczywistości. Ich ciała funkcjonowały, jakby były sterowane autopilotem. Podchodzili do trumny. Kiwali głowami. Zamieniali kilka słów z sąsiadami, lecz za ich działaniami nie kryło się absolutnie nic.

Nic nie czuli.

Dopiero po chwili zdałam sobie z czegoś sprawę. Musiało minąć wiele minut, nim dotarło do mnie, dlaczego właśnie ten sparaliżowany wygląd wydaje mi się tak przerażająco znajomy.

Ponieważ widziałam go już wcześniej. To nieobecne spojrzenie. Oczy utkwione w dali. Wyostrzone rysy.

Dokładnie taki człowiek jest uwieczniony na portrecie wiszącym nad kominkiem w moim domu.

Wyraz twarzy, jaki ojciec ukazywał zawsze i niezmiennie, odkąd sięgam pamięcią. Zawsze myślałam, że jego spojrzeniu czegoś brakuje. Gdy obserwowałam żałobników, spoglądałam w ich puste, kamienne twarze, widziałam, jak siedzą, słuchając pastora, lecz tak naprawdę w ogóle go nie słysząc, zdałam sobie sprawę, że

spojrzeniu mojego ojca niczego *nie brakuje*. Raczej coś mu je *blokuje*.

Niczym tarcza. Szklana przeszłona. Forteca.

Wtedy sięgnęłam pamięcią do mojego ulubionego zdjęcia. Tego, które znalazłam w Internecie na stronie „Better Homes and Gardens”. Moje myśli powędrowały do mężczyzny na fotografii, właśnie posyłającego uśmiech swojej żonie, w chwili gdy ich jedyna córka stawia pierwsze kroki w nieznaną. Na tamtej fotografii mój ojciec jest obecny. Jest otwarty. Po prostu *jest*.

Zaś na każdym późniejszym wygląda, jakby znajdował się w innej rzeczywistości.

Gdy wróciłam do domu wieczorem, natychmiast skierowałam się do biblioteki, by sprawdzić moją nową teorię. Wystarczyło jedno spojrzenie, dosłownie sekunda, by moje podejrzenia się potwierdziły.

Ojciec opłakiwał matkę od dnia jej śmierci.

Tak naprawdę nigdy nie przestał nosić żałoby po niej.

Waga tego odkrycia sprawiła, że aż zdrząły mi kolana. Opadłam na fotel nieopodal, przytuliłam kolana do piersi i wtuliłam w nie twarz.

Zostałam w bibliotece do późna, co rusz zapadając w sen, by za chwilę się z niego wybudzić. Aż wreszcie około drugiej wstałam i zawlekłam zmęczone ciało na korytarz.

Lecz zamiast udać się na górę, skręciłam na prawo i pewnym krokiem ruszyłam w stronę drzwi znajdujących się na końcu holu. Prywatny gabinet ojca. Nacisnęłam klamkę. Jak się spodziewałam, pokój był zamknięty. Sfrustrowana dalej dobijałam się z bezsilną złością, wiedząc, że za tymi drzwiami musi coś być, jakiś powód, dla którego pomieszczenie to jest dla mnie niedostępne przez okrągły rok.

W końcu zrezygnowałam i westchnąwszy głośno, obróciłam się na pięcie i wmaszerowałam do skrzydła pokoiów dla służby. Zapukałam do drzwi Horatia. Z początku łagodnie, później z narastającą niecierpliwością. Wreszcie otworzył. Ukazał się w czerwonym szlafroku, pod którym miał tylko koszulkę i bokserki. Przecierał oczy, starając się pozbyć resztek snu.

– *¿Qué pasa?* – wymamrotał, najwyraźniej zbyt zmęczony, by mówić po angielsku.

– Gdzie jest klucz do gabinetu ojca?

Wzruszył ramionami.

– *No sé*. Pewnie z pani ojcem.

– Czy nie panuje zwyczaj, że lokaj posiada główny klucz, pasujący do wszystkich zamków w drzwiach domu?

– Nie ten lokaj – odparł lekceważąco.

Westchnęłam, po czym uznałam, że najlepiej postawić sprawę jasno.

– Muszę się dowiedzieć, jaka była moja mama.

– Ach, *sí* – odparł prędko, uśmiechając się. – *Muy bonita*. Cudowna. Kochająca.

Ciepła.

Przewróciłam oczami, słysząc standardowe epitety, jakie przez całe moje życie towarzyszyły opowieściom o matce. Prawdę mówiąc, brzmiały jak subtelna forma indoktrynacji, której wcześniej nie dostrzegałam.

– Nie – powiedziałam. – Chcę wiedzieć, jaka była naprawdę.

Jego wzrok natychmiast powędrował na podłogę.

– Nie rozumiem – wymamrotał nieprzekonywająco.

– Cooper powiedział mi, że często wyjeżdżała. Dokąd jeździła?

Wzruszył ramionami, lecz wciąż nie chciał mi spojrzeć w oczy.

– W rejsy. Pani Larrabee uwielbiała pływać statkami. Miały na nią relaksujący wpływ. Wychowywanie piątki dzieci było trudnym, stresującym zajęciem.

– Czy przed śmiercią była na jednym z tych rejsów?

– *Sí* – śmiało przytaknął, jakby właśnie przypomniał sobie o pewnym szczególe. –

Exacto.

– Kłamiesz – stwierdziłam. – Nie mówisz mi wszystkiego.

Sprawa miała wrażenie, jakby było mu bardzo nieswojo. Nie spuszczałam z niego srogiego spojrzenia, próbując zmusić go do kontaktu wzrokowego ze mną. Próbowałam wyrwać z jego gwałtownie rozszerzających się źrenic choćby strzępek informacji. Nie pozwolił mi na to.

Na moment skupiłam się na temperaturze wnętrza mojego ciała. Wrzało we mnie. Wzięłam głęboki oddech i pozwoliłam, by ogień przygasł, a temperatura opadła do normalnych trzydziestu siedmiu stopni. Lub czegoś w tych okolicach. Wtedy ściszyłam głos i sięgnęłam głębiej niż kiedykolwiek. W miejsce, gdzie nie ma mowy o manipulacji. Gdzie nie dochodzą wrzaski rozpuszczonych, rozkapryszonych bachorów. A jedynym narzędziem pozwalającym mi na dotarcie tak daleko było moje własne człowieczeństwo.

– Błagam, Horatio – poprosiłam. – Przez całe życie żyję w kłamstwie. Tak bardzo chciałabym wiedzieć, kim była moja matka. Nie uważasz, że zasługuję chociaż na tyle?

Jego powieki opadły, lecz tylko na moment. I w tym ułamku sekundy już wiedziałam, że udało mi się do niego dotrzeć. Że nagle przeobraził się w zupełnie inną osobę. Już nie był lokajem. Nie był służącym. Raczej prawdziwym przyjacielem.

Lecz chwila przeminęła. Nieustępliwy czas leciał dalej. Oczy Horatia otworzyły się i wtedy z przykrością stwierdziłam, że nie zaszła żadna zmiana. Argentyńczyk wciąż był tą samą osobą co zawsze. Tą samą, którą znałam całe życie.

Pracownikiem firmy Larrabee.

Powiernikiem sekretów rodziny Larrabee.

– Jest późno – oznajmił, udając, że ziewa. – Jestem zmęczony. Czy moglibyśmy pomówić o tym rano?

Moje ramiona opadły pod ciężarem porażki.

– Dobrze – zgodziłam się. – Lecz wiedz, że dojdę prawdy. Z twoją pomocą czy bez.

Choć to Horatio stał przede mną w chwili wygłaszania obietnicy, w momencie, gdy dźwięk słów doszedł moich uszu, zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę przyrzekałam przed samą sobą.

I choć robiło mi się niedobrze, gdy o tym myślałam, miałam nieprzyjemne podejrzenie, do kogo powinnam się udać w następnej kolejności.

Pora na rozmowę z ojcem.

Niech stanie się ciemność

W poniedziałkowy poranek byłam w żalonym stanie. Przez cały weekend prowadziłam w umyśle rozmowy z człowiekiem, którego ledwo znam. Serio, prowadzenie zmyślonej konwersacji z obcą osobą jest absolutnie niemożliwe.

W drodze do nowej pracy Luke spytał, czy coś się stało.

– Nee, co ty, szysko dobsze – wydukałam i dalej trwałam w zawieszeniu.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć ojcu. A już w ogóle nie wiedziałam, jak dokonać niemożliwego – zmusić go do pozostania ze mną sam na sam w jednym pomieszczeniu dłużej niż pięć minut. To nie jest człowiek, do którego można ot tak przedzwonić i zaprosić na sushi. Szczególnie że teraz jego umysł był zaprzątnięty tą ogromną fuzją, o której wszyscy gadali dookoła.

– Luke – przerwałam ciszę, starając się, by mój głos brzmiał lekko i naturalnie – gdzie jest teraz mój ojciec?

– Tu, w Los Angeles – odparł. – Od kilku tygodni bez przerwy chodzi na różne spotkania, próbując dopiąć ostatnie przygotowania przed fuzją.

Kiwnęłam głową, jakby ta sprawa w jakikolwiek sposób mnie interesowała.

– Och, jasne. A jak wygląda w ogóle sprawa tej fuzji? To już prawie koniec, nie?

Na jego twarzy pojawił się wyraz pozytywnego zaskoczenia, że wreszcie zainteresowałam się sprawami firmy.

– Cóż – zaczął z ochotą – aktualnie omawiają już same konkrety. Francuska firma, z którą się łączymy, La Fleur Media, przysparzała pewnych trudności, ale chyba obie strony już wszystko sobie wyjaśniły. Oczywiście wciąż pozostaje kwestia głosowania udziałowców, które odbędzie się pod koniec tygodnia...

Dalej paplał o szczegółach. Najwyraźniej informacje o nadchodzącej fuzji od kilku tygodni stanowiły gorący temat w CNBC, a w firmie wszyscy chodzili jednako podekscytowani, ponieważ nowy układ miał diametralnie powiększyć udziały

Larrabee Media na rynku europejskim.

A przynajmniej tyle zdołałam zrozumieć, znajdując się w obecnym stanie półprzytomności. Z czystej grzeczności starałam się wyglądać na zainteresowaną tematem; gdy Luke mówił, od czasu do czasu dorzucałam „mmm, hmm, och, ach”, mając nadzieję, że pojawiały się w odpowiednich momentach jego monologu. Ale chyba nie szło mi zbyt dobrze, ponieważ Luke nagle przerwał, roześmiał się.

– Przepraszam. Po co ci tyle gadam. Już się zamykam.

Już otwierałam usta, by zaprotestować i przeprosić, ale właśnie wtedy dotarliśmy do celu. Prawdę mówiąc, cieszyłam się na nowe zajęcie, bo miało przynieść mi pożądane odciążenie dla umysłu. Ostatnimi dniami raczej ciężko mi było wytrzymać z własnymi myślami.

W tym tygodniu miałam być zatrudniona w firmie cateringowej w roli członka zespołu obsługującego imprezy. Kazano mi nosić zupełnie niegustowną kamizelkę od smokingu i muszkę, lecz po kilku godzinach szkolenia zdałam sobie sprawę, że praca sama w sobie wcale nie jest taka zła. Okazało się, że nawet świetnie sobie w niej radzę. Wychodzi na to, że wszystkie przyjęcia, na których bywałam w ciągu życia, nie poszły na marne.

Lecz między uczestniczeniem w imprezie jako gość a byciem członkiem obsługi przebiega bardzo szeroka granica, zaś największym wyzwaniem dla mnie było przyzwyczajenie się do tego, że tym razem znajduję się po tej drugiej stronie. Serwowałam gościom przekąski na tackach, zamiast, jak zazwyczaj, samej po nie sięgać. Nalewałam szampana do kieliszków, zamiast go wypijać. Chodziłam i zbierałam brudne talerze, zamiast brudzić je i porzucać na boku.

Gdy ukończyłam kilkugodzinne szkolenie, pomogłam załadować furgonetkę, którą zaraz miałam pojechać na miejsce mojej pierwszej imprezy. Było to prywatne przyjęcie w ogromnej willi w Palos Verdes Estates.

W tym tygodniu przyjąłam imię Heidi, a wyglądałam jak słodka, niewinna blondynka z długimi kucykami.

Kate, szefowa firmy cateringowej, najpierw wysłała mnie na obchód z tacką – ogromnym srebrnym półmiskiem ogórków nadziewanych ceviche z tuńczyka.

Jak mnie uczyli, głowę trzymałam nisko, a buzię na kłódkę, spacerując na parterze domu, półszepsem oferowałam morzu eleganckich gości kulinarne dobra.

Przyjęcie przypominało te, które często wyprawiało się w moim domu. Z barmanami, kelnerami i orkiestrą w tle. Dla najwyższej klasy społeczeństwa. A najbardziej ironiczny w tym nowym doświadczeniu wcale nie był fakt, że znajdowałam się po drugiej, pracowniczej stronie imprezy, lecz to, że nikt, absolutnie nikt nie był w stanie mnie rozpoznać. Pewnie dlatego, że żaden z gości nie zatrzymał na mnie wzroku na tyle długo, by w ogóle mieć szansę mnie zauważyć.

Nikt nie spoglądał na mnie po raz drugi. Rzadko kiedy ktokolwiek w ogóle na

mnie patrzył. Ludzie poświęcali mi tyle uwagi, że równie dobrze mogłam zamienić się w mebel z przytwierdzoną doń tacą.

Nie zrozum mnie źle, ja wcale nie chciałam być zauważona. Ani mi to w głowie. Lecz mimo pięciu miesięcy pracy taki obrót spraw wciąż mnie zadziwiał.

Wyszłam z salonu na ogromny taras, na którym stała grupa biznesmenów – każdy z okazałym kielichem czerwonego wina w dłoni.

W centrum uwagi znajdował się mężczyzna noszący okulary w rogowej oprawie. Uznałam, że to pewnie jego willa, ponieważ wcześniej rozmawiał z Kate na temat pracy obsługi. Wnioskując z wytworności przyjęcia oraz ubioru gospodarza, stwierdziłam, że jest bardzo bogatym biznesmenem.

Dopiero gdy przybliżyłam się do grupy, zdałam sobie sprawę, że mówił po francusku. Podsunęłam tacę i plik serwetek – kilku gości sięgnęło po przekąski, nie rzucając mi choćby przelotnego spojrzenia. Wszyscy wlepiali oczy w żywo rozprawiającego gospodarza.

Ponieważ zasób słownictwa mojego francuskiego ogranicza się głównie do jedzenia, mody i celebrytów, udało mi się wyłapać jedynie strzępki informacji. Mówił coś o tajemnym spisku w celu pozbycia się szefa kuchni.

Pozbycia się szefa kuchni?

Nuda. Już wolę spacerować z tacą przekąsek.

Gdy półmisek opustoszał, wróciłam do kuchni po dokładkę.

Okazało się jednak, że Kate miała co do mnie inne plany.

– Heidi, tu wszystko gra. – Skinęła na swojego asystenta, który akurat wynosił przez wejście dla służby stos brudnych form do pieczenia. – Jedź z Marshalllem do biura i pomóż mu tam posprzątać.

– Okej. – Wzruszyłam ramionami i odłożyłam tackę na ladę, po czym ruszyłam za Marshalllem.

Siedziba firmy cateringowej należącej do Kate znajdowała się raptem osiem kilometrów od willi. Gdy dotarliśmy na miejsce, Marshall poprosił, bym wyniosła śmieci z kuchni.

– Nie ma sprawy – odparłam i chwyciłam przepełniony worek z kubła. Potrząsałam nim chwilę, żeby zawartość lepiej się ułożyła, po czym związałam ucha, przerzuciłam wór na plecy i wyszłam z budynku.

Gdy tylko dotarłam do krawężnika, folia pękła i odpadki wysypały się na ulicę. Zakląłam i schyliłam się, by wszystko pozbierać. Smród przyprawiał mnie o mdłości, więc starałam się oddychać ustami, podnosząc po kolei każdą rzecz i wrzucając ją do pojemnika.

Byłam już w połowie roboty.

– Lexington! – nagle usłyszałam jakiś głos.

Choć wiedziałam, że nie powinnam reagować, ponieważ tego wieczoru nazywałam

się Heidi – przecież osoby o imieniu Heidi nie reagują na zawołanie „Lexington” – moje odruchy najwyraźniej były szybsze niż mózg, ponieważ natychmiast uniosłam głowę i spojrzałam w sam środek pierwszego błyskającego światła.

Potem nastąpiło drugie i trzecie, aż wreszcie otoczył mnie płomienny kordon migających fleszy.

– Lexi! – zawołał ktoś zza pulsujących błysków. – Lexi! Tutaj! Patrz tutaj!

Moje oczy próbowały dostrzec cokolwiek przez ścianę światła, a umysł usilnie starał się pojąć nagły chaos.

Co oni tu robią? Przecież nie jestem w klubie. Nie jestem na żadnej premierze. Pracuję w firmie cateringowej. Skąd oni się tu wzięli?

– Lexi! – doszedł mnie kolejny głos, a pośród zamieszania pojawiła się kobieta ze sprzętem do nagrywania. Zaraz za nią stał mężczyzna z kamerą na ramieniu. Dziennikarka podstawiała mikrofon – dostrzegłam znajome logo E! News – prosto pod mój nos. – Powiedz nam, co tu robisz – rzuciła.

– Eee – wyjąkałam oniemiała, mrużąc oczy przed falą zalewającego mnie jaskrawego światła.

Nagle przed moimi ustami pojawił się kolejny mikrofon.

– Lexi, czy to prawda, że pracujesz dla firmy cateringowej?

– Co?

– Lexi! – Trzeci dziennikarz niemal powalił mnie na ziemię, próbując wepchnąć się na skrawek wąskiej przestrzeni obok mnie. – Co myślisz o tym, że twój ojciec kazał ci pracować okrągły rok po to, byś uzyskała dostęp do funduszu powierniczego?

Wreszcie mój mózg wrzucił właściwy bieg.

– *Co takiego?!* – ryknęłam.

Kobieta z E! News popchnęła ostatniego dziennikarza i znów stanęła na wprost mnie.

– Lexi, ze wszystkich prac, do jakich jesteś zmuszana, która jak dotychczas okazała się najtrudniejsza? – spytała.

Słyszałam walące w mojej piersi serce. Oddech mi przyspieszył. Gapiłam się na rosnącą masę pismaków i furgonetek telewizyjnych. Trzy właśnie podjechały pod budynek firmy, wyskoczyli z nich kolejni ludzie, już biegli w moim kierunku, ciągnąc za sobą sprzęt.

Zrobiłam kilka kroków w tył i od razu wpadłam na ścianę ciał. Otoczyli mnie.

Rzucali kolejne pytania. Błyskały kolejne lampy. Jakaś dłoń wystrzeliła z kordonu i szarpnęła moją perukę. Moje ręce automatycznie powędrowały do głowy, ale sztuczne włosy już dawno zniknęły w tłumie.

Na szczęście instynkt przetrwania uaktywnił się w odpowiednim momencie. Obudziło się doświadczenie zebrane przez niezliczone lata uskakiwania przed prasą, uciekania od tłumnych scen tego typu. Schyliłam głowę, ugięłam kolana

i prześlizgnęłam się przez kordon, aż dotarłam do bezpiecznych ścian kuchni firmy cateringowej.

Bezpiecznych – to znaczy, że nie mieli prawa wejść do środka. Nie mogli za mną pobiec. Nie wolno im wkraczać na teren prywatny.

Lecz nie *bezpiecznych* w szerszym znaczeniu tego słowa. W znaczeniu mojego życia. Mojej reputacji. Mojej anonimowości.

Oparłam się o brzeg ogromnego zlewu ze stali nierdzewnej. Oddychałam ciężko, zmuszałam odporne powietrze, by wchodziło i wychodziło z płuc. Modląc się, by serce biło dalej, choć ono nieustannie groziło zatrzymaniem.

To koniec. Po dwudziestu tygodniach. To klęska. Nie miałam pojęcia, jakim cudem do tego doszło. Ale udało im się.

Znaleźli mnie.

Konfesjał dla zmotoryzowanych

Od niemal pięciu miesięcy Lexington Larrabee, znana córka przedsiębiorcy i miliardera Richarda Larrabee, wykonuje najróżniejsze niskozarobkowe prace na terenie południowej Kalifornii w myśl tego, co niektórzy nazywają „życiowym programem rehabilitacyjnym”, obmyślonym i wprowadzonym w życie przez samego Richarda Larrabee. Choć szczegóły projektu wciąż nie są do końca znane, na chwilę obecną możemy mieć pewność, że nastolatka została zmuszona do wykonywania różnorodnych zawodów przez jeden rok, z przeznaczeniem jednego tygodnia na każde zajęcie, jeśli chce otrzymać dostęp do swojego funduszu powierniczego, który według ekspertów opiewa na sumę około dwudziestu pięciu milionów dolarów. Choć rzecznicy rodziny Larrabee nie potwierdzili tej informacji, prawdopodobnie decyzja o narzuceniu swojej trudnej córce tak nietypowego rocznego programu zrodziła się w głowie jej ojca zaraz po tym, jak Lexington cztery i pół miesiąca temu, wracając z imprezy, wjechała autem w witrynę sklepu spożywczego przy Sunset Boulevard. Wciąż nie znamy pełnej listy wykonywanych zajęć, jednak udało nam się ustalić, że jak dotychczas Lexington pracowała jako służąca, członek obsługi cateringowej, osoba przeprowadzająca na pasach, pomoc przy zmywaniu w barze, telemarketerka i pracownica myjni. Informacja o tak nietypowym, acz intrygującym pomysłe trafiła do mediów z anonimowego źródła. Zarówno Lexington Larrabee, jak i Richard Larrabee odmówili komentarza, jednak dziś w naszym studio jest z nami psycholog, specjalista od rozwoju dzieci. Zamierzamy porozmawiać o...

Wyłączyłam telewizor i opadłam na łóżko. Nie byłam w stanie oglądać więcej zdjęć i nagrań przedstawiających mnie ubraną w ten obrzydliwy uniform firmy cateringowej, sprzątającą śmieci z chodnika. To upokarzające.

A ci eksperci wypowiadający się w wywiadach doprowadzali mnie do szewskiej pasji. Psychologowie, specjaliści od rozwoju dzieci. Fachowcy od młodzieży

uzależnionej od alkoholu. Lekarze. Terapeuci. Socjologowie. Jakby nagle wezwano naród do działania; jeśli chciałbyś przedstawić swój punkt widzenia na sprawę Lexington Larrabee, przyjdź do studia, wypowiesz się na antenie.

I wszyscy mówili dokładnie to samo. Wychwalali ojca pod niebiosa, następnie przechodzili gładko do gromienia mnie z góry na dół. Brawo dla Richarda Larrabee za przyjęcie tak aktywnej, odpowiedzialnej postawy. Za zaangażowanie w wychowanie córki. Gdyby wszyscy rodzice przykładali tak wiele wagi do rozwoju swoich zbuntowanych nastoletnich dzieci, świat byłby lepszy.

Bła, bła, bła.

Zapomnieli wspomnieć, że poza aranżacją tego małego przedsięwzięcia ojciec ani przez chwilę się w tę sprawę nie angażował. Prawdę mówiąc, był tak bardzo niezaangażowany, że musiał zatrudnić oficjalnego łącznika, który wyręczy go w pilnowaniu córki. Ponieważ jest człowiekiem zbyt zajęтым i ważnym, by osobiście zająć się moim przypadkiem.

I dlaczego nikt nie zająknął się słowem o tym, że spięłam się w sobie i naprawdę wykonywałam pracę jak należy? To ja tydzień w tydzień wyciskałam siódme poty w barach szybkiej obsługi, restauracjach, sklepach rybnych i zakładach mleczarskich. To ja harowałam jak wół. Ale czy przysługiwała mi z tego tytułu jakakolwiek chwała? Oczywiście, że nie. Ona się należała ojcu – bohaterowi klasy pracującej. Człowiekowi ludu. Moja rola ograniczała się do grania rozpuszczonej, rozwydrzonej księżniczki, która tak sobie napytała biedy, że w pełni zasługiwała na tak nieprzyjemny los. Jestem niewdzięczną dziedziczką fortuny, której należy się lekcja od życia.

Posesja przedstawiała sobą krajobraz niczym po przejściu trąby powietrznej. Telefony dzwoniły bez przerwy, a furgonetki stacji telewizyjnych oblegały podjazd. Horatio musiał odłączyć domofon. Odkąd poprzedniej nocy wróciłam do domu, nie mogłam go opuścić.

Najgorsze było to, że nie miałam pojęcia, kto mi to zrobił.

Anonim? Taaa, jasne!

Zdrajca znajdował się pośród mojego stada. Byłam gotowa zrobić wszystko, by go odnaleźć.

I zabić.

Pierwsze podejrzenia padły na Luke'a. Lecz po godzinie mojego krzyczenia i wyklinania przez telefon Carverowi udało się mnie przekonać, że nie miał z przeciekami do mediów nic wspólnego. Twierdził, że nigdy nie zdradziłby zaufania mojego ojca. To prawda. Nigdy by tego nie zrobił. Nie pozwalała na to jego rola lizusa.

Następnie wzięłam się do Bruce'a, ale on też wszystkiemu zaprzeczył, bełkocząc coś o obowiązującej prawników tajemnicy zawodowej i o tym, że gdyby ujawnił

przed prasą sekrety klienta, mógłby stracić licencję i wylądować za kratkami.

Jia i T były poza obszarem podejrzeń. Nigdy nie zrobiłyby mi czegoś takiego. Z kolei wszyscy pracownicy domu w dniu, w którym zostali zatrudnieni, musieli podpisać umowę o poufności. Zaś rodzeństwo było zbyt zajęte własnym życiem, by w ogóle zwracać uwagę na moje sprawy.

Więc kto jeszcze został?

Z listy skreśliłam już wszystkich, którzy wiedzieli o pomysle ojca.

Usiadłam na łóżku i rozejrzałam się po pustym pokoju. Nagle rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła Carmen z koszem złożonego prania. Bez słowa zniknęła w garderobie i zaczęła układać ciuchy na półkach.

Siedziałam dalej w ciszy, zastanawiając się intensywnie, kto mógł zrobić mi coś takiego.

– Panno Lexington, gdzie mam to położyć? – głos Carmen wybił mnie z rozmyślań i mój wzrok natychmiast padł na rzecz przewieszoną przez jej ramię. Starą, wyświechtaną bluzę z kapturem.

Prezent od przyjaciela. Kogoś bardzo miłego, kto orientował się, kim jestem, lecz dziwnym trafem nie oczekiwał nic w zamian.

Postąpił tak dlatego, ponieważ wiedział, iż z innego źródła otrzyma wiele więcej? Na przykład z takiego, jak „Us Weekly” czy „Tattle”?

Czułam, jakby mój umysł zaczął wirować, otępiła podniosłam się z łóżka i podeszłam do Carmen, po czym chwyciłam bluzę.

Natychmiast nałożyłam ciuch przez głowę i szarpnęłam sznurki u kaptura.

– Kingston! – ryknęłam, zbiegając po schodach.

Gdy dotarłam do ostatniego stopnia, szofer już znajdował się naprzeciwko mnie.

– Tak, panno Lexington.

– Potrzebny mi twój samochód.

Skinął z grzecznością.

– Oczywiście. Co pani sobie życzy? Range rovera? Może jaguara?

– Nie. – Chwyciłam go za rękę. – Potrzebny mi twój samochód.

– Ależ, panno Lexington – odparł zdziwiony. – Ja mam forda focusa. Ja...

– Idealnie! – wciąłam się. – Proszę, zawieź mnie na koniec ulicy.

Zrobił kwaśną minę i pewnie już chciał zaprotestować, lecz ścisnęłam go za ramię i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Oczywiście, panno Lexington – odparł.

Położyłam się na tylnym siedzeniu i Kingston przykrył mnie ręcznikiem plażowym, który znalazł w bagażniku. Przewiózł mnie bezpiecznie przez tłum dziennikarzy, którzy w ogóle nie zwrócili uwagi na jego samochód, następnie zatrzymał się na końcu ulicy.

– Dziękuję – powiedziałam z głębi serca, po czym przeszłam na przód auta

i wślizgnęłam się za kierownicę. – Jestem ci ogromnie wdzięczna. Przepraszam, że musisz wracać na piechotę.

– Nie ma sprawy, panno Larrabee. Cały dzień siedzę za kółkiem, więc odrobina spaceru dobrze mi robi. – Posłał mi łagodny uśmiech.

Zamknęłam drzwi i ruszyłam w kierunku Sunset Boulevard.

Pół godziny później z piskiem opon zajechałam na stanowisko zamówień *drive-thru* Don Juan's Tacos i opuściłam szybę.

– Witamy w Don Juan's Tacos. Nazywam się Rolando. W czym mogę pomóc?

Wychyliłam się przez okno i jak najbliżej przystawiłam twarz do wbudowanego w ścianę mikrofonu.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego mnie zdradziłeś, palancie? – krzyknęłam.

Pojawiła się niezręczna cisza.

– Halo? – po chwili usłyszałam zaskoczony głos Rolanda.

– Wiem, że to ty! – ryknęłam, wychylając się tak mocno, że jeszcze kilka milimetrów i wypadłabym z auta. – Wiem, że to ty powiadomiłeś prasę!

– Lexi? – spytał po chwili ciszy.

– Nie, Matka Boska! – wrzasnęłam w odpowiedzi.

– Lexi, o czym ty mówisz?

Westchnęłam. Miałam serdecznie dosyć tej udawanej niewinności. Przecież właśnie na to dałam się wcześniej nabrać. Ty idiotko!

– O mediach! – krzyknęłam. – Powiedziałeś im, że Lexington Larrabee incognito pracowała w Don Juan's Tacos, a oprócz tego ma do wykonania pięćdziesiąt innych prac tego typu. Zdradziłeś mnie!

– Lexi – powiedział ostrzegawczym tonem. – Zdaje mi się, że sama właśnie się zdradziłaś.

– O czym ty mówisz?

– Zapomniałaś, że tutaj wszyscy noszą zestawy słuchawkowe? Cała obsługa cię teraz słyszy.

Cholera.

Nie żeby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie. I tak wszyscy już o mnie wiedzieli. A jeśli nie, lada moment usłyszą z telewizora.

– Zaparkuj z tyłu budynku, okej? Zaraz do ciebie wyjdę – zaproponował Rolando.

– Niech będzie. – Złapałam z powrotem za kółko.

Ale na parkingu pojawił się nie tylko Rolando. Z budynku wyległa cała obsługa baru. Przepychali się jeden przez drugiego, by dobrze mi się przyjrzeć. Siedząc w samochodzie, słyszałam ich zaciekawione szepty. Jenna piszczała z komórką przy uchu.

– Wiedziałam, że to ona! Myślałam, że po prostu jest do niej podobna, a to naprawdę *ona*!

Rolando zapukał w szybę od strony pasażera, więc otworzyłam mu drzwi. Gdy wsiadł, przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Byłam już zdecydowanie spokojniejsza, gniew zdążył się wypalić, pozostawiając jedynie gorzki żal.

– Zaufałam ci – syknęłam, starając się, by głos mi się nie łamał. – Myślałam, że jesteś moim przyjacielem. Dlaczego mi to zrobiłeś?

– Nic nie zrobiłem – wyszeptał.

– Nie wierzę ci! – warknęłam.

– Lexi, czemu miałbym to robić?

– Nie wiem! Dla pieniędzy! Rozgłosu! Sławy! – Wściekle zamachałam rękami w powietrzu.

– Zdaje mi się, że anonim nie szuka sławy.

– W takim razie dla pieniędzy.

Wskazał swoją koszulkę w kolorze musztardy, poplamioną sosem salsa.

– Czy uważasz, że gdybym sprzedał mediom twoją historię, wciąż bym tu pracował?

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę. I jego wyjaśnienie nawet miało sens.

Westchnęłam i przygarbiłam ramiona. Zabrnęłam donikąd.

– Skoro nie ty, to kto? – wyszeptałam.

– Nie wiem – odparł Rolando. – Na twoim miejscu zastanowiłbym się nad tym, kto mógłby najwięcej zyskać na przecieku twojej tajemnicy do mediów.

– O to właśnie chodzi. Nie mam pojęcia!

– Po kolei. Kto w ogóle cokolwiek zyskuje na ujawnieniu tej historii?

– Z pewnością nie ja – jęknęłam. – Moje życie zostało zniszczone. Jediną osobą, która w tym wszystkim łąduje w bardzo pozytywnym świetle, jest mój ojciec... – urwałam. – O Boże! Mój ojciec! – pisnęłam. – Lada dzień będzie fuzja, a on potrzebuje poparcia udziałowców. Muszą mieć co do niego pewność. Tu chodzi o zastrzyk dla jego reputacji.

Rolando chyba nie nadążał za moim tokiem myślenia.

– Więc to twój ojciec poinformował media o twojej pracy?

Roześmiałam się, po czym zapięłam pas.

– Oczywiście, że nie – oznajmiłam. – Richard Larrabee nie robi niczego sam. Ma od tego ludzi.

– Więc zatrudnił kogoś wyłącznie po to, by wykonał jeden anonimowy telefon? – Posłał mi sceptyczne spojrzenie.

– Nie musiał – odparłam. – Ta osoba od dawna dla niego pracuje.

*B*laszany drwal

Lexi! – zaśpiewała swoim nosowym francuskim akcentem Caroline sekundę po tym, jak asystent przekazał jej telefon. – Tak się cieszę, że dzwonisz. Właśnie jadę do twojego ojca na naradę strategiczną. Mamy wiele do omówienia, odkąd sytuacja rozwinęła się w tak niespodziewanym kierunku! Zaproponuję przyspieszenie ślubu, sporo zyskamy dzięki pozytywnym wiadomościom w mediach. A właśnie, musisz jak najszybciej stawić się na przymiarki sukni drużny. Zaraz poproszę Brenta, żeby połączył cię z asystentką Very, umówimy cię na jutro.

– Zamknij się, Caroline – warknęłam. – Wiem, że to ty puściłaś informację do mediów.

Zapisała, co chyba miało wyrażać jej zaskoczenie związane z tak niedorzecznym oszczerstwem.

– Lexi, *cherie*, o czym ty w ogóle mówisz?

Nawet przez sekundę jej nie wierzyłam.

– Poniżej pasa, Caroline. Nawet jak na ciebie. Zdajesz sobie sprawę, że zniszczyłaś mi życie? I to wszystko na potrzeby jakiejś durnej fuzji.

– Lexi – uciszyła mnie protekcjonalnym tonem – czy ty nic nie rozumiesz? Ta wiadomość jest korzystna dla wszystkich.

– Niby w jaki sposób? – warknęłam. – W jaki sposób, twoim zdaniem, jest korzystna dla wszystkich? Dlaczego ujawnienie mojej tajemnicy całemu światu ma wszystkim pomóc?

– Gdy fuzja przejdzie, zyski Larrabee Media posybią w kosmos. Wiesz, co to są zyski, Lexi?

– Oczywiście, że wiem, co to jest. – Przewróciłam oczami.

– Więc – ciągnęła beztróskim tonem – zapewne wiesz również, że to dzięki dochodom Larrabee Media możesz wieść życie, jakie lubisz. To właśnie z firmy płyną

pieniądze na twoje samochody, ciuchy, jachty i wszystko inne. – Westchnęła, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona. – Ta fuzja to najważniejsze i najlepsze, co przytrafiło się Larrabee Media w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Musiałam wymyślić sposób, żeby udziałowcy uwierzyli, że twój ojciec jest naturalnym przywódcą. To było rozwiązanie idealne. Powinnaś być z siebie dumna, przyczyniasz się właśnie do sukcesu całej firmy. Pomyśl, że to spłata kredytu. Niepochlebnego medialnego wizerunku, jaki budowałaś sobie przez lata.

– I ojciec się na to zgodził? – spytałam, czując, że niechciane łzy napływają mi do oczu. Zamrugałam prędko, lecz pozostał jeszcze oporny ucisk w żołądku.

– Richard Larrabee ma na względzie dobro firmy. Ty też powinnaś.

Więc o to chodziło. Zostałam sprzedana dla dobra interesów. Tak po prostu. Ponieważ rzeczniczka przekonała go, że to bardzo sprytny ruch.

Ale czy naprawdę powinno mnie to tak dziwić? Przecież ojciec od lat zachowywał się dokładnie tak samo. Wobec wszystkich członków rodziny. Firma zawsze była dla niego na pierwszym miejscu. I to się nigdy nie zmieni.

Nie chciało mi się wierzyć, że wcześniej było mi go żal. Teraz nawet przez sekundę bym się nie wahała w kwestii oceny jego osoby. Myślałam sobie, że może gdzieś w głębi niego znajdowała się *mikroskopijna* cząsteczka wrażliwości. Jakaś kryjówka, w której od śmierci matki przechowywał ból i smutek.

Lecz teraz zrozumiałam, że były to moje czcze nadzieje.

Dlaczego za każdym razem, gdy zaczynam cokolwiek czuć wobec ojca – choćby załączek sympatii – zawsze udaje mu się mnie zawieść? Nawet nie musi przebywać w tym samym pomieszczeniu.

To chyba jego unikalny talent.

I pomyśleć, że zamierzałam z nim szczerze porozmawiać. Czy naprawdę sądziłam, że mogę ot tak usiąść sobie z Richardem Larrabee i przeprowadzić pełną uczuć rozmowę, jak córka z ojcem, tak od serca?

Powinnam była od razu zauważyć w tym założeniu jeden podstawowy, ogromny błąd.

Mój ojciec najpierw musiałby w ogóle *mieć* serce.

– Poza tym – ciągnęła Caroline, nieświadoma mojej pęczniejącej rozpacz – image niegrzecznej dziewczynki przyłgnał do ciebie na zdecydowanie zbyt długo. Pora na zmianę. Zarówno dla ciebie, jak i ojca. Od teraz świat, zamiast cię nienawidzić, będzie ci *sprzyjał*. A Richard Larrabee wyjdzie na odpowiedzialnego, litościwego rodzica.

– Jasne – powiedziałam nieobecny głosem. – Stanie się *rodzinny*. Jak chciałaś.

– Dokładnie – odparła uradowana, najwyraźniej zadowolona, że zaczynam rozumieć jej tok myślenia. – I póki co wszystko idzie zgodnie z planem. Media pieją z zachwytem nad jego czynnym udziałem w wychowywaniu nastoletniej córki.

Nazywają to „życiowym programem rehabilitacyjnym”.

– Wiem – bąknęłam.

– Wierz mi – ciągnęła. – To wszystko dla twojego dobra. Jeszcze się przekonasz. Jeśli chcesz, mogę przygotować konferencję prasową, żebyś mogła publicznie wyrazić wdzięczność dla ojca. To by nam *bardzo* pomogło.

Przegrałam. Zostałam zwyciężona. Skończona. Nie pozostała we mnie już żadna wola walki. Byłam pożałowania godną armią w postaci samotnej dziewczyny wojującej przeciw dowódcy mającemu cały świat na jedno skinienie oraz wyszkolone wojsko gotowe w każdej chwili ruszyć do akcji.

Skoro szanse miałam tak marne, po co w ogóle walczyć?

Nadchodzi taki dzień, w którym trzeba się poddać.

Dla mnie właśnie nadszedł.

Nie mówiłam już nic, po prostu rozłączyłam się bez słowa. Komórka rozdzwoniła się trzydzieści sekund później – Caroline najwyraźniej uznała, że zerwało nam rozmowę. Wcisnęłam „odrzucić” i przez resztę drogi jechałam do domu w ciszy. Bez radia. Bez komórki. Z niczym.

Patrzyłam na migające białe pasy na jezdni, poddając się ich hipnotyzującej mocy.

Skierowałam małego forda focusa przez tłum dziennikarzy, ignorując oślepiające błyski lamp, aż wreszcie zaparkowałam w garażu. Zawlekłam się do domu, oddałam Kingstonowi klucze, szepcząc przy tym ponuro słowa podziękowań. Gdy pięłam się po schodach, czułam, że szofer śledzi mnie wzrokiem. Chciałam położyć się na łóżku, skryć głowę pod kołdrą i już nigdy nikomu się nie pokazywać. Oczywiście poza wyjątkami, gdy będę zmuszona czynić, co ojciec każe, odgrywać rolę bezmózgiej kukielki, którą tak naprawdę jestem.

Byłam więźniem wojennym. Nie miałam żadnego wyboru. Nie miałam praw. Nie miałam wolności. Aż do dnia mojej śmierci miałam żyć w luksusowej celi. Nie było dla mnie ucieczki.

A głupia wierzyłam, że jest.

Przecież należę do rodziny Larrabee.

Na dobre i w szczególności – na złe. Chyba po prostu będę się musiała do tego przyzwyczaić.

Ucieknijmy razem

Godzinę później rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Horatio i oznajmił, że na dole ktoś na mnie czeka.

– Skierowałem go do salonu – oznajmił beznamiętnie, jakby gość był niczym więcej niż jedynie paczką, którą właśnie dostarczono, lub innym nieożywionym przedmiotem.

– Nie chcę się z nikim widzieć – powiedziałam.

– Nalega.

Westchnawszy, niechętnie wstałam z łóżka i minęłam Horatia w progu.

– Poza tym – ciągnął tonem bardziej oficjalnym niż zwykle – znalazłem pewną rzecz, o którą pani pytała.

Odwróciłam się do niego.

– Rzecz?

Bez słowa sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej niewielki mosiężny klucz. Pokazał go na otwartej, wysuniętej w moją stronę dłoni, po czym położył na stoliku obok szeszlangu, aż mosiądz zadzwonił łagodnie.

Główny klucz. Wytrych, który otwiera wszystkie drzwi. Nawet te, które pozostawały zamknięte, odkąd sięgałam pamięcią.

Przygryzłam wargę, starając się stłumić grożące wybuchem emocje.

– Dziękuję – szepnęłam.

Odpowiedział zwyczajowym ukłonem, po czym wskazał schody.

– Pani gość – przypomniał, jakby zdarzenia ostatnich sekund nigdy nie miały miejsca.

Gdy chwilę później wchodziłam do salonu, spodziewałam się ujrzeć wiele twarzy. Dziennikarza nasłanego przez Caroline, mającego przeprowadzić ze mną wywiad na wyłączność. Może Bruce'a, chcącego omówić jakieś prawne aspekty całej sprawy.

Może nawet Luke'a, ponieważ w ciągu dwóch najbliższych godzin powinnam się znaleźć w centrum miasta i pracować przy obsłudze kolejnego przyjęcia. Nie żebym była w stanie to robić.

Lecz jedyną osobą, której nie spodziewałam się w ogóle ujrzeć siedzącej i czekającej na mnie w salonie, był Mendi.

Gdy tylko przekroczyłam próg pokoju, podniósł się z siedzenia, by przywitać mnie w stylu znanym jedynie synom mamony.

Popłynął w moim kierunku, opanowany i pewny siebie, ujął moją dłoń i ucałował. W jego wykonaniu ten gest wcale nie był kiczowaty. Jego zachowanie zresztą nigdy takie nie było. To właśnie cały Mendi. Wszystko, co robi i mówi, nieważne, jak nieszczerze mogłoby się wydawać w wykonaniu kogokolwiek innego, jemu zawsze wychodzi naturalnie. Gładko niczym spływająca falami mlecznej czekolady fontanna.

Jednego dnia może wparadować do najgorętszego klubu w całym Hollywood, sprawiając wrażenie stałego bywalca, gwiazdorskiego, niegrzecznego chłoptasia, zaś następnego przemierzyć salon wartęj miliony posiadłości w Bel Air, gładko przemieniając się w mężczyznę kulturalnego i wytwornego. Mendi – najdoskonalsze uosobienie cech europejskiego społeczeństwa.

– Przyjechałem zaraz po tym, jak zobaczyłem wiadomości w sieci – oznajmił swoim słodkim jak zawsze głosem z melodyjnym akcentem, z miejsca wpędzając mnie w znajomy trans. Ten stan oczarowania, w którym jestem w pełni świadoma i jednocześnie całkowicie podporządkowana władzy tego mężczyzny. Doświadczenie nauczyło mnie, że to zaklęcie można złamać, jedynie opuszczając pomieszczenie. W obecności Mendiego nie da rady wyrwać się spod jego wpływu.

– Dzięki – odparłam bezsilnie, lecz nie dlatego, że w moim głosie brakło siły, tylko dlatego, że nie byłam w stanie oprzeć się magnetyzmowi Mendiego. Ani łzom, które zaczęły napływać mi do oczu.

Już spadały. Ciężkie i obfite. Jakby składały się z czegoś więcej niż tylko słonej wody. Jakby w nich zawierała się również dotkliwa waga straconych nadziei i strzaskanych iluzji.

Oprócz Horatia Mendi jest jedyną osobą, której pozwoliłam oglądać moje łzy. A przynajmniej było tak od chwili, gdy uświadomiłam sobie, że płkanie przy kimś stoi na równi ze spakowaniem całej swej mocy w pudło, przewiązaniem go wstążką i podaniem tej drugiej osobie na tacy.

Powiedzmy sobie szczerze, w przypadku Mendiego i tak nigdy nie miałam szans na zachowanie własnej mocy.

Gdy patrzył na mnie, jak łkałam, przekraczając wszelkie emocjonalne granice szybciej, niż trwa zrzucanie ubrań w rozbieranym pokerze, na jego twarzy pojawiło się zmartwienie. Prawdziwe, pełne współczucia. Zawsze tak było. Mój były chłopak miał wiele wad – był irracjonalny, niestabilny, nieczuły – ale nigdy nie można by mu

zarzucić nieszczerości.

Przytulił mnie – nie protestowałam, przylgnęłam do niego, pozwalając, by łyzy moczyły mu koszulę.

– Już dobrze, kochanie. Ciii. Wszystko będzie dobrze. – Gładził mój policzek, szepcząc śpiwnie.

Gdy już się wyplakałam, odsunął mnie od siebie na długość ramienia, pochylił głowę tak, by spojrzeć mi prosto w oczy.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś? – zapytał.

Pociągnęłam nosem i przetarłam mokre policzki, posyłając mu nierozumiejące spojrzenie.

– Gdy ojciec odebrał ci fundusz i zostawił cię z niczym – wyjaśnił. – Dlaczego wtedy nie zadzwoniłaś? Wiesz, że bym się tobą zajął.

Przekrzywiłam głowę, odwracając od niego wzrok.

– Wiem – przyznałam. – Ale dopiero co zerwaliśmy. Tamtej nocy w klubie powiedzieliśmy sobie tyle nieprzyjemnych słów. Przed moim wypadkiem. A potem już nie zadzwoniłaś. Stąd wiedziałam, że to już naprawdę koniec.

– Chciałem zadzwonić – wyszeptał. – Ale twoje koleżanki mi zakazały. – Pochylił głowę, wyglądając na zażenowanego.

– Doprawdy? – Moje oczy zrobiły się wielkie ze zdziwienia.

– Gdy wtedy wybiegłaś z klubu, nalegały, żebym cię zostawił. Że jeśli chcę dać ci szansę na prawdziwe szczęście, muszę o tobie zapomnieć. Powiedziały, że w trójkę wybieracie się latem w podróż i ostatnim, czego potrzebujecie, jest facet ratujący swój dramatyczny związek, szwendający się za wami po całej Europie.

Ujęło mnie, że Jia i T tak się za mną wstawiły. Opiekowały się mną. Jak prawdziwe przyjaciółki.

– Powiedziały, że beze mnie będzie ci lepiej – ciągnął. – I wtedy wierzyłem, że mają rację. Ale teraz już nie jestem tego taki pewien.

– Co masz na myśli?

Ujął moją twarz w swoje duże, ciepłe dłonie, uważnie wpatrując mi się w oczy.

– Mam na myśli, że dosyć już tego. Bycie razem jest nam pisane.

Czułam, jak kolana zaczęły mi drżeć, uginając się pod wagą jego słów.

– A co z Sereną Henson? Myślałam, że teraz jesteś z nią.

Pokręcił głową.

– O Boże. To była taka strata czasu. – Wykrzywił usta w grymasie odrazy.

Chciałam się uśmiechnąć. Ale chyba moja buzia już zdołała zapomnieć, jak się to robi.

– Chodź ze mną – nagle padła propozycja. Bez owijania. Prosta. Pełna obietnic.

– Dokąd?

Puścił mnie. Jego ręce poszybowały do góry, jakby chciały otoczyć cały świat.

– Dokądkolwiek! To nie jest twoje miejsce. Ty nie powinnaś dość krów ani smażyć oleju na patelni Bóg wie gdzie. Jesteś na to za dobra. Lexi, dam ci życie, na jakie zasługujesz. Życie, do którego zostałaś wychowana. Wyjedziemy jeszcze dziś. Gdziekolwiek chcesz.

Moje myśli automatycznie pobiegły na południe Francji. Do zdjęcia przedstawiającego willę, które niedawno podesłały moje przyjaciółki. Myśl, że mogłabym być tam z nimi – i to już w ciągu kilku godzin – sprawiła, że poczułam się lekka. Wolna.

– Czy możemy pojechać na Riwierę Francuską?

Najpierw odpowiedział mi lekki, serdeczny śmiech.

– Oczywiście! Zaraz zadzwonię do hangaru. – Wyjął komórkę i wykręcił numer. Podał nazwisko i natychmiast został przełączony we właściwe miejsce, w kilka sekund rezerwując lot do Marsylii.

Już zapomniałam, jakie to proste. Jakie to *może* być proste. Jakie niegdyś było proste dla mnie.

A ukłucie tęsknoty w żołądku dało mi do zrozumienia, jak bardzo mi tego luzu brakowało. Poczucia, że wszystko może być tak nieskomplikowane. Że życie może być radosne, bez zmartwień.

Rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

– Samolot gotowy w każdej chwili. – Ujął moje dłonie i przywiódł je blisko swojej twarzy. Czułam jego ciepły oddech na moich opuszkach. – Ojciec nie jest ci potrzebny. Fundusz powierniczy też. Nic nie jest ci potrzebne. Pozwól, że cię stąd zabiorę.

Wtedy przyciągnął mnie do siebie, zarzucił moje ręce na swoje ramiona i zaczął mnie całować. Było dokładnie tak, jak pamiętałam. To samo pragnienie. Ta sama namiętność. Ta sama iskra, która zawsze sprawiała, że moje zmysły płonęły, dawała świadomość, że czuję i żyję.

Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że byłam martwa.

Gdy się ode mnie odsunął, na twarzy pozostał mi szeroki uśmiech, zmiękczający ciepło moje rysy. Na koniec Mendi delikatnie przycisnął usta do mojego czoła.

Rozplotłam dłonie, dotychczas zaciśnięte na jego karku. Zaciśnęłam nieco spuchnięte usta, delektując się widmem smaku naszego pocałunku... i słowami, jakimi mój chłopak obiecał odmienić wszystko, co w moim życiu złe.

– Daj mi kilka minut. Spakuję się.

*S*trategia odwrotu

Mendi siedział na łóżku, bawiąc się z Holly w przeciąganie liny, której funkcję pełniła akurat moja skarpetka, podczas gdy ja biegałam po pokoju, wrzucając do walizki co popadnie. Z niewiadomego powodu byłam bardzo niespokojna, czułam się jak jeden kłębek nerwów.

Oczywiście nie uszło to uwadze Mendiego, który chwycił mnie za rękę, akurat w chwili, gdy zrzucałam do otwartej walizki stos sukienek.

– Lex, uspokój się – powiedział. Brzmiało to jak rozkaz. – Samolot nie odleci bez nas.

– Wiem – odparłam, biorąc głęboki oddech, lecz to ani nie spowolniło moich ruchów, ani nie uspokoiło zszarganych nerwów.

Popędziłam z powrotem do garderoby i otworzyłam szufladę z kostiumami do kąpielii. Nie miałam pojęcia, które wziąć, więc chwyciłam wszystkie i pobiegłam z nimi do walizki.

Mendi roześmiał się na widok pęczniejącego stosu ubrań.

– Nie wydaje mi się, żebyś zmieściła całą garderobę w jednej walizce. Przecież we Francji możemy iść na zakupy.

Zachichotałam nerwowo, podeszłam do biurka i zamknęłam laptop. Gdy go podniosłam, dostrzegłam na biurku pomietą kartkę. Sięgnęłam po nią i jeszcze zanim ją rozłożyłam, wiedziałam, co przedstawia.

Lista.

„52 powody, dla których nienawidzę mojego ojca”.

Choć wnioskując z ilości wykreślonych punktów, udało mi się dobrać jedynie do przyczyny numer 20. Nie dobiłam nawet do połowy. Przeleciałam wzrokiem pozostałe trzydzieści dwie prace, wodząc palcem po kartce, pozwalając moim myślom tworzyć wyobrażenia o doświadczeniach, jakich nigdy nie będzie mi dane

zaznać. Pracownik punktu poboru opłat na autostradzie, kelnerka, roznosiciel gazet, poborca czynszu, zbieracz owoców, pracownik kina... aż do ostatniej pracy. Numeru 52. Obsługi kserokopiarki w „Santa Monica Mirror” – lokalnej gazecie.

Punkt ksero w lokalnej gazecie? Przecież właśnie tym w swojej pierwszej w życiu pracy zajmował się ojciec. To był jego pierwszy krok na drodze do bogactwa, sławy i powodzenia.

To nie mógł być zbieg okoliczności.

Nagle szczekanie wyrwało mnie z zamyślenia. Przeniosłam spojrzenie na Holly, która zdołała wyrwać skarpетkę i teraz odstawiła swój taniec zwycięstwa, skacząc wokół łóżka.

Mendi roześmiał się, po czym rzucił się do psiny, by rozpocząć drugą rundę.

Pokręciłam głową, wrzuciłam listę do śmietnika i wróciłam do pakowania, pospiesznie wpychając laptop do różowego pokrowca Prady. Położyłam go na stosie rzeczy do zabrania, po czym wbiegłam do łazienki i zaczęłam zapełniać kosmetyczkę.

Nie miałam pojęcia, dlaczego tak bardzo mi się spieszyło. Może dlatego, że cały ten dzień był dla mnie jak sen i bałam się, że jeśli zaraz, teraz nie wyruszymy, zbudzę się znów w prawdziwej rzeczywistości.

Przeczuwałam, że ktoś będzie próbował mnie powstrzymać.

Gdy Mendi znosił na dół ostatnią z moich walizek, ten ktoś właśnie wszedł do domu.

– Wybierasz się gdzieś? – usłyszałam zdziwiony głos Luke’a.

– Hej – bąknęłam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Jak zacząć. – Zamierzałam do ciebie zadzwonić.

– Skąd? – Carver groźnie łypnął na Mendiego. Po chwili jego wzrok znów spoczął na mnie.

Zeszłam po kilku ostatnich stopniach i stanęłam przed nim w holu.

– Oboje wiemy, że to koniec.

Lecz najwyraźniej Luke nie wiedział.

– O czym ty mówisz? Przyjechałem zabrać cię do pracy. Na kolejne przyjęcie obsługiwane przez twoją firmę cateringową. Za godzinę masz być na miejscu.

– Lexington nie będzie już więcej wykonywać niskopłatnych prac dla ojca. To uwłacza jej osobie. To poniżej jej godności. – Mendi postawił walizkę u podstawy schodów, podszedł i mnie objął.

Luke posłał mu podejrzliwe spojrzenie.

– Lexi, nie możesz tego rzucić. Wiesz, co się wtedy stanie.

– Wiem – odparłam łagodnie, nie będąc w stanie spojrzeć Carverowi w oczy.

– Nie będziesz mogła tu wrócić – ostrzegął. – Ojciec odetnie cię od wszystkiego.

– Ona nikogo nie potrzebuje. – Mendi postąpił jeden złowrogi krok w przód. – Ma mnie.

– Nie mówię do ciebie – warknął Luke i przesunął się w bok, by znów móc skupić się wyłącznie na mnie. – Lexi, nie rób tego!

– To koniec, Luke – odparłam posępnie. – Wydało się. Cały świat już wie. Nie dadzą mi spokoju. Będą za mną łązić do każdej następnej roboty, tydzień w tydzień, aż do końca roku. Media zrobią z tego jeden wielki cyrk!

– To nie ma żadnego znaczenia – nalegał. – Liczy się, że już zaczynałaś sobie radzić. Zaczynałaś traktować swoje zajęcia poważnie. Zyskiwać szacunek. – Opuścił głowę. – Na przykład mój – dodał szeptem.

– Przykro mi – nie byłam w stanie wymyślić innej odpowiedzi.

– I co? – ciągnął cierpko. – Odrzucisz wszystko i pobiegiesz z powrotem do swojego rozpuszczonego, luksusowego życia? Jakby nic się nie stało?

– Ej! – Mendi stanął między nami. – Nie masz prawa mówić do niej w ten sposób!

Ale Luke w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Zbliżył się do mnie na odległość zaledwie paru centymetrów.

– Mam prawo wytknąć ci, że popełniasz ogromny błąd. – Chwycił mój nadgarstek. – Wiem, do czego jesteś zdolna, widziałem, na co cię stać, i to jest wiele warte, Lexi. Ty jesteś wiele warta. Jesteś kimś więcej niż tylko frywolną, płytką imprezowiczką. Jeśli teraz z nim odejdziesz, spędzisz życie, biegając od jednego do drugiego i błagając o pomoc. Musisz się nauczyć samej twardo stać na ziemi.

– Mówisz, jakby obchodził cię mój los – bąknęłam.

– Bo mnie obchodzi! – syknął.

– Nie! Dla ciebie liczy się tylko mój ojciec i jego kwartalne sprawozdania giełdowe. Nie chcesz, żebym odeszła, bo wtedy ty znajdziesz się w niekorzystnym położeniu. Dla ciebie jestem gównem warta!

– Nieprawda! – ryknął. – Owszem, wcale niełatwo jest się z tobą obchodzić. Nie jesteś łagodną owieczką, Lexi. Szczerze mówiąc, uosabiasz wszystko to, czego nienawidzę w zamożnych Amerykanach. Ponieważ ja muszę harować jak wół na to, co tobie zostało z miejsca podane na srebrnej tacy. A ty od zawsze uważasz, że komfort ci się po prostu należy. Zgodziłem się na ten projekt, ponieważ głęboko wierzyłem w jego powodzenie. Ojciec chciał ci pomóc. Zamierzał ci pokazać, że w życiu liczy się coś więcej niż tylko imprezy i zakupy.

Wyrwałam nadgarstek z uścisku i mocno odepchnęłam Luke'a od siebie.

– Nie mów o rzeczach, których nie rozumiesz! – ryknęłam. – Myślisz, że wszystko o mnie wiesz?! Że jesteś mądrzejszy? Tylko dlatego, że ojciec cię zostawił i wychowywał cię bez pieniędzy, a teraz w pocie czoła próbujesz ukończyć psychologię?! Nie masz najmniejszego pojęcia o moim życiu! Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakim jesteś hipokrytą!

– Ja jestem hipokrytą?! – odszczekał.

– Tak! – warknęłam. – W jednym zdaniu potrafisz zawrzeć jednocześnie miłość do

Richarda Larrabee i nienawiść do mnie. Tak nie można. Czy ty nie widzisz sprzeczności? Jestem, kim jestem, *przez* mojego ojca. On mnie taką *stworzył*. Jestem efektem cech, które tak zaciekle w nim wychwalasz, jego etyki zawodowej, obsesji na punkcie pracy, emocjonalnego chłodu. Czy naprawdę chcesz wiedzieć, jak to było wychowywać się w mojej rodzinie? – Choć mówiłam ciszej, mój głos wciąż pozostawał tak samo naładowany gniewem. – Powiem ci. Grać w bilard uczył mnie lokaj, w piłkę ogrodniczy, a w pokera szofer. Ponieważ wokół mnie nigdy nie było nikogo innego, kto mógłby poświęcić mi swój czas. Wracałam ze szkoły i pokazywałam rysunki służącej. Święta Bożego Narodzenia spędzałam z nianią, a urodziny z kobietami, które były gotowe za kasę przebrać się za księżniczki Disneya i zapukać do moich drzwi z naręczem prezentów. Nie jesteś jedynym, który wychowywał się bez ojca, wiesz? Ale przynajmniej ty nie musiałeś się przez całe dzieciństwo zastanawiać, kiedy ujrysz tatusia w progu drzwi i ile czasu tym razem dla ciebie znajdzie. Nie musiałeś leżeć w nocy, licząc słowa, które wypowiedział do ciebie podczas ostatniej rozmowy telefonicznej z Japonii, ani radować się w ciszy, że tym razem było ich niespodziewanie aż o trzy więcej niż poprzednio.

Nie patrzył na mnie. Oddychał łagodniej, mniej chrapliwie niż pięć minut wcześniej. Ale ja w środku czułam tornado. Chwyciłam rączkę walizki i ruszyłam z bagażem do drzwi, zatrzymując się jeden jedyny raz, by po raz ostatni spojrzeć na Luke'a.

– Powinieneś się cieszyć, że twój ojciec odszedł i nigdy nie wrócił.

Dokonując niemożliwego

Może coś do czytania? – żwawy głos stewardessy wyrwał mnie z zamyślenia. Oderwałam wzrok od okienka i przeniosłam spojrzenie na tacę, na której gazety były rozłożone jak karty do gry.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, przeglądając ofertę. Spod najnowszego numeru „Glamour” wyzierała na mnie połowa twarzy ojca. Zaciekawiona odsunęłam to czasopismo i przyjrzałam się okładce „Fortune”. Oczywiście głównym tematem miesiąca była nadchodząca fuzja Larrabee Media. Nagłówek głosił: NASTĘPNY PRZYSTANEK: ŚWIATOWA DOMINACJA. A pod zdjęciem, mniejszą czcionką: „Wyjątkowy wywiad z Richardem Larrabee. Jego trudne początki w biznesie, burzliwe romanse i nadchodząca fuzja, dzięki której stanie się królem”.

Już miałam chwycić „Fortune”, lecz Mendi był szybszy. Zdołał zabrać gazetę, jeszcze zanim moje palce opadły na okładkę.

– To nie będzie potrzebne – oznajmił stewardessie. – Po co się denerwować. – Po czym podał mi najnowszy numer „Tattle”.

Bąknęłam słowa podzięk i z niewielkim zainteresowaniem zaczęłam przeglądać magazyn. Ucieszyło mnie jedno – na okładce nie było mojego zdjęcia. Ono pojawi się dopiero w przyszłym tygodniu, gdy mnie już nie będzie w Stanach.

Rzuciłam Mendiemu niechętnie spojrzenie – odkąd wyszliśmy z domu, mój chłopak bez przerwy trajkotał do komórki i przez całą drogę powiedział do mnie może ze dwa słowa. Już zdążyłam zapomnieć o tej niewielkiej, acz irytującej wadzie. Przy tym facecie można się czuć prawdziwą księżniczką, być dla niego całym światem, księżycem, gwiazdami – do czasu aż zadzwoni telefon. Wtedy kobieta stawała się niczym więcej niż drobiną gwiazdnego pyłu, samotnie dryfującą pośród wszechświata, czekającą, aż przyciąganie jakiejś planety lub słońca przechwyci ją i uczyni częścią czegoś znaczącego.

Z głośników rozległ się głos pilota. Na pasie znajdował się jeszcze jeden samolot, który z przyczyn technicznych nie mógł wystartować o czasie. Będziemy musieli poczekać jeszcze chwilę w hangarze, aż zepsuta maszyna zostanie bezpiecznie odholowana.

Zamknęłam gazetę i wyjrzałam przez okno, kierując oczy wyobraźni na czekające na mnie ażurowe wody, ogromne posiadłości i wytworne bale przebierańców. Wciśnięta między mnie a podłokietnik Holly poruszyła się nerwowo, więc podrapałam ją za uszkami.

Postanowiłam nie dzwonić do Jii i T. Wolałam zrobić im niespodziankę. Poza tym liczyłam, iż zaskoczone naszym przyjazdem dziewczyny nie zdążą wściec się z powodu Mendiego. Wiedziałam, że przyjaciółki nie będą pochwalać mojej decyzji. Miałam jednak nadzieję, że uradowane niespodziewanymi odwiedzinami, pominą ten niewygodny szczegół. Zresztą skoro to dzięki Mendiemu miałyśmy się spotkać – bo przecież to on wyrwał mnie z rodzinnego więzienia – nie mogą gniewać się aż tak bardzo. Prawda?

Choć tak naprawdę to nie miałam pojęcia, czy rzeczywiście znów jesteśmy parą. Owszem, całowaliśmy się. A lada moment mieliśmy polecieć do Francji. No i planowaliśmy *zostać* razem w Europie. Ale co to właściwe wszystko znaczy?

Był jeszcze jeden mały problem. Starłam się go ignorować, odkąd opuściłam dom, ale najwyraźniej szło mi kiepsko.

Luke.

Dlaczego jego twarz pojawiała mi się przed oczami za każdym razem, gdy na kilka sekund puszczałam myśli wolno?

Dlaczego czułam się tak, jakbym go zdradziła?

Jakbyśmy byli razem czy coś w tym stylu. Oczywiście nie w *tym* znaczeniu. Przecież nigdy nawet się nie całowaliśmy. O ile nie liczyć tej wielkiej pomyłki w klubie – lecz tamten wieczór nie miał znaczenia. A jednak byłam z Carverem związana, w jakiś inny, dziwny sposób, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

Miałam poczucie, że dotychczas tworzyliśmy jakąś całość. Mieliśmy wspólny cel. I choć żadne z nas nie tryskało radością na obecność drugiego, wciąż – robiliśmy coś razem. Niezależnie od niekorzystnych warunków, od liczby toalet, które miałam szorować, ilości naczyń, jakie musiałam zmywać, grobów, które było mi dane wykopać, Luke zawsze był przy mnie i dla mnie. Był jedynym stałym punktem w tym całym koszmarze.

I chciał ciągnąć to dalej. Był gotowy dotrzeć do końca. A ja się poddałam. Uciekłam. Zostawiłam go samego. Nie udzielając mu nawet jakiegokolwiek sensownego wyjaśnienia.

Przeniosłam wzrok na Mendiego, który wreszcie skończył rozmawiać i teraz pisał e-maila.

- Mendi? – zagadnęłam.
- No? – Nawet nie uniósł głowy znad komórki.
- Jak to będzie działać?
- Co?
- *My!* Jak to będzie działać? – wyjaśniłam.

W końcu odłożył telefon i znów wciągnął mnie głęboko wewnątrz swego spojrzenia, w sam środek świata.

– No, jesteśmy razem, nie?

– Jesteśmy? – spytałam. Sama się zdziwiłam, jak spokojny i opanowany był mój głos. Chyba nigdy wcześniej nie byłam tak racjonalna podczas rozmów z Mendim o naszym związku. Zazwyczaj tego typu konwersacje, polegające na definiowaniu zjawisk, miały nieodłączny element w postaci krzyków, nerwowego stąpania i rzucania przedmiotami. *Wieloma* przedmiotami. Gdy ostatnim razem znów się zesłiśmy, zniszczyłam jakąś pamiątkę rodową, która była w jego rodzinie od czasów rewolucji francuskiej.

Ale nie dziś. Nie teraz. Z niewiadomej przyczyny po raz pierwszy czułam, że kontroluję sytuację.

– Oczywiście, że jesteśmy – odparł, po czym ujął moją dłoń i przywiódł ją do ust. Zadrżałam pod jego dotykiem.

– Ale jak to będzie działać, gdy już będziemy w Europie? Mendi, ja nic nie mam. Nie mam pieniędzy. Nie mam domów. Samochodów. Nic.

Uśmiechnął się czule, przyciągając mnie delikatnie za rękę, aż nasze twarze znalazły się milimetry od siebie. Potem pocałował – przeciągle i namiętnie, aż niemal straciłam poczucie czasu i miejsca. Czy jesteśmy w samolocie? Czy jesteśmy na ziemi? Czy może pas jest wolny i pomału wznosimy się w powietrze? Miałam wrażenie, jakbym unosiła się w przestworzach.

– O nic się nie martw – powiedział, gdy już się odsunął, raz jeszcze zostawiając mnie ociążoną i bez tchu. – Będę się tobą opiekował. – Opuszką palca dotknął koniuszka mojego nosa. – Dopóki jesteśmy razem, niczym nie musisz się martwić.

Coś sprawiło, że zamarłam na moment, utkwivszy w nim podejrzliwe spojrzenie. Choć ton jego głosu był wciąż tak łagodny i czuły jak zwykle, gdy do mnie mówił, wypowiedziane słowa sprawiały wrażenie zimnych i niedelikatnych. Jakby zostały napisane na kartce papieru nudną, czarną czcionką, a nie wychodziły z ust człowieka, w którym właśnie powinnam się na powrót zakochać.

Mój umysł jakby oddzielił się od reszty ciała.

– A jeśli nie będziemy razem? – usłyszałam własny głos.

Roześmiał się, dając mi do zrozumienia, że znów plotę głupoty.

– Ale *jesteśmy* razem – powiedział z naciskiem. – I tak powinno być.

– Ale często zrywamy – zauważyłam. – Bez przerwy. Przez ostatnie dwa lata non

stop się rozstajemy i wracamy do siebie.

Znów mój rozsądek i umiejętność chłodnego myślenia oraz przetwarzania informacji dotyczących się naszego związku wprawiły mnie w zdumienie.

– Więc lepiej tak nie róbmy – oznajmił, jakby była to najprostsza, najbardziej oczywista odpowiedź na moje wątpliwości. Jakby burzliwy charakter naszego związku był kwestią zwykłego wyboru, a dotychczas po prostu wybieraliśmy źle. Jak to głupio z naszej strony.

Nie mogłam stłumić wzbierających emocji. Lecz nie były to typowe odczucia, jakie zazwyczaj pojawiały się w rozmowach między nami. To było coś nowego. Bezsilność i gniew jednocześnie. Wynikające z tego, że Mendi nie traktował problemu z taką samą jak ja powagą. Że nie widział, jak istotny jest ten szczegół.

I wtedy wszystko zrozumiałam. Oczywiście, że tego nie dostrzegął. Ponieważ to naprawdę nie było dla niego istotne. Jeśli mielibyśmy zerwać, to nie jemu groziło zostanie włóczęgą, bezdomnym, kolejnym punktem procentowym w i tak już wysokich statystykach bezrobocia w Europie. To nie *on* zostawiał za sobą całą rodzinę i każdego, kto od dnia jego urodzin stanowił element jego życia.

Jeśli po raz kolejny się pożegnamy, jemu nic się nie stanie.

Ale czemu dziwiło mnie to tak bardzo? Przecież Mendi zawsze był właśnie taki. To nie on rozbił mercedesem witrynę sklepu. Nie on zemdlał w toalecie na stacji benzynowej. Niezależnie od tego, czy jesteśmy razem, czy nie, jemu nigdy nic się nie dzieje. To ja rozpadam się na kawałki.

To ja zawsze ląduję w emocjonalnym dołku (lub, w tym przypadku, na ulicy).

– A co, jeśli naprawdę zerwiemy? – spytałam, przeklinając się za rozpacz, która narastała w moim głosie. – Co się ze mną stanie?

Wzruszył ramionami i znów wbił wzrok w BlackBerry. Mój kwadrans minął.

– Nie wiem – przyznał. – Wrócisz do domu. Albo zostaniesz w Europie. Będiesz robić to, co zawsze. Radzisz sobie za każdym razem, gdy zrywamy.

– Ale już nie mogę! – ryknęłam, aż stewardessa wychynęła zza zasłony, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Odruchowo ściszyłam głos. Choć nie za bardzo. – Czy do ciebie to dociera? Nie mam jak wrócić. Ojciec mnie odetnie całkowicie! Nie mam już *nic*, Mendi. W ogóle wiesz, co to znaczy „*nic*”?

Gdy tylko pytanie przeszło mi przez gardło, dotarło do mnie, że dobrze znam odpowiedź. Oczywiście, że nie rozumiał tego pojęcia. W taki sam sposób, w jaki *ja* nie ogarniałam go jeszcze pięć miesięcy temu. To słowo nie istnieje w słowniku naszego świata. Ale już poznałam jego znaczenie. Dostrzegałam je w każdym miejscu, w jakim przyszło mi pracować w ciągu ostatnich dwudziestu tygodni. Widziałam, co ono robi z ludźmi. Jak ich motywuje. Nawet mnie.

– Więc wszystko jasne – oznajmił, zapatrzony w ekran komórki. – W takim razie lepiej, żebyś ode mnie nie odchodziła.

Choć się roześmiała, dobrze wiedziałam, że to nie żart. Tak właśnie wyglądała prawda. Jeśli chcę wieść dostatnie życie, do którego przywykłam, zachować to, co miałam zawsze, jeśli dalej chcę mieć pieniądze – lepiej, żebym od niego nie odchodziła. Jeśli chcę przetrwać – też lepiej, żebym nie odchodziła.

I w tym momencie zdałam sobie sprawę, co jest grane. Co tak naprawdę robię w tym samolocie.

To nie była rozmowa o naszym związku.

To negocjacje nad warunkami umowy biznesowej.

Zatrzeszczało.

– Panie Milos, przepraszamy za opóźnienie – z głośników znów popłynął głos pilota. – Pas startowy wolny, możemy ruszać. Proszę pana i pannę Larrabee o przygotowanie się do lotu.

Rzuciłam okiem na Mendiego. Wyłączył telefon, zapiął pas i rozprostował swoje długie nogi. Zamknął oczy, kładąc głowę wygodnie na oparciu. Był spokojny, niczym niezatroskany, sprawiał wrażenie zadowolonego z tego, że na jedno jego skinienie mogę polecieć z nim na drugi koniec świata. Patrząc na niego, zdałam sobie sprawę, że pilot tak naprawdę nie prosił mnie, bym zapięła pas. Pytał, czy aby na pewno chcę to uczynić. Czy znajduję się we właściwym miejscu. „Panno Larrabee, czy właśnie tak zamierza pani spędzić resztę życia? Naprawdę chce pani być na zawołanie cudzych, nieprzewidywalnych, a może nawet *nieistniejących* emocji? Ponieważ gdy zapnie pani pas, gdy ja wzniosę tę maszynę w powietrze, to koniec. Nie będzie odwrotu”.

To ultimatum. Przemów teraz lub na wieki zachowaj milczenie.

A czy *kiedykolwiek* milczałam?

Wzięłam Holly pod pachę i wstałam. Przeszłam nad wyciągniętymi nogami Mendiego.

– Przepraszam – oznajmiłam. – Ja tak nie mogę.

– Co? – Otworzył oczy i spojrzał na mnie zdziwiony.

Sięgnęłam do schowka nad siedzeniami i zabrałam laptop.

– Muszę iść.

– Przepraszam?! Proszę powiedzieć pilotowi, że wysiadam – zawołałam do stewardessy.

Na twarzy Mendiego odmalował się wewnętrzny bój, jaki toczył, by zachować cierpliwość i pełne opanowanie. Znałam tę minę aż za dobrze. Ostatni raz widziałam ją piętnaście minut przed tym, jak wjechałam mercedesem w sklep.

– Maleńka – odparł, wstając i chwytając mnie za rękę – usiądź. Dramatyzujesz. Polecimy do Europy, zobaczymy, jak się sprawy ułożą. Nie możesz przez całe życie martwić się tym, co się jeszcze nie wydarzyło. Zamknij oczy i daj się ponieść.

Wyrwałam rękę z uścisku i położyłam dłoń na jego policzku, pozwalając, by moje

ciało po raz ostatni nacieszyło się ciepłem tego mężczyzny.

– Wybacz, Mendi – wyszeptałam. – Wolę żyć z otwartymi oczami.

Sięgnęłam do jego siedzenia, chwyciłam najnowszy numer „Fortune” i wysiadłam z samolotu.

Ta druga lista

Mendi nie wybiegł za mną. Nie żeby robił to wcześniej. Lecz po raz pierwszy w ciągu naszej dwuletniej historii byłam mu za to wdzięczna. Mężczyzna w recepcji hangaru spytał, czy potrzebny mi transport. Wskazał długą czarną limuzynę, którą wcześniej przyjechaliśmy, i powiedział, że szofer pana Milosa z radością zabierze mnie we wskazane miejsce. Pokręciłam głową i poprosiłam, by zamówił taksówkę.

Moja odmowa chyba go zdziwiła, lecz na nic nie nalegał. Wykonał jeden szybki telefon i oznajmił, że pojazd przybędzie za dziesięć minut.

Miałam trzy pełne walizki i nic do roboty, pozostało mi jedynie usiąść na jednej z nich i poczekać, aż zjawi się samochód.

Otworzyłam gazetę i zaczęłam czytać wywiad z ojcem. Nie wiem, dlaczego aż tak bardzo mnie to interesowało. Czułam silną potrzebę przejrzenia treści.

Materiał zajmował trzy strony. Wstęp dotyczył nadchodzącej fuzji z La Fleur Media, następnie dziennikarz rozwodził się nad tym, jak bardzo Larrabee Media urośnie w siłę, gdy już dojdzie do złączenia obu firm. Na koniec pojawił się opis, w jaki sposób ojciec zamierzał zaprezentować przedsięwzięcie udziałowcom w trakcie głosowania.

W sumie nic nowego. To samo dzień wcześniej słyszałam od Luke'a.

Jezu, to było raptem dzień wcześniej?

Miałam wrażenie, jakby od tamtej chwili minęło wiele miesięcy. To niesamowite, jak wiele może się zdarzyć w ciągu jednego dnia. Zostałam zdemaskowana przed mediami, sprzedana przez ojca, uległam Mendiemu, Luke mnie zgromił, a teraz siedziałam sama na płycie lotniska. Choć, szczerze mówiąc, to ostatnie było moim własnym wyborem.

A teraz nie wiedziałam, co począć.

Pewnie powinnam wrócić do pracy. Ukończyć pięćdziesiąt dwa tygodnie kary, uzyskać dostęp do funduszu i zwiewać z domu czym prędzej.

Kartkowałam magazyn, lecz nagle pewne zdjęcie przykuło moją uwagę na dłużej.

Przedstawiało mężczyznę w rogowych okularach, o szerokiej twarzy, długim nosie, czarnych włosach przetykanych białymi niteczkami. To jedno z tych korporacyjnych, promocyjnych zdjęć na nijakim tle. W sumie to dorosła wersja fotek, do jakich zmusza się dzieci w szkole podstawowej.

Ale rodzaj fotografii zupełnie mnie nie interesował. Chodziło o osobę, która się na niej znajdowała.

Znam go.

Ale skąd?

Przeczytałam podpis pod zdjęciem: „Pascal La Fleur, założyciel i dyrektor generalny La Fleur Media”.

Och, jasne. To szef firmy, z którą były prowadzone negocjacje w sprawie fuzji. Francuska wersja mojego ojca. Pewnie dlatego wyglądał tak znajomo.

Lecz im dłużej mu się przyglądałam, tym więcej nachodziło mnie wątpliwości.

Dlaczego *ja* miałabym rozpoznać człowieka, z którym mój ojciec prowadzi interesy? Przecież w ogóle nie zwracałam na to uwagi. To działka Luke'a. Może Carver pokazywał mi już jego zdjęcie? Raczej nie. Albo widziałam tego mężczyznę w wiadomościach? Przecież mój opiekun mówił, że CNBC od tygodni trąbi tylko o fuzji.

Prychnęłam.

Ja i CNBC? Jasne. Od rana do nocy.

Cóż, może Horatio akurat oglądał coś w kuchni, a ja wtedy zeszałam po jedzenie i mój mózg zarejestrował właśnie tę twarz?

Nie, coś mówiło w mojej głowie. To nie to.

Kojarzyłam go skądinąd. Musiałam go widzieć *osobiście*. Niedawno. Już niemal słyszałam jego głos.

I z niewiadomego powodu byłam pewna, że mówił o pozbywaniu się szefa kuchni...

Tak! To to!

To on był gospodarzem przyjęcia, na którym pracowałam poprzedniej nocy. To jego usłyszałam mówiącego po francusku do grupy biznesmenów, gdy roznosiłam przystawki. Jeszcze zanim wszystkie media na ziemi przyłapały mnie zbierającą śmieci z chodnika.

Zadrzałam na to wspomnienie, więc prędko przewróciłam stronę, chcąc je od siebie odepchnąć.

Lecz gdy czytałam resztę artykułu, twarz tego mężczyzny wciąż stawała mi przed oczami. Miałam wrażenie, że coś przeoczyłam. Moja intuicja podpowiadała mi, że

coś było nie w porządku z tą całą sytuacją.

Wróciłam z powrotem do fotografii La Fleura i jęłam wpatrywać się w niego uważnie, próbując zrozumieć, czego tu brakuje. Skoro naprawdę jest francuską wersją mojego ojca, mam wszelkie powody, by mu nie ufać.

Ale, niestety, nie miałam pojęcia, skąd takie przeczucia. Więc znów przewróciłam stronę i czytałam dalej.

Przeleciałam wzrokiem resztę tekstu, aż dotarłam do części opisującej początki ojca w niewielkim punkcie ksero lokalnej gazety we Fresno, od którego to momentu rozpoczął swoją przygodę budowania imperium. Zatrzymałam się – zszokowana aż rozdziawiłam buzię. Nie chodziło o to, co było napisane w artykule – tę historię znałam aż za dobrze – lecz o wstawkę na boku, pewną listę.

Wykaz ludzi, którzy zaczęli od zera, a odnieśli ogromny sukces. Jak mój ojciec.

Michael Dell, założyciel i dyrektor generalny firmy Dell, zanim powołał do życia jedną z największych komputerowych korporacji świata, pracował na zmywaku w barze z chińszczyzną. Warren Buffet, nim został znanym przedsiębiorcą i miliarderem, sprzedawał w sklepie spożywczym. Barack Obama i Madonna pierwsze kroki robili w barach szybkiej obsługi. Walt Disney zaczynał jako gazetowy. Rod Stewart był grabarzem. Jerry Seinfeld telemarketerem. Donald Trump poborcą czynszu.

Niemal spadłam z walizki.

Zawody wymienione w artykule niczym nie różniły się od tych figurujących na pomiętej kartce, która teraz znajdowała się na dnie mojego kosza na śmieci.

Na liście zatytułowanej „52 powody, dla których nienawidzę mojego ojca”.

Te na pozór dziwaczne prace, do których wykonywania zmuszano mnie przez ostatnie miesiące, wcale nie były przypadkowe. Zostały bardzo dokładnie dobrane. Z powodu ludzi, którzy niegdyś zaczęli właśnie od nich. Tych, którzy odnieśli sukces, zdołali wspiąć się z samego dna i w końcu stali się najbardziej wpływowymi ludźmi na świecie.

Oniemiała siedziałam w samym środku opustoszałej płyty lotniska. I wtedy coś się odezwało w mojej głowie.

„Lex, czy chociaż raz w życiu nie mogłabyś pozwolić komuś innemu pomóc ci wybrać to, co jest dla ciebie dobre? Czy nie możesz chociaż raz uwierzyć, że twój ojciec ma na uwadze tylko i wyłącznie twoje dobro?”

Nie. Nie chciałam w to wierzyć. A przynajmniej nie w pierwszej chwili, wtedy gdy Bruce Spiegelmann wymówił te słowa pamiętnego dnia w swoim biurze. Lecz teraz zaczynałam się zastanawiać. Może prawnik miał rację. Czy aby ojciec nie posiada jednak jakichś pozytywnych cech? I czy przypadkiem ta lista nie jest tego dowodem?

Cóż, nawet jeśli jest, to nie wystarczy.

Potrzeba mi było więcej. I chyba już wiedziałam, gdzie tego szukać.

*N*a dystans

Drzwi do gabinetu ojca skrzypnęły upiornie. Tak jak to zazwyczaj czynią w horrorach. Schowałam klucz do kieszeni i niepewnie przekroczyłam próg. Po raz ostatni byłam tu jeszcze jako małe dziecko, a już wtedy bałam się wchodzić. Ponieważ równało się to ze spotkaniem ojca. Rozmawianiem z nim. Wchodzeniem w interakcję. A te zdarzenia zawsze mroziły mi krew w żyłach.

Odkąd dom należy do rodziny Larrabee, zawsze był tylko jeden powód, dla którego ktoś mógłby wchodzić do gabinetu – ponieważ znajdował się w nim ojciec. Przez ostatnie dziesięć czy więcej lat, ilekroć wpadał na chwilę, nauczyłam się znikać z domu.

Lecz jednego nie zrobiłam nigdy – *nigdy* bym się na to nie odważyła. Nie weszłam do tego pokoju zupełnie sama.

Po pierwsze wewnątrz panowała raczej przeraźliwa atmosfera. Ciemne drewno, wysokie półki, skąpe światło, któremu udawało się przebić przez gąszcz zacieniających okna gałęzi. Przypominał bardziej tajemną grootę niż gabinet. Nawet dzieło Van Gogha na ścianie, przedstawiające samotnego mężczyznę z obumarłym kwiatem, należało do jednego z najmroczniejszych obrazów malarza.

Większość ludzi preferuje jasne przestrzenie, z dużą ilością światła dziennego, koloru i wesołości. Lecz nie Richard Larrabee. Nie zdziwiłabym się, gdyby wybrał dla siebie dokładnie to pomieszczenie właśnie dlatego, że nie przejawiało cech pożądanых przez ogół. Trzeba jednak przyznać, że ten złowieszczy klimat wyjątkowo pasuje do osobowości ojca.

Sięgnęłam do włącznika światła na ścianie. Zapaliła się pojedyncza lampka na biurku, sprawiając, że mroczne cienie nabrały cech obserwujących mnie bezkształtnych, dziwnych istot. Jakby zastanawiały się, co też nieproszony gość robi w ich tajemnej norze. Wzięłam głęboki oddech i skarciłam się w myślach za taką

głupotę. To przecież tylko zwykły pokój, jakich wiele w całym domu.

Fakt, że jedyne moje wspomnienia związane z tym pomieszczeniem dotyczyły ojca siedzącego za biurkiem, spoglądającego na mnie onieśmielająco, nie miał żadnego znaczenia.

Bo teraz go tu nie było. I tylko to się liczy.

Potrząsnęłam głową, by pozbyć się natrętnych myśli, i zabrałam się do szukania. Zaczęłam od półek z książkami, gablotek, a na końcu przeszłam do szuflad, zachowując ostrożność, by nie pozostawić śladów po mojej wizycie. Sęk w tym, że nie miałam pojęcia, czego szukam. Czegoś, co oczyściłoby imię ojca. Czegoś, co dowodziłoby tego, że nie jest potworem. Że jest kimś więcej.

Prawdę mówiąc, byłam w takim stanie, że w pełni zadowoliliby mnie stare pudełko po butach pełne pamiątek po matce. Prawdziwych zdjęć. Tych, które niegdyś znajdowały się w ramkach, wisiały na ścianach, pełniąc funkcję dekoracji. Zrobionych przez amatorów za pomocą najtańszych, jednorazowych aparatów. Nie fotek, przy których pracuje ekipa dziesięciu osób, ustawiając odpowiednie oświetlenie.

Gdybym mogła zobaczyć, jaka była naprawdę – a nie na jaką kreowali ją rzecznicy – może wtedy poczułabym się lepiej.

Lecz pół godziny przetrząsania pokoju i sprzątnięcia, by zatuszować ślady, wciąż nie przyniosło pożądanego odpowiedzi.

Przeszukałam każdą szafę, szufladę, półkę, komodę, każdy zakamarek i zakątek – i nic. Jeśli ojciec posiadał jakiekolwiek informacje o mojej matce lub cokolwiek, co mogłoby wpłynąć na zmianę mojego zdania o nim, nie było tego w gabinecie.

Odwrociłam się twarzą do obrazu Van Gogha. Mój wzrok spoczął na twarzy smutnego mężczyzny i na zwiędłym kwiecie na stole. Jego przygnębienie odzwierciedlało moje własne.

Może on też czegoś szukał. Czegoś, czego nie mógł znaleźć.

Podeszłam do obrazu i nagle dostrzegłam pewien szczegół, który wcześniej umykał mojej uwadze. Z jakiejś przyczyny płótno nie przylegało do ściany – między ramą a boazerią widniała niewielka szczelina.

A może, pomyślałam, postępując kolejny krok naprzód, ten mężczyzna niczego nie szuka. Może on coś *ukrywa*.

Obeszłam biurko, przytuliłam policzek do ściany i przymknęłam jedno oko, by zajrzeć w szczelinę.

Jak się spodziewałam, coś tam było.

Bardzo ostrożnie chwyciłam ramę od spodu i pchnęłam w górę, lecz obraz nie ustąpił. Po chwili zastanowienia postanowiłam wypróbować inną strategię. Pociągnęłam dzieło do siebie. Poruszyło się, otworzyło jak drzwi.

A za nim, wbudowany w ścianę, był metalowy sejf na zamek szyfrowy.

Rozradowane serce rzuciło mi się w galop.

To było to. Właśnie tego szukałam. To po prostu *musiało* być to.

Tylko jeszcze jak się dostać do środka?

Wypróbowałam wszelkie kombinacje, jakie przyszły mi do głowy: datę urodzin ojca, matki, RJ-a, nawet moją, lecz żadna nie pasowała. Sprawdziłam w Internecie datę utworzenia firmy – i nic.

Gorączkowo szukałam kolejnych możliwych kombinacji. Zdarzeń, które mają znaczenie dla ojca. Czegoś, co jest dla niego *ważne*. Oczywiście prędko zorientowałam się, że to nie ma sensu. On jest zombie. *Nic* nie ma dla niego znaczenia.

Lecz wtedy moje myśli powędrowały do jego portretu, tego nad kominkiem. Puste spojrzenie. Takie samo, jakie dostrzegłam na twarzach żałobników w domu pogrzebowym.

Przesunęłam obraz Van Gogha z powrotem na miejsce po to, żeby znów przyjrzeć się twarzy mężczyzny pilnującego sejfu. Patrzyłam, jak pochyla głowę ku dłoni, jak jego usta układają się w rozpaczliwy grymas. On również po kimś płakał.

Wróciłam do sejfu i powoli wystukałam następujące cyfry: 27-01-00.

Data śmierci matki.

Zamek zaskoczył.

Pociągnęłam ciężką metalową klapę do siebie. W środku znalazłam niezliczone pliki banknotów w różnych walutach. W sumie pewnie więcej niż dziesięć milionów dolarów. Prędko jednak zorientowałam się, że sejf skrywał coś jeszcze – z tyłu znajdowała się szkatułka z ciemnego drewna.

Wyjęłam ją i postawiłam na biurku, a następnie usiadłam na fotelu. Powoli odpięłam metalowe sprzączki i uniosłam wieko. Wewnątrz znajdowały się zdjęcia, w najróżniejszych rozmiarach i kształtach. Każde wspomnienie o matce bezpiecznie skryte przez ojca. Pamiątki ze ślubu, z podróży poślubnej, zwykłe migawki, polaroidy, a nawet pasek pięciominutowek z jednej z budek, jakich pełno w centrach handlowych. Fotografie przedstawiały mamę w różnych latach. Od niemowlęcia po nastolatkę. Od dziecka po dorosłą. Miała promienny uśmiech. Łagodne spojrzenie. Zarumienioną twarz.

Jedno zdjęcie wyróżniało się szczególnie. Niewielkie, legitymacyjne. Pewnie z lat szkolnych. Miała chyba tyle lat, co ja teraz. Musiała wtedy chodzić do liceum.

Siedziałam sparaliżowana, gapiąc się na nie, chłonąc kształt jej twarzy. Każdą krzywiznę, każdy szczegół, każdą zmarszczkę. Może i miała na sobie ciuchy nie z tej epoki, fryzurę w stylu lat osiemdziesiątych. Lecz jedno było pewne.

Miałam wrażenie, jakbym spoglądała w lustro.

Jesteśmy identyczne.

Paraliż wreszcie minął, odłożyłam szkolną fotografię na bok i zabrałam się do

przeoglądania reszty zdjęć, aż dotarłam do dna szkatułki. Lecz na samym końcu trafiłam na zwykłą białą kartkę.

Obróciłam ją i przełknawszy ślinę, rzuciłam okiem na nagłówek.

OFICJALNE SPRAWOZDANIE KORONERA W SPRAWIE ŚMIERCI ELIZABETH LARRABEE

Sprawozdanie koronera?

Dlaczego ojciec miałby trzymać w sejfie coś takiego? Mama zmarła w wypadku samochodowym. Osiemnastokółowa ciężarówka wjechała w jej BMW. I taka właśnie przyczyna widniała na kartce w punkcie „przyczyna zgonu”. Czy było coś jeszcze?

Lecz czytając resztę tekstu, zdałam sobie sprawę, że owszem, na ten temat było o wiele więcej informacji. Więcej, niż do tej pory znałam.

Gdy dotarłam do akapitu przedstawiającego poziom alkoholu we krwi matki, zatrzymałam wzrok jak rażona gromem. Nie musiałam czytać dalej. Nagle otrzymałam odpowiedzi na wszystkie pytania i wątpliwości. W jednej wzburzonej, paraliżującej, obezwładniającej sekundzie.

W chwili śmierci mama miała we krwi 2,8 promila alkoholu. Trzy razy więcej niż dopuszczalne stężenie.

Z kartką w ręce wybiegłam z gabinetu i zawołałam Kingstona. Chwilę później pojawił się w holu.

– Tak, panno Larrabee?

– Musisz mnie gdzieś zawieźć. Teraz.

– Już wystawiam samochód. – Skinął posłusznie.

Powinam była zrobić to już dawno. Oprócz ojca jest jeszcze jeden człowiek, który zna wszystkie sekrety rodziny. Jego pracą jest je chronić.

– Dokąd? – spytał Kingston, gdy wsiadłam do limuzyny.

– Zabierz mnie do Porucznika.

Jaka matka, taka córka

Z definicji porucznik to osoba, która pomaga kapitanowi zarządzać statkiem. W rodzinie Larrabee w skład jego obowiązków wchodzi: wydawanie czeków z funduszy powierniczych, zarządzanie spadkiem, zażegnywanie kryzysów będących następstwem prowadzenia aut przez pijane nastolatki i wiele innych równie ciekawych zajęć.

I właśnie tym zajmuje się nikt inny jak jedyny w swoim rodzaju Bruce Spiegelmann. Gdy weszłam do biura i zamknęłam za sobą drzwi, uniósł głowę znad pliku dokumentów i posłał mi promienny uśmiech.

– Lexi! – powiedział, wstając, by się ze mną przywitać. – Cóż za miła niespodzianka. Co cię tu sprowadza?

Nie chciałam tracić czasu na grzeczności. Usiadłam na krześle naprzeciwko niego.

– Chcę porozmawiać o mamie – walnęłam prosto z mostu.

Przez chwilę na jego obliczu malowały się bliżej niezidentyfikowane emocje. Coś mi podpowiadało, że Bruce czuł, że ten dzień kiedyś nadejdzie. To była tylko kwestia czasu.

– Twoja matka była cudowną kobietą – odparł powoli.

– Tiaa. Ciepłą, opiekuńczą, kochającą. Cały wachlarz, nie? – rzuciłam.

Zachichotał i dobrze wiedziałam, że próbuje w ten sposób zatuszować zdenerwowanie, ponieważ gdy znów się odezwał, w jego głosie dało się łatwo wyczuć niepokój. Widziałam niewygodę, z jaką wiercił się na fotelu. A gdy zaczął żuć policzek od wewnątrz, byłam już pewna.

– Jakimś cudem wszyscy zapomnieli o tym, że miała problemy z alkoholem.

Bruce zamarł i posłał mi długie, ciężkie spojrzenie. Wyjęłam z torebki sprawozdanie koronera i przesunęłam kartkę na biurku w stronę prawnika. Rzucił na nią okiem, po czym przymknął powieki i dotknął grzbietu nosa kciukiem i palcem

wskazującym.

– Zmarła w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę. Akurat! To *ona* była tym pijanym kierowcą! – Choć próbowałam zachować spokój, mój głos wzniosł się do krzyku. – Nie uważasz, że mam prawo o tym wiedzieć?!

– Tak – wyszeptał. – Masz.

Pokręciłam głową, nic z tego nie rozumiejąc, i nachyliłam się do biurka.

– Że co?

– Od lat powtarzałem twojemu ojcu, że masz prawo wiedzieć. Że wszyscy macie do tego prawo. Ale to jego decyzja. Jako jego prawnik nie mogłem...

– Więc to prawda? – wciągam się niecierpliwie. – Była alkoholiczką? – zadałam pytanie z takim przekonaniem, że aż sama się zdziwiłam. Miałam wrażenie, jakbym głośno wymówiła prawdę, którą przeczuwałam od dawna.

– Twoja matka – zaczął Bruce – była bardzo skomplikowaną kobietą. Miała problemy z...

– Odpowiedz na moje pytanie.

Znów posłał mi to ciężkie spojrzenie, jakby pragnął sprawdzić, czy naprawdę jestem gotowa, by usłyszeć odpowiedź. Czy rzeczywiście chcę zajrzeć do puszek Pandory. Wiadomo, jak już raz się ją otworzy, nie da rady jej zamknąć. Siłą woli wytrzymałam jego spojrzenie, bez słowa dałam mu do zrozumienia, że niczego się nie boję. Że przyszedłam do niego po całą prawdę, nic innego, jedynie prawdę. I nie wyjdę, dopóki jej nie otrzymam.

Głośno wypuścił powietrze z płuc, dając mi do zrozumienia, że się poddaje. Ale ja nadal żądałam odpowiedzi. Chciałam usłyszeć to jedno słowo. I Bruce dobrze o tym wiedział.

– Tak – rzekł wreszcie.

– Rejsy, w które wypływała? – spytałam.

Jeszcze walczył w środku. Jeszcze się wahał.

– Twój ojciec wielokrotnie próbował jej pomóc. Ale nic nie działało. Przez całe twoje dzieciństwo albo była na odwyku, albo właśnie z niego wychodziła. Gdy wracała do domu, a ojciec wyjeżdżał w podróż w interesach, znów wpadała w nałóg.

Pozwoliłam sobie wchłonąć tę informację. Choć to, co słyszałam, bolało tak bardzo, zdawało się mieć sens. Niosło ukojenie. Nie ulgę fizyczną (wręcz przeciwnie), lecz spokój związany ze świadomością, że taka właśnie jest prawda. *Nareszcie* prawda. Teraz mogę oddychać.

– Dlaczego chciał kłamać na ten temat? – spytałam. – Dlaczego nie powiedział nam wszystkiego o mamie? Uznał, że sobie z tym nie poradzimy?

Pokręcił głową.

– Nie o to chodziło. Chciał was *chronić*. Jej choroba bolała go tak bardzo, że nie chciał, abyś ty i twoi bracia przechodzili przez to samo cierpienie. Myślał, że

skrywając niektóre fakty i przekonując was, że matka była kimś innym, działała na waszą korzyść.

I nagle wszystko miało sens. W jednej druzgocącej sekundzie wszystko stało się jasne. Dlatego ojciec żeni się z kobietami, których nie kocha. Dlatego trzyma wszystkich na dystans. Gdy nikogo do siebie nie dopuszczasz, nie ma szans, byś został skrzywdzony. Jeśli nigdy nikogo nie darzysz miłością, nikt nie umrze, zabierając ze sobą ułamek twego serca.

I wtedy nasza mnie niepokojąca myśl.

Przecież omal nie zginęłam.

Pięć miesięcy temu. W wypadku samochodowym, który dał początek całemu cyrkowi. Tym pięćdziesięciu dwóm tygodniom pracy. Zapoczątkował mój „życiowy program rehabilitacyjny”.

Zamarłam z przerażenia. Nie byłam w stanie się poruszyć. Co oznaczało, że nie mogłam unieść dłoni, by złapać padające łyzy. Bruce sięgnął do pudełka z chusteczkami i wyciągnął jedną w moją stronę, ale jej nie wzięłam.

Po kilku mglistych sekundach przypomniałam sobie, jak się mówi.

– To dlatego tak postanowił – oznajmiłam. – Dlatego nakazał mi rok pracy.

Bo skoro każdy z tych zawodów niegdyś doprowadził kogoś innego do sukcesu i bogactwa, któreś z zajęć powinno sprawdzić się również w moim przypadku.

Bruce skinął.

– Chciałem ci o wszystkim powiedzieć, Lex. Przyrzekam. Ojciec obarcza siebie odpowiedzialnością za jej chorobę. Również za śmierć.

– Ale przecież to nie jego wina! – krzyknęłam.

– To spróbuj przemówić mu do rozumu. – Zdjął okulary i potarł powieki. – To widmo wisi nad nim po dziś dzień. Uważa, że gdyby zdołał wcześniej uporać się z problemem, mógłby wszystkiemu zapobiec, zanim sprawy wydostały się spod kontroli. Lecz tego nie zrobił.

– A wtedy ja wjechałam autem w sklep – dokończyłam.

– Nie chciał popełniać tego samego błędu dwa razy. – Skinął.



Wychodząc od Bruce'a, nie czułam nic. Byłam ogłuszona. Musiałam przetworzyć tyle nowych informacji, że nie miałam pojęcia, gdzie zacząć. Ani co zrobić, gdy skończę.

Kilka podłych słów i pojedyncza kartka papieru wywróciły moje życie do góry nogami.

Przez cały czas byłam pewna, że ojciec chciał mi uprzykrzyć istnienie. A naprawdę

chodziło o coś zupełnie innego. Nie nienawidził mnie. Nie chciał zgotować mi żadnych tortur ani patrzeć, jak upadam. On chciał mnie *ocalić*.

Jeśli tak, pozostało mi jedno wyjście.

Teraz to ja będę musiała go uratować.

Wyjęłam z torby komórkę i zadzwoniłam do Luke'a.

– Musimy porozmawiać. Gniazdo. Za dwadzieścia minut – ryknęłam do słuchawki, pomijając grzeczności.

Falszywy przyjaciel

Przecież miałaś wyjechać – burknął na powitanie Luke, gdy Horatio wprowadził go do biblioteki. Pochłonięta przygotowaniami, siedziałam na podłodze z laptopem, otoczona plikami umów i innych wydruków.

- Zmieniłam zdanie – oznajmiłam.
- Czego chcesz? – spytał, krzyżując ręce na piersi.
- Twojej pomocy.
- *Mojej* pomocy? – Sprawiał wrażenie urażonego.
- Tak. – Kiwnęłam głową.
- Czemu?
- Bo jesteś jedyną osobą, której ufam.

Przez chwilę zdawał się rozważać tę kwestię, po czym, zapewne uznawszy, że ten argument wystarczy, usiadł przy mnie na podłodze.

- Co się dzieje?

Podeksycytowana obróciłam egzemplarz „Fortune” tak, żeby mógł się przyjrzeć otwartej stronie.

– Widzisz tego gościa? – spytałam, wskazując zdjęcie, które stało się inspiracją dla tego szalonego planu.

- Jasne. To Pascal La Fleur. Dyrektor generalny La Fleur Media.

– Taaa, jest również kłamcą – oznajmiłam rzeczowym tonem.

- Że co? – Luke zamrugął.

– Widziałam go na przyjęciu, przy którego obsłudze pracowałam. Nawet podałam mu ogórki nadziewane ceviche z tuńczyka!

- I to dlatego jest kłamcą? – Oczy Luke’a zrobiły się ogromne z niedowierzania.

Machnęłam ręką.

- Słuchaj, mówił coś do grupy ludzi. – Zaczęłam przetrząsać dokumenty rozłożone

dookoła, aż znalazłam zdjęcie, które ściągnęłam z Internetu i wydrukowałam. Przedstawiało dziesięć osób za ogromnym stołem konferencyjnym. Twarze trzech już zdążyłam zaznaczyć czerwonym markerem.

– Tych ludzi. – Wskazałam zaznaczone głowy. – Rozmawiał z nimi po francusku.

– Cóż, w końcu jest Francuzem – stwierdził Luke.

– *Wiem* – warknęłam zniecierpliwiona. – Posłuchaj. On wspominał coś o pozbyciu się szefa kuchni.

Popatrzył na mnie, jakbym oszalała.

Zignorowałam jego spojrzenie.

– Wtedy puściłam to mimo uszu, no bo w końcu co? Pozbyć się szefa kuchni? Pomyłony ten Francuz, myślę sobie.

– Lexi, czy to ma jakiś sens, czy nie? – wciął się Luke.

Zazgrzytałam zębami, próbując zachować resztki cierpliwości.

– Tak! – Wzięłam głęboki oddech. – Ale dopiero gdy zobaczyłam jego twarz w gazecie, zdałam sobie sprawę, że źle go rozumiałam. Widzisz, mój francuski ogranicza się do mody, jedzenia i celebrytów.

– Doprawdy? – Zachichotał. – Nie miałem pojęcia.

Klepnęłam go kartką, którą akurat trzymałam w dłoni.

– Chodzi o to, że *le chef* wcale nie oznacza „szef kuchni”. To fałszywy przyjaciel!

– Co takiego?

– *Faux ami*. Czyli fałszywy przyjaciel, taki na niby. – Westchnęłam. – Słowo, które, zdawałoby się, powinno znaczyć to samo w języku francuskim i angielskim, ponieważ brzmi tak samo, ale tak nie jest. Na przykład *librairie* nie oznacza „biblioteka”, tylko „księgarnia”. A *napkin* to „podpaska”, nie „serwetka”.

– Okej, okej! – Zamachał dłonią, bym przestała. – Rozumiem. Więc co określa *le chef*?

Wzięłam głęboki oddech i spojrzałam mu w oczy.

– To znaczy „dyrektor”. „Dyrektor generalny”.

Zajął mu chwilę, nim nadażył za gonitwą moich myśli, a gdy już się to stało, wyraz jego twarzy uległ zmianie.

– Pozbyć się dyrektora generalnego?

Energicznie pokiwałam głową.

– *Expulser*. Właśnie takiego słowa użył – wyjaśniłam. – Czyli „pozbyć się”. Sprawdziłam, że znaczy również „wyrzucić”. „Wydalić”. „Wygnać”.

Nic nie powiedział. Nie musiał. Jego mina zdradzała wszystko.

– Więc zaczęłam czytać na temat nadchodzącej fuzji – ciągnęłam, wskazując kartki wokół mnie. – W mojej skrzynce mejlowej, w folderze ze spamem, znalazłam nawet kilka korporacyjnych biuletynów na ten temat.

Uniósł zdziwioną brew.

– Nieważne, to długa historia – odparłam prędko, machając dłonią. – Gdy już trochę poszperałam, odkryłam, że gdy fuzja dobiegnie końca, mój ojciec ma zostać dyrektorem generalnym nowej firmy, a ten facet, Pascal, ma mu podlegać. Lecz jeśli liczyć pięciu nowych członków zarządu, którzy siłą rzeczy przyjdą wraz z La Fleur Media, zdobycie większości głosów wcale nie będzie dla Pascala trudne, będzie potrzebował jeszcze tylko trzech. – Wskazałam palcem trzy zakreślane na czerwono twarze. – *Tych* trzech.

Luke spojrział na mnie z niedowierzaniem. Nie miałam pojęcia, czy to ta informacja go tak zaskoczyła, czy też fakt, że to właśnie *ja* ją odkryłam. Może po trochu jedno i drugie.

– Nie wierzę – odezwał się wreszcie, gdy już wrócił mu głos. – La Fleur działa za plecami twojego ojca, żeby przejąć całą firmę?

Kiwnęłam głową – najwyraźniej to on jest tutaj *faux ami* – po czym przedstawiłam sytuację w prostszych słowach.

– Jeśli fuzja przejdzie, ojciec straci pracę.

Panna szpieg

Luke skoczył na nogi i zaczął nerwowo stąpać po pokoju. Aż się gotował.

– Więc zadzwonimy do twojego ojca i powiemy mu, że nie powinien jutro dawać swojego poparcia dla fuzji przed głosowaniem udziałowców – myślał głośno.

Natychmiast pokręciłam głową.

– Co ty. To nie wypali.

– Czemu nie?

– Nie uwierzy mi! Porozmawia z Caroline i razem stwierdzą, że próbuję sabotować fuzję po tym, co mi zrobili.

– Że co? – Zatrzymał się i posłał mi zdziwione spojrzenie. – To *twój ojciec* puścił informację do mediów?

– Mówiłam ci, że mam skomplikowaną rodzinę.

Zadumał się przez chwilę, po czym uznał, że lepiej będzie zastanawiać się nad tym później.

– Okej, w takim razie *ja* mu powiem.

– I co mu oznajmisz? – Spojrzałam na niego z powątpiewaniem.

– Przekonam go, że nie powinien ufać La Fleurowi i tym bardziej nie powinien udzielać fuzji poparcia. Jeśli udziałowcy nie przegłosują fuzji, twój ojciec nie straci pracy.

– Jasne, już widzę, jak Richard Larrabee odwołuje interes wart miliardy na podstawie przeczuć dwudziestoletniego stażysty – odparłam drwiąco.

Luke wiedział, że mam rację, więc odwrócił wzrok i znów zaczął nerwowy spacer.

– Potrzebny nam jakiś dowód – powiedziałam. Choć wiedziałam, że jemu nie trzeba tego mówić. Pewnie sam już na to wpadł. – Ojciec zareaguje jedynie na rzeczowe argumenty.

– Jak, do cholery, mamy zdobyć dowody? W ciągu kilku godzin? Głosowanie jest

jutro rano! – Luke energicznie zamachał rękami.

– Nie martw się – odparłam łagodnie, zabierając się do zbierania rozrzuconych na podłodze kartek. Wreszcie podniosłam cały plik i wstałam. – Mam pomysł.

Chwyciwszy Cartera za ramię, powiodłam go na górę, do mojego pokoju, i zamknęłam drzwi.

Rozejrzał się dookoła speszony, po czym przysiadł na szezlongu. Holly zaszczekała i usadowiła się obok niego. Ostrożnie potarł jej uszka. Jakby się bał, że ją zgniecie.

– Eee... ładny pokój – bąknął.

– Dzięki. – Zniknęłam w garderobie i zaczęłam wyciągać różne ubrania.

– Więc co to za plan? – zawołał nerwowo.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Horatio.

– Co to jest? – dotarło do mnie zdziwione pytanie Luke'a.

– Na życzenie panny Larrabee – padła tajemnicza odpowiedź Argentyńczyka.

Wystawiłam głowę z garderoby i moim oczom ukazał się Luke trzymający niewielkie, nieoznakowane kartonowe pudełeczko. Próbował je otworzyć, ale coś mu nie szło.

– Co to jest? – powtórzył i wreszcie poradził sobie z wieczkiem. Włożył rękę do środka i wyjął czarny zestaw słuchawkowy z mikrofonem oraz maleńką słuchawkę do ucha. Trzymając obie rzeczy w dłoniach, przyglądał im się z zaciekawieniem.

Znów zniknęłam w garderobie, przeszukując dna szaf, przeczesując skarby ukryte za sukniami balowymi, aż wreszcie natrafiłam na kieckę, której szukałam.

– To nasz zestaw małego szpiega! – zawołałam w odpowiedzi, narzucając suknię przez głowę i wkładając ręce w rękawy. Materiał sprawiał znajome, przykre wrażenie. Skrzywiłam się nieco, przypomniawszy sobie chwilę, w której po raz ostatni miałam na sobie ten strój.

Boże, *wieki* temu!

Patrząc w dół, na błękitno-białe pasy, spoglądając w lustrze na biały kołnierzyk, zdałam sobie sprawę, jak wiele się zmieniło, od kiedy zaczął się ten cały ambaras. Czułam się jak zupełnie inna osoba, inna od tej, która po raz pierwszy, ponad cztery miesiące temu, założyła ten uniform.

– Nasze *co*? – zapytał sceptycznie Luke.

Wygładziłam materiał i założyłam buty.

– La Fleur wynajmuje dom w Palos Verdes – zawołałam. – To właśnie tam odbyło się wczorajsze przyjęcie. Na parterze znajdują się drzwi do gabinetu. Na pewno trzyma tam dowody na to, że jest w zмовie z członkami zarządu. Mam zamiar zakraść się tam i je znaleźć.

– Masz zamiar *co*?! – Choć nie widziałam jego twarzy, panika w jego głosie jasno wskazywała, że zaczął wątpić w powodzenie mojego planu.

– Spokojnie – odparłam, przeszukując pudło z perukami, aż znalazłam tę idealną. Na metce widniało imię Nikki. Miała ciemnobrązowe kosmyki w odcieniu czekolady, asymetryczne, sięgające podbródka. Ciasno związałam własne włosy, nachyliłam się do przodu i nasunęłam sztuczną czuprynę na głowę.

– Mam zamiar iść w przebraniu.

– Co?

W pełni gotowa wyszłam z garderoby, przeparadowałam przez pokój i dygnęłam nieśmiało.

Nic z tego nie rozumiejąc, Luke przyjrzał mi się od stóp do głów, powoli wchłaniając każdy centymetr mojego przebrania.

– To twój uniform z Królewskiej Służby?

Skinęłam.

– Taaa. Wejdę do jego domu jako służąca. – Podeszłam do niego, wzięłam niewielką słuchawkę i umieściłam ją w uchu. – Ty będziesz czekał na zewnątrz z tym.

– Wskazałam na mikrofon w jego dłoni. – I będziesz mówił mi, czego mam szukać.

Skoczył na nogi i zaczął odsuwać się ode mnie, jakbym była nosicielem choroby zakaźnej zwanej szaleństwem.

– Nie ma mowy – powiedział roztrzęsiony. – To włamanie. Złapią cię. Trafimy za kratki!

– Nikt mnie w tym nie rozpozna! – Wskazałam na przebranie.

– No halo! – zawołał osłupiały. – Jesteś Lexington Larrabee. Córka faceta kluczowego dla fuzji. Nie możesz tak po prostu wejść do domu La Fleura, oczekując, że nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

Postąpiłam krok w stronę Carvera i uspokajająco położyłam dłoń na jego policzku.

– Och, Luke – zaczęłam pobłażliwie – zapominasz o bodaj najważniejszej rzeczy, jakiej nauczyłam się przez te kilka miesięcy.

– To znaczy? – spytał, przyglądając mi się podejrzliwie.

Posłałam mu ironiczny uśmiech.

– Nikt nie zwraca uwagi na służbę.

Szpiegostwo w pigułce

Przyczepiłam miniaturowy mikrofon do klapy uniformu.

– Test, raz, dwa, trzy. Czy mnie słyszysz? – szepnęłam. Wstrząsnął mną nagły strumień ekscytującego prądu. Jaki czad.

Jeszcze tylko drobne skrzyknięcie i w uchu rozległ się głos Luke’a:

– Tak, słyszę.

– Okej. – Wzięłam głęboki oddech. – Zaczynamy.

Chwyciłam się jednej z niższych gałęzi drzewa i podciągnęłam w górę. Po chwili balansowania udało mi się wdrapać na jeden z konarów. Przesunęłam się w stronę balkonu. Złapałam się balustrady, by nie stracić równowagi, po czym przerzuciłam nogi na drugą stronę. Gdy już się tam znalazłam, wychyliłam się przez barierkę i uniesionymi do góry kciukami dałam Luke’owi znać, że wszystko w porządku. Siedział w samochodzie zaparkowanym kawałek dalej.

Cichutko przesunęłam szklane drzwi balkonowe i wślizgnęłam się do środka. Znalazłam się w pomieszczeniu, które wyglądało na nieużywany pokój gościnny. Otworzyłam drzwi na korytarz i na paluszkach doszłam do schodów. Tam wychyliłam się przez poręcz, by sprawdzić, czy na parterze nie ma kogoś w zasięgu wzroku.

Droga wolna, więc powoli ruszyłam w dół, starając się zachować ciszę. Rozpoznałam ogromne wejście do salonu – przecież dopiero co tu byłam – i prędko skierowałam się w stronę gabinetu.

Był zamknięty. Zapukałam łagodnie, a gdy nie padła żadna odpowiedź, przekręciłam gałkę i weszłam, zamykając drzwi za sobą.

– Dobra, jestem w środku – szepnęłam, nachylając głowę do mikrofonu.

– Co widzisz? – spytał Luke.

Popędziłam do biurka i zaczęłam przeczesywać dokumenty.

– Nie wiem – odparłam. – Jakies sprawozdania. Sporo wykresów. „Przewidywane dochody” – odczytałam nagłówek trzymanej kartki.

– Nie – powiedział stanowczo. – To są zapewne materiały giełdowe. Musisz znaleźć pisemną umowę między La Fleurem a tymi trzema członkami zarządu. Obietnicę, że gdy fuzja przejdzie, w głosowaniu na dyrektora generalnego oddadzą głos właśnie na niego.

Odłożyłam kartkę, westchnęłam głośno i zabrałam się do przeglądania reszty dokumentów.

– Ale tego pewnie nie znajdziesz na biurku – odpowiedział Luke.

– Masz rację – szepnęłam i zaczęłam kolejno wysuwać różne przegródki, lecz nie znalazłam w nich niczego nawet odrobinę podobnego do podanego mi opisu.

Wtedy dotarłam do ostatniej szuflady. Była zamknięta. Szarpałam za uchwyt, lecz nie ustąpiła. A przecież nie mogłam wynieść stąd całego biurka.

To pewnie to, pomyślałam. Bo jaki jest sens trzymania czegoś w zamknięciu? Chodzi o to, by ktoś nieproszony nie natknął się na ukrytą zawartość.

Potrzebny mi cholerny klucz! A ten mógł być wszędzie. Nawet w kieszeni samego La Fleura. Który z tego, co mi było wiadomo, właśnie znajdował się w biurze ojca. A przynajmniej taką miałam nadzieję. Oby był gdziekolwiek, tylko nie we własnym domu.

– Cholera jasna! – zakląłam.

– Co się stało? – usłyszałam spanikowany głos Luke’a.

– W biurku jest jedna zamknięta szuflada. I pewnie w niej jest ta umowa. Ale nie mogę otworzyć.

– Dasz radę się do niej włamać? – rzucił.

– No proszę, panie Niewinny – zadrwiłam. – Nakłaniasz mnie do takich rzeczy.

– Cóż mam rzec? Chyba masz na mnie zły wpływ.

– Albo właśnie dobry.

Zachichotał.

– I jak? Dasz radę się włamać?

– Nie! – krzyknęłam. – Nie wiem, jak się rozwala zamki. Ty wiesz?

– A jak myślisz?

– Czyli nie ucą was tego na studiach? – odparłam z wyrzutem.

– Chyba akurat tego dnia byłem chory.

– Czekaj – szepnęłam, doznając nagłego olśnienia. Rzuciłam okiem na swój uniform. Gdy miałam go na sobie po raz ostatni, nie byłam w stanie włączyć odkurzacza. Nie miałam pojęcia, jak się go używa. Ale ostatecznie udało mi się dowiedzieć, nie?

Prędko wyjęłam z kieszeni telefon i otworzyłam stronę YouTube. Wpisałam: „Jak włamać się do zamkniętej szuflady” i moim oczom ukazało się niemal sto wyników.

Pierwszy filmik miał trzy miliony odsłon oraz ocenę w postaci czterech i pół gwiazdki, więc uznałam, że to będzie najlepszy wybór.

Wybrałam go, wyciszyłam dźwięk w komórce i wcisnęłam „odtwórz”. Okazało się, że będą mi potrzebne dwa spinacze – bez problemu znalazłam je pośród wyposażenia biurka. Przyglądając się kobiecie na ekranie, wyprostowałam pierwszy spinacz, po czym zagięłam jego koniec tak, by utworzył się niewielki haczyk. Zaś drugi zupełnie wyprostowałam, a następnie uklękałam przy szufladzie i wsadziłam jego koniec głęboko w otwór zamka, przesuając go zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Postępując zgodnie z instrukcją, powoli wsunęłam do środka zakrzywiony spinacz, próbując wyczuć w środku coś, co w filmiku nazwali „bolcami bębnowymi”.

Stęknęłam, starając się przesunąć każdy bolec po kolei, lecz po kilku minutach zaczęłam wątpić, czy w ogóle udało mi się wcisnąć chociaż jeden.

– Co robisz? – głos Luke’a sprawił, że już zupełnie się zdekoncentrowałam.

Westchnęłam.

– Próbuję otworzyć zamek. Czekaj.

Wzięłam kolejny głęboki oddech, nachyliłam się bliżej szuflady i spróbowałam raz jeszcze. Haczyk wreszcie napotkał pierwszy opór – ułożyłam drut i pchnęłam zabezpieczenie w górę. Rozległo się ciche pstryknięcie.

– To działa! – pisnęłam podekscytowana.

To samo zrobiłam z drugim bolcem, potem z trzecim, łagodnie przekręcając drugi, wyprostowany spinacz, aż ostatnia przeszkoda wskoczyła na miejsce, a zamek dał się przekręcić do samego końca. Pociągnęłam uchwyt szuflady. Ustąpiła.

W środku znajdowała się tylko jedna rzecz. Nieoznakowana aktówka. Natychmiast wzięłam ją do ręki i otworzyłam.

– „Umowa wyboru Pascala La Fleura na stanowisko dyrektora generalnego Larrabee Media Corporation” – odczytałam nagłówek.

– To to! – Luke pisnął tak głośno, że aż zabolowały mnie bębunki. – Jest podpisana?

Przerzuciłam na ostatnią stronę i znalazłam na niej cztery podpisy. Z pierwszych trzech odczytałam nazwiska członków zarządu, których wcześniej zakreśliłam na czerwono na zdjęciu wydrukowanym z Internetu. Ostatni zawijas należał do Pascala La Fleura.

– Tak!

– Okej. Teraz wynoś się stamtąd – powiedział rzeczowo Luke.

Szczerząc się od ucha do ucha, złożyłam umowę i wcisnęłam ją za dekolt uniformu. Pustą aktówkę włożyłam z powrotem do szuflady, którą następnie pchnęłam nogą, tak by wsunęła się z powrotem na miejsce. Ruszyłam do drzwi i już nawet wyciągnęłam dłoń w stronę gałki, lecz ta nagle zaczęła się obracać samoistnie.

Wstrzymałam oddech i prędko rozejrzałam się po pokoju, szukając miejsca na

kryjówkę, lecz nie starczyło już czasu. Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł szef we własnej osobie. Pascal La Fleur.

Nasze spojrzenia spotkały się na moment, lecz gdy już odzyskałam władzę nad ciałem, prędko pochyliłam głowę, przerywając kontakt wzrokowy.

Uciekłam się do płytkiej grzeczności.

– Dzień dobry, panie La Fleur – powiedziałam, próbując naśladować wyraźny wschodni akcent Katii. – Witam w domu.

Stał w progu, taksując mnie wzrokiem, po czym rozejrzał się podejrzliwie po gabinecie. Trzymałam głowę nisko, unikając jego spojrzeń, starając się oddychać bezgłośnie. Modliłam się, by nie słyszał potężnego bicia mojego serca.

– O cholera! – usłyszałam głos Luke’a. – On tam jest?! Nawet nie widziałem, kiedy wjechał do garażu. Co teraz zrobisz?

Już chciałam wyszeptać, że krzyczenie mi w tej chwili w ucho nie pomaga, ale w porę się opamiętałam.

– Co tutaj robisz? – padło pytanie zadane szorstkim, nosowym francuskim akcentem.

Przykleiłam na twarz niewiele rozumiejącą minę i wskazałam pokój.

– Sprzątanie.

Dałabym wiele, żeby w tej chwili mieć w dłoni ścierkę do kurzu. Albo chociaż butlę płynu do czyszczenia wszelkich powierzchni. Modliłam się, by nie wpadł na to, że sprzątanie pokoju z pustymi rękami nie jest do końca możliwe.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, wwiercając się w moją czaszkę.

Błagam, uwierz mi, modliłam się w ciszy. Błagam.

– Służące wiedzą, że nie wolno im tu wchodzić – oznajmił, a ja nagle poczułam ogromną ulgę w płucach.

– Przepraszam – powiedziałam i przecisnęłam się między nim a framugą, by wyjść na korytarz. – Pierwszy dzień, pierwszy dzień. Nie robi więcej!

Wypuścił mnie z pokoju, lecz dobrze wiedziałam, że jego czujne oczy podążyły za mną, gdy pospiesznie szłam przez hol do salonu. Z kolei tam tak długo udawałam, że poprawiam poduszki na kanapie, aż drzwi do gabinetu się za nim zamknęły.

Wtedy na paluszkach przeszłam z powrotem do holu, cicho wyślizgnęłam się na zewnątrz i rzuciłam się biegiem do samochodu Luke’a, modląc się, byśmy zdążyli odjechać, zanim monsieur La Fleur zorientuje się, że przy biurku leżą dwa wygięte spinacze, a w szufladzie na dole znajduje się jedynie pusta aktówka.

To, co niepisane

Dotarliśmy do siedziby firmy w centrum miasta już po zmroku. Luke zaparkował i miał odpiąć pas, gdy ni z tego, ni z owego przytrzymałam jego rękę. Uniósł wzrok zdziwiony.

– Czy mógłbyś poczekać w samochodzie? – poprosiłam. – Chciałabym zrobić to sama.

Kiwnął głową, lecz nie zabrał dłoni. Trzymał ją dalej pod moją.

– Jasne.

– Jesteś pewien, że ojciec zapozna się z tym jeszcze przed spotkaniem udziałowców? – spytałam.

– Tak – zapewnił. – Jeśli zostawisz mu to na biurku, osobiście dopilnuję, żeby przeczytał umowę zaraz po przyjściu do biura.

Przygryzłam wargę.

– W porządku.

Ścisnęłam jego rękę, po czym chwyciłam dokumenty i otworzyłam drzwi auta. Popędziłam do wind na zadaszonym parkingu.

Korzystając z karty Luke’a, otworzyłam drzwi prowadzące do recepcji, a później kolejne, by dostać się do biura ojca.

Znalazłam notes z logo Larrabee Media i wyrwałam z niego pierwszą z brzegu kartkę. Napisałam krótką wiadomość, prosząc ojca, by dokładnie zapoznał się z tymi dokumentami, zanim podejmie ostateczną decyzję w sprawie fuzji. Przypięłam kartkę spinaczem do reszty papierów, które wyniosłam z gabinetu La Fleura, i położyłam plik na biurku, na klawiaturze – nie może tego rano nie zauważyć.

Pora wyjść.

Tylko że moje stopy nie chciały ruszyć z miejsca. Zamarłam z oczami utkwionymi w dowodach, dla których zdobycia ryzykowałam tak wiele.

Ojciec poświęcił dla firmy wszystko. W tym własną rodzinę. Własną żonę. Dla dobra fuzji sprzedał mnie mediom.

Nigdy nie było go w domu. Zawsze był w podróżach biznesowych. Czasami miałam wrażenie, że jego prawdziwą, jedyną miłością, jego namiętnością jest Larrabee Media, a cała reszta – czyli my – to raptem porzucone hobby. Jak na wpół skończone modele samolotów, obrastające kurzem w garażu.

Więc czemu tak bardzo zależało mi na tym, by go uratować? Dlaczego tak ochoczo rzuciłam się w wir działania tylko po to, by mieć pewność, że dyrektor generalny nie straci kontroli nad imperium?

Co ja, do licha, myślałam?

Odkąd ujrzałam zdjęcie La Fleura w gazecie i zrozumiałam, co planuje, nieprzerwanie miotałam się w szale, by zostać bohaterem dnia i ocalić świat. Pokonać złych, a uratować damę z opresji (w tym wypadku: pracę ojca).

Nawet przez chwilę nie zatrzymałam się, by zastanowić się nad tym, co mogłoby się stać, gdybym *nie przedstawiła* mu tych dokumentów. Gdybym cichutko wysunęła je wtedy zza uniformu, odłożyła na miejsce i udawała, że nic się nigdy nie stało. Gdybym pozwoliła, by jutrzejsze głosowanie udziałowców przebiegło bez zakłóceń.

I dobrze wiedziałam, jak by się wtedy potoczyły wydarzenia. Ojciec poparłby fuzję, udziałowcy by ją przegłosowali, a zaraz po podpisaniu umów odbyłoby się kolejne głosowanie – tym razem za usunięciem dotychczasowego szefa ze stanowiska.

I ojciec zostałby bez pracy. Nie jakiejś tam pracy, tylko bez tej, która przez te wszystkie lata powstrzymywała go przed objęciem wszystkich rodzinnych ról. Tej, która uniemożliwiała mi próby nawiązania prawdziwej relacji z Richardem Larrabee.

Skoro ojciec był zbyt ślepy, by dostrzec, że firma zrujnowała mu życie osobiste, może faktycznie ktoś powinien mu otworzyć oczy. Zdzielić go w łeb. Może tym kimś powinnam być ja.

Powoli sięgnęłam po dokumenty, nagle zdziwiona, jak ciężkie się wydają po tym, gdy nadałam im zupełnie nowe znaczenie.

Jutro mogłoby być po wszystkim.

Może *to* właśnie jest ta druga strona medalu? Inne oblicze tych pięćdziesięciu dwóch zajęć, które zostały mi narzucone? Może dobro głęboko zakopane pod warstwą gruzu i chaosu to właśnie uświadomienie sobie, że jest sposób, by odzyskać ojca. Ot tak, zatajając przed nim pewne informacje, mogłabym zniszczyć to, co przez cały ten czas mi go zabierało. Zabierało go nam.

Gdybym nie rozpoczęła tej pozornie niekończącej się podróży przez pięćdziesiąt dwie prace, nigdy nie podsłuchałabym rozmowy La Fleura z jego współpracownikami. Może to wszystko jest wielkim planem wszechświata, by pokazać mi wyjście z sytuacji. By nakreślić mi drogę do światła w tunelu.

I teraz jedyne, co mi pozostało, to ruszyć we wskazanym kierunku.

I choć bardzo chciałabym wierzyć w swoje przemyślenia, czułam, że coś nie gra. Wszechświat nie wysyłałby tak zawołanego komunikatu. Bo czy wiadomości od losu nie powinny być jasne i zrozumiałe?

Zatajenie tych informacji przed ojcem tylko po to, by mieć go dla siebie, byłoby niczym więcej niż pochwałą manipulacji. I ja powinnam o tym dobrze wiedzieć. Przecież przez lata opanowałam umiejętność tego typu działań do mistrzostwa.

Z drugiej strony może wszechświat próbował mi udowodnić, że wciąż zależy mi na znalezieniu światła w tunelu, że wciąż chcę go szukać, że mimo wszystko jeszcze się nie poddałam.

Może drugą stroną medalu jest zdanie sobie sprawy z tego, że pomimo pięćdziesięciu dwóch powodów, dla których nienawidzę ojca, tak naprawdę wystarczy mi jeden, by go kochać.

I może tego akurat nie da rady zapisać na kartce. Ani napisać o nim książki. Ani umieścić w gazecie. Może tego powodu się nie publikuje. Bo stanowi usunięty rozdział z historii mojego życia. Lepiej, stanowi fragment jeszcze nienapisany.

I dobrze wiedziałam, co chciałabym w nim zawrzeć. W jaki sposób chciałabym być zapamiętana.

Jako córka, która uratowała firmę ojca, mimo wielu przyczyn, by tego nie robić.

Ponieważ od tego właśnie jest rodzina.

*B*ez pomysłu

Luke zajechał pod mój dom i zgasił silnik.

– Czy mógłbym odprowadzić cię do drzwi? – spytał, wywołując uśmiech na mojej twarzy.

Chyba nikt wcześniej nie zadał mi takiego pytania. To takie słodkie, staroświeckie. Ale Carver przecież właśnie taki jest. Tylko nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Byłam zbyt zajęta skupianiem się na jego wadach. Minusach, których nagle nie byłam w stanie sobie przypomnieć.

– Jasne – odparłam i wysiadłam z auta.

Szliśmy w ciszy. Towarzyszył nam jedynie odgłos kroków na chodniku. Wszechobecny spokój wytrącał mnie z równowagi. Chciałam coś powiedzieć, lecz po raz pierwszy, odkąd się znamy, brakło mi słów.

Jednego byłam pewna: chciałabym, żeby odległość od podjazdu do drzwi domu była sto razy dłuższa. Dotarliśmy do wejścia zdecydowanie za szybko i tak bardzo chciałam, by Carver jeszcze został.

Już chwyciłam klamkę, lecz nie dane mi było jej nacisnąć, ponieważ dłoń Luke'a znalazła się na mojej.

– Czekaj – powiedział, delikatnie odwodząc moją rękę od drzwi. – Jest coś, co od jakiegoś czasu tak bardzo pragnąłem zrobić.

Uniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy. Były piwne, zdawały się iskrzyć, odbijać blask ogrodowych świateł.

– Okej – odparłam po chwili wahania.

Westchnął i odwrócił wzrok.

– Tylko nie byłem w stanie.

– Dlaczego? – spytałam.

Znów zwrócił oczy na mnie, a na jego usta wypłynął łagodny uśmiech.

– Bo jestem pewien, że to wykracza daleko poza moje obowiązki.

– Cóż – odparłam, udając, że spoglądam na niewidzialny zegarek. – Godziny pracy już dawno się skończyły. Więc może pora, żebyś po prostu zrobił, co chcesz zrobić.

Jego uśmiech stał się jeszcze większy, a w kącikach oczu wystąpiły niewielkie zmarszczki. Wyglądał tak czarująco...

– Nie wiem – powiedział. – To trochę skomplikowane.

– Skomplikowane? – powtórzyłam rozbawiona.

– To, co pragnąłem uczynić, czego nadal zresztą pragnę, nie przystoi osobom, które ze sobą pracują i *prawdopodobnie* będą to robić nadal. Bo to może sprawić, że atmosfera stanie się nieco niezręczna.

– Achaaa, rozumiem. Więc *taki* masz problem. – Pokiwałam głową, udając, że bardzo głęboko zastanawiam się nad jego słowami.

– Choć z drugiej strony... – Luke uniósł moją dłoń i oparł ją na swojej piersi. – Z drugiej strony ktoś mi kiedyś powiedział, że za dużo myślę. Że powinienem nauczyć się odpuszczać. Dać sobie spokój z przesadną ostrożnością.

– Brzmi jak słowa mądrej osoby – stwierdziłam, wcale nie starając się ukryć cisnącego mi się na usta uśmiechu.

– Owszem, bywa mądra – zauważył.

– Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? – spytałam.

Lecz nie doczekałam się odpowiedzi. Nawet nie zdołałam dokończyć myśli, gdy nagle jego dłonie znalazły się na moich policzkach. Przyciągnęły moją twarz. Nasze usta zetknęły się. Całował mnie, z początku łagodnie, a potem z każdą sekundą coraz bardziej namiętnie. I choć po chwili byłam pijana wonią jego ciała, jego smakiem i dotykiem, z jakiegoś powodu nie byłam w stanie przestać myśleć. Coś było nie tak. To nie ja się z nim całowałam. To ktoś inny. A tak nie można. Już czas, bym przestała wiecznie grać.

– Czekał – powiedziałam, napierając palcami na pierś Carvera i odsuwając go od siebie.

Na jego twarzy natychmiast pojawił się wyraz zatroskania.

– Co się stało? – spytał, łapiąc oddech.

Zdjęłam perukę, ściągnęłam gumkę z włosów i zaczęłam gwałtownie potrząsać głową, by przywrócić własną fryzurę. Po chwili wreszcie znów poczułam się sobą. Znowu na podjeździe stałam ja i tylko ja. Nikt inny.

– Okej. – Westchnęłam. – Od nowa, co?

Luke uśmiechnął się i nachylił do mnie. Zamknęłam oczy. Tym razem, gdy nasze usta się spotkały, stopiłam się z ciałem tego mężczyzny. Cały mój wewnętrzny ogień, gorączka przeniknęły w niego. Cała jego cierpliwość, cała szczerłość udzieliły się mnie.

Wojowaliśmy miesiącami. Byliśmy jak zaciekli wrogowie, rozdzieleni przez jedną

jedyną osobę. Jednego Kapitana. Więc chyba miało sens, że to, co nas dzieliło, teraz nas połączyło.

Osobno może i byliśmy różni jak dzień i noc, białe i czarne, dobro i zło, lecz razem tworzyliśmy połówki jedności. Razem istnieliśmy w równowadze.

Zwrot do nadawcy

Następnego ranka przykleiłam się do telewizora w kuchni. Luke zapewniał mnie, że sytuacja nie ulegnie zmianie do czasu spotkania z udziałowcami, które miało się odbyć o godzinie jedenastej, lecz nawet to nie powstrzymało mnie przed zerwaniem się o świcie i włączeniem CNBC. I przy okazji uświadomiłam sobie, dlaczego nigdy wcześniej nie oglądałam tej stacji: nie było w niej nic poza nudnymi wieściami ze świata biznesu, a ludzie, którzy się wypowiadali, bez przerwy gędzili o kursach akcji na giełdzie. Teraz jednak najwyraźniej zahipnotyzował mnie ten irytujący wąski pasek u dołu ekranu, ponieważ nie byłam w stanie zmienić kanału.

Horatio próbował zmusić mnie do jedzenia, rozstawiając przede mną cały wachlarz dań, jednak niczego nie tknęłam. Byłam zbyt podenerwowana, by jeść. Miałam wrażenie, jakby mój żołądek zamienił się w jedną rozszalałą karuzelę. Cokolwiek bym połknęła, wróciłoby tą samą drogą.

Wreszcie o godzinie jedenastej prezenter oznajmił, że teraz przerywają program, by nadać specjalną relację ze spotkania udziałowców Larrabee Media, w czasie którego Richard Larrabee ma przedstawić decyzję mającą dramatycznie wpłynąć na przyszłe losy korporacji.

Siedząc przy ladzie, nachyliłam się tak blisko telewizora, że niemal podniosłam tyłek ze stołka. Horatio, zajęty przygotowywaniem cotygodniowej listy zakupów, rzucał mi od czasu do czasu zdziwione spojrzenia.

Na ekranie pojawiła się olbrzymia sala konferencyjna, pełna setek ludzi, z ojcem stojącym na podium umieszczonym z przodu pomieszczenia.

To to!

– Dziękuję wszystkim za przybycie – zaczął. – Zgromadziliśmy się tu, by porozmawiać o bardzo ważnej sprawie, o której zapewne słyszeliście z różnych źródeł przez kilka ostatnich tygodni. Chodzi, rzecz jasna, o fuzję Larrabee Media

z wyjątkową, wiodącą francuską korporacją La Fleur Media.

Wtedy zauważyłam Pascala La Fleura – stał na prawo od podium. Aż warknęłam na jego widok. Zaś ojciec porozumiewawczo skinął do niego głową, a chwilę później La Fleur odwzajemnił gest.

Prawdę mówiąc, typowe sztywne i obojętne zachowanie ojca nieco mnie zdziwiło. Najwyraźniej spodziewałam się, że po przeczytaniu mojej wiadomości oraz zapoznaniu się z dołączonymi dowodami będzie trochę bardziej... nie wiem... wściekły? Zagniewany? No bo serio – wystawili go do wiatru ludzie, którym ufał, a wyglądał, jakby nic się nie stało. Spokojny, opanowany. I, co najważniejsze, gotowy przejść do sedna sprawy.

Lecz wtedy doszłam do wniosku, że takie zachowanie dowodzi jego mistrzowskich umiejętności w prowadzeniu interesów. Stojąc twarzą w twarz ze zdradą i oszustwem, ojciec jest w stanie sprawiać pozory spokojnego i obojętneho.

Założyłam więc, że zaplanował coś wielkiego. Już nawet sobie to wyobrażałam. Pewnie za kilka minut odwróci się do La Fleura, wyjawi prawdę o tym dwulicowym nikczemniku i wtedy rozpęta się piekło.

Moje serce waliło niespokojnie.

– Stoję dziś przed państwem, by oficjalnie wyrazić moje poparcie dla tego obiecującego przedsięwzięcia – oznajmił.

Co takiego?

Chwyciłam pilota i wcisnęłam „replay”.

– Stoję dziś przed państwem, by oficjalnie wyrazić moje poparcie dla tego obiecującego przedsięwzięcia – powtórzył. – Jestem głęboko przekonany, że fuzja z La Fleur Media to dla Larrabee Media najlepsza droga rozwoju. Wraz z inwestorami firmy ufamy, że wezmą państwo moje poparcie pod uwagę i zagłosują za połączeniem. Dziękuję.

Zszokowana patrzyłam, jak ojciec schodzi z podium i udaje się poza obiektyw kamery.

Co on robi?!

Czyżby nie dostał mojej przesyłki? Czy prześlizgnęła się przez szczeliny w jego biurku i teraz leżała na podłodze zapomniana? Cholera jasna! Czułam, że powinnam była poczekać do rana i przekazać mu dokumenty osobiście!

A co, jeśli przeczytał papiery i je zignorował? Co, jeśli stwierdził, że to moja głupia gra, że jedynie próbuję wywinąć kolejny numer? Albo gorzej, co, jeśli dostrzegł pod wiadomością moje imię i ot tak wyrzucił wszystko do kosza, założywszy, że skoro to coś pochodzi ode mnie, to nawet nie warto do tego zaglądać?

Boże. Zaraz zwiemiotuję.

Sięgnęłam po telefon i nieomal go upuściłam, tak trzęsły mi się dłonie. Wreszcie udało mi się wybrać numer do Luke’a.

– Co się dzieje?! – zawyłam do słuchawki, gdy odebrał.

– Nie wiem – przyznał. – Nie jestem pewien. Wyszedł ze spotkania, nawet nie poczekał na wynik głosowania. Chciałem z nim porozmawiać, lecz skierował się prosto do wyjścia.

– Widział moją wiadomość? Czytał dokumenty?

– Nie wiem, Lex – głos brzmiał tak, jakby Luke znajdował się tysiące kilometrów ode mnie.

Rozłączyłam się i zaczęłam nerwowo stąpać po kuchni. Po chwili jednak zrobiło mi się tam zbyt klaustrofobicznie, więc wyszłam na zewnątrz. Rozgorączkowana miotalam się po ogrodzie, aż pot zaczął spływać mi po twarzy, a podeszwy stóp zabarwiły się na zielono.

Muszę z nim porozmawiać. To jedyne wyjście. Może jeszcze nie jest za późno. Może wciąż mogę go przekonać, by cofnął poparcie.

Pognałam do domu i wbiegłam na górę. Ubrałam się w poprzecierane jeansy i czarną bluzę Rolanda. Z niewiadomej przyczyny dodawała mi odwagi. A teraz bardzo jej potrzebowałam.

Pobiegłam na dół, wołając Kingstona.

– Nie ma go – oznajmił Horatio, gdy zawołałam po raz trzeci.

– A gdzie jest? – rzuciłam. – Wiesz, co... Nieważne, sama pojadę.

Odwróciłam się twarzą do drzwi prowadzących do garażu dokładnie w momencie, gdy przez frontowe wejście wszedł ojciec.

Przez osiemnaście lat dosyć się nasłuchiwałam odgłosów towarzyszących wizytom Richarda Larrabee. Można nawet rzec, że stałam się kimś w rodzaju eksperta. Naukowca. Gdyby na uniwersytecie wykładano fakultet z jego objawień i odwrotów, z pewnością właśnie ja bym go prowadziła.

Dlatego w mig pojęłam tę subtelną różnicę, jaka pojawiła się podczas tego wejścia do domu. Z nieznannej przyczyny towarzyszyła mu aura cierpliwości. Stawiał dłuższe kroki, a ich rytm jakby się pogłębił.

– Tato! – wreszcie odzyskałam głos, lecz okazał się załamany, wystrzępionym widmem tego, co zwykle. – Nie dostałeś mojej wiadomości? Co z dokumentami? Zostawiłam je na twoim biurku.

– Dostałem – odparł tonem opanowanym i spokojnym. – Postanowiłem je zlekceważyć.

Wiedziałam. Nie ufał mi. Uznał, że to jakaś durna gra. Ale to nieprawda! Po raz pierwszy w życiu byłam z nim w pełni szczerą.

– Lexi – podjął, wciąż stoicko spokojny, pomimo moich wyraźnie zszarganych nerwów – powinniśmy porozmawiać.

– Nie! – ryknęłam zdesperowana. – Nie ma czasu. Musisz wracać do biura. Musisz porozmawiać z La Fleurem. On chce ci odebrać stanowisko!

– Lexi! – powtórzył z naciskiem. Nagle znajoma władczość znów była obecna w jego głosie. Wskazał ręką salon. – Usiądź, a ci wyjaśnię.

Znałam ten ton na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie ma sensu się przeciwstawiać, bo szanse na zwycięstwo są równe zeru. Można by kręcić kołami jak ciężarówka, która utknęła w błocie, aż skończy się paliwo.

Westchnawszy, przeszłam do salonu, spoglądając co rusz przez ramię, by się upewnić, że ojciec idzie za mną. Sprawdziałam, czy nie wyszedł bez słowa, jak duch, którym zawsze był w tym domu.

Ostrożnie przysiadłam na skraju kanapy, lecz ojciec wolał stać. Właściwie wolał się przechadzać po pokoju.

Spacerował, stawiając długie, równe kroki, bez przerwy pocierając dłonią podbródek.

Zakłopotana podążałam za nim wzrokiem, starając się zrozumieć cokolwiek z tego dziwnego, nietypowego zachowania. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, co widziały moje oczy. A gdy to się stało, niemal zsunęłam się z brzegu kanapy.

Richard Larrabee był *podenerwowany*.

– Bruce powiedział, że byłaś wczoraj u niego – odezwał się wreszcie.

I nagle mój umysł zaczął pojmywać całą tę sytuację. Więc to o to chodziło? Wkurwił się, bo zdradzono jego sekret?

– Tato, nie złość się na Bruce’a. Sama do tego doszłam – odparłam, stając w obronie prawnika.

– Na nikogo się nie złościę – odrzekł prędko. I wtedy się roześmiał. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszałam jego śmiech. Oczywiście poza sytuacjami, gdy dookoła znajdowały się kamery telewizyjne, gotowe w czasie rzeczywistym rozesać jego miły wizerunek na wszystkie strony świata.

Napad radości skończył się tak szybko i nagle, jak się zaczął. Twarz ojca natychmiast wróciła do swojej powagi.

– Bruce miał rację od początku – oznajmił. – Powinienem był powiedzieć ci o matce. Źle zrobiłem, zatajając prawdę przed tobą.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć na takie wyznanie. Zastygłam w bezruchu.

„Źle zrobiłem”?

Czy aby na pewno dobrze usłyszałam?

Zupełnie jakby umiał czytać w moich myślach, udzielił odpowiedzi na moje nieme pytanie.

– Lexi, popełniłem w życiu wiele błędów. Niektóre pociągały za sobą większe konsekwencje niż inne. Lecz nauczyłem się z nimi żyć. Biorę za nie pełną odpowiedzialność.

Nie byłam w stanie dłużej trzymać zamkniętej buzi. Sama się rozdziawiła.

O co tu chodzi?

Już chciałam spojrzeć przez ramię, czy aby nie czaiła się gdzieś jakaś załoga z kamerą albo inny dziennikarz. Ponieważ ojciec zachowywał się w ten sposób wyłącznie, gdy był na wizji.

– Lecz moim największym błędem – ciągnął – tym, czego najbardziej żałuję, jest fakt, że nie dałem twojej matce pomocy, jakiej potrzebowała.

Zaczęłam potrząsać głową.

– Tato, to nie twoja wina – powiedziałam. – Bruce opowiedział mi całą historię. Próbowałeś jej pomóc. Wysłałeś ją na odwyk. Co więcej mogłeś...

– Proszę, Lexi, pozwól mi dokończyć. – Uciszył mnie jednym gestem uniesionej dłoni.

Więc zamilkłam. Tylko dlatego, że bałam się, że jeśli nie będę milczeć, cokolwiek ojciec chciał mi powiedzieć, przepadnie na wieki. A kto wie kiedy znów nadarzy się taka okazja? Może była to po prostu sytuacja zdarzająca się raz na pięć miliardów lat, jak jakiś specyficzny, nietypowy układ planet. Więc lepiej dźwignąć tyłek i wbić oczy w niebo.

– Owszem, wysłałem ją na odwyk – przyznał. – Wiele razy. Do najlepszych klinik. Lecz wraz z jej śmiercią dotarło do mnie, że to nie takiej pomocy potrzebowała.

Na mojej twarzy malowało się zakłopotanie.

– Lexi, postaraj się zrozumieć – ciągnął. – Zaczynałem od zera. Moja rodzina nigdy nic nie miała. Mój ojciec był nierobem, który nie potrafił utrzymać żadnej pracy. Przyrzekłem sobie, że nigdy nie będę taki jak on. Zdawało mi się, że rolę człowieka odpowiedzialnego za rodzinę najlepiej wypełnia się, pracując. Więc tak też postępowałem. Przez cały czas. A im więcej miałem zajęć, tym bardziej pogarszał się stan twojej matki. I za jej życia nigdy nie dotarło do mnie, że tak naprawdę potrzebowała męża, który będzie co wieczór wracał do domu.

Zatrzymał się i przysiadł obok mnie na kanapie. Lecz nie byłam w stanie na niego spojrzeć. Więc wbiłam wzrok w podłogę.

– Gdy odeszła, zmieniły się również powody, dla których wciąż nie było mnie w domu. Obwinałem siebie za jej śmierć i poczucie odpowiedzialności było tak przytłaczające, że nie byłem w stanie spojrzeć własnym dzieciom w oczy. Tobie w szczególności, Lexington.

– *Mnie?* – powtórzyłam, nie dowierzając. – Dlaczego? – Uniosłam głowę i obróciłam twarz do niego.

Jego oczy złagodniały w taki sposób, jakiego nigdy wcześniej u niego nie zaobserwowałam. Wyglądały jak dwie błękitne kałuże powstałe zaraz po ulewie z piorunami.

– Z dnia na dzień stawałaś się do niej coraz bardziej podobna – odparł szeptem. – Nawet nie wiesz, jak trudno było mi patrzeć na ciebie, gdyż miałem świadomość, że to ja zabrałem ci matkę.

– Nie, nie zabrałeś – odrzekłam, lecz głos ugrzązł mi w gardle i nie byłam w stanie dodać nic więcej.

– Od kilku miesięcy – podjął – właściwie od dnia twojego wypadku, sporo myślałem nad pracą, korporacją i rzeczywistą wartością wszystkiego, co mnie otacza. Nie chcę już niczego więcej w życiu żałować. Nie chcę cię stracić w taki sam sposób, w jaki straciłem ją. – Zamilkł na moment, poluzował krawat i wziął głębszy oddech. – Dlatego dziś złożyłem rezygnację.

Minęło kilka sekund, nim dotarło do mnie, co tak naprawdę powiedział. A gdy już się to stało, skoczyłam na nogi jak oparzona.

– Co zrobiłeś?!

– Złożyłem rezygnację ze stanowiska dyrektora generalnego Larrabee Media. Obowiązuje natychmiast. Pascal La Fleur zajmie moje miejsce.

– Ale... ale... ale czemu miałbyś to robić? – wyjąkałam. – Po wszystkim, co przeszłam, żeby ratować twoją pracę?

Uśmiechnął się. I choć był to łagodny, subtelny uśmiech, było jasne, że pochodził z głębi jego zmęczonych oczu, przydając im odrobiny życiowej iskry.

– Właśnie dlatego tak zdecydowałem.

Posłałam mu nierozumiejące spojrzenie.

– Wszystkie decyzje, jakie kiedykolwiek podjąłem względem rodziny, były egoistyczne – wyjaśnił. – Służyły wyłącznie mnie i wiązały się wyłącznie z moim dobrem. Więc tak naprawdę przez wszystkie lata twojego dorastania nie mogłem obarczać cię winą za twoje samolubne zachowanie. Bo wiedziałem, że sam cię tego nauczyłem. Lecz działanie, jakie podjęłaś dla mnie i mojej firmy, było tak niesamolubne, że w mig pojąłem, że akurat tego postępowania nie mogłaś przejąć ode mnie. To wypracowałaś sama. – Wziął głęboki oddech. – I tego ja chciałbym nauczyć się od ciebie.

– I co teraz? – spytałam, próbując ułożyć sobie w głowie te nowe informacje. – To... koniec? Koniec twojej aktywności zawodowej? Idziesz na emeryturę?

– Nie całkiem – odparł. – Będę pełnił rolę doradcy. Oczywiście wiąże się to z drastycznym zmniejszeniem godzin pracy, dzięki czemu będę miał więcej wolnego czasu.

– I co będziesz robił? – spytałam.

– Na początek może to. – Rozejrzał się po pokoju, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

Zdumiona podążyłam za jego wzrokiem, lecz nie znalazłam odpowiedzi.

– Będę rozmawiał z dziećmi – wyjaśnił. – Będę spędzał z nimi ten czas. Będę tutaj.

I nagle ja również dostrzegłam to pomieszczenie po raz pierwszy. Wręcz cały dom. Próbowałam wyobrazić sobie, jak to będzie mieszkać z ojcem pod jednym dachem, chodzić tymi samymi korytarzami, spać, podczas gdy on przebywa raptem dwa

pokoje dalej. Prawdę mówiąc, nie byłam w stanie sobie tego wyobrazić. Ta wizja była zbyt obca, abstrakcyjna. Jak język, którego nie rozumiałam, a co dopiero nim mówić.

Z drugiej strony, zanim zaczęłam z wprawą używać francuskiego, spędziłam we Francji wiele lat. Zanim zaczęłam rozumieć hiszpański, spędziłam całe dzieciństwo u boku Horatia. Język nie jest czymś, czego można się nauczyć w ciągu jednego dnia. Tu trzeba czasu. Cierpliwości. Chęci zmiany sposobu myślenia o tym, co już wiemy.

Po raz pierwszy od osiemnastu lat połączyło nas właśnie to wspólne pragnienie.

Powoli z powrotem usiadłam na kanapie. Tym razem jednak nie wybrałam przeciwległego kąta, jak najdalej od ojca. Lecz nie odważyłam się również usiąść tuż przy nim. Zamiast tego wybrałam miejsce gdzieś pośrodku – w pół drogi między tym, kim byłam niegdyś, a tym, kim miałam nadzieję się stać.

Ponieważ to nie było szczęśliwe zakończenie rodem z filmu, w którym córka rzuca się w objęcia tatusia przy akompaniamencie rzewnej muzyki. A tym bardziej nie był to naiwny spot telewizyjny mający zdobyć poparcie dla najświeższego biznesowego przedsięwzięcia.

To było życie.

A w życiu nic nie zmienia się w mgnieniu oka.

Lecz od czegoś trzeba zacząć.

– Jest coś, czego nie rozumiem – odezwałam się zadumana, siadając na kanapie.

Ojciec obrócił się do mnie z zapraszającą miną i szeroko otwartymi oczami.

– Mów.

– Skoro ten plan z pięćdziesięcioma dwoma tygodniami pracy miał mnie czegoś nauczyć, miał mi pomóc, dlaczego puściłeś informację do mediów?

Oczy mu pociemniały i prędko schylił głowę.

– Nie puściłem – wyszeptał.

– Tak, puściłeś – nie chciałam dać za wygraną. – Caroline powiedziała, że...

– Caroline już dla mnie nie pracuje.

– Co takiego? – zawołałam. – Zwolniłeś ją?

– Tak. Tydzień temu przedstawiła mi swój pomysł, żeby anonimowo zgłosić mediom, że pracujesz, na co się nie zgodziłem. W ogóle nie chciałem o tym słyszeć. Najwyraźniej moja decyzja jej nie leżała i doszła do wniosku, że gdy tylko na własne oczy przekonam się o pozytywnych skutkach takiego numeru, zmienię zdanie. Zrobiła to za moimi plecami, więc ją zwolniłem.

– Ale... – Próbowałam na szybko poskładać kawałki wydarzeń minionych dwudziestu czterech godzin. – Rozmawiałam z nią jeszcze dziś. Mówiła, że idzie do twojego biura na jakąś naradę strategiczną.

– Poleciałem mojemu asystentowi, żeby jej tak powiedział – wyjaśnił ojciec. – W innym wypadku pewnie w ogóle by się nie pojawiła w firmie.

Wyobraziłam sobie zadowolony wyraz twarzy Caroline, gdy wparowała do firmy.

Musiała być tak bardzo dumna ze swojej pracowniczej pilności. Pewnie spodziewała się, że szef poklepie ją po ramieniu, może nawet nagrodzi podwyżką, a zamiast tego wysłano ją na zieloną trawkę.

Parsknęłam śmiechem. Nie byłam w stanie ukryć niebiańskiego uśmiechu, jaki wziął w panowanie moją twarz.

Caroline. Zwolniona. Już jej nie ma.

Ojciec. Przy mnie. Dla mnie.

– W temacie pięćdziesięciu dwóch prac – podjął, sięgając do kieszeni i wyjmując białą kopertę. – Chciałem ci to dać. Kazałem Bruce’owi przygotować to dziś rano.

Zaciekawiona wzięłam kopertę, otworzyłam ją i wyjęłam prostokątną karteczkę, od której przez dłuższą chwilę nie mogłam oderwać wzroku.

Była warta dwadzieścia pięć milionów dolarów.

Fundusz powierniczy wyglądał tak, jak zawsze go sobie wyobrażałam. Czarny atrament układał się w moje imię. Słynny podpis ojca widniał w dolnym prawym rogu. A pośrodku stał długi rząd pięknych, wyraźnych zer.

Oszołomiona uniosłam głowę.

– Ale zostały mi jeszcze trzydzieści dwie prace i pół.

Zachichotał rozbawiony.

– Och, zdaje mi się, że już sobie na to zapracowałam – oznajmił.

Ponownie spojrzałam na czek, opuszkami wyczuwając gładką powierzchnię papieru.

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze marzyłam o tej chwili. Pragnęłam jej od momentu, gdy pojęłam znaczenie terminu „fundusz powierniczy”. Ten niewielki skrawek papieru miał stanowić źródło mojej radości, całego mojego szczęścia, poczucia wolności. Wyobrażałam sobie, że otrzymuję właśnie taką kopertę, następnie w zwolnionym tempie obracam ją w dłoniach, otwieram i wyciągam z niej ten wspaniały dokument. Moje palce go pieszczą, moje opuszki gładzą jego powierzchnię, nie mogę wyjść z podziwu nad tym, jak jest piękny, jak doniosły, jak wiele obietnic zawiera.

Lecz w żadnym z wyobrażeń nie widziałam siebie kręcącej głową, wkładającej czek z powrotem do środka i oddającej kopertę temu, kto mi ją darował.

Tak, właśnie tak postąpiłam.

– Nie – oznajmiłam. – *Nie zapracowałam* na to. Jeszcze nie.

Zafrapowany, spojrzał na nieprzyjęty prezent.

– Oczywiście, że zapracowałam. Przerosłam moje oczekiwania.

– Może i tak. – Wzruszyłam ramionami. – Lecz nie przerosłam własnych. Czy mógłbyś przechować to dla mnie przez najbliższe trzydzieści dwa i pół tygodnia? – Poklepałam palcem kopertę.

– Oczywiście – odparł, przyglądając mi się z ogromną fascynacją. – Ale chyba nic

z tego nie rozumiem.

Posłałam mu ciepły uśmiech.

– Może i tobie udało się w końcu zrozumieć, co chcesz zrobić ze swoim życiem, ale mnie nie. Jeśli teraz przyjąłabym te pieniądze, nie miałabym pojęcia, jak z nimi postąpić. – Westchnęłam przeciągle, acz radośnie. – Coś mi się zdaje, że aby wpaść na jakiś pomysł, będę musiała ukończyć pełne pięćdziesiąt dwa tygodnie pracy.

Wstałam i wyrzuciłam ramiona nad głowę, przeciągając się.

– A teraz przepraszam – oznajmiłam z grzecznością. – Muszę się przygotować do pracy.

Data: Piątek, 20 października. 18.05

Do: Luke Carver

Od: Video-Blaze.com

Temat: Otrzymałeś wiadomość video od Lexington Larrabee

KLIKNIJ TUTAJ, BY OBEJRZEĆ WIADOMOŚĆ



Lub przeczytaj poniższą transkrypcję stworzoną dzięki naszej automatycznej funkcji zapisu tekstu mówionego.

[TRANSKRYPCJA]

Hej, Lukey! To ja! Twoja ulubiona rozpuszczona dziedziczka!

Dziś jest bardzo smutny dzień, ponieważ to już moje oficjalne ostatnie sprawozdanie. Myślę, że podjęliśmy słuszną decyzję, nie uważasz? To znaczy nie wiem, czy byłoby stosowne, żebyś będąc moim partnerem biznesowym, był jednocześnie moim... uhm... partnerem. Jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Poza tym, skoro sama zdecydowałam, że ukończę pięćdziesiąt dwa tygodnie pracy, chyba już nie potrzebuję opiekunki, co nie? Więc nie musisz się przejmować, że tata zatrudni jakiegoś nowego, przystojniejszego stażystę. Prawda?

Żartuję! Tylko spokojnie. Nie wpadaj mi tu w czarne myśli. Ale tak na serio, będę tęsknić za tymi sprawozdaniami. Może powinnam dalej je wysłać. Wiesz, dla zabawy. Choć skoro już więcej nie będę musiała mówić o pracy, chyba trzeba będzie wymyślić jakieś *inne* tematy.

Hmm. Dobry pomysł. Muszę się nad tym zastanowić.

À propos innych tematów, ale się nie mogę doczekać dzisiejszej kolacji! Niczym się nie przejmuj! Moje przyjaciółki będą cię uwielbiać! Kilka dni temu wróciły z Europy i teraz myślą wyłącznie o tym, żeby wreszcie cię poznać. Ostrzegam, przygotuj się na ostry magiel. Mam w historii kilka tragicznych związków (pomińmy wszelkie imiona), więc dziewczyny mają skłonność do nadopiekuńczości. Ale ja się nie przejmuję. Jestem pewna, że będą tobą zachwycone. Jak ja jestem.

Po kolacji koniecznie musimy zagrać sobie raz jeszcze w „Clue”! Nie wierzę, że wczoraj mnie pobiłeś... po raz kolejny. Pułkownik Mustard w obserwatorium, z liną. Ba! Miałeś fart! To zresztą niesprawiedliwe. Przecież ty masz *lata* doświadczenia, a ja jestem totalnym

zółtodziobem. Mniejsza z tym. Dziś wieczorem ja i panna Scarlet rozłożymy ciebie na łopatki.

Och, à propos ostrych lasek w czerwieni. Zapomniałam ci powiedzieć! Słyszałeś najnowsze wieści? Dziś rano na Twitterze aż wrzało! Pamiętasz Rêve, narzeczoną ojca? Uciekła w ramiona Pascala La Fleura! Dasz wiarę?

Prawdę mówiąc, ja bym dała. Są siebie warci.

Ale ojcu to chyba nie przeszkadza. Choć wcale mnie to nie dziwi. Tak naprawdę on za nią nie przepadał. Zresztą jest teraz zbyt zajęty przygotowaniem do wyjazdu. Planuje odwiedzić Coopera w Afryce – to już w przyszłym tygodniu! Więc nawet nie zauważył, że dostał kosza. Ale mam prośbę. Miej na niego oko w biurze, co? Wiesz, tak na wszelki.

[Dźwięk niemożliwy do zidentyfikowania]

Ooooch, telefon. Momencik. Czekałam na to.

Halo? Tak, dzień dobry. Dziękuję, że pan oddzwonił. Otrzymałam pana numer od Jii Jones, córki Devina Jonesa. Podobno ma pan wolne stanowisko asystenta trenera i coś mi się zdaje, że mam dla pana wprost idealnego kandydata. Czy byłoby w porządku, gdybym przesłała panu mejlem jego dane teleadresowe?

Cudownie! Bardzo panu dziękuję. Zaraz panu prześlę. Jeszcze raz dziękuję! Do widzenia!

Dobra, jestem. Przepraszam, ale dzwonił trener LA Lakers. Ojciec Jii kiedyś grał w drużynie. Próbuję załatwić pracę dla mojego kolegi, Rolanda. Trzymaj kciuki, żeby wszystko się udało!

Więc to chyba już wszystko. Koniec drogi. Albo początek, w zależności, jak na to patrzeć. Czy gdy się poznaliśmy, spodziewałeś się, że właśnie tak się to skończy?

Tylko szczerze. Przyznaj, zakochałeś się we mnie już w chwili, gdy mając na sobie tę odjazdową sukienkę z frędzlami, obrzygałam Bruce'a w jego biurze, prawda? Jestem pewna, że spojrzawsz wówczas na mnie, na przekrzywioną perukę i makijaż rodem z cyrku i pomyślałeś: „Będzie moja. Będzie moja, choćby nie wiem co!”.

Należą ci się gratulacje, Luke'u Carverze. Udało ci się. Jestem twoja... już oficjalnie.

Tym samym kończę moje ostatnie sprawozdanie z postępów.

[KONIEC TRANSKRYPCJI]

Podziękowania

Są 52 powody, dla których codziennie mogę robić to, co kocham:

1. Moi rodzice, Michael i Laura Brody, którzy nieprzerwanie są dla mnie oparciem, darzą mnie miłością, rozśmieszają, a czasem nawet pełnią funkcję korektorów.
2. Charlie, mój partner (w interesach, podróżach, zbrodniach, przygodach i większości... życia).
3. Terra, moja utalentowana i stylowa młodsza siostra, której płacą, by ubierała ludzi, a mnie ubiera dla zabawy.
4. Janine O'Malley, cudowna redaktorka, która pomaga mi rozwijać warsztat, nie szczędząc metaforycznych przygan.
5. Bill Contardi, genialny menedżer, odpowiedzialny za wszystkie wspaniałe rzeczy, które mi się przytrafiają. Tak się cieszę, że wreszcie sprawił sobie BlackBerry.
6. Simon Boughton, fenomenalny facet. Jestem wdzięczna, że stanowi część mojego zespołu.
7. Jessica Zimmerman, wydawca roku i najlepszy towarzysz zabaw.
8. Rodzina Fink (George, Vicki, Jennifer i Addison) – najbardziej obłądzeni Teksańczycy, jakich znam.
9. Jazz, Bula, Caesar i Baby – są w stanie rozśmieszyć mnie podczas najgorszych dołków.
10. Pete Moody – zgodził się, bym odbyła w jego prężnie działającym barze przyspieszony kurs obsługi.
11. Sandra – szkoliła mnie podczas wspomnianego kursu.
12. Jane Startz i Kane Lee – chcą przenieść Lexi na srebrny ekran.

13. Elizabeth Fithian.
14. Ksenia Winnicki.
15. Joy Dallanegra-Sanger.
16. Kathryn Hurley.
17. Jennifer Doerr.
18. Jessica Tedder.
19. Eileen Lawrence.
20. Dan Farley.
21. Jean Feiwel.
22. Elizabeth Kerins.
23. Nikki Hart – jest w stanie przemienić słomę w złoto. Przynajmniej na papierze.
24. Marianne Merola – włada zagranicznymi licencjami.
25. Ella Gaumer, najbardziej zajęta osoba na świecie, a jednak zawsze jest w stanie znaleźć dla mnie czas.
26. Christina Diaz – bez niej mój świat przestałby się kręcić, a moje strony internetowe świeciłyby pustkami, byłyby smutne i zagubione w cyberprzestrzeni.
27. Brittany Carlson – pozwala mi piastować stanowisko „kumpeli”.
28. Leslie, Billy i Landon Euell, moja przyszywana rodzina.
29. Brad Gottfred, utalentowany, niesamowity i wiecznie odjazdowy (nie tylko dlatego, że podarował mi iPada... choć po części również).
30. José i Pepe – dopilnowali mojego hiszpańskiego.
31. Noémie Demol – dopilnowała mojego francuskiego.
32. Taylor Coliee, gwiazdor i przepiękny człowiek, który zawsze powinien o tym pamiętać.
33. Jason Fitzpatrick – radzi sobie z nieposłusznymi zmarszczkami, sprawia, że wszystko wygląda dobrze.
34. Wszyscy utalentowani aktorzy, którzy wystąpili w zwiastunie książki „My Life Undecided” (Troy Osterberg, Kellan Rhude, Riley Chambers, Emily Skinner, Jennefer Ludwigsen, Hoyt Richards, Kendra Landeen, Reagan Drown, Cesar Manzanera, Rob Thelusma, Jessica Bennett, Cindy Vela, Madisen Hill, Gina Cecutti i Megan Yelaney). Niezależnie od wieku, wszyscy rządzą!
35. Cały wspaniały zespół pracujący przy tworzeniu zwiastuna „My Life Undecided” (Jason Fitzpatrick, Holly Clark, Terra Brody, Monica Giselle, Adrian Ranieri, Jason Bell, Charlie Fink, Clark Muller).
36. Ludzie o cudownym głosie i talencie muzycznym: Savannah Outen, Josh Golden, Gerald Brunskill. Sprawiają, że mam ochotę rzucić pisarstwo

i zacząć się uczyć gry na gitarze.

37. Dean Bennett – zawsze wita mnie z otwartymi ramionami na kampusie.
38. Thatcher Peterson i Matt Moran z Company 3 w Santa Monica.
39. Sunny Kruschwitz i Kathy Alfeld – poznali mnie z pierwszą miłością mojego życia: językiem francuskim.
40. Bob Simpson, pierwowzór „Pana Simpsona”.
41. Jade Corn i Cori Ashley, mistrzynie literatury dziecięcej.
42. Wszystkie księgarnie na całym świecie, które wciąż wystawiają moje książki na półkach.
43. Wszyscy blogerzy literaccy, którzy recenzują moje książki na swoich wspaniałych stronach.
44. Viviane Cordeiro.
45. Hilit Meir.
46. Claire Kidman.
47. Melissa Fairley.
48. Tsui-lun Liu.
49. Mark Stankevich.
50. Jeff Levin.
51. Steve Glodney.
52. Ty. Czytelniku książek. Dziękuję Ci w imieniu moich postaci (Jennifer, Maddy, Brooklyn i Lexi). Ty sprawiasz, że istnieją. Ty powołujesz je do życia.

52 Reasons to Hate My Father by Jessica Brody
COPYRIGHT © 2012 BY Jessica Brody. By arrangement with the author.
All rights reserved

COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2013
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Joanna Kamrowska, 2013

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-932-8

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE © Julia Savchenko

REDAKCJA Małgorzata Hawrylewicz-Pieńkowska

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ Dariusz Nowakowski

fabryka .pl
SPRZEDAŻ INTERNETOWA *ponad norme*



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

– Dokąd jedziemy? – spytałam, spoglądając na znajomy krajobraz za oknem. Do tej pory w ogóle nie wpadłam na to, by się zastanowić, dokąd mnie zabiera. Wyglądało na to, że właśnie wjechaliśmy do dzielnicy Brentwood.

– Do twojego pierwszego miejsca pracy – odparł surowym tonem. – Codziennie rano będę cię zawoził i po południu odbierał.

– Dzięki, nie trzeba, mam samochód.

– Hmm... – Udał zastanowienie. – CNN twierdzi inaczej.

– Mam szofera – zreflektowałam się.

– Więc wygląda na to, że przez najbliższy rok nie będzie ci potrzebny. Moim zadaniem jest upewnić się, że codziennie rano stawisz się do pracy na czas.

O Boże. Gorzej już chyba być nie może.

I wtedy, jakby świat chciał udzielić odpowiedzi na moje niewypowiedziane pytanie, Luke, chociaż z zadowoleniem, zajechał na plac przed ogromną rezydencją w stylu Tudorów i zgasił silnik. Przed wejściem stała niska blondynka, odziana w błękitny uniform w białe paski, wykończony krótkimi rękawkami i ze śnieżnobiałym kołnierzem. W jednej dłoni trzymała czerwone wiadro z przegródkami, pełne przeróżnych butli z bliżej nieokreślonymi płynami; w drugiej – uniform, taki sam jak jej własny.



Uwielbia
MOWIĆ
z brytyjskim
akcentem

copyright © Brian Braff



**Jessica
Brody**

HISTORIA KOPCIUSZKA OPOWIEDZIANA OD TYŁU

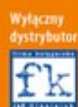
Zbliża się najszczęśliwszy moment w życiu Lex. W dniu swoich osiemnastych urodzin ma otrzymać od „kochającego tatusia” czek na 25 milionów dolarów. To jej upragniona swoboda i wolność, która należy się „z urodzenia” każdemu członkowi rodziny.

Tymczasem ojciec odracza środki z funduszu powierniczego o 52 tygodnie. Młoda celebrytka, znana dotychczas z pierwszych stron gazet, kanałów informacyjnych oraz imprez dla VIP-ów, musi poznać smak pracy.

Barack Obama i Madonna pierwsze kroki robili w barach szybkiej obsługi. Walt Disney zaczynał jako gazetowy. Rod Stewart był grabarzem.



 facebook.com/Fabryka



Partnerzy medialni

